

# *Smith Taylor*

## *Milczenie jest zdradą*

*W samochód wiozący jej męża oraz ukochaną córeczkę wpada z rozpędem ogromna ciężarówka. Po pewnym czasie, za oceanem, pięciu światowej sławy naukowców ginie w tajemniczych okolicznościach na opuszczonej autostradzie...*

*Mariach wie, że między tymi zdarzeniami istnieje ścisła więź, choć jedno miało miejsce w Wiedniu, a drugie w Nowym Meksyku. Wie, że to ona jest uwikłana w splót niejasnych powiązań świata nauki, dyplomacji i międzynarodowego terroryzmu. Wie, że wydano na nią wyrok i że aby ocalić własną karierę, rodzinę oraz życie, nie może ufać nikomu - ani przełożonym, ani mężowi, ani nawet samej sobie....*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Mariah trzykrotnie objechała budynek ośrodka stałej opieki. Na parkingu dostrzegła wprawdzie dużo wolnych miejsc, lecz nie była jeszcze gotowa stanąć z Davidem twarzą w twarz. Czy po tak długim czasie nie powinno mi być już łatwiej? - pomyślała-Czy nie powinnam się do tego przyzwyczaić?

Dlaczego wciąż nie mogę się z tym wszystkim pogodzić?

Jeszcze jedna rundka - obiecała sobie w duchu, przejeżdżając obok głównego wejścia. Jeszcze jedna i znów to zrobi. Wejdzie do ośrodka i zacznie udawać. Zacznie udawać, że nic się nie zmieniło, że wciąż są rodziną, że wizyty te nie stanowią dla niej większego obciążenia. Zacznie udawać, że nie obchodzi jej to, iż David nigdy już nie weźmie jej w ramiona, że nigdy nie będą się ze sobą kochać. Udawać, że Lindsay nie tęskni za jego głupimi żartami, lekcjami hokeja na lodzie czy wspólnym, konspiracyjnym chichotem, gdy Mariah udzielała im reprimendy za nie pozmywane naczynia w kuchni lub za nieprzestrzeganie godziny, o której dziecko powinno iść do łóżka.

David czekał; nie miał innego wyjścia. Mógł jedynie czekać na nią i na Lindsay.

Od wypadku w Wiedniu upłynęło dziesięć miesięcy; pół roku od chwili, kiedy ściągnęła go do domu w Wirginii.

Przez pierwsze tygodnie z wymuszonymi, serdecznymi uśmiechami na twarzach przychodzili znajomi, przyjaciele i rodzina. Ale w oczach odwiedzających, gdy spoglądali na Davida, malowało się przerażenie, mimo że Mariah robiła wszystko, by uprzedzić ich o tym, jak straszliwe skutki zostawił po sobie wypadek. Dzielnie poklepywali Davida po ramieniu tylko po to, by po chwili szybko cofnąć palce ze zwiotczących, zanikających mięśni i cienkiej jak pergamin skóry, widocznej w rozcięciu jego koszuli. Później, przy pożegnaniu, jeszcze raz i bardzo niechętnie ściskali jego zdeformowaną dłoń. Gawędzili z nim, prowadząc jednostronne rozmowy o sprawach, które zapewne nie interesowałyby Davida nawet wtedy gdyby mógł im odpowiadać. Dobrze zresztą o tym wiedzieli. Ale o czym rozmawiać z geniuszem, którego świadomość - czy raczej to, co z niej zostało - ujawniło się tylko poprzez okazjonalny błysk czarnych oczu?

Goście spoglądali niespokojnie na Mariah, zadając jej nieme pytania, czy David ich rozpoznaje i czy wie, o czym mówiące nawet Mariah nie była pewna, co tak naprawdę umysł Davida rejestruje, a czego nie. Czasami sprawiał wrażenie, jakby wszystko rozumiał - w oczach pojawiał mu się wym rozbawienia i zainteresowania; czasami jego źrenice zwężały się, jakby rozważał jakiś problem. Innym razem zdawał zamykać się w swym mrocznym, wewnętrznym świecie, do którego poza nim nikt nie miał dostępu. Jego wzrok padał na twarz Mariah po to tylko, by po chwili podążyć w stronę rozwiewanej wiatrem firanki w otwartym oknie lub unoszących się w powietrzu w promieniach słońca drobin kurzu.

Teraz jednak odwiedzało go już niewiele osób.

Mariah wjechała w końcu na parking, zatrzymała samochód i przejrzała się we wstecznym lusterku. Jej głowę okalały delikatne, aksamitne, krótko obcięte włosy; praktyczna fryzura dla kobiety, która nie ma czasu na zbyt długie przesiadywanie przed lustrem. Na twarzy nie miała makijażu; jedynie jasne rzęsy pociągnęła tuszem. Przymknęła oczy i potarła je palcami, próbując odpędzić zmęczenie spowodowane całodzienną pracą. Kiedy znów rozchyliła powieki, ujrzała w lusterku wlepione w siebie żrenice. Spoglądały na nią krytycznie, pytając po raz tysięczny, czy nie można było wszystkiego urządzić inaczej. Zadawała sobie to pytanie codziennie, od czasu gdy stało się jasne, że David do końca życia zostanie przykutym do wózka kaleką.

Nadjeżdżająca z przeciwka ciężarówka wjechała na jego samochód, kredy szykował się do skrętu w lewo na podjazd prowadzący do międzynarodowej szkoły angielskiej w Wiedniu. Wielki pojazd kompletnie zmiażdżył niewielki samochód. Wszyscy zgodnie twierdzili, że to cud, iż mąż i córka Mariah wyszli z wypadku z życiem. Był to jednak cud bardzo problematyczny. Czaszka Davida popękała jak skorupka od jajka; Lindsay o mało nie straciła lewej nogi.

Cóż, na przekór pełnemu wyrzutu spojrzeniu w lusterku Mariah wiedziała, że nie miała innego wyboru. W domu nie mogła zapewnić Davidowi ciągłej i fachowej opieki, jakiej potrzebował, zwłaszcza że miała jeszcze: na głowie dochodzącą powoli do zdrowia córkę oraz odpowiedzialną pracę, która zapewniała jej odpowiednie dochody i polisę ubezpieczeniową, z której z kolei pokrywała horrendalne rachunki lekarskie.

Westchnęła ciężko i przekręciła lusterko do pierwotnej pozycji. Sięgnęła po papierowa, torbę leżącą na sąsiednim fotelu, zarzuciła na ramię torebkę i wysiadła z samochodu.

Z drugiej strony parkingu inna para oczu - o jednej źrenicy zielonej, a drugiej niebieskiej jak lód - obserwowała ją, jak zamyka volvo i kieruje się w stronę głównego wejścia do budynku.

Rollie Burton przygryzał w zamyśleniu wargę. W reku, w równych odstępach czasu, pojawiała mu się i znikła piętnastocentymetrowej długości ostrze. Nóż ten przed laty przywiózł z Hongkongu. Broń była piękna, wspaniale wyważona i wykonana z najprzedniejszej sheffieldskiej stali. Rękojeść sztyletu, imitacja wytworów sztuki z epoki dynastii Qing, zrobiona została z kości słoniowej rzeźbionej w nader skomplikowany wzór przedstawiający róże w platanienie bluszczu. W wygrawerowanych rowkach widniały rdzawe plamy, zupełnie jakby owe róże, kiedy je rzeźbiono, krwawmy.

Nacisnął przycisk i z rękojeści znów wyskoczyło ostrze, lśniąc w elektrycznym świetle zalewającym parking. Przybraną w rękawiczkę lewą dłonią zamknął nóż tylko po to, by po chwili znów zwolnić sprzężynę. Trzask. I znów schował klingę. Trzask. I znów schował klingę. I jeszcze raz...

Na sąsiednim fotelu spoczywała skórzana teczka, w której miał fotografię Marian oraz wypłaconą z góry zapłatę za robotę - dziesięć tysięcy dolarów w drobnych, używanych banknotach. Znajdował się tam też naładowany automatyczny pistolet oraz zapasowy magazynek. Ale Rollie wolal noz – cichy i szybki, zwłaszcza w jego wprawnych rekach.

W rzeczywistości jest dużo ładniejsza niż na zdjęciu - pomyślał. Padające z góry światło latarni podkreślało jej wysokie kości policzkowe i pełne usta. Dałby jej najwyżej trzydzieści lat, lecz głos w słuchawce telefonicznej poinformował, że ofiara ma trzydzieści dziewięć. Była drobna i poruszała się płynnie, z gracją kota lub tancerki. Choć nie widział jej figury okrytej obszernym płaszczem, był pewien, że ktoś, kto porusza się z takim wdziękiem, musi znajdować się w wyśmienitej formie fizycznej. Przez chwilę zastanawiał się, komu mogło zależeć na jej śmierci. Lecz ta kwestia, dopóki płacono mu za wykonanie pracy niewiele go obchodziła.

Gdy poprzedniego dnia odebrał telefon, głos w słuchawce zażądał, by wyglądało to na jeden z wielu, bandyckich napadów, jakie codziennie zdarzają się w Waszyngtonie. Głos ów był nader osobliwy - monotony, cichy i blaszany. Burton pracował już dla najdziwaczniejszych zleceniodawców, ale w tym głosie naprawdę było coś, od czego cierpła skóra. Ale ostatecznie nieznajomy rozmówca nie prosił o nic nadzwyczajnego. Rollie brał ostatnio mniej zleceń, choć w swych najlepszych latach wykonał kilka tuzinów mokrej roboty - większość w niebezpiecznych środowiskach obcokrajowców. To zlecenie to przy tamtych pryszcz.

Gdy zgodził się podjąć tego zadania, rozmówca skierował go do pojemników na śmieci za Bloomingdale przy Tyson's Corner Mall Tam Rollie znalazł teczkę z pieniędzmi, fotografię oraz szczegółowe informacje o rozkładzie dziennym celu. Bardziej niż proste. Burton znalazł ów cel dokładnie tam, gdzie wedle informacji powinien się znajdować w każdy środowy wieczór - w domu stałej opieki nad kalekami w McLean w Wirginii.

Nie ma konkretnego terminu, proszę tylko zrobić to szybko - wyjaśnił głos w słuchawce. Im szybciej tym lepiej - pomyślał teraz Burton, rozglądając się po prawie pustym parkingu. Sądził, że zanim wykona ostateczny ruch, będzie tropił ofiarę przez kilka dni. Lecz przez dwadzieścia pięć lat spędzonych w tym fachu nauczył się, że nie należy przegapiać również pierwszej nadarzającej się okazji, gdy los podaje mu ofiarę na srebrnym półmisku. Nie było sensu przeciągać sprawy. Trzymał rękę na kłamce, gotów w każdej chwili wysiąść z samochodu. Kobieta przeszła już połowę parkingu, lecz Burton wiedział, że zdoła dopaść ją w kilku szybkich susach. Ilekroć włączał swój najwyższy bieg, potrafił poruszać się szybko jak błyskawica. Czekał na odpowiedni moment, rozważał różne opcje. Jeśli ofiara była wysoka, celował między drogie i trzecie żebro - skuteczny cios prosto w serce. W razie gdy napotykał opór, najlepszy okazywał się cios rozcinający brzuch od dołu do góry. Metoda również skuteczna, lecz człowiek zawsze brudził się przy niej krwią, a ofiara umierała dłużej. W tym przypadku najlepiej będzie uderzyć w szyję. Chwycenie jej od tyłu za włosy i rozplatanie gardła zajmie mu najwyżej sekundę. Poderżnę jej krtań i prysnę - zdecydował, wychodząc z samochodu i bezszelestnie zamykając drzwi. Musiał tylko pamiętać, by zabrać ofierze torebkę; z oczywistych względów. Choć minęła dopiero siedemnasta, na dworze zapadł już zmrok. Było zimno, z nieba siała wczesnozimowa mżawka. Burton przemykał w cieniu rzucanym przez stare dęby rosnące na parkingu. Ich ciemne, gołe konary drżały na tle

mrocznego nieba. Zachodził ją od tyłu. Rozwierał i zaciskał palce lewej dłoni, którą zamierzał chwycić ofiarę za włosy. Prawy kciuk spoczywał na przycisku sprężynowego noża.

I nagle w odległym od niego już zaledwie pięćdziesiąt metrów głównym wejściu do budynku wszczął się ruch. Burton cofnął się gwałtownie, kryjąc się w gęstym cieniu. Przykucnął przy drzewie.

Frontowe drzwi otworzyły się i pojawiły się w nich trzy osoby - starsza kobieta i dwóch mężczyzn, zapewne jej synów. Mężczyźni pochylali się troskliwie nad matką i energicznie prowadzili ją, trzymając krzepko za łokcie.

Klnąc pod nosem, Burton wsunął nóż do kieszeni i patrzył, jak jego niedoszła ofiara opuszcza parking i rusza krótką asfaltową alejką prowadzącą do głównych drzwi. Ustąpiła z drogi schodzącej po frontowych schodkach rodzinie, chwilę ją obserwowała, po czym ruszyła po stopniach.

Burton, choć zawiedziony, podszedł do sprawy filozoficznie. Nie ma sprawy, dopadnie ją, kiedy wyjdzie z ośrodka. Poza tym, gdyby robota okazała się zbyt łatwa, miałby poczucie, że nie zasłużył w pełni na tak hojną zapłatę.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Przekraczając próg ośrodka, Marian odruchowo wstrzymała Oddech. Wcześniej czy później będziesz musiała jednak zacząć oddychać - pomyślała. Ale zanim znów wciągnęła w płuca powietrze, minęła szybko stanowisko recepcjonistki i doszła prawie do wschodniego skrzydła budynku.

Za każdym razem kiedy tu wchodziła, miała nadzieję, że metoda ta okaże się skuteczna. Nic z tego. Kiedy skinęła na powitanie głową siostrze dyżurnej i głęboko odetchnęła, jak zawsze poczuła skurcz żołądka. Drażnił ją intensywny zapach lekarstw, środków antyseptycznych, wykrochmalonej pościeli i umierających powoli ciał.

Na widok Marian młoda pielęgniarka serdecznie się uśmiechnęła.

- Dzień dobry, pani Tardiff - powiedziała.

Siostra zdążyła ją już dobrze poznać. Marian na co dzień używała swego panieńskiego nazwiska - Bolt, lecz pracownikom ośrodka oświadczyła, że nie ma nic przeciwko temu, jeśli zwracać się do niej będą po nazwisku Davida.

- Niecierpliwie aa panią czeka - ciągnęła siostra. - Pielęgniarz już przed godziną wywiózł go na korytarz.

Marian skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu. Pielęgniarka była osobą bardzo sympatyczną i na pewno nikomu nie zamierzała czynić wymówek.

- W mieście są dziś okropne korki - mruknęła przepaszająco.

Pielęgniarka nic nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się ze współczuciem, zaś Marian skrzyła za róg i ruszyła korytarzem. Sala Davida znajdowała się na samym końcu po prawej stronie. Z daleka było widać przygarbioną postać siedzącą na wózku. Idąc w tamtą stronę, Marian mijala innych, samotnych nieszczęśników; przeważnie osoby starsze, które w ciągłym oczekiwaniu na odwiedzinę wyteżały wzrok, ilekroć na korytarzu pojawiała się jakaś postać. Marian uśmiechała się do niektórych, a nawet przystanała przy pewnej starej kobiecie, która zawsze nazywała ją Thelmą i pytała o chłopców.

- Powodzi im się świetnie, pani Lake - odparła jak zawsze Marian, gdyż dawno już zrezygnowała z tłumaczenia pensjonariuszce, że wcale nie nazywa się Thelma.

Zastanawiała się czasami, kim jest owa tajemnicza Thelma i czy jej chłopcom rzeczywiście dobrze się powodzi. Popatrzyła w stronę Davida. Obserwował każdy jej ruch. Spoglądał w jej stronę brązowymi oczyma o tak ciemnych tęczówkach, że nie było widać źrenic.

Wielkie oczy, którymi przenikał człowieka na wskroś. Któż zdołałby się im oprzeć? W każdym razie Marian sztuka ta się nie udała.

Davida poznała w połowie lat siedemdziesiątych, na rok przed podjęciem pracy w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Ukończyła kalifornijski uniwersytet w Berkeley. Jej praca dyplomowa dotyczyła amerykańsko-radzieckiego wyścigu zbrojeń. Gdy z powodu humanistycznego wykształcenia, przy pisaniu dysertacji doktorskiej kompletnie zagu-

biła się w pewnych zawiłych aspektach teoretycznych tworzenia broni jądrowej, jej promotor skierował ją do dziekana wydziału fizyki. Ten z kolei skontaktował Marian z Davi-dem Tardiffem, jednym z najmłodszych i najzdolniejszych pracowników naukowych wydziału.

Początkowo ich spotkania miały charakter czysto naukowy, z czasem jednak stały się bardzo intymne. Marian była kompletnie zaskoczona tym, co się stało.

Ojciec zrujnował życie jej i jej matki. Był poetą i powieściopisarzem, który, choć od jego śmierci minęło już wiele lat, w kręgach literackich wciąż cieszył się ogromnym uznaniem. Ale dla Marian wcale bohaterem nie był. Wręcz przeciwnie. Był egoistą, który zostawił małe dziecko i żonę w ciąży. Odszedł, bo takie życie było za mało ekscytujące, odszedł w poszukiwaniu sławy.

Po takich doświadczeniach wyniesionych z dzieciństwa, Marian postanowiła prowadzić życie niezależne - a już z całą pewnością nie było w nim miejsca na chłopaka z New Hampshire. Tardiff miał zaledwie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i w porównaniu z wysokimi, jasnowłosymi i oszłamiająco przystojnymi chłopcami z plaż południowej Kalifornii, gdzie dorastała Marian, wydawał się aż nazbyt pospolity. Nos miał nieco za duży, a gęste, czarne włosy zbyt potargane. No i jest zarozumiały - wmawiała sobie Mariah. Zabawny i inteligentny, lecz okropnie pewny siebie. A jednak gdy słuchała, jak z pasją opowiadał o fizyce i hokeju, swojej drugiej pasji, postanowienie, że w jej życiu nie ma miejsca na jakikolwiek związek uczuciowy z mężczyzną, topniało niczym wosk. Po trzech miesiącach mieszkali już razem w maleńkim mieszkanku w Berkeley

i snuli plany na przyszłość. Los jednak im nie sprzyjał. Wtedy po raz pierwszy straciła Davida. Uniwersytet kalifornijski, na polecenie rządu federalnego, prowadził w Los Alamos w Nowym Meksyku ściśle tajne badania nad bronią nuklearną i zatrudniał tam wielki fizyków z Berkeley. Nie było zatem niespodzianką, gdy w sześć miesięcy po tym, jak Mariah i David wynajęli wspólne mieszkanie, Tardiff dostał propozycję pracy w laboratorium w Los Alamos.

Mariah wyjechała wraz z nim na pustynię i tam pracowała nad swym doktoratem. Ale Nowy Meksyk, choć zapewniał doskonałe warunki do pracy naukowej, nie sprzyjał ich miłości. Ostateczne rozstanie nastąpiło w dniu, w którym Mariah ujrzała w centrum miasta wojskową ciężarówkę przewożącą zakrytą brezentem rakietę. Jeszcze tego samego dnia, kiedy David wrócił z laboratorium, nastąpiła pierwsza poważna kłótnia.

- Davidzie, to nie jest miejsce dla nas. David wtulił twarz w jej szyję.

- Więc co powiesz na stół w jadalni? - zapytał, biorąc ją w ramiona. - Kochać możemy się w wielu miejscach i na wiele sposobów.

Mariah szturchnęła go ze złością łokciem w żebra, lecz na przekór samej sobie wybuchnęła śmiechem.

- Nie to mam na myśli, świntuchu. Mówię o Los Alamos. Położył jej ręce na ramionach i uważnie popatrzył w oczy.

- O co ci chodzi? Tu otwierają się przed tobą wspaniałe perspektywy. To miłe i bezpieczne miejsce. Założymy rodzinę, wychowamy dzieci.

- Bezpieczne? Przecież tu mieści się fabryka bomb ato-

mowych. Czy nigdy nie zastanawiałeś się, czym naprawdę zajmujesz się w laboratorium?

- Nauką... wielką nauką. Za dostęp do tutejszej aparatury każdy naukowiec na świecie dałby się zabić.

- O, tak, słowo „zabić” jest określeniem bardzo trafnym. Davidzie, przecież wy produkujecie bomby atomowe!

- Zgłębiamy sekrety atomu - sprostował, wyciągając przed siebie znacząco palec. - Daj spokój, Marian, rozchmurz się! Sama najlepiej wiesz, że w laboratorium wykonujemy zlecenia nie tylko dla wojska. A sama praca jest ekscytująca. Atom stanowi klucz do źródła nieograniczonej energii, nie mówiąc już o korzyściach, jakie nasze odkrycia mogą przynieść biomedycynie i przemysłowi. Broń jest na ostatnim planie.

- Gadanie! Tak naprawdę chodzi tu jedynie o konstruowanie nowych bomb.

- Nie możesz winić naukowców za to, że rząd w taki czy w inny sposób wykorzystuje ich pracę - odparł z uporem David, marszcząc gniewnie czoło. - Poza tym zbrojenia skończyłyby się w jednej chwili, gdyby ludzie mieli dość odwagi powiedzieć „nigdy więcej”.

- Davidzie, nie próbuj mnie czarować - odparła ze smutkiem Marian. - Nie jestem ani głupia, ani naiwna. Nie pozbedziemy się już broni nuklearnej, tego nie da się już odwrócić. Projektujecie nową bombę, po czym Rosjanie stworzą inną, większą od waszej, na co wy z kolei odpowiecie kolejną zabójczą bronią. I tak koło się zamyka. Po prostu nie mogę patrzeć, jak marnujesz swój talent, pomagając w produkcji broni ostatecznej zagłady. Bo w gruncie rzeczy po to cię tu sprowadzono. Sam o tym wiesz najlepiej.

Zanim David podjął pracę w Los Alamos, wielokrotnie prowadzili dyskusje na ten temat. Tym razem pokłócili się na dobre. Marian wyjechała z Nowego Meksyku i podjęła pracę analityka CIA w Wirginii, David został.

Przez następne dwa lata ich kontakty ograniczały się do sporadycznych listów i telefonów. I oto pewnego dnia, jak grom z jasnego nieba, na progu jej domu stanął David. Był ponury, wymizerowany i roztrzęsiony po wypadku w laboratorium, w którym zginął młody technik, jeden z jego kolegów. W wyniku napromieniowania chłopak umarł straszliwą i bolesną śmiercią.

Praca nad bronią całkowicie Davida rozczarowała. Oświadczył Marian, że wreszcie zrozumiał, że chce ją poślubić i podjąć pracę wykładowcy na wyższej uczelni.

Nigdy więcej się już nie rozstali. W dziewięć miesięcy później przyszła na świat Lindsay i ich życie nabrało nowych wymiarów i barw... aż do chwili gdy pędząca wiedeńską ulicą ciężarówka nie obróciła ich szczęścia w proch. ' -

David patrzył na zbliżającą się długim korytarzem Marian. Usta mu się wykrzywiły, ich kącik po lewej, sparaliżowanej stronie twarzy opadł, po prawej nieco się uniosł. Marian uśmiechnęła się do mężczyzny, którego tak bardzo kochała i za którym straszliwie tęskniła, najbardziej chyba podczas tych kilku krótkich godzin, które raz w tygodniu udawało się jej wygospodarować na odwiedzin w ośrodku stałej opieki nad inwalidami.

- Cześć - powiedziała serdecznie, obejmując go za szyję i przytulając twarz do jego policzka. - Jak leci? - Pocałowała go w czoło i przeciągnęła palcami po ciemnych,

## 18

wzburzonych włosach. - Przepraszam za spóźnienie, utknęłam w strasznym korku.

David zamrugał oczyma. Marian położyła mu na kolanach papierową torbę, którą przyniosła ze sobą z samochodu, i stanęła za fotelem.

- Muszę koniecznie usiąść. Jestem zmordowana.

Zawiozła go do pokoju, gdzie natychmiast ściągnęła buty, zdjęła płaszcz, rzuciła go na łóżko i podwinęła rękawy kurtki. Następnie przepchnęła wózek do stolika na kółkach, na którym stał komputer.

- Opaska na głowę? - zapytała.

David zamknął jedno oko, otworzył je i znów zamknął; znaczyło to „nie”. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego i Marian zgromiła się w duchu za to, że kazała mu na siebie tak długo czekać.

Odłożyła opaskę z zamocowaną do niej pałeczką, której David używał do naciskania klawiszy, gdy zmęczyła mu się prawa, tylko w części bezwładna ręka. Lewą miał całkowicie sparaliżowaną. Skurczone ramię przyciskał mocno do klatki piersiowej; przykurcz ten zmniejszał się tylko wtedy, gdy David spał i jego mięśnie nieco się rozluźniały.

Marian zdjęła mu z kolan papierową torbę i przysunęła stolik z komputerem. Ujęła prawą rękę męża i położyła ją na klawiaturze. David wyciągnął drżący, kościsty palec wskazujący i niepewnie położył go na klawiszu. Marian popatrzyła na ekran, na którym pojawiła się litera L - Lindsay.

- Jest na basenie - wyjaśniła. - Zabiorę ją w drodze powrotnej. - Oparła się o parapet i uśmiechnęła się.

-W wodzie doskonale sobie radzi. Trener mówi, że w przy-

szłym roku może nawet dołączyć do zespołu. Mówię ci, Davidzie, ona ma duszę wojownika.

David wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

- Poza tym lekarz utrzymuje, że woda to najlepsza terapia. Noga rośnie i wszystko wskazuje na to, że nie będzie krótsza. - Sięgnęła po papierową torbę. - Lindsay nie mogła przyjść, ale upiekła dla ciebie czekoladowe ciasteczka.

Na sparaliżowanej częściowo twarzy Davida pojawił się lekki, krzywy uśmiech.

- Zrobiła takie chyba specjalnie, wie przecież, że jestem uczulona na czekoladę. Mam nadzieję, że oboje dostaniecie od tych frykasów pryszczki.

David obserwował, jak Marian wyjmie z torby ciastko. Wsunęła mu je w dłoń i zacisnęła na nim jego palce. Ściągną dłoni naprężyły się niczym sznurki marionetki i powoli, z ogromnym wysiłkiem, David podniósł ciastko do ust. Marian tymczasem wyjęła z torby kilka koszul i przeszła z nimi do mewtelkiej szafki stojącej obok łóżka.

- Przeprałam ci ciepłe flanelowe koszule. Na dworze robi się już zimno.

David rzadko opuszczał budynek. Jedynie w weekendy Lindsay zabierała go na przejażdżkę po parku, a raz w miesiącu Marian wiozła go na dwa dni do domu. Dzięki temu czuł przynajmniej, że jeszcze żyje, i miał świadomość zmieniających się pór roku.

Marian przysunęła krzesło, usiadła obok męża i starła mu z kącika ust smużkę brązowej od czekolady śliny. Później zaczęła opowiadać o Lindsay, o jej szkole, o wieczorach, które wspólnie spędzają w domu, o swej pracy, o znajomych, przyjaciółach i innych ludziach, których znał



lub nie. Dzięki tym opowieściom David czuł, że uczestniczy w pewien sposób w ich życiu. Gdy mówiła, lekko się uśmiechał i nie spuszczał z niej oczu. Zaczynał już siwieć. Przez dziesięć miesięcy, jakie upłynęły od wypadku, postarzał się o dobrych dziesięć lat i nie przypominał już czterdziestojednoletniego mężczyzny. Jego sylwetka skurczyła się, zmaląła, a cała postać nabrała osobliwej kruchości.

Tylko oczy pozostały takie same. Wciąż można było dojrzeć w nich, co myśli i czuje.

Marian zawsze czytała w jego oczach. Ale ostatnio dojrzeć w nich można było tylko smutek i radość.

Radość, gdy przychodziła, smutek, kiedy go opuszczała i kiedy nie potrafił się z nią porozumieć.

Tylko raz, w Wiedniu, gdy David obudził się całkowicie ze śpiączki, kilka tygodni po wypadku, Mariah ujrzała w jego oczach wyraz prawdziwego przerażenia. Wtedy właśnie w pełni uświadomił sobie, w jakim naprawdę znajduje się stanie.

Wcześniej, gdy kilkakrotnie budził się na chwilę, miała wrażenie, że ją rozpoznaje. Próbował wyciągać do niej rękę, lecz ciało miał sztywne i niewładne, ponieważ nastąpiło całkowite porażenie centralnego układu nerwowego. Wysilek ten za każdym razem tak go wyczerpywał, że ponownie zapadał w sen. Pewnego dnia jednak, kiedy Mariah wysiadła ze szpitalnej windy, usłyszała dobiegające z jego sał dzikie krzyki. Z bijącym oszalałe sercem pobiegła korytarzem w tamtą stronę. Z każdym kolejnym krokiem krzyki stawały się głośniejsze.

Stało się najgorsze - to, o co modliła się, by nigdy nie nastąpiło. Odłamki roztrzaskanej w wypadku czaszki spo-

wodowały nieodwracalne zmiany w mózgu. Po obejrzeniu zdjęć rentgenowskich i tomograficznych zrozumiała, że życie Davida skończyło się, mimo że serce wciąż mu biło, a płuca pracowały prawidłowo. Lekarze wiedeńscy nie potrafili przewidzieć jednego: jakie zostaną możliwości percepcyjne, gdy pacjent odzyska świadomość, jeśli w ogóle to się stanie. Wtedy też, ku własnemu zdumieniu, Mariah zaczęła modlić się, by jej mąż nigdy już nie odzyskał przytomności i nie dowiedział się, czym jest.

Tamtego dnia jednak, gdy weszła do jego sały, pojęła, że przyszło najgorsze. David był, przepiękny wściekłością i bezradnością, gdyż zrozumiał, że jego ciało stało się grobem, w którym został pochowany żywcem.

Na wspomnienie tamtych rozpaczliwych krzyków Mariah przebiegł po plecach lodowaty dreszcz. Pamiętała, jak spoglądał na nią, pragnąc znaleźć w jej oczach potwierdzenie, że to wszystko jest tylko koszmarnym snem. Siedziała przy nim wiele godzin, gładziła go po twarzy i włosach, aż stopniowo jego krzyki ucichły, przeszły w zdławiony szloch, który też w końcu zamarł.

Wtedy też umarło wszystko, co pozostało z jej męża ^ doktora Davida Tardiffa, fizyka atomowego, jej dawnego chłopaka, wirtuoza harmonijki ustnej i drugiego Wayne'a Gretzky'ego, miłości jej życia i ojca Lindsay. Pozostała jedynie żalosna skorupa i szalony gniew na Boga, czy na los, który pozwolił, by coś takiego się wydarzyło.

Mariah zerknęła na zegarek.

- Niedługo muszę iść. Czeka na mnie Lins.

David oparł głowę na zagłówek fotela i nie spuszczał z niej żalospojrzenia. Po chwili z trudem wyciągnął

prawą rękę w stronę jej dłoni spoczywającej na poręczy. Zaciśnął palce na nadgarstku. Z wysiłkiem przeniósł jej rękę sobie na kolana.

- Och, Davidzie - powiedziała cicho i na chwilę przytuliła czoło do jego ramienia. - Poczekaj...

Szybko podeszła do drzwi i zamknęła je, żałując, że nie zamykają się na klucz. Wprawdzie David przebywał w prywatnej separacie, ale instytucjonalna prywatność była rzeczą względną.

Po raz pierwszy zrobili to pewnej soboty, kiedy zabrała go na dwa dni do domu. Stało się to późnym wieczorem, gdy Lindsay poszła już spać, David leżał w pościeli na kanapie w salonie, a ona, przy dźwięku cichej muzyki płynącej z ukrytych głośników, czytała mu jakąś książkę. Nie była pewna, czy David słucha jej słów, lecz widziała, że jej głos i muzyka uspokajają go. Wyglądał prawie tak samo, jak przed wypadkiem.

W pewnej chwili, kiedy popatrzyła na niego, ujrzała, że David spogląda na nią pełnym głodu i tęsknoty wzrokiem. W jednej chwili pojęła, o czym myśli. Z emocji straciła prawie dech. Podczas dyskusji z lekarzami na temat fizycznej i psychicznej rekonwalescencji Davida, nigdy nikt nie poruszył tego tematu. Ale w tej chwili zrozumiała, że mimo iż prawie wszystko zostało mu odebrane, pewne elementarne potrzeby wcale w nim nie wygasły.

Tej nocy robiła wszystko to, co może robić jedynie żona lub kochanka - kochała się z nim najłagodniej i najdelikatniej, jak umiała. I choć David nie był w stanie niczym jej odpłacić, czuła się szczęśliwa, wystarczały bowiem wspomnienia chwil, kiedy trzymał ją w ramionach, dając niebo-

tyczną rozkosz. Później wpełzła pod kołdrę i tłumiąc łzy, tuliła do siebie jego tak bliskie, a zarazem tak obce, zdeformowane ciało.

Teraz, w pokoju ośrodka stałej opieki, znów dawała mu pociechę i ukojenie. Później zaś długo tuliła go do siebie, aż nadeszła chwila rozstania.

Kiedy odchodziła, David miał zamknięte oczy.

A później znów stała na szczycie schodów prowadzących do głównego wejścia do budynku i głęboko wciągała w płuca rześkie, wilgotne powietrze. Znów opuszczała świat Davida, wracając do codziennego życia. Zamknęła na chwilę oczy, otworzyła je i popatrzyła w dół schodów.

Zatopiona w myślach, nie zauważyła postaci stojącej pod rosnącym obok chodnika drzewem. Dopiero słysząc swoje imię, zaskoczona uniosła głowę.

- Paul? - spytała, spoglądając uważnie na mężczyznę. - Paul Chaney? Na Boga, co ty tu robisz?

Zbiegła szybko po schodach.

- Czekam na ciebie.

W europejski sposób ucałowali się w policzki. Zwyczaj ten Amerykanie początkowo przyjęli bardzo nieufnie, lecz szybko zakorzenił się w ich kulturze.

Paul dał krok do tyłu i Marian przez chwilę przyglądała mu się w świetle ulicznej latarni. Był wysoki, a skórzana kurtka z podniesionym kołnierzem, z którą nigdy się nie rozstawał, uwydatniała jeszcze jego szczupłą sylwetkę. Miał gęste, jasne włosy, siwiejące na skroniach, błękitne oczy i fotogeniczną twarz; wyrazistą, poważną i szczerą, dokładnie taką jakiej wymagano od prezenterów telewizyjnych. Podczas prowadzonych przez siebie programów bez trudu

przejmował nad widzami całkowitą władzę. Poza pracą stworzył sobie wizerunek bezradnego i rozkosznego pieska, zarezerwowany głównie dla atrakcyjnych, a przede wszystkim bogatych i wpływowych kobiet, które lgnęły doń jak muchy do miodu, a każda z nich pragnęła wziąć go pod swe opiekuńcze skrzydła.

Chaney na stałe mieszkał w Wiedniu, gdzie pełnił funkcję naczelnego korespondenta sieci telewizji kablowej CBN. Tam właśnie poznali go Tardiffowie i podczas trzyletniego pobytu w Austrii Marian z przerażeniem, zdumieniem i rozbawieniem obserwowała imponujący korowód kobiet, przewijających się przez życie Paula i próbujących złapać go na swój haczyk.

Ale on był dla nich zbyt śliski, zbyt nieuchwytny. W pewnym momencie jednak wszystkim zaczęło się wydawać, że pewna bardzo zaborcza blondynka, nazywająca siebie księżniczką Elszą von Schleimann, naprawdę go usidliła.

- Nie wiedziałam, że jesteś w Stanach - odezwała się Marian.

- Od wczoraj. Pracuję nad pewnym tematem.

- A co z księżniczką?

W pierwszej chwili Chaney sprawiał wrażenie dezorientowanego. Zmarszczył brwi.

- Znalazła sobie prawdziwego księcia. - Nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Zapadła chwila ciszy. - A co u ciebie, Marian?

Zacisnęła usta i popatrzyła w stronę skrytych w mroku drzew. Po chwili ciężko westchnęła i znów skierowała wzrok na Paula.

- U mnie wszystko po staremu. Z córką coraz lepiej.

Chodzi do nowej szkoły, tutaj, w McLean, i powoli wraca do zdrowia.

- Miło to słyszeć... - Chaney popatrzył na frontowe wejście do ośrodka, po czym znów przeniósł wzrok na Marian. - A David? Czy jest jeszcze jakaś nadzieja?

Powoli pokręciła głową i zgmiotła czubkiem pantofla zeschnięty liść.

- Jest coraz gorzej. Zmiany w mózgu są nieodwracalne, a ponadto rozpoczął się już proces fizycznej regresji. Potrafi jeszcze wystukać kilka słów na komputerze, ale nawet to przychodzi mu z coraz większym trudem. - Nieoczekiwanie uniosła głowę i z nadzieją popatrzyła na Paula. - Zamierzasz go odwiedzić? Sprawisz mu wielką przyjemność. Ucieszy się, widząc kogoś z dawnych czasów, partnera z drużyny.

Chaney uśmiechnął się. Był honorowym członkiem Wiedeńskich Dyplomatów, amatorkiej, efemerycznej drużyny hokejowej, która rozgrywała mecze, ilekroć znalazła chętnego przeciwnika i wolne lodowisko.

- Już u niego byłem. Od siostry dyżurnej dowiedziałem się, że i ty masz się pojawić. - Przysunął się bliżej, tak blisko, że do Marian dotarł zapach jego skórzanej kurtki. - Muszę z tobą porozmawiać o pewnej sprawie.

Jak to się dzieje, że przy Paulu Chaneyu zawsze czuję się taka bezradna i ogarnia mnie niepokój - pomyślała ze złością Marian. W jego obecności zawsze przyjmowała postawę obronną, choć sama dobrze nie wiedziała, przed czym się broni. Przed czymś.

Potrząsnęła głową i zmusiła się do przeproszającego uśmiechu.

- Wybacz, ale nie mam czasu. Muszę jeszcze odebrać Lindsay. - Zerknęła na zegarek i odwróciła się pośpiesznie. - Już jestem spóźniona. Czeka na mnie. Cieszę się, że cię spotkałam, Paul. I dziękuję za to, że odwiedziłeś Davida. Ale teraz...

Chaney zastąpił jej drogę i delikatnie ujął za łokieć.

- Mariah, proszę. To ważne. Muszę porozmawiać z tobą o tym, co naprawdę wydarzyło się w Wiedniu. O ludziach, którzy skrzywdzili twojego męża... i waszą córkę.

- O czym ty mówisz? Nikt ich nie skrzywdził. To był wypadek.

- Nie sądzę. Jestem przekonany, że zrobiono to celowo. Nie znam jeszcze szczegółów, ale staram się i będę wiedział wszystko.

- Nie - powiedziała, strząsając z ramion jego ręce. -Znam ciebie. Próbujesz wysmażyć jakąś sensację... cotygodniowe expose" Chaneya. Zapomnij o tym. U mnie tematu nie znajdziesz. To, co przytrafiło się Davidowi i Lindsay, było jedynie koszmarnym zbiegiem okoliczności, okropnym wypadkiem.

- Dasz mi dojść do słowa? David był moim przyjacielem. Nie podnosiłbym alarmu, gdybym nie miał pewności.

- To ty mi daj dojść do słowa, Paul! Uważasz, że wszystko wiesz najlepiej? Ale to ja pracowałam w ambasadzie. Myślisz, że nie zrobiłam wszystkiego, by wyjaśnić, co się dokładnie stało? Mieliśmy w wiedeńskiej policji informatorów, którzy przekazywali nam najdrobniejsze szczegóły śledztwa. To był wypadek, więc daj mi spokój! Przeszłam już wystarczająco dużo.

Ruszyła alejką w stronę parkingu. Wyprowadzony

z równowagi Chaney, choć rzadko podnosił głos, wrzasnął za nią ze złością:

- To nie był wypadek! I dobrze o tym wiesz! Mariah zatrzymała się, odwróciła powoli głowę i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Trzymaj się ode mnie z daleka. Ode mnie i od mojej rodziny. Ostrzegam cię.

Obserwujący ich z zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu Rollie Button zmrużył oczy.

Kobieta wsiadła do auta i ruszyła z piskiem opon. Mężczyzna, który z nią rozmawiał, podszedł do samochodu z nalepką wypożyczalni Avis Rent-A-Car, wsiadł i odjechał w przeciwnym kierunku.

Burton schował do kieszeni nóż o rękojeści z kości słoniowej. Chwilę zastanawiał się, bębniąc palcami po kierownicy. Znał tego faceta; nie pamiętał jego imienia ani nazwiska, ale był przekonany, że widział go w telewizji. W serwisie informacyjnym. Kobieta najwyraźniej również go znała, choć nie sprawiała wrażenia uradowanej spotkaniem. Hm, to zadanie nie było zwyczajne, w zleceniu było coś więcej niż do tej pory sądził. Nie uśmiechała mu się perspektywa pracy obok człowieka z mediów. Musiał działać bardzo ostrożnie.

Uruchomił silnik i wyjechał ze swojego miejsca. Skręcił rozklekotaną toyotą w prawo i opuścił parking, kierując się w stronę, w którą pojechała Mariah.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Marian zatrzymała samochód przed szkołą i natychmiast dostrzegła córkę. Lindsay siedziała na górze szerokich schodów, prowadzących do głównego wejścia do budynku. W jaskrawym świetle elektrycznej lampy jej gęste, kasztanowe włosy zdawały się płonąć'. Dziewczynka prowadziła ożywioną rozmowę z koleżanką i obie udawały, że nie zwracają uwagi na grupę chłopców, którzy próbując im zaimponować, wykonywali na schodach karkołomne ewolucje na deskorolkach. Jedynym wyrazem zainteresowania były tylko wznoszone wysoko dwie pary trzynastoletnich oczu, gdy któryś z nich z łoskotem przewracał się na twarde stopnie.

Kiedy Lindsay dostrzegła volvo matki, wstała, machnęła swej koleżance ręką na pożegnanie i zaczęła ostrożnie schodzić po schodach. W obu rękach dźwigała podręczniki, przy każdym kroku przystawała, by dostawić chorą nogę do zdrowej. Marian z całych sił zacisnęła dłonie na kierownicy, by zapanować nad chęcią wyskoczenia z samochodu i podbiegnięcia do córki. Gdyby wzięła od niej książki, łatwiej byłoby jej zejść po długich, stromych schodach. Ale Lindsay, ilekroć okazywano jej nadmierną opiekuńczość, wpadała w dziki gniew. Tak więc i teraz matka z bólem serca powstrzymała się przed zaoferowaniem jej pomocy.

Pochyliła się i otworzyła drzwi od strony pasażera. Lind-

say z ulgą zapadła się w fotel i położyła na kolanach podręczniki. Marian natychmiast przełożyła je na tylne siedzenie, a dziewczynka chwyciła w obie ręce chorą lewą nogę, wygodnie ją ułożyła i zamknęła drzwi.

- Witaj, skarbie - odezwała się Marian. - Przepraszam za spóźnienie, ale zasiedziałam się trochę u taty. Lindsay popatrzyła na matkę, jej twarz spoważniała.

- Co u niego? - spytała.

Marian uruchomiła silnik, odwróciła się do córki i delikatnie poklepała ją po ramieniu.

- Wszystko w porządku. Twoje ciastka bardzo mu smakowały. Jeszcze raz przepraszam, że musiałaś na mnie czekać.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nic wielkiego się nie stało. I tak pływałyśmy dziś dłużej. Dopiero co wyszłam ze szkoły. - Marian wyjechała na ulicę i na najbliższym skrzyżowaniu skręciła w prawo. - Mamo, dokąd jedziemy?

- Do domu.

- Ale dlaczego inną drogą?

Mariah rozejrzała się i spostrzegła, że skręciła w niewłaściwą stronę.

- Do licha...

- Halo, tu Ziemia, do Mamy! Mamo, jesteś z nami?

- W porządku, na najbliższym skrzyżowaniu zawrócę. Lindsay przytaknęła i zaczęła długo i ze szczegółami

rozwozić się o „dramatycznych” wydarzeniach, jakie miały miejsce w szkole. Tego dnia wybuchła straszliwa awantura, kiedy dwie dziewczynki postanowiły wykluczyć z towarzystwa trzecią za haniebne złamanie jakichś wcześniej usta-

lonych przez nie zasad. Podenerwowana spotkaniem z Chaneyem, Marian jednym uchem słuchała rozwlekłej opowieści córki. Czekwała na chwilową przerwę w ruchu ulicznym, by zawrócić.

- Słucham? Och, naturalnie... - Popatrzyła na Lindsay. - A co zrobiłaś ty?

- Oświadczyłam Megan, że postąpiła wstętnie. Że nie obchodzi mnie jej opinia, a Jenna wciąż jest moją przyjaciółką. Megan czasami doprowadza mnie do rozpacz!

- To dobrze, skarbie, że jesteś lojalna względem przyjaciółki - powiedziała z uśmiechem Marian. - Nigdy nie należy kierować się zdaniem większości.

- Jasne - mruknęła Lindsay, wydymając pogardliwie dolną wargę. - Niektórym ludziom wydaje się, że zjedli wszystkie rozumy. Uważają, że wszyscy irmi powinni grzecznie siedzieć i pozwolić im rządzić światem.

Dieter Pfianz wiedział to i owo o rządzeniu światem. Wiedział też, jak łatwo jest stracić kontrolę nad wszystkim, jeśli nie będzie przykładać się należytej wagi do szczegółów.

Zerknął na zegarek i przeliczył czas, ustalając godzinę, jaka była teraz na Wschodzie. Zrezygnował z użycia nowoczesnego aparatu telefonicznego stojącego na biurku, odwrócił się do stojącej za nim szafki i wyciągnął z niej ruchomą półkę, na której stał duży, masywny telefon. Przekręcił kluczyk sterczący obok tarczy z numerami i wystukał odpowiedzenie cyfry. Odwrócił się z fotelem w stronę wielkiego, panoramicznego okna, rozparł wygodnie i wyłożył nogi na parapet. Przycisnął ramieniem słuchawkę do ucha, sięgnął

po leżącą na biurku kauczukową piłkę i ściskając ją w silnych palcach, wyglądał przez okno. Kalifornijskie słońce stało jeszcze wysoko. Z osiemnastego piętra McCord Tower, usytuowanego w samym sercu Newport Center, Pfianz obserwował pływających na surfingach. Pokręcił głową na widok sznura samochodów z deskami surfingowymi na dachach, sunących po Coast Highway. Mimo że mieszkał już tu od dziesięciu lat, nigdy nie zaakceptował stylu życia obowiązującego w południowej Kalifornii. Widok plaż zatłoczonych amatorami deski i siatkówki napawał go obrzydzeniem i pogardą.

- Halo? - odezwał się głos w słuchawce.
- To ja. Przechodzę na system kodowy.
- Zrozumiałem.

Pfianz nacisnął guzik znajdujący się pod tarczą telefonu. Po krótkiej chwili zainstalowane w aparacie światełko zaczęło mrugać. Wiedział, że po drugiej stronie linii podobne światełko mruga w aparacie jego rozmówcy. Długi sygnał po serii krótkich oznajmił, że urządzenie szyfrujące zaczęło działać. Od tej chwili każdy, kto próbowałby podsłuchiwać rozmowę, słyszałby jedynie przeszywający, piskliwy dźwięk.

- W porządku, możemy rozmawiać - odezwał się do słuchawki Pfianz.
- Czekałem na twój telefon. Jak sprawy?
- Przyjeżdżamy jutro. Mamy po drodze tylko jeden postój; jak zwykle impreza charytatywna. W Waszyngtonie pojawimy się wieczorem. McCord ma spotkać się z prezydentem w piątek.
- Słyszałem. Przyśpieszył sprawę.

- To dobrze.

- A co z Nowym Meksykiem?

- Dziś wieczorem,

- Jezus Maria, Dieter! Tak szybko?

- Nie mamy innego wyjścia. Wszystko jest już na miejscu. Jeśli nie zrobimy tego dziś wieczorem, stracimy doskonałą okazję.

- Jesteś pewien? Jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy się mieli z pyszna.

Pflanz mocniej ścisnął gumową piłeczkę.

- Wszystko się uda, George. - Zamilkł na chwilę i dodał z naciskiem. - Bałagan z Wiednia już się nie powtórzy.

Ze słuchawki dobiegło ciężkie westchnięcie.

- Do Ucha, nie przypominaj mi o tym. Wciąż jeszcze sprzątamy po tamtej awanturze.

- A co z kobietą? - zapytał Pflanz. - Wróciła do pracy?

- Nią nie musimy się martwić.

- Niczego się nie domyśla?

- Nie. Jest od wszystkiego odcięta, a poza tym zajmuje się tylko rodziną, Marian Bolt nie stanowi dla nas zagrożenia.

- Lepiej żeby było, jak mówisz - warknął Pflanz. - Zadzwoń do ciebie jutro, jak już będę na miejscu.

- Nie, zadzwoń dziś wieczorem, gdy tylko dotrą wieści z Nowego Meksyku.

- To będzie bardzo późno.

- Masz mój domowy numer. Zadzwoń. Będę czekać.

- Zrozumiałem.

Pflanz odłożył słuchawkę i zamknął szafkę z tajnym telefonem. Jeszcze wygodniej rozparł się w fotelu i zaczął obserwować zachodzące za Pacyfik słońce.

Dieter Pflanz, dobrze zbudowany mężczyzna o orlim nosie i dłoniach wielkości łyżek buldożera, wyglądał na swoje czterdzieści dziewięć lat i bardziej pasował do życia w dżungli niż do świata garniturów i wytwornych gabinetów. Ale mimo garnituru, patrząc na niego, nikt nie miał wątpliwości, kim naprawdę jest - ochroniarzem o czujnych, bystrych oczach, których uwadze nigdy nic nie umyka. Przez ćwierć wieku prowadził różne skomplikowane akcje, najpierw jako tajny agent OLA, a obecnie jako szef ochrony w przedsiębiorstwie McCord Industries. Główne biuro McCorda mieściło się w Newport Beach w Kalifornii. Poza tym korporacja posiadała filie w dziewięciu dużych miastach w Stanach Zjednoczonych oraz w czternastu innych krajach. Było to wielobranżowe przedsiębiorstwo zajmujące się prawie wszystkim, zaczynając od elektroniki, a na pracach budowlanych i konstrukcyjnych kończąc. Prowadziło liczne, poważne pertraktacje międzynarodowe, które często wymagały specjalnych działań, by zapewnić pracownikom bezpieczeństwo. Dodatkowa działalność prezesa firmy, Angusa McCorda, nadawała nieco inny wymiar obowiązkowi Pflanza jako szefa ochrony.

Musisz przykładać wagę do szczegółów, nawet tych pozornie nieistotnych - napomniał się ponownie Pflanz. W tym leży klucz do sukcesu. Nie wolno niczego zostawiać przypadkowi. Mimo zapewnień, jakie przed chwilą usłyszał przez telefon, nie powinien tracić czujności. Wystarczy, że sprawa w Wiedniu wymknie się im spod kontroli...

Zdezelowana zielona toyota Roliego Burtona stała przy krawężniku w pobliżu domu Mariah w McLean. Zabójca

stracił ją z oczu w ogromnym ruchu ulicznym, gdy odjechała sprzed domu opieki, więc postanowił zaczekać na nią przed jej domem. Kiedy jednak dostrzegł wreszcie w perspektywie ulicy nadjeżdżające volvo, zaklął szpetnie na widok dwóch osób w samochodzie.

Gdy pojazd go mijał, dokładnie przyjrzał się mu w świetle ulicznej latarni. Do licha, jest z nią dziecko - pomyślał. Głos w słuchawce nic mu o nim nie wspomniał..

Kiedy volvo wjechało na podjazd, zaczęły podnosić się sterowane pilotem drzwi do garażu. Burton skulił się w fotelu, naciągnął głęboko na oczy czapkę baseballową i obserwował znikający w środku pojazd. Rozbłysły światła stopu, po czym zgasły, kiedy kobieta wyłączyła silnik. W oświetlonym garażu Rollie dostrzegł drzwi prowadzące do wnętrza domu. Gdy automatyczne wrota zaczęły opadać, Burton zerknął na sekundową wskazówkę zegarka; drzwi zamykały się około pięciu sekund. Garaż przylegał do domu, a od ulicy prowadził do niego prosty podjazd. Burton zaczął bacznie rozglądać się po okolicy. Z jednej strony podjazdu ciągnął się cedrowy żywopłot, po drugiej rozciągał się rozległy trawnik. Żadnych ciekawskich sąsiadów - pomyślał z zadowoleniem Rollie. Można się tu bez kłopotu zacząć i jeszcze łatwiej uciec.

Ściągnął usta i zaczął rozważać problem córki tej kobiety. Za dzieciaka nikt mu nie płacił, a on nie chciał zostać schwytany. Gdyby jednak, broń Boże, wpadł, wiedział, jaki los czeka w więzieniu ludzi, którzy mordują dzieci. Z drugiej strony, mógł czekać bardzo długo na okazję, aż zastanie ją w domu samą.

Najpierw tamten reporter, a teraz dzieciak. Cholera. Po-

trzebne mi to jak dziura w moście. Dlaczego sprawy nigdy nie chcą układać się prosto?

Po wejściu do domu Marian wsunęła do kuchenki mikrofalowej kurczaka i zdjęła płaszcz. Lindsay w tym czasie przewijała w kuchni taśmę w automatycznej sekretarce.

- „Mariah? - dobiegł po chwili z urządzenia mechaniczny głos. - Tu Paul Chaney. Zatrzymałem się w hotelu Dupont Plaza. W mieście zostaną kilka dni. Koniecznie musimy porozmawiać. Zadzwoń do mnie, proszę.”

Podał numer pokoju i hotelowego telefonu, które Lindsay skwapliwie zanotowała na kartce papieru.

- Mamo, czy to ten pan z telewizji, który grywał z tatą w hokeja?

Mariah popatrzyła na córkę, skinęła głową, po czym zaczęła kroić warzywa. Była to ostatnia nagrana na sekretarce wiadomość. Chaney, po opuszczeniu domu opieki, musiał natychmiast pojechać do telefonu.

Mariah zaczęła energicznie siekać selera.

- Idź i umyj przed jedzeniem ręce - poleciała córce.

- Czy zadzwonisz do niego, mamo?

- Raczej nie. Jak umyjesz ręce, nakryj do stołu.

- Dlaczego nie?

- Nakryj do stołu, Lindsay.

- Dobrze, dobrze, już kię.

Dziewczynka podeszła do kredensu i zaczęła wyjmować talerze. Mariah obserwowała szczupłe ramiona córki. Przez ostatnie dziesięć miesięcy Lindsay powoli wracała do zdrowia. Najpierw jeździła na wózku, potem z aparatem na nodze, przygarbiona, kuśtykała o kulach. Teraz już jako tako



chodziła o własnych siłach. Kiedy dziewczynka wyprostowała się, Mariah ze zdziwieniem stwierdziła, że dziecko - jej dziecko - już ją przerosło i wiele wskazywało na to, że przerośnie też Davida.

Lindsay nie jest już dzieckiem - pomyślała, patrząc na córkę. Nie po tym, co przeszła.

Zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki wdech.

- Mam nawał pracy w biurze, kochanie, i w tym tygodniu nie miałabym czasu dla pana Chaneya.

- Ale on chyba ma jakąś ważną sprawę - odparła rezolutnie Lindsay, rozkładając talerze i sztućce. -

Wyraźnie mu zalety na spotkaniu z tobą.

- Tak, Lindsay, ale ja tego człowieka prawie nie znam. I mówiąc szczerze, nawet w Wiedniu, mimo że był bliskim kolegą twego ojca, nie zwracałam na niego większej uwagi. Poza tym zapewne dzwoni tylko z grzeczności. Reporterzy banalne zdarzenie traktują jak kryzys ogólnonarodowy. Jeśli jednak uda mi się wygospodarować chwilę czasu, to obiecuję, że do niego zadzwonię.

Lindsay wzruszyła ramionami, a Mariah, kiedy już usiadły do stołu, zmieniła temat rozmowy.

Dwie godziny później pocałowała córkę na dobranoc, dokładniej przykryła ją kołdrą, zgasiła światło w sypialni i przeszła do salonu. Tam ciężko opadła na kanapę i otworzyła teczkę, w której miała wycinki z czasopism i prasy codziennej. Wszystkie dotyczyły tematu, którym ostatnio zajmowała się w Agencji - międzynarodowego terroryzmu.

Próbowała skupić uwagę na treści artykułów, lecz jej myśli meustannie uciekały w inną stronę. Znow ogarnął ją niepokój. Dlaczego po tak długim czasie Paul Chaney pojawił

się właśnie dzisiaj? Jaką prowadzi grę? Dlaczego twierdzi, że to nie był wypadek? Przecież to, co spotkało Davida i Lindsay, było wprawdzie makabrycznym, ale też z pewnością przypadkowym wydarzeniem.

Oczywiście, nie wyznała Chaneyowi całej prawdy. Nie miał zielonego pojęcia, że ona związana jest z CIA, a Firma przeprowadziła wnikliwe śledztwo w sprawie wydarzeń w Wiedniu. Choć sama Mariah była zbyt zajęta bieganiem między jednym szpitalem a drugim, by osobiście brać udział w dochodzeniu, miała w Firmie zaufanego człowieka, który by dojść prawdy, zrobił na pewno wszystko, co było możliwe. Tak, z całą pewnością Chaneya poniosła fantazja.

Wygodniej usadowiła się na kanapie, potarła skronie i zerknęła na zegarek. Oparła nogi na stoliku do kawy i sięgnęła po pilota, by włączyć wieczorne wiadomości CBN nadawane o dwudziestej drugiej. Prezenter, Bob Michaels, miał około czterdziestu pięciu lat i wspaniale prezentował się na ekranie telewizora. Klasyczny garnitur, jasna koszula, stonowany krawat. W przeciwieństwie do niego, siedząca po prawej stronie ekranu młoda Beverly Chin była ubrana w jaskrawe ubranie i bardzo często się uśmiechała. Poważniała dopiero wtedy, gdy zaczynała czytać teksty depeesz  
Serwis informacyjny rozpoczęły doniesienia o potrójnym zamachu terrorystycznym, jaki miał miejsce przed trzema dniami. Zginęło czterdzieści siedem osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Bomby wybuchły w tym samym czasie na londyńskim Trafalgar Square, obok paryskiej wieży Eiffla oraz koło Statuy Wolności w Nowym Jorku. Precyzja terrorystów, zdumiewająca koordynacja czasowa trzech ata-

ków, oraz miejsca, w jakich to nastąpiło, sprawiły, że do zamachu zdążyło się już przyznać około tuzina różnych ugrupowań, które groziły kolejnymi zamachami, jeśli nie zostaną spełnione ich żądania. Wywiady wielu państw pracowały nad tą sprawą. Po wyeliminowaniu kilku przypuszczalnych sprawców, pozostały dwa „fronty wyzwolenia” oraz jedna z wielu grup fundamentalistów. Mariah słuchała tych doniesień z wielką uwagą. Po upadku Związku Radzieckiego polecono jej przeprowadzanie badań pod zupełnie innym kątem i obecnie była w trakcie sporządzania obszernego raportu dotyczącego rynku broni dostarczanej połączonym grupom terrorystycznym. Podejrzała, iż wpadła na trop nowego dostawcy posiadającego koneksje z Libią, Nie istniały wprawdzie żadne dowody na to, że za tym ostatnim, potrójnym atakiem kryła się właśnie Libia, lecz Mariah zdecydowała się konsekwentnie podążać tym tropem. Tak doskonale zorganizowane i skoordynowane uderzenie musiało posiadać potężnego i doświadczonego sponsora. Wiadomości nie dostarczyły jej żadnych nowych informacji. Wszystko to już wiedziała. Na ekranie znów pojawił się Bob Michaels.

- „Choć skończyła się zimna wojna, konflikty na terenach byłego Związku Radzieckiego nie mają końca. Dzisiaj na ulicach Moskwy ponownie wybuchły zamieszki spowodowane brakami żywności na rynku. Ostatnia sroga zima również do tego się przyczyniła. Korespondent, Paul Chaney, donosi, że jest kilka osób w Rosji, które chętnie sprzedałyby narodowy arsenał broni atomowej.”  
Serce Mariah zaczęło szaleńczo bić. Pochyliła się do

przodu i zapatrzyła w wysoką, szczupłą postać Paula Chaneya, który pojawił się na ekranie. Stał przed budynkiem Departamentu Stanu. Miał na sobie sportową marynarkę i krawat zamiast swej skórzanej kurtki lotniczej. Mariah odniosła wrażenie, że jego wystąpienie jest odtwarzane z taśmy magnetowidowej nagranej kilka godzin wcześniej.

- „Od chwili zakończenia zimnej wojny, rządy Rosji i Stanów Zjednoczonych zgodziły się na drastyczną redukcję arsenałów broni nuklearnej. Tysiące naukowców zajmujących się konstrukcją nowych typów broni, z dnia na dzień pozbawionych zostało pieniędzy na ten cel. Byłe supermocarstwa ograniczyły programy zbrojeniowe, przeznaczając fundusze wojskowe na inne potrzeby swych krajów.

Mająca swą siedzibę w Wiedniu Międzynarodowa Agencja do spraw Energii Atomowej - IAEA - podejmuje wszelkie starania, by przeprowadzać kontrole arsenałów jądrowych i sprawdzać, czy zgodnie z podpisaną konwencją broń została zniszczona. IAEA proponuje też sporządzić rejestr naukowców i specjalistów zajmujących się bronią atomową, co uniemożliwi im sprzedaż swej wiedzy i usług tym, którzy zaoferują najwyższą cenę.

Zapytałem przedstawiciela Departamentu Stanu, dlaczego nasz rząd nie wspiera energiczniej wysiłków IAEA..."

Na ekranie pojawiło się wnętrze gabinetu i siedzący za biurkiem z założonymi na piersiach rękami siwowłosa mężczyzna w eleganckim garniturze. Napis na dole ekranu informował, że jest to William Hoskmeyer z Wydziału do

**\* IAEA - International Atomic Energy Agency (ang.)**

spraw Energii Atomowej Departamentu Stanu. Marian dobrze go znała; był skończonym idiotą.

Hoskmeyer:

- „Sądzę, że należy rozpatrywać tę kwestię w kategoriach wzajemności. Jeśli upieramy się, by Rosjanie pozwolili nam na inspekcję swych arsenałów, to mają pełne prawo domagać się od nas tego samego. Rzecz w tym, panie Chaney, że nie jesteśmy na to przygotowani. Nie jesteśmy gotowi umożliwić obcokrajowcom wglądu w amerykańskie instalacje obronne.”

Chaney:

- „Więc skąd będziemy wiedzieć, że rosyjska broń i fachowcy nie znajdują się - w zamian za tak pożądane dolary - w posiadaniu jakichś szaleńców lub terrorystów?”

Hoskmeyer

- „Prowadzimy pertraktacje z ludźmi honoru, panie Chaney. Obecny rząd w Moskwie jest równie mocno, jak nasz zdecydowany nie rozpowszechniać broni jądrowej. Jesteśmy przekonani, że wzajemny układ o redukcji zbrojeń jest przez Rosjan w pełni respektowany. Poza tym nasz wywiad nie próżnuje.”

Na ekranie znów pojawił się stojący przed budynkiem Departamentu Stanu Chaney.

— - „Mimo beztraskiej postawy Waszyngtonu, posiadamy dowody na to, że różne samozwańcze rządy i organizacje terrorystyczne próbują wszelkimi siłami zdobyć dostęp do broni jądrowej; a bijący na alarm przedstawiciele IAEA są wyciszani. Niektórzy z potencjalnych nabywców gotowi są zapłacić bajonkie sumy za broń nuklearną oraz specjalistów, którzy by ją obsługiwali. Jeśli im się ten zamysł uda,

będziemy z tęsknotą wspominać czasy zimnej wojny, kiedy to tylko Moskwa i Waszyngton były w stanie wysadzić w powietrze całą naszą planetę, Z Waszyngtonu dla sieci CBN mówił Paul Chaney." Wiadomości jeszcze się nie skończyły, lecz Marian wyłączyła telewizor i tępo wpatrywała się w ciemny ekran.

David pracował w Wiedniu dla Międzynarodowej Agencji do spraw Energii Atomowej i głośno domagał się większych uprawnień dla członków tego komitetu celem powstrzymania eskalacji broni jądrowej. A Paul Chaney dobrze o tym wiedział.

Nie wiedział natomiast, że tak naprawdę sprawę przemytu broni atomowej nagłaśniała Mariah. Skoro więc wypadek Davida i Lindsay w Wiedniu był próbą uciszenia krzykaczy, to prawdziwym celem zamachu powinna być ona, Mariah, a nie David.

- Ale to był wypadek szepnęła z uporem Marian. -Do ciężkiej cholery, Chaney, gdyby było inaczej, wiedziałabym o tym pierwsza.

Nikt nawet nie podejrzewał, że los pięciu siedzących przy stoliku w rogu sali mężczyzn został już przesądzony.

Siedzieli w „Trinity Bar” („każdego wieczoru muzyka country na żywo”) na przedmieściach Taos w Nowym Meksyku. Obok nich, jak w każdy środowy wieczór, kłębił się tłum pracowników okolicznych gospodarstw rolnych. Poubierani przeważnie w dżinsy i stetsony, poruszali się w zatłoczonym, zadymionym lokalu do rytmu hawajskiej gitary. Przed barem stał piosenkarz w koszuli z frędzlami i wysi-

łajac strony głosowe, błagał Ruby, by nie wyjeżdżała do miasta.

Niewątpliwie trzech Rosjan wyróżniało się w tym dumie. W porównaniu z przepoconymi stetsonami i twarzami, w które po całodziennej pracy w polu powbijał się kurz, ich sztywne, nowiutkie levisy nadawały im wygląd dandysów, a białe jak śnieg kowbojskie kapelusze zupełnie nie pasowały do szerokich, okrągłych, słowiańskich twarzy.

Towarzyszący im dwaj Amerykanie wyglądali obok nich po prostu nędznie. Mieli na sobie pogniecione spodnie ze sztruksu, flanelowe koszule i skórzane kurtki. Młodszy z nich, trzydziestolatek, nosił sklezione plastrem okulary w drucianej oprawie. Jego towarzysz liczył około pięćdziesięciu lat, miał siwe włosy i zmęczoną twarz.

Pięć identycznych czarnych skórzanych teczek stojących pod stołem wskazywało, że ludzie ci pracują w tej samej firmie. W rogu każdej z nich widniał złoty napis „Narodowe Laboratorium w Los Alamos”. W nekrologach miało być napisane, iż pięciu dawnych wrogów zginęło wspólnie tragiczną śmiercią w chwili, kiedy połączyli swe wybitne umysły dla dobra całej ludzkości.

Do ich stołu podeszła z pełną tacą zmęczona kelnerka.

- Pięć piw i cztery wódki - powiedziała, przekrzykując panujący w lokalu hałas.

- Ale wódka rosyjska? - upewnił się jeden z Rosjan, wlepiając jasnoorzechowe oczy w zarys jej bujnych piersi falujących przy każdym ruchu.

Kelnerka, nie przestając stawiać naczyń na stoliku, wzniosła oczy pod sufit.

- Tak, tak, Smirnoff, dobra rosyjska wódka. - Obaj

Amerykanie wymienili rozbawione spojrzenia. - Razem, chłopcy, dwadzieścia cztery pięćdziesiąt. Lany Kingman rzucił jej na tacę banknoty - dwudziesto-i dziesięciodolarowy. Podobnie jak przy poprzednich dwóch kolejkach, kiedy kelnerka chciała wydać resztę, zbył ją machnięciem ręki.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powiedziała, przesyłając mu serdeczny, pełen ciepła uśmiech. - Jak będziecie chcieli jeszcze jedną kolejkę, po prostu zawołajcie.

Kingman z uśmiechem skinął głową. Dziewczyna przez chwilę jeszcze ociągała się z odejściem, po czym ruszyła niechętnie do innego stolika, przy którym klienci hałaśliwie domagali się obsłużenia.

Kingman wzniosł szklaneczkę z wódką,

- Za przyszłość, panowie! - powiedział. - Za naukę! Rosjanie sięgnęli po swoje szklanki.

- *Na zdarome* - odpowiedzieli unisono, wypili duszkiem przezroczysty trunek, z hałasem odstawili szkło na brudny blat stolika i sięgnęli po kufle z piwem.

Kingman popatrzył pytająco na siedzącego obok niego Amerykanina. Scott Bowker ze zmarszczonym czołem sięgnął po kufel i upił mały łyk piwa. Kingman potrząsnął siwą głową.

- O co chodzi? - zapytał.

Bowker popatrzył na Rosjan, po czym rozejrzał się po sali.

- Nie powinniśmy tyle pić - mruknął.

Jego kompan rozparł się na krześle, na twarzy rozlał mu się pobłażliwy uśmiech.

- Rozluźnij się, Scotty. Ty poprowadzisz samochód. -



Bowker jeszcze bardziej zmarszczył czoło. - No, rozluźnij się - powtórzył Kingman. - Wszystko jest pod kontrolą.

Siedzący po lewej stronie Bowkera Rosjanin objął go serdecznie ramieniem.

- Lany ma rację. Bawmy się. Jesteśmy już sojusznikami, towarzyszami prowadzącymi wspólną walkę. Zimna wojna skończona i teraz my, mój poważny przyjacielu, zbieramy tego owoce. Teraz - dodał po chwili - stoimy po tej samej stronie.

Rosjanin przystawił do ust kufel i łyknął piwa. Inni poszli za jego przykładem, ale Scott Bowker zerknął znacząco na zegarek i przeniósł wzrok na Kingmana.

- Masz rację, już późno - przyznał Lany. - Zbierajmy się, chłopcy. Jutro nasz wielki dzień.

Gdy Bowker wyprowadzał samochód z parkingu i skręcał na południe, na główną szosę łączącą Taos z Los Alamos, zaczął padać śnieg. Jadący w samochodzie mężczyźni w milczeniu przyglądali się wyglądającemu zza chmur księżycowi, który wisiał wysoko nad górami Sangre de Cristo - Krew Chrystusa.

Droga wiła się wzdłuż brzegu Rio Grande. Minęła już północ i szosa była pusta. Kiedy samochód zbliżał się do skrzyżowania, gdzie miał skrócić na Espanola i Los Alamos, w oddali, między pagórkami, rozbłysły reflektory nadjeżdżającego z przeciwka samochodu.

Dwaj Rosjanie siedzący z tyłu przysypiali i tylko Jurij Sokołow uważnie obserwował drogę.

Miał pięćdziesiąt dwa lata i w elitarnym środowisku fizyków atomowych uważany był za geniusza.

Do niedawna Zachód zbierał informacje o nim tylko dzięki satelitom

szpiegowskim, gdyż naukowiec nigdy nie opuszczał Związku Radzieckiego.

Teraz Sokołów przelotnie zerknął na Kingmana, po czym znów wbił wzrok w niknącą pod maską samochodu nitkę szosy. Obserwował lśniąco w jaskrawych światłach czołowych reflektorów płatki śniegu i zapewne wspominał zimowe noce w Moskwie. Kingmanowi przyszło do głowy, że są intelektualnymi braćmi, którzy przez całe lata musieli stać po przeciwnych stronach barykady, zanim ktoś nie postanowił zmienić reguł gry. Cóż, politycy są nieprzewidywalni i szaleni. Jedynie nauka jest stała i logiczna.

Reflektory nadjeżdżającego z przeciwka samochodu należały do ciężarówki z cysterną, odbywającej nocny kurs do Taos. Oznakowania na przodzie samochodu mówiły, że pojazd przewozi łatwopalną, wysokooktanową benzynę. Posuwający się z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę olbrzym wiozł osiem tysięcy galonów paliwa...

Potężny huk eksplozji słyhać było aż w samym Taos. Na wysokość trzydziestu metrów wzbila się w powietrze kula ognia, rozświetlając okolice, lecz świadkami tragedii były tylko króliki i sowy. Po kilkunastu sekundach temperatura ognia wzrosła do tego stopnia, że zaczął topić się asfalt.

W sześć minut później na miejscu katastrofy pojawił się kolejny pojazd zmierzający na południe. Jego kierowca, widząc ścianę ognia, zawrócił do Taos i z „Trinity Bar” zatelefonował po pomoc. Kiedy pojawiły się karetki pogotowia i samochody straży ogniowej, nie pozostawało już nic innego, jak tylko nie dopuścić, by pożar przeniósł się na rosnące w pobliżu jałowce i drzewa. Po trzech godzinach ogień

zaczął wygasać. Wtedy strażacy pokryli całe miejsce wypadku grubą warstwą piany, zamieniając zgłiszcza w zbiorowy grób.

Na pogorzeliisku znaleziono jedynie tylną tablicę rejestracyjną mikrobusu. Na jej podstawie policja ustaliła, że samochód należał do doktora Lawrence'a Kingmana, zastępcy dyrektora Narodowego Laboratorium w Los Alamos. Obwoził on po okolicy jakichś naukowców, którzy odwiedzili Nowy Meksyk w ramach radziecko-amerykańskiego układu o redukcji broni jądrowej. Ktoś w Los Alamos wiedział, że Kingman w towarzystwie znajomych zjadł obiad w restauracji hotelu Hiltop House, po czym goście postanowili udać się do jakiegoś baru na przedmieściach Taos.

Policja przesłuchała też kelnerkę z „Trinity Bar”. Dziewczyna doskonale pamiętała pięciu gości i potwierdziła, że trzech z nich było Rosjanami. „To na pewno byli Ruscy” - oświadczyła, wywracając oczyma na wspomnienie nowych, kowbojskich ubrań, jakie mieli na sobie jej goście. Wypili kilka kolejek, ale wychodząc z lokalu nie zataczali się. Wiadomość o wypadku bardzo ją poruszyła. Zwłaszcza starszy Amerykanin, który nie szczędził jej napiwków, sprawiał wrażenie bardzo sympatycznego człowieka.

Choć miejscowy urzędnik, który miał dokonać oględzin zwłok, twierdził, że ani z samochodów, ani z jadących w nich ludzi nie zostało nic, funkcjonariusze federalni chcieli sami to zbadać; a każdy mieszkaniec północnego Nowego Meksyku wie, że z federalnymi nie należy się spierać. Panoszyli się oni bezkarnie w Los Alamos i w okolicy od czasów drugiej wojny światowej, kiedy to pracujący w laboratorium naukowcy przeprowadzali tajną próbę z pier-

47

wszą na świecie bombą atomową. Operacja Trinity zakończyła się zbombardowaniem Hiroszimy i Nagasaki, co doprowadziło do końca wojny z Japonią.

Skoro więc federalni zamierzali grzebać w popiołach i pogietej stali, urzędnik oświadczył, że mogą robić, co uważają za stosowne.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Następnego ranka Marian stawiła się u swojego szefa ze sporządzonym przez siebie raportem o najnowszych powiązaniach handlarzy bronią z terrorystami. Gdy weszła do gabinetu, Frank Tucker stał przy oknie i rozmawiał przez telefon.

Marian niepewnie zatrzymała się w progu, lecz on dał jej znak, że za chwilę skończy. Przysiadła więc na brzegu biurka i zaczęła oglądać zakurzone, oprawione w ramki fotografie jego dzieci i wnuka.

Sięgnęła po zdjęcie Carol, córki Franka, stojącej w ślubnej sukni obok swego męża, Michaela. Pobrali się przed czterema laty, na kilka tygodni przez wyjazdem Mariah i Davida do Wiednia.

Obok ślubnej fotografii stała podobizna Alexa, synka Carol, a z drugiej strony portret jej brata bliźniaka Stephena. Zdjęcie wykonano przed dziesięciu laty podczas uroczystości odbierania dyplomu ukończenia szkoły wyższej. Kiedy bliźniaki miały dwa lata, u ich matki, Joannę Tucker, wykryto białaczkę. W trzynastu lat później żona Franka zmarła po ciężkiej walce ze śmiertelną chorobą. Teraz Stephen miał dwadzieścia osiem lat i pracował w CIA jako specjalista od komputerów.

Frank odłożył słuchawkę i odwrócił się do Mariah.

- Co dla mnie masz? - zapytał.

- Najświeższe informacje o powiązaniach handlarzy bronią z terrorystami - odparła i przeniosła się z biurka na stojące obok niego krzesło. - Wciąż nie wiem, dlaczego się tym zajmujemy.

- Czym?

- Tropieniem oszalałych Irlandczyków, Libijczyków, Irańczyków i Bóg jeden wie kogo jeszcze. Jak to się stało, że weszliśmy w to bagno? Przecież i ty, i ja jesteśmy specjalistami od Związku Radzieckiego.

- Czasy się zmieniają. Związek Radziecki upadł.

- Ale nie jego arsenał jądrowy. Dlaczego nie zrobisz cię szefem komórki ds. spraw nierozprzestrzeniania broni atomowej? W tym jesteś najlepszy. A i ja wolałabym pracować w takim wydziale.

- Nazwij to rozwojem kariery zawodowej. Zapewne ktoś na górze uznał, że powinniśmy rozszerzyć trochę swoje horyzonty. Ale wracajmy do raportu. Dzwoniono już do mnie w tej sprawie z siódmego piętra. Dyrektor chce przestudiować go podczas weekendu. Musimy się zatem wysilić i spłodzić to dzieciąteczko.

- Wszystko mam pod kontrolą.

Frank skinął głową. To on, kiedy Mariah kończyła studia w Berkeley, namówił ją na pracę w Agencji i przez ostatnich szesnaście lat był jej mentorem. Mariah wiedziała, że ufa jej bezgranicznie.

Wtedy, przed łąty, była trochę zdumiona, a trochę przerażona, gdy ten groźny człowiek z kwatery głównej CIA w Langley zaproponował jej etat. Stało się to w połowie lat siedemdziesiątych.

Skończyła się właśnie wojna w Wietnamie, w amerykańskich kampusach wciąż rozprawiano

O „pokoju, miłości i pozytywnych wibracjach”, a CIA, delikatnie mówiąc, nie cieszyła się najlepszą opinią; zwłaszcza w Berkeley. Jednak Mariah przez kilka lat studiowała zagadnienie zagrożenia, jakie dla świata stanowił Związek Radziecki, i nie miała najmniejszych wątpliwości co do zamiarów Moskwy. Uważała, że byłoby naiwnością przeciwdziałać temu zagrożeniu bez solidnych podstaw, jakie stanowią dane wywiadowcze. Wprawdzie nigdy nie widziała siebie w wywiadzie, lecz propozycja Tuckera wydała się jej nader interesująca, a jego argumenty przekonujące. Zaczęła rozumieć, jak ważną sprawą jest rzetelna analiza danych wywiadowczych, dzięki którym rząd może uniknąć wielu niebezpiecznych pułapek.

Wtedy też na dobre zaczął się jej romans z Davidem, któremu zaproponowano pracę w Narodowym Laboratorium w Los Alamos. Mariah odrzuciła propozycję Tuckera

i wyjechała z ukochanym do Nowego Meksyku. Po sześciu miesiącach jednak wróciła i podjęła pracę analityka w CIA - to właśnie wtedy zerwała na jakiś czas z Davidem.

Ukończyła specjalistyczny kurs dla pracowników Firmy, po czym przydzielono ją do wydziału radzieckiego kierowanego przez Franka Tuckera, cieszącego się ponurą sławą szefa, który analityków jada na śniadania. Praca pod jego kierownictwem stanowiła nie lada wyzwanie.

Żadna sekretarka nie przetrwała u niego dłużej niż kilka miesięcy. Sprawy wzięły jednak zupełnie nowy obrót, kiedy kadry przysłały mu Patricię Bonelli. Nowa pracownica pochodziła z New Jersey i posługiwała się słownictwem godnym kierowcy ciężarówki, które bez wahania wykorzystywała, ilekroć jej nowy szef przekroczył pewne granice. Opo-

wiadano Mariah, że już pierwszego dnia doszło do karczemnej awantury między Patty a Tuckerem. Kiedy jednak w końcu Frank przekonał się, że dział personalny przysłał mu na sekretarkę Czyngis-chana w spódnicy, po prostu poddał się i wybuchnął śmiechem - ku zdumieniu wszystkich podwładnych, którzy już spodziewali się krwawej rzezi.

Patty pracowała u niego prawie dwadzieścia lat. Kiedy w Firmie pojawiła się Mariah, Patricia Bonelli od razu wyczuła w niej bratnią duszę i wyjaśniła podstawowe zasady, jakich należało przestrzegać przy współpracy z Frankiem. Sprowadzały się one do: nigdy nie płaszczyć się przed szefem, nigdy nie przeproszać i nigdy - ale to nigdy - nie zawalić żadnej sprawy. Łatwiej powiedzieć niż zrobić, jednak Mariah podjęła wyzwanie i odtąd cała jej kariera związana była z wydziałem kierowanym przez Tuckera.

- Czy dobrze się czujesz? Sprawiasz wrażenie, jakbyś padała z nóg.

Mariah gwałtownie uniosła głowę. Frank Tucker nie był człowiekiem troskliwym i opiekuńczym. Jeśli nawet on spostrzegł, że jego podwładna jest zmęczona, to rzeczywiście musiała wyglądać fatalnie.

- Źle spałam - wyjaśniła krótko, zastanawiając się, czy poruszyć sprawę Chaneya. Szybko jednak zdecydowała, że na razie lepiej tego tematu nie tykać. - Na czym stanęliśmy?

- Mówiłaś o powiązaniach z Libią,

- Racja. Nasza komórka w Trypolisie zdobyła informację, że kraj ten wysyła broń przez Maderę.

- A czy nasze ptaszki coś wykryły? Mariah skinęła głową.

- Rozmawiałam wczoraj z chłopcami z sekcji satelitar-



nej. Przed trzema tygodniami z Trypolisu wypłynął libijski statek. Nasze ptaszki dojrzały na nim skrzynie z napisem „Pomidory”, a przecież Libijczycy nie eksportują warzyw na Madere. Statek pełen był strażników...

- Co się stało ze skrzyniami na Maderze?

- Satelitarna dokumentacja fotograficzna nie jest wprawdzie tak dokładna, jak zdjęcia z Trypolisu, ale część skrzyń przeładowano chyba na mniejszą jednostkę. Statek popłynął do Hawru we Francji.

- Dostyc okężna droga jak na transport warzyw - zauważył Tucker, stukając piórem o swe masywne kolano. -Z Hawru już tylko krok do Paryża lub do Anglii. Ci faceci mogli spokojnie dostarczyć towar dla zamachowców zarówno z Trafalgar Square, jak i z wieży Eiffla.

- Dokładnie - przyznała Mariah. - Jest tylko jeden problem: kiedy statek zawinął do Hawru, skrzyń na nim nie było. Francuska służba celna, zawiadomiona dyskretnie przez naszą placówkę w Paryżu, przeprowadziła dokładną kontrolę, lecz nie znalazła na pokładzie śladu skrzyń załadowanych na Maderze.

- Czy przed dotarciem do Hawru statek zawijał do innych portów?

Mariah pokręciła przecząco głową.

- Chyba nie, ale przebył kilka tysięcy mil po otwartym morzu, a nasze satelity przecież nie śledziły go przez cały czas. NSA nasłuchiwała wprawdzie wszelkie transmisje radiowe nadchodzące i wychodzące ze statku, lecz nic ciekawego nie wychwycono.

**\* NSA - National Security Agency (ang.) - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego**

- Mogli zaaranżować spotkanie na pełnym morzu i tam przeładować towar - powiedział Frank. - Do kogo należał ten mniejszy statek z Madery?

- Płynął pod flagą liberyjską, a należał do towarzystwa Niarchos Transport.

- Grek?

- Tu właśnie leży pies pogrzebany. Niarchos wykupiło w zeszłym roku przedsiębiorstwo Triton Transport, które z kolei kontrolowane jest przez koncern o nazwie Ramsay Investments.

Frank potrząsnął głową.

- Cholerna sprawa! Pajęczyna interesów. Kto się w-tym połapie?

- O to właśnie chodzi, byśmy się w tym pogubili - odparła rzeczowo Mariah. - Ale oczywiście wiesz, że Ramsay Investments wchodzi w skład McCord Industries należącego do Angusa Ramsaya McCorda.

Tucker rozparł się w fotelu i cicho gwizdnął.

- Tego nam jeszcze brakowało! To już najwyższe stofti. Kumpel prezydenta sponsorem terrorystów? - Wywrócił oczyma, po czym popatrzył bystro na Mariah. - Nic z tego, dziecińo. Daj mi coś, co mógłbym sprzedać.

- Mam ukrywać dowody, Frank? - spytała ze zdumieniem.

- Nie, ale nie chcę też wyciągać pochopnych wniosków odnośnie pomidorów przewożonych na statku należącym do najbogatszego człowieka w Ameryce i jednego z największych filantropów na naszym kontynencie. - Teraz Mariah wywróciła oczyma, a Tucker szybko dodał: - Wiem, wiem, ale ja tego bałaganu nie kupuję. Jeśli nie chcesz do końca

życia liczyć trzód w Ułan Bator, musisz bardzo uważać z wiązaniem McCorda z terrorystami; chyba że dostarczysz dużo więcej przekonujących dowodów. Jeśli ci się uda, będę bardziej niż rad. Ale na razie postępuj ostrożnie.

Należący do McCord Industries samolot podkołował do terminalu lotniska w Fargo w Północnej Dakocie i pilot wyłączył silniki. Dieter Pflanz wyjrzał przez iluminator, skrzywił się na widok oczekującego tłumu i zerknął na swego szefa, siedzącego naprzeciwko niego w jednym z wytwornych foteli, w jakie został wyposażony przedział pasażerski samolotu.

Gus McCord dostrzegł przez okienko długą czarną limuzynę na czele sznura pojazdów oczekujących na pasie startowym i cicho jęknął.

- Jeny, mówiłem, że nie chcę parady. To żenujące! Młody człowiek siedzący w głębi kabiny odpiął pasy

bezpieczeństwa, dźwignął się z fotela i popatrzył ponad ramieniem McCorda na czekający na płycie lotniska orszak.

- Wiem, Gus. - Jeny Siddon uśmiechnął się przepaszająco i przeciągnął palcami po włosach. - Robiłem, co mogłem

- Następnym razem postaraj się lepiej - burknął McCord. - Ludzie pomyślą, że się wywyższam.

- Daj spokój, kochanie - odezwała się Nancy McCord, poklepała męża po ramieniu i wstała z fotela. - Wszyscy wiedzą, że jesteś skromny. Po prostu im imponujesz, to wszystko. Poza tym chcą wyrazić ci wdzięczność za to, co zrobiłeś dla swego rodzinnego miasteczka. Co ci szkodzi, że trochę cię porozpieszczają?

Zdegustowany Gus również dźwignął się z fotela, wyrównał kanty u spodni i zapiął granatową marynarkę, którą choć był mordercą, kupił na pchlim targu. Jak zwykle nosił białą koszulę i konserwatywny krawat w stonowanych barwach. Angus Ramsay McCord miał sześćdziesiąt jeden lat, lecz wciąż zachowywał szczupłą, młodzieńczą sylwetkę. Ważył około siedemdziesięciu kilogramów i miał niecałe sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu; metr siedemdziesiąt dwa w butach o specjalnie podwyższonych obcasach. Obcięte na języka, stalowosiwe włosy dodawały mu kolejne dwa centymetry. Jego małe, miedzianej barwy, nieruchome oczy zdawały się przeszywać rozmówcę na wskroś.

Po chwili pojawił się jego osobisty steward z rosyjskim sobolowym futrem pani McCord. Kobieta obrzuciła wzrokiem drogie okrycie, wyjrzała przez arraiinator, za którym wirowały płatki śniegu, i potrząsnęła głową.

- Miguelu, poproszę jednak o granatowe, wełniane palto - powiedziała z wyraźnym żalem.

Miguel zamienił okrycia i Gus szarmancko podał żonie płaszcz. Nancy spojrzała na męża swymi błękitnymi oczami, którymi uwiodła go przed czterdziestu laty.

Pobrali się, gdy ona miała lat dziewiętnaście, a Gus dwadzieścia jeden. Złośliwcy twierdzili, że Angus McCord zakochał się w pannie Patterson tylko po to, by zdobyć względy jej ojca, znanego biznesmena kalifornijskiego, który podczas drugiej wojny światowej zbił fortunę na dostawach dla amerykańskiej marynarki wojennej. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Robert Patterson utorował zięciowi drogę do pierwszego miliona. A jednak Gusa i Nancy łączyło na-

prawdę głębokie uczucie, o czym świadczył fakt, że mieli czworo dzieci i pięcioro wnucząt i wciąż ze sobą byli.

Pflanz nałożył parkę i rzucił złośliwe spojrzenie na asystenta McCorda. Jeny Siddon zadrżał, gdy przez otwarte drzwi do środka samolotu wpadł podmuch zimnego powietrza. Postawił kołnierz płaszcza. Pochodzący z Los Angeles Siddon nie cierpiał zimowych wypraw do rodzinnego miasta swego szefa. Ale tego właśnie dnia szykowano otwarcie oddziału położniczego w szpitalu ufundowanym przez McCorda w Fargo. Oddział położniczy, w połączeniu z oddziałami onkologicznym i kardiologicznym, miał ugruntować sławę szpitala, a tym samym jego fundatora, McCorda.

Jeny Siddon skinął ręką i obok szefa ochrony pojawił się oficjalny fotograf McCord Industries. Oni też wyszli pierwsi z samolotu. Pflanz, choć niebo było zachmurzone, nałożył ciemne okulary, a fotograf szybko zbiegł po trapie samolotu i zaczął ustawiać sprzęt.

Stanął wśród innych oczekujących fotoreporterów i wycelował obiektyw na samolot. Na górze trapu pojawili się Gus i Nancy. Pomachali rękami witającym i ruszyli w dół po stopniach. Trzymali się za ręce, jak prezydent i pierwsza dama, mając chyba nadzieję, że kiedyś zajmą ich miejsce. Kalka kroków za nimi posuwał się dyskretnie Jeny Siddon.

Przed oczekującym tłumem wystąpił burmistrz miasta, Fred Hansen, i jego małżonka. Gus McCord puścił rękę Nancy, ucisnął wyciągniętą dłoń burmistrza, a następnie serdecznie poklepał go po ramieniu. - Witaj, stary druhu - powiedział i wskazał na czekającą limuzynę. - Spodziewaliście się przyjazdu angielskiej królowej?

Burmistrz zachichotał.

- O nie, ten samochód wynajęliśmy specjalnie dla ciebie. Od Yigana-Carlsona.

McCord odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Vigan-Carlson było największym przedsiębiorstwem pogrzebowym w mieście.

- Jeszcze żyję, ale nie dzięki tobie. Potarł złamany kiedyś nos.

Zdarzyło się to przed czterdziestu pięciu laty podczas szkolnego meczu w baseballa. Fred Hansen przypadkowo uderzył McCorda kijem w twarz.

- Zawsze miałeś twarde łeb - powiedział ze śmiechem burmistrz i wskazał głową Dietera Pflanza. - Zabrałeś go ze sobą na wypadek, gdybym próbował ponownie ci przyłożyć?

- Skądże! On nosi tylko walizki za Nancy. Moja żona nie potrafi obyć się bez bagażu.

Uśmiechnął się do Nancy, która klepnęła go żartobliwie po ramieniu i dała krok do przodu, by przywitać się z burmistrzem i jego żoną,

- Gus jest nieznośny ! Co u ciebie słychać, Fred? - Pocałowała go w policzek, po czym objęła jego żonę. - Stello, tak się cieszę z naszego spotkania. Masz piękne futro.

Pokrytą zmarszczkami i grubą warstwą kosmetyków twarz Stelli Hansen rozjaśnił szeroki uśmiech. Wyswobodziła się z objęć Nancy i pogładziła nakrycie z lisów.

- Wspaniale, prawda? To przedwczesny prezent bożonarodzeniowy od Freda. Chciał, bym wystąpiła w nim podczas otwarcia naszego szpitala.

- Wyglądasz wspaniale. Jesteś taka wytworna.

- Gus zapewne często kupuje ci stroje - odparła Stella.

- Nie takie, jakie kupuje tobie twój mąż.

Stella przesłała Hansenowi triumfujące spojrzenie i odwróciła się do McCorda.

- Gus, przynajmniej teraz wiesz, co twoja żona chciałaby dostać na gwiazdkę. Nie pomyślałeś jeszcze o tym?

- Zgadłaś Stel - odparł zakłopotany McCord i wzruszył ramionami. - Ale co chcesz, jestem prostym farmerem. Przysięgam, nie stać mnie na takie luksusy.

Stella obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem i uśmiechnęła się kwaśno. Gus McCord przyjaźnił się z jej bratem od dzieciństwa. Zaprosił ją nawet kiedyś na szkolną potańcówkę, ale ona odrzuciła propozycję chudego, drobnego chłopaka na rzecz kapitana drużyny futbolowej. Żałowała tego do dziś. Później John Lindauist rozpił się, wyjechał na wojnę w Korei i tam zginął, a ona musiała potajemnie wyjechać na pół roku do swej ciotki w Minneapolis.

Obserwowała Gusa McCorda, jak posuwa się wzdłuż szpaleru komitetu powitalnego, potrząsa dłońmi i klepie po ramionach miejscowych notabli, i wciąż nie mogła nadziwić się własnej głupocie i krótkowzroczności. Jak to się mogło stać, że nie dostrzegła jego możliwości? Ale kto mógł spodziewać się, że taki chuderlak będzie kimś?

Oczywiście, okazał się bardzo zapobiegliwy, żeniąc się z bogatą dziewczyną. Stella z zawiścią obserwowała posiwiąłą wprawdzie przedwcześnie, ale wciąż jeszcze szczupłą Nancy, która kroczyła u boku McCorda i z pełnym ciepła, serdecznym uśmiechem podawała rękę ludziom, których przedstawiał jej mąż.

Poprawiła na sobie futro z lisów, wdzięczna losowi za

to, że to drogie okrycie skutecznie tuszuje jej pulchną sylwetkę. Gdy była młodsza, miała figurę modelki, którą dosłownie zwała mężczyzn z nóg. Tak utrzymywał John Lindquist i tak samo uważał Fred. Przez całe studia uganiał się za nią bez skutku i dlatego pewnie prawie się udławił, gdy po powrocie z Minneapolis oświadczyła mu, że zamierza go poślubić.

Teraz Fred piastował urząd burmistrza, a Stella, podczas wielkich parad z okazji rozmaitych świąt, jeździła u jego boku odkrytą limuzyną, spotykała się z grubymi rybami i nosiła futra, jakich zazdrościła jej nawet sama Nancy McCord. Znaczyło to, że jej życie ułożyło się pomyślnie; nawet jeśli ona i Fred nie podróżowali po całym świecie prywatnym samolotem.

Wsiadli do oczekującej limuzyny. Gus usadowił się między Stellą a Nancy, podczas gdy Fred zajął miejsce naprzeciwko nich na rozkładanym fotelu. Obok niego przycupnął Jeny Siddon, który wcześniej wysłał fotografa z ekipą telewizyjną do szpitala z poleceniem, by przygotowano tam wszystko na pojawienie się McCorda.

Kiedy obok szofera usiadł Dieter Pflanz, limuzyna aż jęknęła. Kierowca przesłał ochroniarzowi nerwowy uśmiech, ale ten tylko krótko skinął głową.

W trakcie trwającej dziesięć minut jazdy do szpitala, Fred Hansen jeszcze raz zaczął studiować harmonogram uroczystości.

- Przed oficjalnym otwarciem będziesz miał około pół godziny na zwiedzenie nowego oddziału - poinformował McCorda. - Później nastąpią przemowy i przecinanie wstęgi. Potem pojedziemy do hotelu na lunch. Musimy się z tym



uporać mniej więcej do czternastej i wtedy z powrotem na lotnisko. Jerry mówi, że jeszcze dzisiaj odlatujesz do Waszyngtonu.

Stella Hansen popatrzyła nad ogromnymi oczyma.

- Zamierzasz spotkać się z prezydentem? Jaki on naprawdę jest?

McGord wzruszył ramionami.

- Jak wszyscy inni ludzie, Stel. Nie wsuwa w spodnie obu nóg jednocześnie.

Stella z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- Ciekawa jestem, co naprawdę myślisz o Fargo. Bywasz przecież w tylu miejscach, spotykasz się z niezwykłymi ludźmi...

- To miasteczko o czystym powietrzu i wspaniałych mieszkańcach jest najcudowniejszym miejscem pod słońcem - wyrecytował poważnie McCord.,- Zawsze tak uważałem i nic się w tym względzie nie zmieniło.

Pflanz, który odwrócił się w ich stronę, dostrzegł, że Stella Hansen prawie rozplywa się z zachwytu. Wymienił z Jerryem Siddonem szybkie, rozbawione spojrzenie. Obaj z uwagą przysłuchiwali się, jak McCord czaruje burmistrza i jego żonę.

Pflanz wiedział, że Siddon liczy już nieciepliwie miesiące do pierwszego zebrania przedwyborczego. Nie raz słyszał, jak młody asystent żarliwie tłumaczy, dlaczego to Gus powinien wystartować w wyborach. Za McCordem przemawiało wszystko - pieniądze, urok i wdzięk osobisty (mimo mizernej postury), piękna żona, miłe dzieciaki, bardzo fotogeniczne wnuczeta, życie godne amerykańskiej legendy o milionerze, który do wszystkiego dochodzi własną pracą,

no i imponująca lista dokonań na polu dobroczynności. Mało kto miał większe szanse na zwycięstwo. Pflanz wiedział też, że jeśli Gus McCord trafi do Białego Domu, Jeny Siddon zamierza zostać jego doradcą. Siddon miał trzydzieści lat i od chwili ukończenia studiów w Stanfordzie ze stopniem celującym pracował dla McCord Industries. Zwrócił uwagę Gusa McCorda swoją aktywną działalnością w Stowarzyszeniu Amerykańskich Rodzin Żołnierzy Zaginionych w Wietnamie. Jego ojciec, pilot bombowca, w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym zginął bez wieści podczas jednej z akcji nad Hanoi, a Jerry był najmłodszym członkiem delegacji Stowarzyszenia, która na początku lat osiemdziesiątych pojawiła się u McCorda z prośbą o wsparcie finansowe akcji mającej na celu poszukiwanie jeńców, o których plotka głosiła, że wciąż żyją w Wietnamie. Przy cichym wsparciu CIA przeprowadzono akcję, którą kierował Dieter Pflanz, a w której wzięli udział najemnicy. Misja nie dostarczyła jednak żadnych przekonujących dowodów.

Już podczas tego pierwszego spotkania Siddon zrobił na Gusie dobre wrażenie. Miliarder wsparł finansowo jego studia, gdy zaś Jerry uzyskał dyplom, zatrudnił go u siebie. Siddon odwdzięczał się teraz sponsorowi ciężką pracą i bezgranicznym oddaniem dla jego firmy. Obecna uroczystość stanowiła ostatnią imprezę w zakrojonej na szeroką skalę akcji dobroczynnej, która miała doprowadzić Gusa McCorda do fotela prezydenckiego.

- Co cię gryzie? - zapytał Frank Tucker, przyglądając się uważnie Marian.

Wstała z krzesła i podeszła do drzwi. W progu zatrzy-

mała się, zmarszczyła brwi i jeszcze raz odwróciła się w stronę szefa.

- Czy oglądałeś wczoraj wieczorne wiadomości CBN? Frank głęboko westchnął i potrząsnął głową.
- Do licha, miałem nadzieję, że je przegapisz.
- Wysłuchałam ich... oraz Paula Chaneya. I to nie tylko na antenie.
- O czym ty mówisz?
- Czekał na mnie przed ośrodkiem, kiedy wychodziłam od Davida - powiedziała Marian, wróciła do gabinetu i przeciągnęła dłonią po grzbietach książek ustawionych na chybił trafił na regale. - Później nagrał się na moją automatyczną sekretarkę. - Popatrzyła w sufit i zacisnęła szczęki. - Do licha, Frank! Lindsay wysłuchała tej wiadomości. Jeśli nawet ona...
- Zaraz, zaraz, zwolnij! Nic nie rozumiem. Usiądź i po kolei opowiedz mi, co dokładnie się wydarzyło.
- Wczoraj Paul Chaney odwiedził Davida, a po wizycie czekał na mnie. Oświadczył, że musimy porozmawiać o tym, co naprawdę wydarzyło się w Wiedniu... O ludziach, którzy wyrządzili krzywdę Davidowi i Lindsay. Później wydzwaniał do mojego domu, a na koniec wysłuchałam tego, co mówił w dzienniku.
- Poznałaś go w Wiedniu? Marian skinęła głową.
- David znał go dużo lepiej. Grał z nim w hokeja w jednej drużynie. Przyjaźnili się i Paul często nas odwiedzał. Ja jednak zawsze odnosiłam się do niego z dużą rezerwą. Jest człowiekiem, który uważa siebie za dar niebios. Oferuje siebie każdej kobiecie, jaką spotyka na drodze.

- Czy nił ci awanse? - spytał Tücker z lekkim uśmiechem.

Marian skrzywiła się i w milczeniu pokiwała głową.

- Czy kontaktował się z tobą po waszym powrocie do Stanów?

- Kilkanaście razy odwiedził Davida w szpitalu w Wiedniu, ale aż do wczoraj nie miałam z nim kontaktu.

- Czy wie, że pracujesz w CIA?

- Nie, tego jestem pewna. David mu o tym nie wspominał; pod tym względem był bardzo dyskretny. Nic nie wskazuje na to, by podczas mego trzyletniego pobytu w Wiedniu Chaney czy ktokolwiek inny dowiedział się, że pracuję dla Agencji. W ambasadzie oficjalnie pełniłam funkcje administracyjne, a Chaneya głównie interesowała praca Davida w IAEA. Często prosił mego męża o wyjaśnienie różnych zawiłości w problematyce broni nuklearnej.

- O co więc, twoim zdaniem, mu chodzi? Marian przesłała szefowi ostre spojrzenie.

- Właśnie to miałam nadzieję usłyszeć od ciebie - burknęła. Stanęła przed biurkiem i położyła dłonie na rozłożonych na nim papierach. - Frank, mówiłeś mi... przysięgałeś... że był to zwykły wypadek. Wiedziałeś, że biegając między szpitalami, w których leżeli David i Lindsay, nie mogłam brać osobiście udziału w dochodzeniu. Ale ty mnie zapewniałeś, że wszystko zostało dokładnie sprawdzone.

- Tak rzeczywiście było. - Frank złożył swe mięsiste dłonie, chwilę na nie spoglądał, po czym przeniósł wzrok na Marian. - Do cholery ciężkiej, chyba nie sądzisz, że pogodziłem się z tym, co się stało? Czuję się za to odpowie-

działny. To ja cię ściągnąłem do Firmy, ja załatwiłem ci pracę w Wiedniu. Po tym wypadku czułem się okropnie.

Marian przygarbiła się, widząc jego ponurą twarz, na której malowało się szczere i głębokie poczucie winy. Wyciągnęła rękę i uściśniła jego dłoń.

- Nie ma w tym twojej winy i do tej pory myślałam, że nikt nie jest winny. Ale teraz, gdy pojawił się Chaney, zastanawiam się... - Usiadła na krześle i wbiła wzrok w podłogę. - Wygląda na to, że miałam wiele szczęścia. To nie David, lecz ja powinnam być wtedy w samochodzie. On zawsze chodził do pracy na piechotę, ale tamtego ranka w ostatniej chwili zmieniliśmy plany. Lindsay musiała być wcześniej w szkole, a ja na pilnym spotkaniu. Zatem do szkoły odwiózł ją David.

Frank skinął głową, a Marian znów pomyślała o okrutnym losie, który tak z nich zadrwił. Gdyby tamtego ranka nie miała ważnych spraw i sama odwiozła córkę do szkoły, nie zniszczyłaby Davidowi życia.

A jeśli to nie był wypadek?

- Tak sobie teraz myślę... może to ja byłam celem? - powiedziała cicho, nie spuszczać z Tuckera wzroku. -Może miało to związek z operacją CHAUCER? Czy to możliwe, by ktoś, kto próbował mnie zabić, popełnił błąd?

Tucker popatrzył na nią, po czym szybko odwrócił głowę. Marian poczuła, że policzki jej czerwienieją. Oboje znali się zbyt dobrze i zbyt długo...

- Frank! - krzyknęła gwałtownie. - Na miłość boską, powiedz mi prawdę.

- Nie jestem jej pewien.

- Kto? - spytała schrypniętym głosem, zaciskając kur-

czowo dłonie na poręczach krzesła. Tucker zerwał się z za biurka i stanął tuż przed nią. - Frank, kto to zrobił?

Mężczyzna długą chwilę przyglądał jej się bacznie, po czym wrócił na fotel za biurkiem i zaczął bębnić palcami po blacie pokrytym zielonym suknem.

- Daj temu spokój, Mariah. Niczego nie zmienisz, a masz na głowie ważniejsze sprawy. Musisz myśleć o Lindsay i Davidzie. Pozwól, by tą sprawą zajmowali się inni.

Mariah jak oparzona zerwała się z krzesła i pochyliła się nad stojącym między nimi biurkiem.

- Frank, nie próbuj mnie zbywać!

- Nie zbywam!

- Więc co znaczy twoja odpowiedź?

- To jedyna odpowiedź, jaką mogę ci dać.

- To za mało!

- Ale tylko taką możesz otrzymać. Reszta jest ściśle tajna, nie dowiesz się niczego więcej.

Równie dobrze mógłby dać jej w twarz. Skuliła się, spoglądając nań w osłupieniu. On zaś zmarszczył brwi, popatrzył w sufit, po czym znów utkwiał spojrzenie w Mariah.

- Posłuchaj, naprawdę nie wiem, co wydarzyło się w Wiedniu. Nie wiem, czy był to wypadek, czy nie. Najpierw myślałem, że wypadek, ale teraz sam zaczynam mieć wątpliwości. Jeśli nie był to wypadek, twoja rodzina została uwikłana w jakąś bardzo niebezpieczną grę, której, uwierz mi, nie chciałabyś znać.

- Chcę - odrzekła zdecydowanie Mariah. - Jeśli zrobiono to celowo, muszę wiedzieć o wszystkim.

Frank, do diabła! Powiedz mi! Jeśli poznam prawdę, przestanę się czuć taka bezradna. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Tucker pokręcił przecząco głową.

- Nie mogę. Nawet gdybym chciał, a naprawdę chcę, nie zależy to ode mnie. Wydział operacyjny przejął całą dokumentację, nawet ja nie mam już do niej dostępu. Poza tym, mówię to poważnie, musisz myśleć wyłącznie o Lindsay. Stałaś na linii ognia i twoje dziecko może skończyć w sierocińcu. Czy tego chcesz? W końcu to nie ty jesteś wszystkiemu winna.

- Jeśli nie ja, to kto? Powiedz mi kto, Frank. Ktoś musi ponieść karę. Jestem gotowa poobdzierać ich ze skóry, pourywać im głowy...

Tucker poprawił się na krześle.

- I dlatego właśnie nie możesz wziąć udziału w tym śledztwie. Jesteś emocjonalnie zaangażowana w tę sprawę. Nie masz do niej dystansu, nie patrzysz na wszystko obiektywnie, naraziłabyś się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. A teraz skończmy już ten temat. Wracaj do swoich zajęć. Ja też mam wiele do zrobienia.

Marian chwilę jeszcze patrzyła, jak rozkłada przed sobą jakieś akta, po czym gwałtownie odwróciła się i bez słowa opuściła gabinet

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wzburzona rozmową z Frankiem Tuckerem, Mariah wróciła do swego pokoju, stanęła przy oknie i utkwiała wzrok w gęstym lesie, rozciągającym się tuż za parkanem otaczającym kwaterę główną Agencji. Nawet nie zauważyła, kiedy do pokoju weszła Pat.

- Mariah? - odezwała się z niepokojem sekretarka, po czym nabrała odwagi, dała zdecydowany krok do przodu i zamknęła za sobą drzwi. - Co się stało? Frank ryczy coś do telefonu, a ty wyglądasz, jakbyś ujrzała upiora. Co tu się dzieje?

Mariah popatrzyła na Pat, po czym znów przeniosła wzrok na огоłoczone z liści drzewa. O tej porze roku rozciągający się za oknem las był posepny i przygnębiający.

Sekretarka Tuckera, podobnie jak jej szef, należała do najbliższych przyjaciół Mariah. Party Bonelli i Frank stanowili parę - oczywiście nieoficjalnie. O łączącym ich romansie poza Mariah wiedziało tylko kilka osób w biurze. Nie wiadomo, kiedy Pat i Frank zaczęli ze sobą chodzić. Tuckera przez kilka pierwszych lat po śmierci żony bez reszty pochłaniały sprawy związane z wychowaniem dorastających dzieci. Niemniej jednak jego związek z sekretarką trwał już parę dobrych lat.

Mariah nie wiedziała, czy Pat wie o tajnej operacji,



w którą zaangażowany był Frank. Jako jego sekretarka Pat miała dostęp do wszystkich dokumentów, a zatem wiedziała

o wielu sprawach, nad którymi w przeszłości pracowali. Tym razem jednak Tucker wyraźnie dał do zrozumienia, że sprawą zajmuje się wydział operacyjny, który starannie strzegł swych kartotek. Jeśli więc nawet wprowadzono go w sprawę, to tylko dlatego, że potrzebowano jego wiedzy fachowej i doświadczenia. Z drugiej strony, jeśli Chaney rzeczywiście coś odkrył, operacja nie była aż tak tajna.

- Czy w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy wydział operacyjny angażował Franka do jakichś większych akcji?

- zapytała.

- Wraz z Georgem Nevillem opracowywali jakieś akta.

- Neville był zastępcą dyrektora wydziału operacyjnego. -Ale ja nie miałam do tych dokumentów dostępu. Myślałam, że ty je znasz.

- Dlaczego tak myślałaś, Pat?

- Któregoś dnia, gdy w gabinecie Franka przebywał Neville, szef poprosił mnie, bym podała im kawę. Kiedy weszłam z tacą, usłyszałam, że Neville wymienia twoje imię

i nazwisko.

- Co mówił?

Pat potrząsnęła głową

- Gdy mnie zauważył, zamilkł. Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Sama chciałabym wiedzieć. Wydaje mi się, że ma to jakiś związek z wypadkiem w Wiedniu.

- Słucham?

- Wiele wskazuje na to, że nie był to wypadek.

- Boże!

Mariah westchnęła i przysiadła na skraju biurka.

- Posłuchaj, Patty, nie wiem, co się dzieje, ale najwyraźniej powinnam trzymać język za zębami.

Znasz Franka. Dostałby ataku szału, gdyby dowiedział się, że ci tyle powiedziałam. Lepiej więc nie wspominać mu o naszej rozmowie.

- Nie pisnę słówkiem. A ty jakie masz plany? Mariah znów podeszła do okna.

- Jeszcze nie wiem. Ale muszę dowiedzieć się, co tam wydarzyło się naprawdę.

I dowiem się tego przy pomocy Franka, lub bez - dodała w myślach.

Kiedy Pat opuściła pokój, Mariah jeszcze przez chwilę stała przy oknie, walcząc z przepełniającym ją bólem i gniewem. Kiedy wreszcie odwróciła się, spojrzała na stojący na stoliku obok biurka komputer.

Usiadła na krześle, uruchomiła urządzenie i patrzyła, jak ekran zaczyna się rozjaśniać.

Komputer zażądał, by podała hasło; była to forma ochrony przed niepożądanym wtargnięciem do banku danych Agencji. Wszyscy pracownicy posiadali osobiste kody wejściowe, znane tylko im i komputerowi. Procedury bezpieczeństwa nakazywały, by hasła te zmieniane były co miesiąc.

Mariah wybiła swój aktualny kod - SIGMUND, imię kota sąsiadki. Gdy po raz ostatni wymyślała hasło, przypomniały jej się szkody, jakie kocur wyrządził o poranku w jej niewielkim, przydomowym ogródku, i stąd takie hasło. Kiedy wcisnęła „enter” pojawił się szereg iksów - kolejny środek służący zabezpieczeniu banku danych.

70

Po krótkiej chwili na ekranie pojawił się napis: HASŁO WŁAŚCIWE. WYSZUKIWANIE PLIKU. PODAJ NAZWĘ PLIKU.

Pochyliła się nad klawiaturą i wystukała słowo CHAUCER.

Kolejna przerwa. Kiedy jednak komputer wyświetlił odpowiedź, Marian odniosła wrażenie, że zadrżała ziemia.

PLIK ZASTRZEŻONY. BRAK DOSTĘPU. PODAJ NOWĄ NAZWĘ PLIKU.

- Brak dostępu? Boże wielki! - mruknęła. - Przecież to mój plik!

Znów wystukała hasło: CHAUCER.

PLIK ZASTRZEŻONY. BRAK DOSTĘPU. PODAJ NOWĄ NAZWĘ PLIKU.

Serce waliło jej jak młotem. Długo wpatrywała się tępym wzrokiem w powtarzającą się nieustannie informację, po czym znów pochyliła się nad klawiaturą.

- W porządku - mruknęła pod nosem. - Spróbujemy w inny sposób.

Wystukała kolejne polecenie: MARIAH BOLT. REJESTR OSOBISTY. PLACÓWKA WIEDENŃ.

Przez chwilę na ekranie mrugał jedynie kursor. Potężny, zainstalowany w podziemiach Agencji komputer przeszukiwał bazy danych. Po chwili przez ekran zaczęła przesuwać się lista dokumentów - plon trzyletniej pracy Marian na placówce CIA w Wiedniu. Obserwując przesuwaną się przez ekran listę, cofnęła się myślami w przeszłość. Nigdy nawet nie śniła, że wyznaczą jej zadanie w Europie...

Mimo imponującego wrażenia, jakie sprawia CIA, jest to agencja jak wszystkie inne tego typu instytucje - przeżarta

biurokracją, a między poszczególnymi wydziałami trwa nieustanna rywalizacja. Największe antagonizmy występują między dyrekcją wydziału operacyjnego i analitycznego. Oficerowie operacyjni wykonują tajne zadania na całym świecie, a w Langley analitycy przesiewają stopy danych wywiadowczych pochodzących z różnych źródeł i niczym wróżbici z fusów po kawie próbują przewidzieć przyszłość.

Oba wydziały traktują się wzajemnie z ogromną podejrzliwością graniczącą wręcz z pogardą. Wyszukani pracownicy operacyjni uważają analityków za zwykłych gryziopiórków i hochsztaplerów, którzy przekładają na biurkach stopy papierów i prowadzą jałowe, intelektualne dyskusje, podczas gdy wokół nich wre prawdziwa praca. Analitycy z kolei mają tajnych agentów operacyjnych za awanturników i kowbojów, którzy zbyt często podejmują ryzykowne i nieprzemyślane działania, stawiając tym samym Agencję w bardzo niekorzystnym świetle. Sporadyczne i ograniczone kontakty między dwoma wydziałami powiększają tylko wzajemną nieufność i sceptycyzm.

Mariah zrobiła karierę wśród analityków. Stamtąd właśnie, ze względu na niebywałą wiedzę na temat radzieckich arsenałów broni, zabrał ją do siebie Frank. Przez dziesięć lat pomagała mu śledzić zachodzące w Związku Radzieckim przemiany społeczne, polityczne i militarne.

Robiła przeróżne rzeczy. Przesiewała przechwycone informacje, próbując na ich podstawie przewidzieć kolejny krok Rosjan, ślęczała nad zdjęciami satelitarnymi tajnych instalacji wojskowych, analizowała wszelkie doniesienia i plotki, by ustalić, kto ma właśnie władzę i z kim trzeba się Uczyć, a kto stracił już wpływy w moskiweskiej hierar-

chii władzy. Kilka razy, występując jako fałszywy pracownik administracyjny Departamentu Stanu, brała udział w konferencjach amerykańsko-radzieckich, gdzie łączyła konkretne twarze z nazwiskami znanymi wyłącznie z raportów wywiadowczych, i próbowała ustalić, którzy przedstawiciele drugiej strony reprezentują twardą linię, a którzy należą do liberałów.

W tym czasie David wyrabiał sobie nazwisko jako błyskotliwy teoretyk i zdolny naukowiec, zajmujący się poskramianiem atomowej bestii, którą w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym wypuścili na wolność naukowcy z Los Alamos. Kiedy Związek Radziecki zaczął wykazywać pierwsze oznaki rozpadu, zarówno on, jak i Marian niepokoił się, że w tym rozgardiaszu i rozprężeniu Rosjanom może wymknąć się z rąk kontrola nad arsenałem nuklearnym.

David nawiązał znajomość z Hansem Blixem, Szwedem, dyrektorem naczelnym Międzynarodowej Agencji do spraw Energii Atomowej. Kiedy Blix zaproponował Davidowi pracę w Wiedniu, gdzie mieściła się centrala IAEA, ten z ochotą przyjął ofertę.

Marian przeprowadziła na ten temat wiele rozmów z Frankiem, który w końcu udał się do zastępcy dyrektora wydziału operacyjnego, Georgea Nevüle'a. Ostatecznie Agencja zgodziła się przydzielić Marian do wydziału operacyjnego i umieścić ją w swojej placówce w Wiedniu niby w charakterze pracownicy sekcji administracyjnej ambasady amerykańskiej. Przez cały więc czas pobytu w Austrii, Mariah, ku swemu wielkiemu zmartwieniu, pracowała z „kowbojami”.

Wykaz tytułów wyświetlanych na ekranie kończył się od-

syłaczem do ostatniego raportu, jaki Mariah wprowadziła do akt w Wiedniu. Było to krótkie sprawozdanie z tajnego spotkania z węgierskim dyplomatą, z którym rozmawiała tamtego fatalnego ranka, gdy David odwiózł do szkoły Lindsay.

Prychnęła na widok hasła, jakie pojawiło się na ekranie: UFNOŚĆ. Ktoś rzeczywiście wykazał się bardzo specyficznym poczuciem humoru. Węgier był alkoholikiem i człowiekiem bardzo nierzetelnym. Agencja współpracowała z nim od lat, choć jego informacje na temat rozpadu radzieckiego imperium w Europie Wschodniej nie miały większej wartości. I pomyśleć, że przez takiego bęcwała wysłałam rodzinę prosto w zastawioną pułapkę - pomyślała z goryczą Mariah. Zaczęła wyszukiwać wśród tytułów raportów hasła CHAUCER. Była to kodowa nazwa rosyjskiej fizyczki, która przekazała jej w tajemnicy, że podejrzewa Rosjan o pozbywanie się arsenału atomowego za twardą walutę. Mariah przypadkowo nawiązała z nią znajomość w biurze Davida, zaangażowała ją do pracy i zajmowała się nią aż do dnia, w którym kobieta zniknęła bez śladu. Tatiana Baranowa pracowała w międzynarodowej komisji IAEA, a Mariah spotkała ją na przyjęciu zorganizowanym na cześć wracającego do kraju angielskiego inspektora. Na bankiecie tym była też obecna Lindsay. Tak naprawdę to ona właśnie otworzyła drzwi operacji CHAUCER. Tamtego dnia Mariah odebrała córkę z angielskiej szkoły i udała się z nią do biura Davida w Międzynarodowym Centrum IAEA przy Wagramerstrasse, gdzie przyjęcie już się rozpoczęło.

Ktoś wsunął w dłoń Marian kieliszek z winem, a Lindsay szklanę z napojem chłodzącym. Matka i córka przysiadły na skraju ustawionego w rogu biurka i uśmiechnięte obserwowały, jak David gra na harmonijce ustnej, a zaimprovizowany na miejscu chór, niemiłosiernie fałszując, śpiewa brytyjskiemu inspektorowi piosenkę Beatlesów „Yesterday”. Po odśpiewaniu utworu wykonawcy padli przed Anglikiem na kolana. Lindsay zanosiła się od śmiechu.

- Co za urocze dziecko!

Mariah odwróciła się i ujrzała kobietę, którą najwyraźniej oczarowały miedzianej barwy loki oraz ciemne, roześmiane oczy Lindsay. Miała około trzydziestu lat, była troszeczkę młodsza od Mariah, niska i dość tęga - skutek tak popularnej w krajach Europy Wschodniej skrobiowej diety. Jej sympatyczna, okrągła twarz, szeroko rozstawione, jasnoniebieskie oczy i burza jasnych, zaondulowanych włosów przyciągały uwagę. Nieznajoma nie spuszczała wzroku z Lindsay. Dziewczynka popatrzyła w jej stronę, w jej oczach na chwilę pojawiła się niepewność, ale szybko odzyskała rezon. Zachichotała.

- To mój tata - pochwaliła się, wskazując grupę śpiewaków. - On jest zupełnie zwariowany!

Kobieta ponownie uśmiechnęła się i powędrowała wzrokiem za wskazującym palcem Lindsay.

- Pan Hewlett, ten który wraca do Anglii?

- Nie, ten z harmonijką. Bardzo dobrze gra. Sam się nauczył. Umie grać wszystko, ale najbardziej lubi bluesy.

- Rozumiem. A więc jesteś córeczką doktora Tardiffa. A jak ci na imię, maleńka?

- Lindsay Bolt-Tardiff - oświadczyła dziewczynka. -Mam już jedenaście lat... Prawie. - Podała rękę nieznanemu.
  - A zatem bardzo przepraszam - powiedziała kobieta, zachowując śmiertelną powagę. - Ja nazywam się Tatiana Baranowa. Możesz mówić do mnie Tania.
  - Cześć - odrzekła Lindsay i popatrzyła na Mariah. -A to jest moja mama.
  - Miło mi panią poznać. Ma pani śliczną córkę.
  - Dziękuję - powiedziała z uśmiechem Mariah i ucisnęła dłoń Rosjanki. - Proszę mi mówić Mariah. Pracujesz w IAEA?
  - Tak, ale zaledwie od kilku tygodni. Nie zdążyłam jeszcze wszystkich poznać.
  - I jak znajdujesz Wiedeń?
  - Naprawdę cudowny. Ale drogi - dodała, wywracając oczyma. - Tyle tu rzeczy w sklepach, że aż się nie chce wierzyć. Ze względu na ceny nie robię jednak wielu zakupów.
  - Rozumiem.
  - W Moskwie sklepy świecą pustkami. Tutaj przeciwnie. Jakże prosto żyje się tu ludziom.
  - Można tu zobaczyć wiele interesujących rzeczy, a to wcale dużo nie kosztuje.
  - Ja już trzy razy widziałam lippizanery - oznajmiła z dumą Lindsay. - One wprost tańczą!
- Tania przesłała jej pełen ciepła uśmiech.
- Zupełnie jak twoje oczy. Ale powiedz, skąd masz takie
- \* Rasa koni hodowana w Europie od początku XVI wieku. Używana w Hiszpańskiej Szkole Jeździectwa w Austrii. Lippizanery rodzą się z maścią ciemną, która między trzecim a siódmym rokiem życia zwierzęcia jaśnieje.**



piękne włosy? Twój tata ma czarne, a mama jest blondynką. Ty zaś... ty masz wspaniałą czuprynkę. - Przeciągnęła delikatnie dłonią po głowie Lindsay.

- Nie wiem. Tata mówi, że jestem wyrzucona.

- Podrzucona, Lins - poprawiła córkę ze śmiechem Marian i popatrzyła na Tanię. - Mój dziadek był rudy. W rodzinie Davida nikt nie jest rudy, ale mąż utrzymuje, że w przeszłości kilku jego przodków miało rude włosy, więc i on nosi trochę ich genów.

- Genów? - zdziwiło się dziecko.

- Tak. To cechy, które dziedziczysz po matce i ojcu. One decydują, czy jesteś wysoka, czy niska, czy masz oczy brązowe, czy niebieskie.

- Wiem - mruknęła Lindsay i odwróciła się do Tani. - Mam też w sobie geny hokejowe. Po tacie. Mama pochodzi z Kalifornii, więc nie ma w sobie genów sportów zimowych. Tata uczy mnie gry w hokeja.

- Nie mów! - wykrzyknęła Tania. - Mamy więc ze sobą wiele wspólnego. Możesz mi wierzyć lub nie, ale gdy byłam dziewczynką, w swojej szkole w Rosji grałam w dziewczęcej drużynie hokejowej.

Mieliśmy ligę dziecięcą i byliśmy naprawdę dobre. Ja grałam na bramce.

- Mój tata występuje na środku. Ja nie gram na żadnej pozycji, bo u nas dziewczynki nie mogą grać w drużynach. To niesprawiedliwe! Po prostu jeżdżę z tatą po lodowisku i podajemy sobie krążek. Ale umiem strzelać! - dodała. - Nie obroniłabyś żadnego mojego strzału.

- Nie wątpię - odrzekła Tania i wybuchnęła śmiechem. - Nie grałam już od wielu lat. Chętnie jednak obejrzałabym jakiś mecz.

- W sobotę gra drużyna mego taty. Mamo, czy Tania mogłaby z nami pójść?

- Naturalnie. Będzie nam miło, jeśli do nas dołączysz. W skład drużyny wchodzi przedstawiciele różnych międzynarodowych misji. Wasza ambasada też ma swój zespół. Drużyna Davida często z nimi gra. Ale w sobotę rano przeciwnikiem ma być zespół jakiejś miejscowej fabryki. Nie jest to żadna zawodowa drużyna, ale na pewno będzie dużo zabawy. Przyjdź.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie wiem...

- Możemy po ciebie przyjechać - zaproponowała Lindsay i popatrzyła na matkę.

Mariah skinęła głową.

Na twarzy Tani pojawił się nagły strach - strach zrodzony z gróźb oficerów KGB, którzy zabraniali swym rodakom bratania się z kapitalistycznymi wrogami. Zanim Tania odwróciła głowę, Mariah dostrzegła w jej oczach wielki żal, a jednocześnie osobliwy błysk. Gniewu? Buntu?

- Naprawdę bardzo bym chciała, lecz w sobotę nie mogę. Ale dziękuję za zaproszenie. - Tania popatrzyła z wahaniem na Mariah, po czym przeniosła wzrok na jej córeczkę. - Muszę już uciekać. Cieszę się z naszego spotkania, Lindsay - powiedziała i pocałowała ją w policzek. - Do widzenia, pani Tardiff.

Mariah zapisała coś na papierowej serwetce. Kiedy Baranowa wyciągnęła do niej rękę, dyskretnie wsunęła jej kartkę w dłoń.

- Zapisałam ci nazwę lodowiska - powiedziała cicho. - To niedaleko stacji Alte Donau U-Bahrt. Na wypadek gdy-

byś jednak wygospodarowała trochę czasu. Mecz zaczyna się o dziewiątej. Sprawiałabyś nam wielką radość.

Rosjanka jeszcze chwilę bacznie przyglądała się Marian, po czym odwróciła się i odeszła.

Ostatecznie - wspominała Marian - Tani udało się jakoś zmylić obserwatorów KGB, którzy mają baczne oko na wszystkich swych dyplomatów, i pojawiła się na meczu.

I tak się to wszystko zaczęło.

Mecz hokejowy, poza oficjalnym przyjęciem w siedzibie IAEA, był jedynym miejscem, gdzie Marian i Tatiana Baranowa spotkały się publicznie. Jednak adnotacje w komputerze mówiły, że w ciągu następnych czternastu miesięcy obie kobiety spotykały się osiem razy.

Później po Tani przepadł wszelki ślad i operację CHAUCER zamknięto. Niedługo potem przed budynkiem angielskiej szkoły w Wiedniu ciężarówka staranowała samochód, w którym jechali David i Lindsay.

Marian podświetliła na ekranie pierwszy odnośnik do hasła CHAUCER. Miała cichą nadzieję, że uda się jej znaleźć jakąś boczną furtkę, przez którą dostanie się do swego osobistego rejestru. Kiedy jednak nacisnęła „enter”, znów pojawiła się ta sama informacja.

PLIK ZASTRZEŻONY. BRAK DOSTĘPU.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Rollie Burton stał w niewidocznym ze ścieżki miejscu, ukryty w cieniu rzucanym przez grupę niebieskich świerków. Swymi niesamowitymi oczyma - jednym niebieskim, drugim zielonym - obserwował sylwetkę kobiety przesuwającą się za oknami basenu kąpielowego. Palcami prawej dłoni wodził nerwowo po wyrzeźbionej w kości słoniowej rękojeści noża, przygotowując się do chwili, kiedy zwolni wreszcie ostrze.

Jeszcze kilka minut wcześniej czaił się pod oknami jej domu, kiedy zaskoczyła go, wychodząc samotnie. Poszła alejką w kierunku ośrodka rekreacyjnego. Burton wprost nie wierzył własnemu szczęściu.

Wyśliznął się z samochodu i kryjąc się w cieniu drzew, ruszył jej śladem. Nie miał wystarczająco dużo czasu, by dopaść ją i bezgłośnie zabić, zatem postanowił poczekać, aż ofiara opuści basen i ruszy w drogę powrotną do domu. Miał nadzieję, że nastąpi to szybko. Na dworze panował przenikliwy ziąb. Przez panoramiczne okno widział, jak staje na skraju basenu. Pochyliła się, ręce odrzuciła do tyłu, uniosła podbródek, wzrok wbiła w wyznaczony na wodzie tor. Przez chwilę czas jakby stanął w miejscu, wreszcie jej ramiona wystrzeliły do przodu, wyprężone palce dłoni wbiły się w ta-

fłę wody, a za nimi gładko wsunęła się pod powierzchnię reszta ciała, wzbijając jedynie niewielką fontannę. Widząc to, Burton zawahał się. Większość kobiet, kiedy je napadał, wpadała w panikę jak sarna pochwyciona w snop światła czołowych reflektorów samochodu. Ale ta była wysportowana i silna, co do tego nie miał już wątpliwości, i mogła wykazać się mężnym sercem wojownika.

Po chwili jednak parsknął lekceważąco. Do licha, podczas treningów partyzanckich bez trudu radził sobie z przeciwnikami dwukrotnie od niego większymi. Nie ma na świecie kobiety, z którą by sobie nie poradził. Poza tym uwielbiał spoglądać w oczy ofiar, kiedy te widziały w jego ręku nóż.

W powietrzu krążył prywatny odrzutowiec. Pilot czekał na zezwolenie lądowania na lotnisku Dullesa. Dieter Pflanz obserwował, jak Gus McCord wstaje z fotela i podchodzi do swej żony, śpiącej na kanapce ustawionej przy bocznej ścianie z tyłu kabiny. Kiedy Angus upewnił się, że Nancy ma dobrze zapięte pasy, szczelniej okrył jej ramiona pledem. Chwilę spoglądał na jej twarz. Miała zamknięte oczy i pogrążona była w głębokim śnie. McCord chciał, żeby została w domu, lecz ona zawsze potrafiła postawić na swoim.

Pflanz wiedział, że choroba Nancy McCord od ośmiu lat nieustannie się pogarsza, a od sześciu miesięcy prawie każdego dnia przynosi ataki bólu. Starła się to ukrywać przed Gusem, lecz on doskonale wiedział, kiedy nadchodzi atak. Ilekroć proponował jej nitroglicerynę, upierała się, że nic jej nie jest i że nie ma powodów do obaw.

McCord odgarnął z oczu żony niesforny kosmyk włosów i dłuższą chwilę obserwował jej unoszące się i opadające

w równym oddechu plecy, po czym wrócił do siedzącego na przodzie kabiny Pflanza. Pod drugą ścianą Jerry Siddon grał w warcaby z fotografem.

Pflanz wręczył Gusowi faks, który właśnie wysunął się z drukarki. McCord rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapiął pas bezpieczeństwa. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął okulary w kształcie półksiężyców, nałożył je i przystąpił do lektury.

Faks pochodził z biura McCord Industries w Albuquerque w Nowym Meksyku, gdzie przedsiębiorstwo od lat posiadało swoją filię. Państwo co roku inwestowało miliony w przemysł obronny, a McCord Industries miało w tym swój udział, dostarczając sprzętu elektronicznego i specjalistycznej aparatury do badań wojskowych oraz finansując rozbudowę ośrodków badawczych w Albuquerque i w Los Alamos. Praca w przemyśle obronnym wiązała się z zapewnieniem sobie ochrony i dlatego do biura w Albuquerque Pflanz musiał podesłać silny kontyngent swoich ludzi. Jeden z jego głównych fachowców, którego osobiście wybrał, miał tam w tym tygodniu wyjątkowo napięty harmonogram zajęć. McCord, czytając krótką wiadomość, był najwyraźniej rad, że wszystko poszło zgodnie z planem.

„Towar dostarczono. Klient w pełni usatysfakcjonowany” - donosił faks.

McCord skinął głową i popatrzył zza półksiężyców na Pflanza.

- Dobra robota. Ale muszę ci się przyznać, Dieter, że w pewnej chwili zwątpiłem już, czy uda się wszystko zgrać w czasie. Prześladowała mnie wizja jakiegoś poślizgu. Teraz widzę, że powinienem bardziej ci ufać.

Pflanz zacisnął wielkie dłonie na krawędzi stolika.

- To jedynie kwestia przykładania należytej wagi do szczegółów, Gus. Sam wiesz o tym najlepiej. No i trzymania wszystkiego silną ręką.

- A co z miejscowymi władzami Nowego Meksyku? Czy jesteś pewien, że nie wynikną żadne trudności?

- Jasne, że nie. Zaraz po wypadku posłaliśmy tam federalnych, którzy pozacierali wszelkie ślady. A miejscowi wolą od federalnych trzymać się z daleka.

- Rodziny ofiar?

- Kingman rozwiódł się przed dwoma laty. Nie miał dzieci. Jego była żona wciąż mieszka w Los Alamos. Jest lekarzem medycyny. Mieszka sama. Bowker, drugi Amerykanin, był kawalerem. Rodzice nie żyją. Miał brata w Idaho, ale nie utrzymywał z nim kontaktów. Zwykła, przypadkowa śmierć. Pogrzeb wyznaczono na sobotę.

McCord uniósł brwi.

- Chyba niewiele zostało do chowania.

- Niewiele. Wyglądało to jak małe piekło. Sądzę, że urnę z prochami prześlą jego bratu.

- Dobrze, że jego rodzice nie żyją. Nie wyobrażam sobie, jak ja bym zniósł wiadomość, że coś podobnego przytrafiło się któremuś z moich dzieci.

McCord oddał Pflanzowi faks, rozparł się wygodniej w fotelu, zdął z nosa okulary i przetarł oczy.

Szef ochrony bacznie go obserwował. Zawsze zdumiewało go, że człowiek może uwielbiać tego typu akcje - a Gus je uwielbiał - jednocześnie pozostając sentymentalny i pełen rodzinnych uczuć. Na korzyść McCorda przemawiał jednak fakt, że przy podejmowaniu decyzji nigdy nie kie-

rował się sentymentami. Zawsze mówił, że nie ma wojen bez ofiar.

Mariah cięła ramionami wodę niczym śmigło samolotu cienki jedwab spadochronu. Przepłynęła nad znakiem T, wymalowanym na dnie przy końcu basenu, wykonała zgrabny zwrot i popłynęła z powrotem wzdłuż lin wyznaczających tor. Uderzała rękami w wodę, próbując bezskutecznie prześcignąć własne, oszalałe myśli.

Gdy nie zdołała wejść do pliku CHAUCER w zwykły sposób, spróbowała innej metody - odwołała się do plików Agencji zawierających dane biograficzne. Taktyka ta przyniosła rezultat połowiczny.

Plik Tatiany Baranowej nie zawierał nic, czego by już nie знаła, ponieważ wszystkie te informacje Mariah sama zgromadziła i wprowadziła do akt. Podczas ich pierwszego spotkania Baranowa miała trzydzieści jeden lat. Urodziła się w Moskwie, jej rodzice należeli do sowieckiej elity -matka była inżynierem, a ojciec, podobnie jak córka, fizykiem jądrowym.

Baranowa poślubiła mieszkającego w Moskwie lekarza, lecz, jak wyznała Mariah, małżeństwo to szybko się rozpadło. Gdy po raz pierwszy wysłano ją do Wiednia, aparat władzy w państwie radzieckim znajdował się w początkowym stadium rozkładu, a system nie funkcjonował już jak należy. Nie miała dzieci - dwukrotnie poroniła, a jedno dziecko zmarło w wieku dwóch lat. Mariah szybko zorientowała się, że Tania zwróciła uwagę na lindsay, dlatego że wciąż jeszcze była w głębokiej żałobie po swej zmarłej córeczce.



Kiedy Marian próbowała dowiedzieć się, co stało się z Tanią, która tak wiele ryzykowała, decydując się na współpracę z Amerykanami, za każdym razem trafiała w ten sam punkt. ODSYŁACZ, ZOB: OPERACJA CHAUCER - niezmiennie odpowiadał jej komputer.

Gładząc palcem róg klawiatury, zastanawiała się, co może jeszcze zrobić. I wtedy, całkiem odruchowo, wystukała na klawiaturze: CHANEY PAUL. Ostatecznie to on rozdrapał zabliznione rany, pojawiając się nagle z tą nieprawdopodobną informacją.

Chwilę później ekran komputera wypełnił kolejny plik. W rogu widniało zdjęcie Chaneya, a pod nim podstawowe dane:

*CHANEY, Paul Jackson. Ur. 04/02/1949 w Nowym Jorku, stan Nowy Jork. Obywatelstwo: amerykańskie. Aktualny adres: Lannerstrasse 28, Wiedeń, Austria. Zawód: starszy korespondent zagraniczny, sieć telewizyjna CBN, 700 Avenue of the Americas, Nowy Jork, w stanie Nowy Jork Stan cywilny: rozwiedziony (Phyllis Chaney Fordham, z d. Martin; New Haven, w stanie Connecticut). Potomstwo: Jackson John Chaney Fordham (syn), urodzony: 06/17/1983.*

Mariah pokiwała głową, czytając wzmiankę o synu Chaneya; chłopiec był zaledwie dwa lata starszy od Lindsay. David wspomniał kiedyś, że Paul ma dziecko, które widuje raczej sporadycznie.

Dziennikarz stracił wtedy wiele w jej oczach. Przypominał jej własnego ojca. Sądząc po nazwiskach umieszczonych przy imieniu chłopca, Jack został adoptowany przez drugiego męża matki. Może więc jego dzieciństwo jest szczęśliwsze od mojego - pomyślała smutno Mariah. Ostatecznie jakiegoś ojca ma.

Przestudiowała wykaz podróży służbowych Paula Chaneya. Gdyby go tak dobrze nie znała, mogłaby nabrać podejrzeń, że specjalnie szuka śmierci. W ciągu kilku lat wyjeżdżał do Związku Radzieckiego, Afganistanu, na Bliski Wschód, do Irlandii Północnej i Afryki Południowej. Zdobył kilkanaście liczących się nagród dziennikarskich, w tym jedną za reportaże z wojny w Zatoce. Mariah dobrze znała metody jego pracy i choć ich nienawidziła, musiała przyznać, że w tym, co robi, jest nie do pobicia. Przejrzała resztę pliku, lecz nie znalazła nic interesującego - przeważnie wzmianki o wywiadach, jakie przeprowadził z przywódcami politycznymi różnych krajów.

I nagle na ekranie pojawiło się imię i nazwisko Elsy von Schleimann. Któryś z pracowników placówki w Wiedniu poinformował Laagley o powiązaniach Chaneya z „Księżniczką”, jak samowważczo się nazwała. Wprawdzie każdy Austriak zaklinał się, że pochodzi z rodu Habsburgów, lecz z tak błahego powodu nikt nie trudziłby się wprowadzać Elsy do kartoteki CIA. Przecież nie włączono do niej żadnej innej z licznych przyjaciółek Chaneya. Dlaczego więc ktoś uznał za istotne, by zwrócić uwagę na jego związek z tą akurat kobietą?

VON SCHLEIMANN, ELSA - wystukała na klawiaturze.

ODSYŁACZ, ZOB: MULLER, KATARINA - odpowiedział komputer.

Mariah zastosowała się do polecenia i czekała chwilę, aż na ekranie pojawi się kolejny plik, tym razem z fotografią Elsy w rogu.

*MÜLLER, Katarina. ZNANA TEŻ: Von Schleimann, Elsa; Golmer, Lisa; Brandt, Anna Katrina. Ur. 11/09/1955,*

*Lipsk, Niemiecka Republika Demokratyczna. Obywatelstwo: niemieckie (Niemcy Wschodnie).*

*Aktualny adres: nieznanym.*

*Zawód: nieznanym. Były oficer (porucznik) w ministerstwie bezpieczeństwa państwowego Niemiec Wschodnich. Stan cywilny: nieznanym. Potomstwo: nieznanym.*

Mariah znalazła z pół tuzina odsyłaczy do innych plików dotyczących operacji, w których Müller stała po stronie przeciwników. Jedną z nich - Mariah wiedziała to, jeszcze zanim wyczytała tę informację u dołu ekranu - była operacja CHAUCER. Usiadła wygodniej na krześle. Czuła ogarniające ją mdłości. Zasłoniła, usta dłonią i zaniknęła oczy. Elsa - czy Katarina Müller, czy jak się tam, do diabła, naprawdę nazywała - była dawnym wschodnioniemieckim szpiegiem. Ale Niemiecka Republika Demokratyczna rozpadła się i połączyła z Niemcami Zachodnimi w czasie, gdy David i Mariah przebywali w Austrii. A kiedy to już się stało, Katarina Müller, wzorem wielu innych agentów z bloku wschodniego, mogła stać się niebezpieczną gadułą, najemnikiem gotowym podjąć pracę dla każdego, kto odpowiednio zapłaci za jej urniejęteości.

I nagle, z niezwykłą wyrazistością, Mariah przypomniała sobie, jakimi względami Elsa darzyła Davida, ilekroć pojawiała się w ich domu w towarzystwie Chaneya. Wtedy Mariah traktowała to jako próby zwykłego flirtu, denerwujące, lecz zupełnie nieszkodliwe, choć z drugiej strony zdawała sobie sprawę z tego, że Elsa podobnych awansów nie czyniła innym mężczyznom. Nie wiedziała dlaczego, lecz nagle nabrała pewności, że z operacją CHAUCER było coś nie tak.

Zostawiając za sobą smugę spienionej wody, pokonywała jedną długość basenu za drugą. Zwrot, obrót w wodzie, odepchnięcie się opuszkami palców nóg od gładkich kafelków - i już jej ciało, niczym torpeda, sunęło w przeciwnym kierunku. Czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt długości basenu.

Uszy wypełniał jej szum wody i własnego oddechu.

Kiedy wreszcie przepłynęła dystans, który sobie wyznaczyła, odetchnęła głęboko kilka razy i zanurkowała do samego dna. Patrząc w górę przez warstwę wody, widziała rozmazane światło zawieszonych pod sufitem lamp. W pewnej odległości od siebie dostrzegła kilka ciał wykonujących rytmiczne ruchy nogami.

Wypuściła z płuc powietrze, które chmurą banieczek wypłynęło na powierzchnię, i niechętnie wynurzyła się z wody. Chwilę unosiła się na powierzchni, rozprostowując zmęczone nogi i ramiona, po czym zwinnie wyskoczyła z basenu. W szatni wyciągnęła z szafki torbę z rzeczami i ruszyła pod prysznic. Kiedy szukała dla nich nowego domu, specjalnie wybrała taki, w pobliżu którego znajdował się ośrodek rekreacyjny z basenem. Doszła do wniosku, że to znacznie przyspieszy rehabilitację Lindsay, jeśli córka będzie miała łatwy dostęp do wody. Jednocześnie bardzo ułatwiła sobie tym życie, które było i tak wystarczająco skomplikowane.

Wyszła spod prysznic, wytarła się, nałożyła kostium do joggingu<sup>^</sup> a na wierzch starą kurtkę hokejową Davida. Lindsay była w domu i odrabiała lekcje. Mariah towarzyszyła córce przy kolacji, lecz sama posiłek postanowiła zjeść po treningu i teraz umierała wprost z głodu.

Kiedy zmierzała do drzwi wyjściowych, zderzyła się ze starszym mężczyzną, który na basenie pływał na sąsiednim

torze i teraz też wychodził z szatni. Wymienili uśmiechy, a on przytrzymał drzwi i przepuścił Marian przodem.

- Dzięki. Dobrze się panu pływało?

- Jasne. Staram się pływać codziennie. Robię tak już od lat. Czy zima, czy lato, dwadzieścia basenów.

- Wyjdzie to panu tylko na zdrowie. Ja mogę przychodzić tu tylko trzy razy w tygodniu. Ale to i tak wielka frajda.

Ruszyli razem ścieżką.

- Zauważyłem, że doskonale pani pływa - odezwał się mężczyzna. - Widywałem tu już panią wcześniej. Czy występowała pani w reprezentacji?

- Marzenie ściętej głowy. Ale dużo pływałam na zawodach w szkole średniej i na studiach. Odnosiłam pewne sukcesy, ale nie aż takie by pojechać na igrzyska. Nigdy nie miałam dobrych czasów. Doszłam w końcu do wniosku, że budowa mojego ciała daje mi wielką wytrzymałość kosztem szybkości.

- Proszę nie lekceważyć wytrzymałości. Niech pani popatrzy na mnie. Mam już osiemdziesiąt dwa lata, i proszę.

Stary człowiek dumnie poklepał się po kościstym torsie.

- Osiemdziesiąt dwa? Chyba pan żartuje! W świetle latarni rozbłysły mu oczy.

- Broń Boże! Tak więc, młoda damo, też pilnie trenuj.

- Będę... Pan stanie się moją inspiracją. A tak swoją drogą, na imię mam Marian - dodała, wyciągając rękę. -Mariah Bolt.

Uścisnął jej dłoń. Uścisk miał wyjątkowo silny.

- Laughlin, John Laughlin. Proszę mówić mi John.

- Miło mi było cię poznać, John. Ja już tutaj skręcam. Zapewne nie raz się jeszcze spotkamy.

- Z całą pewnością - powiedział mężczyzna, uśmiechając się promiennie. - A teraz wracaj prosto do domu, Mariah. Będę patrzeć. Nigdy nie wiadomo, jakie typy czają się w krzakach.

Stanął na skrzyżowaniu alejek, Mariah zaś uśmiechnęła się do niego po raz ostatni i pomachała mu ręką. Czuła się jak sześciolatka.

- Dzięki, John. Dobranoc.

. Odwróciła się i skierowała w stronę domu. Gdy niedaleko rozległ się dźwięk uruchamianego silnika samochodu, drgnęła niespokojnie. Obejrzała się za siebie, lecz starszy mężczyzna już odszedł.

Zmarszczyła brwi, wzruszyła ramionami i ruszyła do domu nieświadoma tego, że John Laughlin stoczył się właśnie po trawiastym zboczu pagórka z poderżniętym gardłem.

Zamyślona, szybko posuwała się ścieżką. W chłodnym powietrzu z jej ust wydobywały się obłoczki pary. Nagle gdzieś za nią trzasnęła sucha gałązka. W chwilę później usłyszała coś jeszcze; metaliczny trzask.

Rozejrzała się, po czym ruszyła biegiem. Biegając, sięgnęła do kieszeni kurtki, w której trzymała klucze. Chwyciła w dłoń kółko, na którym były zawieszony, a same klucze wsunęła między palce. Była czujna, rękę ze sterczącymi kluczami trzymała w pogotowiu. Jej pięść stała się bardzo groźną bronią, a ona potrafiła zrobić z niej użytek. Nie ustając w biegu, bacznie nastawiała uszu, lecz słyszała jedynie szum jadących po zasłoniętej drzewami ulicy samochodów i odległe zawroźnienie syreny. Była już blisko domu, gdy za jej plecami rozległy się szybkie kroki kogoś, kto nie próbował wcale kryć swej obe-

ności. Minęła ostatni róg i trzema susami przebyła krótki podjazd prowadzący do budynku. Wbiegła po schodkach i zaczęła wybierać klucz.

Teraz kroki zbliżały się bardzo szybko. Przeklinając w duchu trzęsące się ręce, zaczęła wpychać klucz do zamka. Wreszcie wpadła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na wszystkie zamki i zasuwę.

Szybko wyjrzała przez wizjer. Na końcu krótkiego podjazdu pojawiła się męska postać w baseballówce i ciemnej wiatrówce. Twarz intruza niknęła w cieniu, a sama sylwetka była nieco zniekształcona i rozmazana przez szkło wizjera. Po chwili postać odwróciła się i zniknęła między drzewami.

Mariah głęboko zaczerpnęła tchu i oparła się czołem o drzwi. Zastanawiała się, czy nie-powinna zadzwonić na policję. Ale co powie? Że o dziewiętnastej trzydzieści ktoś szedł za nią alejką? Że może ją gonił, a może nie?

- Mamo? - Aż podskoczyła nerwowo, słysząc tuż za plecami głos Lindsay. - Co robisz?

Odwróciła się i popatrzyła na zdumioną twarz córki.

- Nic. Wszystko w porządku. Biegłam i teraz nie mogę złapać tchu.

- Biegłaś? - wytrzeszczyła oczy Lindsay. - Przecież ty nie lubisz biegać.

Mariah zamierzała coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili nad głową córki dostrzegła wychodzącego z salonu mężczyznę.

- Witaj, Mariah - powiedział Paul Chaney.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mariah przeniosła wzrok z Paula na Lindsay, po czym znów popatrzyła na mężczyznę.

- Co ty tu robisz? - spytała ostro.

- Mamo! - Lindsay była wyraźnie oburzona zachowaniem matki. - Przyszedł pół godziny temu.

Powiedziałam mu, że niedługo wrócisz, więc zgodził się poczekać.

Mariah z irytacją popatrzyła na córkę.

- Lindsay, co ci mówiłam na temat otwierania drzwi nieznanym, kiedy nie ma mnie w domu?

- Wyjrzałam przez wizjer - zaprotestowała dziewczynka. - Mówiłaś, abym nie otwierała obcym. Jego przecież znam.

- Przepraszam, Mariah - mruknął Chaney, dając krok do przodu. - To nie jej wina. Powinienem był najpierw zadzwonić... ale moja poprzednia wiadomość, którą zostawiłem na automatycznej sekretarce, nie dotarła do ciebie.

- Dotarła - odparła Mariah, odstawiając torbę sportową, a następnie odwieszając do szafy kurtkę. - Byłam zajęta.

Odwróciła się w jego stronę. Kusiło ją, by siłą wyrzucić go za drzwi, mimo że był od niej wyższy o dobrych dwadzieścia centymetrów.

- Mamo, przeprowadziłam z panem Chaneyem wywiad do naszej szkolnej gazetki - oświadczyła tymczasem zarumieniona Lindsay.



- Daj spokój, Lindsay, mów do mnie Paul.

- Lindsay, mów do niego „proszę pana”.

- Obiecał, że zaprosi mnie do studia telewizyjnego i wszystko mi tam pokaże - ciągnęła zaaferowana dziewczynka, nie zwracając uwagi na panujące między dorosłymi napięcie.

- To bardzo uprzejme z jego strony, ale pan Chaney jest człowiekiem bardzo zapracowanym, a ty zgromadziłaś już wystarczającą ilość materiału do swego artykułu. - Kiedy Lindsay próbowała protestować, Marian uniosła groźnie palec. - Czy odrobiłaś lekcje?

- Nie, ale...

- Żadnych ale. Na górę, moja panno. A przed wyjściem pożegnaj się z panem Chaneyem.

- Mamo! - zawołała dziewczynka z pretensją w głosie.

- Wybacz, Lindsay - wtrącił się Chaney, wyciągając do niej rękę. - Tutaj rządzi twoja mama. Może innym razem, dobrze?

Lindsay uścisnęła mu dłoń, nie spuszczając z matki oczu. Przez moment jeszcze zwlekała, po czym mocno utykając, zaczęła powoli wchodzić po schodach. Marian spojrzała za nią, później zamknęła oczy i ciężko westchnęła.

- Marian...

Odwróciła się do Chaneya i przesłała mu miazdzące spojrzenie.

- Przejdźmy do kuchni - powiedziała, znikając za drzwiami. Paul posłusznie ruszył za nią i zajął wskazane krzesło. - Ostrzegam, jestem głodna i w paskudnym nastroju. Nie żartuję. - Otworzyła lodówkę. - Mam straszną ochotę na piwo. Też się napijesz? - Chaney skinął potaku-

jąco głową, wyjęła więc dwie butelki, oparła się o zlew i ze złością zdjęła kapsle. - Gdy wracałam z basenu, laź za mną jakiś odrażający typ. Potwornie mnie wystraszył.

- Ale cię nie zaczepiał?

Marian zbyła pytanie pełnym niesmaku grymasem i podała gościowi otwartą butelkę piwa. Chaney upił łyk i zaczął z uwagą studiować etykietkę.

Mariah również łyknęła piwa i smakując na języku cierpki trunek, popatrzyła na Chaneya. Twarz miał jakby stworzoną do pracy w środkach masowego przekazu. Nos i usta posiadały nieskazitelny kształt, zęby wyglądały jak z podręcznika stomatologii. Siwiejące na skroniach włosy dodawały dorosłości jego gładkiej, chłopięcej twarzy, zaś niesforny kosmyk włosów opadający nieustannie na czoło nadawał mu łobuzerski wygląd.

- Czy już coś jadłeś? - spytała niechętnie. Ciekawa była, co ma jej do zakomunikowania, lecz najpierw koniecznie musiała coś zjeść.

- Prawdę mówiąc, nie. Przyszedłem prosto z pracy.

- Po co przyjechałeś do Waszyngtonu?

- Pracuję nad dwoma tematami. Poza tym negocjuję z siecią telewizyjną mój następny kontrakt.

- Opuścisz Wiedeń?

- Może.

Mariah wskazała głową kuchenkę mikrofalową.

- Mam resztki kolacji. Starczy dla nas obojga.

- Z tego co pamiętam, twoich „resztek” mogłaby pozazdrościć najlepsza restauracja. Niezależnie co to jest, pachnie wspaniale. Od chwili gdy przekroczyłem próg twego domu, czuję ssanie w żołądku.

- To *moussaka*. - Wzięła duży nóż i podeszła do deski do krojenia chleba. Położyła oba przedmioty przed Chaneyem i podała mu koszyk na chleb z połową bagietki. - Pokrój.

- Wedle życzenia szanownej pani. - Chaney szybko sprawdził kciukiem ostrość noża. - Przez chwilę myślałem, że to mordercze narzędzie przygotowałaś z myślą o mnie. Zapewne zasługuję na takie traktowanie. Tak podstępnie zakradłem się do twego domu...

- Nie miał językiem, tylko krój.

Mariah wyjęła z lodówki sałatę, którą już wcześniej wymyśla, dołączyła do niej sos winegret i marszcząc czoło, zaczęła wybierać przyprawy. Postawiła salaterkę przed Chaneyem i zabrała pokrojone pieczywo, nóż i deskę do krojenia.

- Teraz wymieszaj.

Rozłożyła na stole talerze, serwetki i sztucce. Kiedy Paul uporał się z sałatą, na środku stołu postawiła garnek z *moussaką*, zajęła miejsce na krześle i oboje zaczęli w milczeniu jeść.

Podczas kolacji unikała jego wzroku, choć nieustannie czuła wlepione w siebie jego oczy. Była jednak zbyt zmęczona i spięta, by zwracać na to uwagę.

W Wiedniu podobne spojrzenia strasznie ją krępowały. Chaney był przyjacielem Davida, a David nie zwracał najmniejszej uwagi na jego zachowanie, więc i ona początkowo sprawę bagatelizowała, przekonując samą siebie, że daje ponieść się wyobraźni. Udawała, że nie dostrzega, jak Paul wstaje z krzesła, ilekroć ona wchodzi do pokoju, jak nieustannie jej się przygląda, jak gwałtownie odwraca się, ilekroć David ją dotyka. Nawet gdy na scenie pojawiła się

arogancka Elsa, Chaney nieustannie szukał towarzystwa Mariah, wciągał ją w rozmowy, oferował pomoc, gdy wychodziła z pokoju do kuchni po jedzenie lub napitki. Sprawiał wrażenie, iż nie mieści mu się w głowie, że może istnieć kobieta nieczuła na jego urok i awanse. Mariah doskonale zdawała sobie z tego sprawę, lecz jednocześnie dobrze wiedziała, ile bólu może sprawić tego rodzaju czarodziej - taki jak jej ojciec, który przed laty porzucił rodzinę.

W końcu, na krótko przed wypadkiem Davida, pojęła, że wszystko to wcale nie było grą jej wyobraźni. Pewnego wieczoru Chaney próbował ją uwieść, i to nie gdzie indziej, ale na tarasie rezydencji ambasadora. Mariah pojawiła się na tym raucie sama, gdyż Davidowi wypadły jakieś ważne zajęcia. Kiedy wyszła na taras, by zaczerpnąć świeżego powietrza, natychmiast pojawił się obok niej Paul. Pogawędzili po przyjacielsku, pożartowali...

Kiedy zaś to już się stało, wielokrotnie zadawała sobie pytanie, czy nie zareagowała zbyt późno, gdy wziął ją w ramiona. Czy to jej wina, że pozwoliła się całować?

Wiedziała, że nie. Elsa polowała na Davida - Paul polował na nią. Stanowili zespół. Choć wydawało się to zbyt naciągane, nabrała pewności, że w Wiedniu rozgrywała się jakaś gra, której zasad nie rozumiała do dziś. Pytanie brzmiało: jaki był cel tej gry? I czy sprawy nie potoczyłyby się inaczej, gdyby tamtej nocy nie odtrąciła Paula Chaneya.

- Czy to matka nauczyła cię gotować? - zapytał teraz, przymykając oczy i delektując się jedzeniem.

- Moja matka nigdy nie gotowała niczego, co nie pochodziłoby z puszki - odparła. Chaney otworzył oczy i bacznie na nią popatrzył, na czole pojawiła mu się głęboka

zmarszczka. - Na prowadzenie gospodarstwa nie miała ani czasu, ani energii - wyjaśniła Mariah. - Pracowała na dwóch posiadach, by utrzymać mnie i moją młodszą siostrę. Nasz ojciec odszedł, jeszcze zanim urodziła się Katie. Ja miałam wtedy siedem lat.

- Przykro mi. Nie wiedziałem.

- Dlaczego ma być ci przykro? - spytała szorstko, a Chaney wbił wzrok w swój talerz i nerwowo poprawił się na krześle. - W końcu to nic takiego. Lepiej się stało, że mężczyzna, który kochał tylko siebie, poszedł sobie w świat.

Paul odłożył sztućce, oparł się i zaczął wodzić palcem po krawędzi talerza. Kiedy znów popatrzył na Mariah, miał lodowate spojrzenie.

- Czy to dlatego?

- Co dlatego?

- Czy dlatego nigdy mnie nie zaakceptowałaś? Mariah pochyliła głowę i zaczęła grzebać widelcem w jedzeniu.

- Sądzę, że moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy.

- Może i nie. Ale ja nie porzuciłem żony i dziecka. To oni ode mnie odeszli... to znaczy ona. Pewnego dnia wróciłem z Bejrutu i zastałem pusty dom oraz wiadomość od jej prawnika, że wystąpiła o rozwód. Możesz myśleć o mnie, co chcesz, ale spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba.

- Paul, nie chcę tego słuchać.

- Wiem, ale ja chcę ci o tym opowiedzieć. Mieszka teraz z facetem, którego poznała, zanim ja pojawiłem się w jej życiu. Najprawdopodobniej zeszli się jeszcze przed urodze-

niem Jacka. Następnego dnia po rozwodzie ze mną poślubiła tego gościa. Phyllis nie była szczególnie dobrą żoną, ani ja mężem, jakiego się spodziewała. Ale jest *dobrą* matką. Jediną rzeczą, w której się ze sobą zgadzamy, jest dobro Jacka. Przekonała mnie, że dlatego powinienem trzymać się od niego jak najdalej. - Chaney położył na stole zaciśnięte pięści i pochylił się do przodu. - Mariah, uwierz mi, przez ostatnich dziesięć lat nie było dnia, żebym nie zadreślał się myślą, że postąpiłem źle. Mariah pragnęła, by wszystko to, co teraz usłyszała, okazało się kolejną grą, taką jak w Wiedniu, na tarasie rezydencji amerykańskiego ambasadora. Lecz tym razem widziała w oczach Chaneya prawdziwy ból.

Powoli skinęła głową.

- Przepraszam, to było uderzenie poniżej pasa.

W milczeniu wrócili do jedzenia. Mariah przesunęła w jego stronę garnek.

- Skończ to, proszę.

- Dzięki. Było pyszne ale już się najadłem. Czy teraz możemy porozmawiać?

Mariah wahała się chwilę, po czym uniosła palec.

- Dobrze, ale za moment Najpierw zajrzę do Lindsay. Wstała od stołu i poszła na piętro. Dziewczynka leżała

na łóżku, wokół niej poniewierała się masa książek. Brodę wspierała w zamyśleniu na dłoni, palcami drugiej ręki wodziła po stronicy podręcznika opartego o poduszkę.

Mariah zerknęła na stojące pod ścianą biurko. Było kom. piętnie zawalone płytami kompaktowymi, papierami i Bóg jeden wie czym jeszcze. Komputer nikał pod stosem rzuconych niedbale ubrań.

Mariah zacisnęła ze złości zęby, ale

nic nie powiedziała. Ostatecznie znajdowała się na terytorium, gdzie niepodzielnie panowała jej córka.

- Cześć.

Zaskoczona dziewczynka uniosła głowę, lecz po chwili twarz jej spochmurniała.

- Cześć.

- Jak lekcje?

- Skończone. Teraz czytam lekturę.

Mariah usiadła na skraju łóżka i zaczęła masować córce kark.

- Przepraszam, że byłam taką jędzą. Ale wiesz, że zawsze tak się zachowuję, kiedy jestem głodna i zmęczona.

- Traktujesz mnie jak małe dziecko. To nieuczciwe!

- Wiem, kochanie. Czasami zapominam, że nie jesteś już małą dziewczynką. Ale widząc w domu obcą osobę, wystraszyłam się. To wszystko. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Czy pan Chaney wciąż jeszcze jest na dole?

- Tak. Żeby zatrzeć złe wrażenie, poczęstowałam go resztką *moussaki*.

Lindsay przekręciła się na bok, wzięła leżącą obok rolkę bandaża i zaczęła obracać ją w palcach.

- Mamo, dlaczego tak go nie lubisz?

- To trudno wytłumaczyć. Chyba podchodzi do mnie od niewłaściwej strony. - Mariah przez chwilę oglądała swoje dłonie. - A może kiedy go zobaczyłam, przypomniałam sobie, jak twój tata i on mknęli po lodowisku, podając sobie krążek, jak zachowywali się niczym dwóch małych chłopców. Może wkurza mnie, że Paul Chaney wciąż może grać, a twój tata nigdy już nie wyjdzie na cholerny lód...

Lindsay skinęła głową, uśmiechnęła się i uścisnęła dłoń matki.

- Mamo, znów to słownictwo. Mariah skrzywiła się.

- Wiem, wiem. Zbyt często przebywam w towarzystwie wujka Franka i Patty... To oni zepsuli mi język. Idziesz już spać?

- Chciałabym jeszcze wziąć kąpiel.

Mariah skinęła głową. Zdawała sobie sprawę, że choć Lindsay rzadko się skarży, nieustannie dokucza jej ból w nodze. Gorąca kąpiel w wannie stała się codziennym, wieczornym rytuałem, który odganiał ból i pomagał jej spokojnie zasnąć.

- Przygotuję ci kąpiel. Z bąbelkami?

- Jasne.

Gdy kilka minut później schodziła na dół, z łazienki dobiegały dźwięki wodoszczelnego radia Lindsay. Kiedy weszła do kuchni, stanęła jak wryta. Panował tu nieskazitelny porządek, a Chaney wkładał właśnie do automatycznej zmywarki ostatnie naczynia

- Jestem pod wrażeniem - burknęła Mariah. Paul zamknął drzwiczki urządzenia

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Nie jestem najlepszym kuchcikiem, ale za to umiem dobrze sprzątać. - Zerknął na sufit Z góry dobiegały basowe tony muzyki. - Czy w Dzieciolandzie wszystko w porządku?

- Teraz już tak. Była bardzo niezadowolona Wstydziła się za mnie.

- Popęłniałaś typową dla wszystkich mam zbrodnię pierwszego stopnia



- Też tak myślę. Czy masz jeszcze ochotę na piwo? A może wolisz kawę?

- Wolę kawę. - Odsunął się od kuchennego blatu, robiąc Mariah miejsce przy ekspresie. - Masz wspaniałą córkę, wiesz o tym?

- Wiem.

Zagryzła wargi. Wsypując kawę do papierowego filtra, z trudem powstrzymywała łzy. Później odwróciła się plecami do gościa i zaczęła przygotowywać filiżanki.

- Naprawdę chcę pokazać jej studio - przerwał milczenie Chaney. - Była taka przejęta. Może wyrośnie z niej druga Barbara Walters. Czy mówiłaś serio, że nie pozwolisz jej do mnie przyjść? A może i ty się pojawisz?

Niepewna swego głosu Mariah wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy - mruknęła, zła na siebie za to, że ma tak schrypnięty głos. Kiedy poczuła na ramieniu dotyk dłoni Paula, gwałtownie odwróciła się na pięcie. - Nie! Nie dotykaj mnie!

Chaney cofnął się szybko, unosząc ręce w pojednawczym geście.

- Nie miałem nic złego na myśli... to tylko przyjacielski gest. - Przez chwilę spoglądał w jej twarz, po czym spuścił wzrok i potrząsnął głową. - Chciałbym przeprosić cię za tamto na tarasie ambasady.

Okazałem się wtedy głupim gburem. Zarozumiałym i...

- ...i nielojalnym.

- I nielojalnym - przyznał. - Nie chciałem cię obrazić. Po prostu źle odczytałem sygnały.

- Sygnały? Jakie sygnały? Napraw swój radar, kolego, bo ja żadnych sygnałów nie wysyłałam.

- Nie wysyłałaś - zgodził się. - A ja jestem starym osłem. Czy możemy zapomnieć o tamtym żenującym zdarzeniu? Proszę.

Mariah popatrzyła na niego z obrzydzeniem. Dlaczego po prostu nie wyrzuci go za drzwi? Ponieważ chcę wiedzieć, jaki ma do mnie interes i co wie - napomniała się w duchu.

- Nie ma sprawy. Proszę... tu masz śmietankę.

Z kubkami w rękach przeszli do salonu. Paul zajął miejsce na kanapie, a Mariah usiadła naprzeciwko niego w fotelu, po drugiej stronie stolika do kawy. Chaney upił łyk gorącego napoju i rozejrzał się wokół siebie.

- Bardzo tu przytulnie - stwierdził. - Ładniej niż w waszym mieszkaniu w Wiedniu.

- Nie przyszedłeś chyba, by rozmawiać o wystroju wnętrza. Lepiej od razu przejdź do rzeczy i wyjaśnij, jaką to niecierpiącą zwłoki sprawę masz do mnie. I mów cicho - dodała, spoglądając na wibrujący wciąż od hałaśliwej muzyki sufit.

Paul skinął poważnie głową, pochylił się do przodu i położył brodę na wspartych na kolanach rękach.

- Nie wiem, czy David ci o tym mówił, ale często dyskutowałem z nim o kwestiach związanych z bronią jądrową. Dużo dowiedziałem się od niego o różnicach między arsenalami radzieckimi i amerykańskimi. Wiem też, że przed kilku laty on sam był zaangażowany w produkcję nowych rodzajów broni.

- Trwało to niedługo. W Los Alamos przebywał niecałe trzy lata.

- Ale pracujących tam ludzi znał.

- To oczywiste.

- Przez kilka ostatnich miesięcy bacznie śledziłem losy sowieckiego potencjału jądrowego po rozpadzie Związku Radzieckiego. Ich naukowcy zostali na bruku, rozjechali się na cztery strony świata, wielu z nich wylądowało w odległych strefach zamkniętych, programy badawcze przerwano. Jeśli chodzi o same bomby, w chwili rozpadu państwa mieli ponad dwadzieścia tysięcy głowic.

Marian skinęła głową.

- Większość z nich pozostała w rękach Rosjan - dodała. - Pozostałe republiki mają ich kilka tysięcy, ale w większości zwracają je obecnie Moskwie. Prawie wszystkie mają być zniszczone.

- Teoretycznie. Ale czy wiemy, ile ich jest naprawdę?

- Paul, czas ucieka. Miałaś mi coś powiedzieć, a nie zadawać pytania i traktować mnie jak kolejne źródło informacji.

- Przedstawiam ci tylko obraz sytuacji. Nie wiem, ile dokładnie wiesz o wyścigu zbrojeń.

Zniecierpliwiona Marian wywróciła oczyma.

- Nie byłam maskotką Davida. Pracuję dla Departamentu Stanu. - Stare kłamstwo gładko przeszło jej przez usta. - Troszeczkę się na tych sprawach znam.

Chaney obrzucił ją baczny spojrzeniem.

- Nigdy nie powiedziałaś mi, co dokładnie robisz. David utrzymywał, że pełnisz funkcje administracyjne.

Mariah zawahała się. Odniosła wrażenie, iż Chaney nie kupił jej kłamstwa, a nie chciała, by dalej drażył temat.

- Jestem administratorką, kierowniczką działu socjalnego, ale wśród dyplomatów obracam się od piętnastu lat. Ostatecznie to ja organizowałam miejsca konferencji roz-

brojeniowych z Rosjanami. Poza tym - dodała z naciskiem - jestem żoną fizyka atomowego. Przy kolacjach rozmawialiśmy na bardzo niekonwencjonalne tematy.

- Doskonale - powiedział Chaney. - Zatem wiesz, że największym utrapieniem tych konferencji była sprawa weryfikacji; wyśledzenie, kto czym naprawdę dysponuje. Ani Moskwa, ani Waszyngton nie chcą zdać się w tej sprawie na IAEA. Oba rządy doszły do wniosku, że lepiej będzie, gdy dowiedzą się o wszystkim własnymi kanałami, za pośrednictwem satelitów szpiegowskich i rozpoznawczych.

Wszystko to wiem, Paul - pomyślała Mariah. I wiem, że systemy te nie są bynajmniej pewne.

- Ale one nie są pewne - ciągnął Chaney, jakby czytał w jej myślach. - Wiemy, że w przeszłości przesznułowa-no wiele paliwa raketowego oraz komponentów do budowy bomb. Ale co z produktem finalnym?

Mariah ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową,

- Wczoraj wieczorem słuchałam twego programu. Mówiłeś, że różne typy spod ciemnej gwiazdy, tacy jak Kaddafi, wyrywają pogrążonym w nędzy Rosjanom tę broń, by stworzyć własne, niewielkie arsenaliki. Ale to nic nowego. Bez względu na to, co mówił ci ten stary dureń Hoskmeyer, masa ludzi obawia się, że broń ta trafi w ręce szaleńców i terrorystów różnych narodowości, którzy dysponują odpowiednimi finansami. - Odstawiła filiżankę z kawą. - Ale jaki to ma związek z wypadkiem Davida i Lindsay?

- Czy David wspominał ci, że otrzymał pewną propozycję... cóż, nazwijmy to propozycją prywatnego konsultingu?

- Co?

- Że ktoś próbował wynająć go do pomocy przy tworzeniu prywatnego arsenału?
- Nie, oczywiście że nie... David nigdy nie przyjąłby podobnej propozycji.
- Czy bezpośrednio przed Wypadkiem nie zachowywał się trochę dziwnie?
- Paul, do czego zmierzasz? Na jakiej podstawie sądzisz, że ktoś do niego zwracał się z taką ofertą?
- Ją nie sądzę, ja wiem. Wiem kiedy. Wiem kto. Nie mam tylko pewności dlaczego.
- Kto się do niego zgłosił?
- W tej chwili to nieistotne.

Gdy odwróciła się, machając lekceważąco ręką, zdesperowany Chaney ciężko westchnął.

- Marian, czy mi ufasz? Może nie masz o mnie najlepszego zdania jako o mężczyźnie, ale faktem jest, że mam bardzo dobre kontakty i nie prowadzę żadnej gry. Ktoś zniszczył człowieka, którego, wierz mi lub nie, uważałem za przyjaciela. Więc nie zbywaj mnie teraz machnięciem ręki.

Na jego poczerwieniałej twarzy malował się gniew. Czy był to gniew szczery? Och, było coś podejrzanego w tej historii. Dobrze wiedziała co. Jeśli nawet David uwikłał się w jakiś nielegalny interes, było jasne, czyja to sprawa. Ale nie mogła przecież powiedzieć tego Chaneyowi, nie zdradzając się przy tym, że czytała akta CIA dotyczące Katariny Müller, znanej też jako Elsa von Schleimann. A kto umówił z nią Davida? Oczywiście Paul Chaney.

- Twierdzisz, że David odrzucił propozycję i w zemście ktoś próbował go zabić?  
Chaney wzruszył ramionami.

- Coś w tym rodzaju.

- Cóż, w takim razie całkowicie się mylisz, a ja ci powiem dlaczego - odparła Mariah, prostując się z westchnieniem w fotelu. - Jeśli ta deżarówka naprawdę czekała, by staranować nasz samochód, to mogła czekać jedynie na mnie lub na Lindsay, jeśli twoja teoria spiskowa uwzględnia również moją córkę. Ale na pewno nie czekała na Davida, ponieważ na ten ranek miał zupełnie inne plany. Pojechał z Lindsay tylko dlatego, że plany te w ostatniej dosłownie chwili uległy zmianie.

- Sądzę więc, że chodziło o ciebie - mrużąc oczy, powiedział cicho Paul. - W ten sposób chciano twego męża zmusić do współpracy.

- Daj spokój... Pomyśl logicznie. To, co mówisz, nie trzyma się kupy. Jak David mógłby z nimi współpracować po tym, jak zabili mu żonę i córkę?

- Masz rację. A zatem to David był ich celem. Nie wiem, jak dowiedzieli się, że w samochodzie będzie właśnie on... może w waszym mieszkaniu zainstalowano pluskwy i oni również błyskawicznie zmienili plany, kiedy on zmienił swoje? Ale uwierz mi, to nie był wypadek.

Mariah popatrzyła nań sceptycznie.

- Podaj mi jakieś konkrety albo wynoś się z mego domu. Nie mam ochoty wysłuchiwać więcej tych bzdur!

Paul na chwilę odwrócił wzrok. Ciężko westchnął.

- Sprawdziłem kilka rzeczy. Kierowcą ciężarówki oficjalnie był Turek, który posiadał w Austrii zezwolenie na pracę. Nazywał się Mohammed Kamal.

- I co z tego?

- To z tego, że w chwili wypadku prawdziwy Moham-

med Kamal był w Ankarze i umierał na AIDS. Odwiedziłem go przed kilkoma miesiącami, dwa dni przed jego śmiercią. Wyznał mi, że pozwolenie na pracę sprzedał jakiemuś Li-bijczykowi, aby mieć pieniądze na powrót do Turcji, gdzie chciał spokojnie umrzeć. Transakcji tej dokonał na trzy miesiące przed wypadkiem Davida i Lindsay.

Mariah nie spuszczała z Chaneya wzroku, w głowie miała zamęt

- A co z kierowcą, którego aresztowała austriacka policja?

- Oskarżono go o brawurową jazdę i kradzież samochodu. Niestety, w kilka dni później dostał w więzieniu zawału serca i umarł. Niezależnie kim był, nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Facet nie chciał, aby go schwytano. Próbował zbiec z miejsca wypadku, ale zatrzymał go jakiś krzepki wiedeńczyk.

- Ciężarówka była kradziona?

- Należała do firmy kurierskiej o nazwie Intertransport. Trzy dni wcześniej przedsiębiorstwo zgłosiło jej kradzież.

Mariah wstała i podeszła do segmentu, na którym znajdował się telewizor, książki, różne bibeloty oraz fotografie w metalowych ramkach. Dotknęła zdjęcia Davida i Lindsay, które dostała od nich przed rokiem na urodziny. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i odwróciła się w stronę Chaneya.

- Powiedziałeś, że ostatnio u Rosjan setki marzycieli wylądowało na bruku lub rozjechało się na cztery strony świata?

- Marzycieli?

- Taką nazwą technicy i laboranci w Los Alamos okre-

ślają fizyków. No, wiesz, naukowcy, głowy ciągle w chmurach, wciąż zatopieni w rozmyślaniach o swych najnowszych, tajemnych teoriach, zupełnie bezradni w codziennym życiu, jakie prowadzimy my, zwykli zjadacze chleba. Marzyciele.

Paul uniósł tylko kąciki ust w lekkim uśmiechu.

- Dlaczego więc David? Dlaczego ktoś miałby robić do Davida podchody celem wciągnięcia go w tajne operacje z bronią nuklearną? Od czasu gdy przed czternastu laty opuścił Los Alamos, nie zajmował się bezpośrednio bronią. Dlaczego ktoś chciałby angażować go do współpracy?

- Właśnie miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz. Mariah usiadła w fotelu i potrząsnęła głową.

- Paul, to wszystko nie ma sensu. David był błyskotliwym teoretykiem, ale posiadał sumienie. Poza tym nikt nie angażuje do takich celów twórcy broni, który dawno już wypadł z obiegu. Jeśli zamierzasz kupić najnowszą broń, zatrudniasz ludzi, którzy są w tych sprawach na bieżąco, inżynierów i techników, nigdy fizyków naukowców.

Chaney rozparł się na kanapie i ze zmarszczonymi brwiami patrzył na swe wyciągnięte nogi. Powoli pokiwał głową.

- Wtyczka.

- Słucham? Podniósł wzrok.

- Wtyczka... to mogłaby być rola Davida w IAEA. Istnieje też inna możliwość. Nikt nie angażował go do takiej operacji; to on wpadł na jej trop. Zamierzał sprawę nagłośnić, więc zamknięto mu usta.

Po plecach Mariah przebiegł zimny dreszcz, poczuła,



że jeżą jej się na głowie wciąż jeszcze wilgotne po kąpieli włosy. Potarła czoło, by zagłuszyć bolesne pulsowanie w skroniach.

- Paul, to tylko domysły, a ja jestem zmęczona. Czego konkretnie ode mnie chcesz?

- Czy David pracował dla CIA? - spytał nieoczekiwanie Paul i Marian poczuła, że z twarzy odpływa jej cała krew. - Pracował, prawda? Miał za zadanie tropić takie właśnie afery. Sama IAEA nie była w stanie podjąć się takich działań. Nie była w stanie zbliżyć się do rosyjskiego establishmentu jądrowego. Nawet w krajach, gdzie mogła prowadzić tego typu inspekcje, jej działania były bardziej niż pozorne... Sama o tym najlepiej wiesz. Nie mają pieniędzy, by zatrudnić odpowiednich fachowców. Za każdym razem muszą zdobywać zezwolenie na kontrolę, zapowiadać ją dużo wcześniej... więc kiedy pojawiają się inspektorzy, wszystkie ślady są już zatarte. Jeśli Rosjanie szmuglują za grube pieniądze broń atomową, tylko CIA jest w stanie złapać ich na gorącym uczynku. Marian wstała z krzesła.

- Chyba powinieneś już iść.

Zaczęła zbierać ze stołu filiżanki po kawie.

- Nie odpowiesz mi na moje pytanie?

- Dobrze, moja odpowiedź brzmi: nie. David nie pracował dla CIA; ani w Wiedniu, ani nigdzie indziej.

- A gdyby pracował, czy wiedziałabyś o tym?

- Oczywiście. Gdyby nawet próbował coś takiego przede mną ukryć, nie udałaby mu się ta sztuka. Poznałam go w Berkeley, kiedy miał dwadzieścia pięć lat. Wiedziałam o nim absolutnie wszystko. Był pełen ciepła, był zabawny,

błyskotliwy, nie miał jednej złej cechy charakteru. Nigdy nie zgodziłby się pełnić roli parszywego kapusia czy agenta.

Przeszła do kuchni, włożyła brudne filiżanki do zlewu, a następnie z szafy w przedpokoju wyjęła kurtkę Chaneya. Kiedy odwróciła się, Paul stał tuż za jej plecami.

- Mariah, musiałaś to czuć... W Wiedniu działo się coś bardzo niedobrego. Dobrze wiesz, że niczego nie wymyśliłem. - Mariah bez słowa wręczyła mu kurtkę, ale Paul nie ruszał się z miejsca. - Wiesz, że niczego nie wymyśliłem, prawda? - powtórzył z naciskiem.

- Tak, wiem... W porządku! - Obrzuciła go pełnym oburzenia wzrokiem. - Wiem, że coś go dręczyło, nie zachowywał się normalnie. Po wypadku nie myślałam o tym, miałam na głowie inne zmartwienia. Ale wiem też o czymś jeszcze, Paul. Bez względu na to, co tam się działo, ty tkwiłeś w samym środku. Więc nie przychodź teraz jak samotny myśliwy, próbując uspokoić własne sumienie! David utracił wszystko, moja córka została okaleczona na całe życie. Gdzie byłeś, gdy sprawy zaczynały brać zły obrót? Prowadziłeś głupie, niebezpieczne gierki!

- Mariah, błagam...

- Daj spokój. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. A teraz wynoś się.

Rollie Burton walczył ze zmęczeniem, przenikliwym zimnem i sennością. Sięgnął pod fotel, gdzie trzymał termos z kawą. Odkręcał właśnie wieczko, kiedy z domu Mariah wyszedł mężczyzna. Burton w ostatniej chwili skulił się w fotelu i naciągnął głębiej na oczy baseballową czapkę.

Widział cień tego mężczyzny w oknie kuchni, kiedy

przed kilkoma godzinami wracająca z basenu Bolt umknęła mu spod noża. Uciekła tak szybko, że Burton, po porzuceniu zwłok starego mężczyzny, nie zdołał już jej dogonić.

Niech szlag trafi tego starego pierdołę - pomyślał ze złością. Gdyby nie on, dopadłbym tę babę i dawno już by mnie tu nie było.

Ta robota i ta kobieta zaczynały działać mu na nerwy. Zresztą kobiety zawsze działały mu na nerwy. Na początku wydają się w porządku, ale ostatecznie wszystko popsują. Lecz on pokaże jej jeszcze, co znaczy spotkanie z Rollie'm Burtonem... tak jak pokazał to innym.

Spojrzał jeszcze raz na wysoką postać mężczyzny, który wyszedł z jej domu. To chyba ten sam facet, którego widział przed kliniką. Dziennikarz. Kiedy wsiadał do swojego samochodu, Burton przypomniał sobie białego buicka z nalepką wypożyczalni samochodów Avis Rent-A-Car, co potwierdziło jego domysły. Powinienem wytargować wyższą cenę - pomyślał, kiedy auto reportera ruszyło z podjazdu. Gdy znów usłyszy w telefonie głos domagający się raportu z postępów w pracy, musi renegocjować cenę. Zadanie okazało się znacznie trudniejsze, ponieważ miał na karku wężącego pismaka.

W oknach na parterze po kolei gasły światła. Popatrzył na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Po kilku minutach na piętrze pojawiło się światło, przez firanę widać było postać kobiety ze słuchawką bezprzewodowego telefonu. Widział, jak wystukuje numer, a następnie staje przed oknem, przeciąga dłonią po włosach i wygląda na zewnątrz. Rollie jeszcze bardziej skulił się w fotelu, choć samochód zaparkował w cieniu i kobieta na pewno nie mogła go dostrzec.

111

Zacząła mówić coś do słuchwki. Rozmowa trwała krótko. Schowała antenkę i chwilę jeszcze stała przy oknie, w zamyśleniu pocierając słuchawką brodę.

Oczy Burtona rozbłysły, gdy zaczęła zaciągać firanki. Do jutra, miła pani - pomyślał ze złością.

Zabieg będzie krótki i bezbolesny. Myślisz, że przechytrzyłaś Roliego, ale w końcu spłacisz dług z nawiązką.

Gwałtownie zakręcił termos i uruchomił silnik.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Marian obserwowała, jak Stephen Tucker rozsmarowuje palcem na stoliku coca-cole, której kilka kropel prysnęło z plastikowego kubka na blat. Zauważyła, że Stephen ma do krwi poobgryzane paznokcie. Biedny Steve. Miał już dwadzieścia osiem lat i wciąż był takim samym żalonym kłębkiem nerwów jak przed laty, gdy miał lat dwanaście i po raz pierwszy go widziała.

Najwyższa pora byś wziął się w garść - pomyślała. Dorastanie pod surowym okiem Franka z pewnością nie jest ani łatwe, ani przyjemne, lecz już czas, byś przejrzał swego ojca. A swoją drogą dlaczego tak wielu ludziom, w tym również Stephenowi, tak trudno jest dostrzec pod szorstką powierzchownością Franka dobrego i wrażliwego człowieka?

Gdy poprzedniego wieczoru Chaney opuścił jej dom, Mariah zostawiła na automatycznej sekretarce Stephena wiadomość z prośbą o spotkanie przy śniadaniu w barze szybkiej obsługi usytuowanym w pobliżu Langley. Kiedy o wpół do dziewiątej weszła do baru, syn Franka już na nią czekał. - Nakryła dłonią jego palce o poobgryzanych paznokciach, ale on gwałtownie cofnął rękę, zaczerwienił się i po chwili wzruszył ramionami.

- Dawno ze sobą nie rozmawialiśmy - powiedziała

przepraszającym tonem Mariah. - To wstyd. Przecież pracujemy w jednym budynku. Ale wy tak głęboko chowacie się wśród swych procesorów, że trudno was znaleźć.

- Pracujemy o najbardziej dziwnych porach. Mamy masę roboty z materiałami nadchodzącymi z przeróżnych stref czasowych - wyjaśnił Stephen. - Poza tym my, komputerowcy, stanowimy zamknięty świat. Mamy niewielki kontakt z pracownikami wydziałów operacyjnego i wywiadowczego.

- Po powrocie z Wiednia dowiedziałam się, że ty również do nas dołączyłeś. Chciałam się z tobą spotkać, pogadać, ale miałam urwanie głowy z Davidem i Lindsay. Mów, co u ciebie słychać.

- Wszystko w porządku.

- A Firma? Jak ją odbierasz?

- Też w porządku. Praca jak praca, z tym tylko, że na sprzęcie o nieco lepszym niż gdziekolwiek indziej.

- Frank mówi, że zajmujesz się na boku tworzeniem i sprzedażą gier komputerowych.

Stephen skrzywił się.

- Dziwię się, że wspomniał ci o tym. Uważa to za szczyt głupoty.

- Znasz swojego ojca. Wyższa technologia nie należy do jego pasji. Nawet jego komputer każdego ranka uruchamia Patty.

- Fakt. Mój ojciec to komputerowy troglodyta. Kiedyś na Gwiazdkę kupiliśmy mu z siostrą komputer. Podarowałam mu również kilka moich gier w nadziei, że lepiej zrozumie, co robię. Ale komputer stoi nieużywany we wnęce jego gabinetu i pokrywa go coraz grubsza warstwa kurzu.

Marian poprawiła się na krześle. Nie była to zapewne odpowiednia chwila, by wyjaśniać, że Frank wszystkie te gry oddał Lindsay.

- Wiem. Ale na swój sposób twój tata jest bardzo z ciebie dumny. Oświadczył mi, że sprawdzasz się w tym, co robisz. Odnoszę wrażenie, że czuje mimo wszystko dumę, że zarabiasz więcej od niego.

- Dużo więcej - zauważył z miłym, łobuzerskim uśmiechem Stephen.

- Nie wątpię. Jak na hobby to całkiem nieźle. Frank pokazał mi artykuł o komputerach opublikowany w „OMNI”. Twoja gra, „Czarnoksiężka różdżka”, sprzedaje się najlepiej.

- Czytał ten artykuł? - zdziwił się Stephen.

Teraz z kolei Marian popatrzyła nań ze zdumieniem.

- Nie wiedziałeś o tym? - Kiedy Stephen potrząsnął przecząco głową, wywróciła oczyma. - Ktoś powinien dobrze przyłożyć wam obu po waszych małych, ptasich łebkach.

- Chciałaś powiedzieć po łysych łebkach. - Stephen przeciągnął dłonią po łysinie.

- Lindsay ma „Czarnoksiężką różdżkę”. Ta gra działa na nią jak narkotyk. Kiedy w nią gra, świat może się palić i walić.

Stephen zaczął dziurawić widelcem plastikowy kubek.

- Jak ona się czuje? - zapytał cicho.

- W porządku. Było ciężko i bardzo się o nią martwiłam. Ale najgorsze ma już chyba za sobą.

Teraz Stephen przestał dziurawić kubek i wlepił w Mariah ciemne, takie same jak u Franka oczy.

- Ale David nie?

Mariah ze smutkiem potrząsnęła głową i spuściła wzrok. Któregoś dnia, w kilka miesięcy po powrocie do Stanów Zjednoczonych, przypadkowo wpadła na Stephena w domu stałej opieki, gdzie przebywał David. Spotkanie to bardzo ją zaskoczyło. Steve wracał właśnie z odwiedzin u Davida i na widok Mariah potrafił tylko wydukać kilka nieskładnych słów. Widok jej męża wywarł na nim takie samo straszliwe wrażenie, jak na innych przyjaciółach i znajomych.

- To okropne - odezwał się schrypniętym głosem. - Niczym sobie na taki los nie zasłużył.

Mariah zagryzła zęby i ściskając jego dłoń, wszelkimi siłami starała się powstrzymać łzy.

- Posłuchaj, Stevie, potrzebuję pomocy - szepnęła.

- Pomocy? - zapytał z dziwnie błyszczącymi oczyma.

- Muszę dowiedzieć się kilku rzeczy. Znaleźć dostęp do pewnych materiałów dotyczących wydarzeń, które miały miejsce w Wiedniu, w czasie gdy przebywałam tam z Davidem.

- Materiałów?

- Chodzi o operację Firmy, w której brałam udział.

- A do czego ja ci jestem potrzebny?

Nie był głupi. Dobrze wiedział, do czego zmierza Mariah. Sama do siebie czuła wstręt za to, że sugeruje mu, by włamał się do zastrzeżonych kartotek, ale nie miała innego wyjścia.

- Zostałam od wszystkiego odsunięta. Nie mam dostępu do pewnych plików. A muszę wiedzieć, co się w nich znajduje, muszę dowiedzieć się, o co naprawdę chodziło.

Stephen poprawił się na krześle.



- A co ma w nich być?

- Nie wiem. Może nic istotnego. Dowiem się dopiero wtedy, gdy rzucę na nie okiem. Ale zapewniam cię, Stevie, że nie zamierzam robić nic niezgodnego z prawem. Nie zamierzam sprzedawać ich wrogom ani nikogo szantażować.

- Mam więc po prostu wykraść tajne dokumenty?

- To dla Davida - powiedziała cicho. - Tylko tyle mogę ci powiedzieć, ale naprawdę bardzo ich potrzebuję. Jedynie ty możesz mi pomóc.

Stephen odwrócił wzrok.

- Może mi się uda - powiedział po chwili milczenia.

- Do jednych kartotek dostęp jest łatwiejszy, do innych trudniejszy. Gzego konkretnie potrzebujesz?

- Pliku zatytułowanego CHAUCER. Zaczyna się od moich sprawozdań dla Franka i zastępcy dyrektora wydziału operacyjnego, które sporządzałam w Wiedniu, gdy twój tata znów trafił do sekcji radzieckiej. Mogą tam być też pod-pliki... Nie jestem pewna.

Stephen przesłał jej ostre spojrzenie.

- Czy mój ojciec o tym wie?

- Nie bądź dzieckiem. Znasz go lepiej ode mnie. Myślisz, że by na to poszedł? Zerznąłby mi dupsko pasem.

- Ciężko westchnęła. - Wprost nie mieści mi się w głowie, że zwracam się do ciebie z taką prośbą. Ale potrzebuję pewnych informacji; i to potrzebuję ich szybko. Nie jestem pewna, czy ta kartoteka okaże mi się pomocna, ale naprawdę nie wiem, od czego mogłabym zacząć... I do kogo innego się zwrócić.

Czy mi pomożesz?

Błądząc wzrokiem po ścianach lokalu, Stephen żuł ka-

wątek odgryzionego paznokcia. Po długiej chwili skinął głową.

- Spróbuję. Zajmie mi to dzień lub dwa. Zrobię to w nocy, kiedy wszyscy rozejdą się do domów.

- A czy nikt nie zainteresuje się, dlaczego zostajesz po pracy?

Stephen zaprzeczył.

- Przeważnie pracuję do pierwszej lub drugiej nad ranem. Prawdę mówiąc, teraz właśnie wracam do domu. Moja zmiana zaczyna się dopiero o szesnastej.

- Tak późno?

- Zawsze biorę późne zmiany, a wszystkim to odpowiada. Nikt nie lubi pracować w tych godzinach, a ja tak. Wtedy u nas panuje spokój. Zostaje tylko kilku pracowników doglądających komputerów i dokonujących dziennych podsumowań. Nikt mi nie przeszkadza i mogę więcej zrobić.

Nikt ci nie przeszkadza, nikt do ciebie nie otwiera ust - pomyślała z zadumą Mariah.

- Nie zostaje ci zbyt wiele czasu na życie towarzyskie. Stephen znów zaczął dziurawić kartonowy kubek.

- Nie mam głowy do takich rzeczy. Dystrybutorzy czekają na nową grę, a ona nie zostawia roi chwili wolnego czasu. Poza tym nigdy nie należałem do stworzeń towarzyskich.

Obserwując go, wróciła myślami do własnego dzieciństwa i młodości. Przez niektóre domy, niczym niewidzialny prąd, przepływa smutek. Taki właśnie prąd przepływał zarówno przez dziecięcy dom Stephena, jak i przez jej. David i Lindsay wyrwali ją z tamtego mrocznego okresu, a Stephen wciąż tkwił jeszcze w ciemnościach. Doskonale rozu-

miała jego romans z komputerami. Zachowanie się maszyn było przewidywalne; one nie krytykowały, nie pojawiały się w jego życiu tylko po to, by zniknąć w chwili, gdy ich najbardziej potrzebował.

- Czy wybierasz się jutro do ojca na bożonarodzeniowe przyjęcie?

Stephen ciężko westchnął.

- Tak, chyba tak. Nie chciałem, ale siostra zmyła mi głowę.

Marian popatrzyła na niego uważnie.

- Jak to się dzieje, że przez tyle lat jesteś z Frankiem na wojennej ścieżce?

- Wcale nie. Po prostu jesteśmy sobie obojętni. Trzymamy się od siebie z daleka, za wyjątkiem okazji kiedy Carol zmusza nas do spotkania. Tak jest dużo łatwiej.

- A jednak trafiłeś do Firmy. Nie powiesz mi, że Frank nie miał z tym nic wspólnego.

Stephen niechętnie skinął głową.

- Owszem, trochę mi pomógł. Ale nasze drogi się nie schodzą. Czasami tylko spotykamy się w bufecie.

Marian ze smutkiem pokiwała głową.

- Och, Stevie, jeszcze tego nie zrozumiałeś? Cokolwiek wydarza się między ludźmi - wszelkie czyny, których nie możemy już cofnąć - nie jest tego warte. Pewnego dnia pozostają nam jedynie wspomnienia i żal. A najgorzej jest wtedy, gdy nad dobrymi wspomnieniami przeważają zadawnione pretensje i urazy.

Stephen zacisnął zęby i bardzo długo milczał.

- Może - odezwał się w końcu. - Ale dla mnie i dla taty jest już za późno.

Popatrzył na Mariah i znów odwrócił wzrok. Na twarzy malowała mu się niepewność. Była pora lunchu i w „Żebrze Adama” panował wielki ruch, gdy w drzwiach pojawił się Gus McCord oraz towarzyszące mu osoby. Dieter Pflanz popatrzył na stojącą w pobliżu wejścia figurę biblijnego pierwszego człowieka. Popełniłeś, kolego, grzech pierworodny i teraz musimy po tobie sprzątać - pomyślał kwaśno.

Cały ranek spędził w towarzystwie Gusa i Nancy w Smithsonian, następnie odstawili panią McCord do apartamentu w hotelu Madison. Jej mąż o czternastej miał wyznaczone spotkanie z prezydentem. Restauracja mieściła się przy Pennsylvania Avenue, kilka przecznic od Białego Domu. Gus, ilekroć odwiedzał Waszyngton, zawsze wstępował do „Żebra Adama”, gdzie podawano jego ulubione mięso z ziemniakami. W karcie nie było trudnych do wymówienia nazw potraw, jak w pewnej francuskiej restauracji, na którą namówił go kiedyś Siddon. Jeny utrzymywał wprawdzie, że spotyka się tam cała waszyngtońska śmietanka towarzyska, ale Gus wiedział swoje. A Pflanz był bardzo rad, widząc, że jego szef lubi jadać w miejscach, gdzie podają amerykańskie jedzenie przeznaczone dla prawdziwych Amerykanów.

Gdy hostessa zaprowadziła już towarzystwo do stolików, natychmiast pojawił się Charlie Briggs, właściciel restauracji. McCord, Siddon i Pflanz zajęli miejsca przy jednym stole. Przy sąsiednim zasiedli ochroniarze. Odwróceniem plecami do zdobiącej ścianę mozaiki przedstawiającej Raj, nie spuszczała oka z tłumu gości i z Gusa McCorda.

- Miło znów pana widzieć - powitał miliardera Briggs. Gus uściśnął rękę restauratora.

- Mnie też, Charlie. Jak interesy?

- Nie narzekam. Czy odpowiada panu ten stolik? Mam też inny, który rezerwuję, ilekroć pan Siddon zapowiada pańskie przybycie.

- Nie, to miejsce jest w porządku. Jak twój syn? Przed trzema laty trzynastoletni wówczas syn Briggsa bawił się acetonem i zapałkami. Jedną z tych głupich zabaw, które dzieci tak uwielbiają, nie zdając sobie sprawy z ewentualnych konsekwencji.

Gdy nikogo nie było w domu, nalał do zlewu acetonu i podpalił go. Zamierzał nakręcić kamerą wideo film. Ogień buchnął mu w twarz, zajęła się odzież i dzieciak z oparzeniami trzeciego stopnia obejmującymi trzydzieści procent powierzchni ciała trafił do szpitala. Na wieść o wypadku McCord wysłał na swój koszt najlepszych lekarzy zajmujących się oparzeniami oraz chirurgów plastycznych, aby zajęli się chłopcem. Później sfinansował kosztowne leczenie.

Briggs skinął głową.

- Mieliliśmy ogromne szczęście, panie McCord. To cud, że Kevin nie zginął ani nie stracił wzroku. - Zniżył głos. - Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili, gdyby nie pańska...

McCord poklepał go po ramieniu.

- Cieszę się, że wszystko skończyło się dobrze. To najważniejsze.

- Racja. Czym mogę służyć panu i pańskim przyjaciółom? Mamy wyśmienity *filet mignon*; wprost rozpływa się w ustach.

McCord popatrzył na restauratora żalonym, bolesciwym wzrokiem, odwrócił głowę i zaczął studiować kartę.

- Nie, chyba nie - powiedział z ciężkim westchnieniem. - Cholesterol... a moja żona doładnie sprawdzi, co jadłem. Charlie, poproszę o pstrąga.

- Jak pan sobie życzy. Wino? Mamy najlepsze mozelskie.

- Nie, dzięki. Muszę mieć jasny umysł. Czeka mnie bardzo pracowite popołudnie. Przynieś wodę mineralną,

Briggs obszedł stół, zbierając zamówienia od Pflanza i Siddona, a następnie strzelił palcami na kelnera, który zajął się siedzącymi przy sąsiednim stole ochroniarzami.

Po odejściu właściciela restauracji Jerry Siddon wyjął z teczki najnowsze wydanie „Newsweeka”. Na okładce widniało zdjęcie Gusa McCorda siedzącego za wielkim, zabytkowym, dębowym biurkiem w swoim gabinecie w Newport Beach. Siedział rozparty na krześle obitym krwistoczerwoną skórą.

Dłonie trzymał płasko na blacie i wpatrywał się prosto w obiektyw. Jego miedziane oczy były przeszywające i wyzywające, na ustach igrał mu lekki uśmieszek. Za nim, na niewielkim stole, stała figurka kowboja wbijającego ostrogi w boki stojącego na zadnich nogach wierzchowca.

Nagłówek głosił: „Angus McCord - Kowboj i Kreml”. A poniżej, drobniejszym drukiem: Jak amerykański miliarder pomógł ujarzmić komunistycznego potwora i dlaczego od tego czasu interesy idą mu dobrze”.

- Przed godziną pojawił się w kioskach - poinformował Jerry.

McCord wziął czasopismo, chwilę studiował okładkę, po czym uśmiechnął się kwaśno.

- Nie sądzisz, że trochę zbyt melodramatyczne?

- Może - przyznał Siddon. - Ale w artykule wychwalają cię pod niebiosa. Jesteś pierwszym amerykańskim człowiekiem interesu, który zaprzyjaźnił się z Gorbaczowem, skłonił go do pieriestrojki, po czym załatwił to, że po obaleniu wszelkich barier w handlu, pierwszy na rosyjskim rynku pojawił się biznes amerykański.

McCord uśmiechnął się lekko.

- To śmieszne. Cała moja zasługa polega na tym, że podczas jego wizyty w Stanach w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku pokazałem mu kilka gospodarstw rolnych i farm zwierzęcych w Północnej Dakocie. Jak powiedziała Maggie Thatcher: to człowiek z którym warto robić interesy.

- No tak, ale gdy Gorbi zdecydował się robić z tobą interesy, zmieniło to bieg historii świata.

- Nie do uwierzenia, prawda? - McCord zaczął przeglądać artykuł w „Newsweeku”. - Później była to już jedynie kwestia czasu. Stary strażnik Kremla uderzył w kalendarz, a jego miejsce zajął Gorbi.

Reszta, jak mówią, to historia.

Kiedy do stolika zbliżył się kelner z zamówionymi daniami, Gus oddał Siddonowi magazyn. Trzech mężczyzn z apetytem zjadło lunch, a następnie, przy kawie, zaczęli rozmawiać o tematach, które McCord zamierzał poruszyć podczas rozmowy z prezydentem.

Gdy opuścili restaurację, przed wejściem czekała już limuzyna. McCord rozejrzał się po niebie. Nadszedł już grudzień, świeciło słońce, lecz powietrze było zimne i rześkie, takie jakie McCord pamiętał z czasów młodości spędzonej na preriach.

123

- Chyba pójdę na piechotę - oświadczył.

- Na piechotę? - zdziwił się Pflanz. - To nie jest najlepszy pomysł.

- Chcę się trochę przewietrzyć. Mamy jeszcze dużo czasu, a to tylko kilka przecznic. Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni włóczyłem się po ulicach. Strzeż się rutyny, czyż nie tak zawsze mówisz, Dieter?

- Nie to miałem na myśli - burknął Pflanz.

- Dieter ma rację - wtrącił się do rozmowy Siddon. - Powinieneś wsiąść do samochodu. Pomijając kwestię bezpieczeństwa, nie będzie najlepiej widziane, jeśli w Białym Domu pojawisz się na piechotę. Gus popatrzył na współpracowników swymi miedzianej barwy oczyma.

- A jednak się przejdę - powiedział z uporem. - I nie życzę sobie, by jechał za mną samochód. Dieter, wyślij go przodem. Niech szofer powie strażnikom przy wejściu do Białego Domu, że jestem już w drodze.

Pflanz skrzywił się za ciemnymi okularami, machnął ręką kierowcy i pstryknął na ochroniarzy, by ruszyli za McCordem, który zdążył się już oddalić.

- Niech mnie szlag trafi - mruknął do Siddona. - On sam nie wie, czy chce być generałem Pattonem, czy cholernym Jimmym Carterem.

- To nie przejdzie, Mariah. - Frank Tucker rozparł się w fotelu, który w proteście zaskrzypiał sprężynami.

Na biurku leżał sporządzony przez Mariah raport dotyczący libijskiej operacji handlu bronią.

- Sądzę, że nie powinniśmy wykluczać powiązań



McCorda z tą sprawą - sprzeciwiła się Marian. - Dziś rano nadszedł telegraf z Trypolisu. Krążą pogłoski, że ostatnio miał tam miejsce duży transfer karabinów i wyrzutni rakietowych. Mówi się, że koszt transakcji wynosił dwanaście milionów dolarów. Czuję, że istnieją pewne powiązania.

- Wierzę twojej intuicji. Ale George Neville wścieknie się, gdy ujrzy ten raport. I z całą pewnością każe usunąć wszelkie wzmianki na temat McCorda.

- A dlaczego to zastępca dyrektora wydziału operacyjnego ma decydować, co jest w raporcie przeznaczonym dla dyrektora?

- Masz rację, nie powinien. W każdej innej sytuacji stanąłbym okoniem. Ale w tym przypadku sędzę, że będzie mieć rację. Dowody są zbyt kruche. - Marian otwierała usta, by zaprotestować, ale Frank, unosząc rękę, nie dopuścił jej do słowa. - W raporcie dla prezydenta nie możemy umieszczać naszych przypuszczeń. Jeśli znajdziemy przekonujące dowody, weźmiemy drania za kark. Szukaj dalej. Ale z tego dokumentu usuń wszelkie domniemania dotyczące McCorda.

Mariah zmarszczyła brwi. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Od chwili gdy poprzedniego wieczora Chaney opuścił jej mieszkanie, zastanawiała się, jak poruszyć w rozmowie z Frankiem temat Wiednia. Teraz dostrzegła nadarżającą się okazję.

- A więc dobrze. Poszukam jakichś powiązań z operacją CHAUCER.

Jeśli myślała, że uda się jej wyprowadzić Tuckera w pole, grubo się myliła. Jej szef natychmiast zorientował się, do czego zmierza.

- Wykluczone. To nie ma związku z raportem. Nie pozwolę, byś traciła na darmo czas.
- A skąd masz pewność, że nie istnieje taki związek? Wiemy, że ugrupowania terrorystyczne już wcześniej próbowały zdobyć głowice bojowe, i wiemy też, że Libijczycy mają powiązania ze wszystkimi większymi dostawcami broni. To właśnie może być nasz trop.
- Do jasnej cholery, Mariah! - Tucker ze złością rzucił pióro na biurko. - Czy traktujesz mnie jak durnia? Mówiłem ci już wczoraj, że masz przestać się tą sprawą interesować. Dotyczy to również operacji CHAUCER!

Mariah ze złości zacisnęła szczękę.

- CHAUCER to moja kartoteka, Frank. To dzięki mnie ta sprawa ruszyła.
- To nie twoja kartoteka! To kartoteka operacyjna, a ty, mówię o tym na wypadek, gdybyś raczyła o tym zapomnieć, jesteś analitykiem, nie asem wywiadu. Wróciłaś do domu i czas chwały minął.
- To nie takie proste.
- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytał Tucker, ściągając krzaczaste brwi.
- Wczoraj wieczorem złożył mi wizytę Paul Chaney.
- I?
- Powiedział, że kierowca ciężarówki, która roztrzaskała samochód Davida, ukradł ten pojazd i posiadał fałszywe dokumenty. Był to najprawdopodobniej Libijczyk, który po aresztowaniu został w więzieniu zamordowany. - Mariah zaczerpnęła tchu. - Zdaniem Chaneya David mógł uwikłać się w jakieś afery z handlarzami broni mającymi dostęp do radzieckich arsenałów jądrowych.

- Wierzysz w to?

- Że David zaplątał się w takie sprawy? Nie, oczywiście, że nie. Każdy, kto znał jego przeszłość, dobrze wiedział, iż Davida nie interesowały podobne numery. Nie był ideologicznie zainteresowany handlem bronią, nawet w czasach gdy studiował w Berkeley, a wśród młodzieży panowały radykalne nastroje. Nikt by go nie kupił, ponieważ nie interesowały go pieniądze. Może - dorzuciła z krzywym uśmiechem - gdyby ktoś zaproponował mu, że zamieni go w Wayne'a Gretzky'ego, zgodziłby się sprzedać jedną czy dwie tajemnice. - Znów spoważniała. - Nie istniała też możliwość szantażu, gdyż całe jego życie ograniczało się jedynie do Lindsay, do mnie, do pracy i hokeja. Był to człowiek prostolinijny; błyskotliwy, lecz mało skomplikowany. Tacy ludzie nie zostają podwójnymi agentami. No i bez reszty był oddany sprawom redukcji broni jądrowej. Nie pomógłby nikomu, kto chciałby nielegalnie ją zdobyć.

- Więc po co tracisz czas na Chaneya?

- Czy z tą ciężarówką to prawda? - odpowiedziała pytaniem. Jego milczenie było aż nadto wymowne.

- A zatem chodziło o mnie. Coś wiedziałam, więc postanowili mnie uciszyć. W grę może wchodzić tylko operacja CHAUCER. Najpierw zniknęła Tatiana Baranowa, a następnie ten wypadek przed szkołą. To musi mieć ze sobą związek.

- Czy o tym właśnie rozmawiałaś z Chaneyem?

- Powiedziałałam mu, że David nie mógł być celem zamachu, gdyż tamtego ranka nie zamierzał siadać za kierownicą, Ale wątpię, czy go przekonałam. Nie wierzy, bym to ja mogła być w coś zamieszana i stać się celem zamachu. Inna teoria Chaneya zakłada, że David był tajnym agentem

Firmy i zaatakowano go, ponieważ wpadł na trop szmuglu broni.

Tucker przez chwilę bujał się na krześle.

- Posłuchaj, powiem ci coś, ale dla swego dobra natychmiast zapomnij o tym, co usłyszałaś. - Zamilkł i zetknął opuszkami swe serdelkowate palce. Na twarzy miał wyraz niechęci i wahania. - Twoja przyjaciółka Tania otworzyła puszkę pełną obrzydliwych robali. Okazało się, iż miała rację, twierdząc, że przed kilku laty Rosjanie rozpoczęli prace nad bronią jądrową o ograniczonym zasięgu. Podejrzewamy, że wyprodukowali kilkaset sztuk takich głowic. Każda bomba ważyła około dwudziestu pięciu kilogramów i można było ją przenosić w plecaku. Miała niewielki zasięg rażenia, ale była bardzo skuteczna i niezwykle promieniotwórcza. Jedna sztuka potrafiłaby zabić ludność niewielkiego miasteczka. Z całą pewnością stanowiła niebywale atrakcyjny towar dla terrorystów. A cały problem polega na tym, że z powodu niewielkich rozmiarów tej broni nie jesteśmy w stanie lokalizować jej za pomocą satelitów rozpoznawczych, tak jak robimy to z wielkimi pociskami międzykontynentalnymi.

- Co stało się z Tanią?

- KGB ściągnęło ją do Rosji. Może przebywać na Syberii lub w zakładzie psychiatrycznym. A może nie żyje. Nie wiemy. Wprawdzie przy kremlofskim stoliku nieustannie zmieniają się gracze, ale żaden z nich nie chce, by roznosiły się wieści tego typu. Zwłaszcza jeśli sprzedaż broni nuklearnej jest tajną i niezwykle dochodową operacją rządową. Tym zagadnieniem zajmuje się już zespół naszych specjalistów.

- A kieruje nim George Neville z wydziału operacyjnego?

Tucker skinął potakująco głową.

- To bardzo ściśle grono. Ty do niego nie należysz. Sam nie znam szczegółów, lecz istnieją uzasadnione podejrzenia, że zostałeś rozpracowana jako prowadząca operację CHAUCER. Jeśh' znów zaczniesz wtykać nos w tę sprawę, sprowadzisz sobie na głowę bardzo memile towarzystwo. Musisz zatem trzymać się od wszystkiego jak najdalej. Czy rozumiesz, co mówię?

Marian w milczeniu skinęła głową. Wstała z krzesła i ruszyła w stronę drzwi. W progu jednak przystanąła i odwróciła się w stronę Tuckera, który też podniósł się zza biurka i podszedł do niej.

- Jeszcze jedno, Frank. Co z Katariną Muller? Mężczyzna wyprostował się jak rażony prądem.

- Co o niej wiesz?

Marian odniosła wrażenie, że z twarzy odpływa jej cała krew. Po co zadała to pytanie? Zbyt dobrze знаła Franka, by wiedzieć, co oznacza sposób, w jaki zareagował. Dlaczego postąpiła tak głupio; dlaczego była tak ślepa i nie dostrzegła, co dzieje się tuż przed jej nosem?

- Boże wielki! - jęknęła. - Domyślałam się już czegoś w Wiedniu, ale po prostu nie mieściło mi się to w głowie. David nawiązał z nią romans, prawda?

- Była specjalistką od uwodzenia i szantażu - mruknął, spuszczaając wzrok.

- Ale dlaczego David? Chodziło im o mnie? Tucker przeniósł na nią wzrok. W jego ciemnych oczach malował się gniew.

- Nie wiem. Może chodziło o to, byś z powodu kłopotów małżeńskich wcześniej wyniosła się z Wiednia? A może sądzili, tak jak Chaney, że David pracuje dla CIA?
- Czy Paul również był w to wplątany?
- Chyba nie. Jeśli dotyczyło to operacji CHAUCER, być może i on był celem. W przypadku operacji tego rodzaju dociekliwy reporter jest równie niebezpieczny, jak agent wywiadu. Mariah, bardzo mi przykro. Nie chciałem, byś się o tym dowiedziała.
- David chciał wyjechać. Błagał mnie, żebyśmy się spakowali i wrócili do domu. Ale ja go nie słuchałam. Oświadczyłam, że pozostał nam tylko rok i musimy go dobrze wykorzystać. Chcieliśmy pokazać Lindsay Europę, pojechać na wyprawę rowerową po Francji. - Zacisnęła pięści i popatrzyła z rozpaczą na Tuckera. - Dlaczego to zrobił? Dlaczego pozwolił, by między nas wdarła się inna kobieta?
- Zadawałem sobie to pytanie tysiąc razy. David cię kochał, co do tego nie ma wątpliwości. Nieprzytomnie też kochał Lindsay. Dlaczego, wdając się w romans z Katariną, ryzykował utratę rodziny? To nie ma najmniejszego sensu. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że podejrzewał, iż grozi wam niebezpieczeństwo i w ten sposób próbował was chronić. Mariah, przysięgam, że dojdę prawdy. Nie pozwolę cię zniszczyć.
- Wiem, Frank. Zawsze stałeś po mojej stronie.
- A ty po mojej. I nie mam na myśli jedynie naszych stosunków zawodowych. To prawda, jesteś najlepszym analitykiem, z jakim kiedykolwiek pracowałem, i jestem dumny z tego, że to ja zaangażowałem cię do naszego biura. - Tucker zawahał się. Zawsze miał trudności z okazywa-

niem cieplejszych uczuć. - Ale chodzi mi też o nasze stosunki osobiste... mówię o tym, co zrobiłaś, kiedy umierała Joanne. I o twoim stosunku do Stephen'a. Nigdy nie zapomnę, co zrobiłaś dla mnie i dla mojej rodziny.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i w progu stanęła Pat Bonelli. Zamarła jak słup soli, widząc przytulonych do siebie Frank'a i Marian'a.

Natychmiast od siebie odskoczyli. Marian wytarła twarz wewnętrzną stroną dłoni.

- Cześć, Patty - powiedziała. - Wybacz. Miałam fatalny ranek i twój facet pozwolił mi wypłakać się sobie w koszulę.

Pat powoli skinęła głową.

- Czy już wszystko w porządku?

- Tak, nic mi nie jest.

Frank jeszcze raz obrzucił spojrzeniem Marian'a i wrócił za biurko.

- O co chodzi? - zapytał, spoglądając na sekretarkę.

- Dzwoni twoja siostra. Pyta, o której ma jutro przyjść, żeby pomóc ci w przygotowaniach do bożonarodzeniowego przyjęcia.

- Może przyjść, kiedy chce - odparł Tucker. Mariah opuściła jego gabinet, zamykając za sobą cicho drzwi, on zaś kołysał się na krześle za biurkiem. Po chwili sięgnął po słuchawkę telefoniczną i wystukał numer.

- Biuro pana Neville'a - zaszczebotała w słuchawce sekretarka.

- Tu Frank Tucker. Czy zastałem szefa?

- Proszę chwileczkę poczekać.

W kilka sekund później rozległ się głos George'a Neville'a.

- Frank? O co chodzi?

131

- Paul Chaney. Pojawił się u niej. Szuka nowego tematu i powoli zaczyna składać do kupy wszystkie elementy.
- Rozumiem. To fatalnie.
- Fatalnie. Mariah wie o Katarinie Muller.
- Do licha! Jak to przyjęła?
- A jak myślisz? - warknął Tucker. - Posłuchaj, George, nie jest dobrze. Trzeba Chaneyowi nałożyć wędzidło.
- Też tak sędzę. Zobaczę, co da się zrobić. - Zawahał się. - Frank?
- Słucham?
- A co z nią? Czy zamierza dać spokój tej sprawie?
- Tak, zamierza dać spokój. - Tucker odłożył słuchawkę i mruknął do siebie: - Mariah, na Boga, daj temu spokój.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z piątku na sobotę spadło trochę śniegu, wyglądał on jednak na taki, który stopi się do południa. W sobotni rano Marian weszła z kuchni do garażu, otworzyła drzwi samochodu i obejrzała się za siebie.

- Lins! - zawołała. - Pośpiesz się! Nie mamy czasu. Już jesteśmy spóźnione. Carol czeka, byś zajęła się jej dzieckiem.

Z kuchni wynurzyła się Lindsay.

- Ktoś do ciebie dzwoni.

- Dobrze, dobrze - odparła ze znużeniem Marian. - Włóż swoje rzeczy do auta. Czy zabrałaś świąteczną sukienkę? Masz buty? Dobrze, wsadź wszystko do bagażnika. Za chwilę wrócę.

Wyminęła córkę, przeszła do kuchni i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- Mariah? Tu Stephen. Mam dla ciebie grę, o którą prosiłaś.

Grę? Mariah w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Ach, prawda, kartoteka CHAUCER!

- Tak szybko? Jesteś cudotwórcą. Czy dotarłeś do niej bez trudu?

- Trochę kłopotów miałem.

- Kiedy mogę ją dostać?

- Mam ją w domu. Wpadniesz po nią czy mam ci ją przynieść wieczorem do mego ojca?

- Przyjadę. Mogę wpaść o wpół do dwunastej? Podaj tylko swój adres.

Zapisała numer domu i ulicę w Alexandrii, odłożyła słuchawkę i wracając do garażu, wsunęła kartkę do kieszeni kurtki.

Lindsay siedziała już w samochodzie. U jej stóp leżał plecak z podręcznikami szkolnymi i zeszytami. Najwyraźniej zamierzała, pilnując wnuka Franka, poodrabiać lekcje.

Mariah przekręciła w stacyjce kluczyk i popatrzyła we wsteczne lustro. Jeśli nawet dostrzegła na zmrożonym śniegu na podjeździe ślady stóp, nie zwróciła na nie uwagi. Wycofała samochód. Kiedy wyjeżdżała na jezdnię, kątem oka dostrzegła, że drzwi garażu automatycznie się opuszczają,

Rollie Burton w ostatniej chwili wślizgnął się do garażu pod opadającymi wrotami i w chwilę później był już w kuchni. Sięgnął do kredensu, wyjął kubek i nalał sobie z ekspresu ciepłą jeszcze kawę.

Chwilę spoglądał w stronę drzwi wyjściowych, po czym otworzył zamek, na wypadek gdyby musiał w pośpiechu opuścić dom. Wziął duży łyk kawy i ruszył na zwiedzanie mieszkania.

Od wieczoru, gdy uciekła mu po basenie, nieustannie o niej myślał. Zapewne sądziła, że jest cwana, skoro udało się jej wywieść go w pole. Kobiety zawsze uważają się za przebiegłe. Beż z nich obrzucało go tylko przelotnym spojrzeniem, jakby był śmieciem. One zawsze szukają ładnych chłopaków. Nawet zwykłe prostytutki odwracały się do nie-

go plecami, mając nadzieję, że trafi się im lepszy klient. Ale Marian zwróci jeszcze na niego uwagę. Otworzył szafę w przedpokoju. Kiedy dostrzegł jedwabny szalik, sięgnął po niego i przyłożył do twarzy, wdychając upojny zapach perfum. Uśmiechnął się na myśl, że już niedługo i ta kobieta będzie błagać go na klęczkach, tak jak robiły to inne. Ale on nie będzie się zastanawiał, zabije ją bez litości. Dieter Pflanz wysłał do Kalifornii sakolot po synów Gusa McCorda. Stan ich matki wciąż był ciężki i Gus, gdyby przyszło najgorsze, chciał ich mieć przy sobie. Samolot miał wrócić w południe.

McCord nie opuszczał oddziału kardiologicznego szpitala od zeszłego popołudnia, kiedy to po spotkaniu z prezydentem wrócił do hotelu Madison i znalazł w apartamencie nieprzytomną żonę.

- Powinieneś być ślyspec, co mówił prezydent - odezwał się z zadumą w głosie do Pflanza Jerry Siddon, gdy siedzieli w poczekalni szpitala. - Praktycznie obiecał poprzeć Gusa, jeśli ten zdecyduje się w przyszłym roku kandydować na najwyższy urząd w państwie. Zawał serca jego żony stawia wszystko pod znakiem zapytania.

Pflanz popatrzył na asystenta McCorda.

- To rzeczywiście przykre - stwierdził, unosząc brwi. Na twarzy Siddona pojawił się brzydki grymas.

- To straszne. Jeśli coś się jej stanie, Gus będzie zdruzgotany. Natomiast gdy z tego wyjdzie, raczej nie będzie jej narażać na trudy związane z kampanią wyborczą.

- A zatem nie będzie kandydować. Trudno. Ostatecznie świat się na tym nie kończy. Prezydent poprze swego obecnego zastępcę.

- Tak mówią - odparł Siddon. - Ale wiceprezydent to skończony kretyn. Nie potrafiłby prowadzić sklepu ze słodyczami, więc co tu mówić o całym kraju. A prezydent dobrze o tym wie. Potrzebujemy kogoś takiego, jak Gus McCord. On uporządkuje bałagan, jakiego narobili politycy w tym kraju.

- Nie wiem. Moim zdaniem Gus dokona więcej, pracując dla siebie niż urzędując za biurkiem.

Siddon popatrzył na Pflanza z powątpiewaniem, lecz ten wiedział swoje. Poprzedniego dnia widział się ze swoim człowiekiem w CIA, który mówił mu to samo. Z Georgem Nevillem spotkał się w

przedpokojach Białego Domu, kiedy McCord wraz z towarzyszącym mu Jerryem Siddonem rozmawiali w Ovalnym Gabinetcie z prezydentem.

- Wiesz, oczywiście - powiedział Neville - że prezydent nigdy nie przyzna się, iż wiedział, co robi twój szef. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, to on o niczym nie miał pojęcia, choć w pełni docenia to, co McCord robi dla kraju. Mamy związane ręce przez paru sprawiedliwych z Kongresu, lecz na szczęście istnieją ludzie pokroju Gusa, którzy gotowi są wykonać brudną robotę.

- Doskonale - mruknął Pflanz. - Ale ty też lepiej dyskretnie odwróć oczy, gdy będziemy robić to, co musimy zrobić.

Neville z powagą pokiwał głową.

- To bardzo delikatna sprawa - dodał Pflanz. - Tylko ja znam wszystkie elementy tej układanki. I tak jest najbezpieczniej. Problem leży w tym, że mamy pewien kłopot z prasą.

136

- Z prasą? Konkretnie z kim?

- Z Paulem Chaneyem z CBN.

- Ach, tak, słyszałem. Do licha, zawsze te media. Rozwydrzone, głodne skandali... Przekłęci dziennikarze!

Pflanz podszedł do okna. Na trawnikach Białego Domu wnuki prezydenta bawiły się w najlepsze z psem pierwszej damy.

- Zostaw go mnie - powiedział, odwracając się w stronę Neville'a. - Wiem, jak najlepiej zadbać o Chaneya.

Gdy Marian zatrzymała volvo przed domem Carol w Alexandrii, Lindsay sięgnęła do plecaka.

- Zapomniałam ci to dać.

- Co to jest?

Dziewczynka wyjęła żółtą kopertę.

- Nie wiem. Wczoraj podszedł do mnie na korytarzu w szkole jakiś mężczyzna i prosił, bym ci to przekazała.

- Mężczyzna? Kto?

- Nie wiem. Chyba któryś z nauczycieli... Nie znam jeszcze wszystkich. W każdym razie prosił, bym ci to oddała.

Drzwi otworzył Michael, mąż Carol, i odebrał od Lindsay ciężki plecak. Przyjacielskim gestem zaprosił je do środka. Wnętrze domu pachniało choinką, a poręcze schodów prowadzących na piętro spowijały czerwono-zielone girlandy.

- Wchodźcie - powiedział, wprowadzając je do salonu. - Carol układa właśnie dziecko do snu. Za chwilę do nas przyjdzie.

- Już jestem! - Do pokoju weszła uśmiechnięta Carol, uścisnęła serdecznie Lindsay, po czym ucałowała jej matkę.

- Jedźcie już z Michael'em do ojca - powiedziała Mariah. - Czeka na was.

Carol skinęła głową.

- Po drodze mamy jeszcze kupić choinkę. Ojcu chwilowo pomaga Pat Frank zdobył nowy przepis na tajską potrawę. Ma się to nazywać „Ogień i lód”.

- Znając Franka, może to być bardzo interesujące - odparła z uśmiechem Marian, a Michael wymienił z Lindsay powątpiewające spojrzenie.

- Tata zawsze kochał gotować. Najgorzej jednak było ze Steviem, któremu poza hamburgerami i hot-dogami nic nie smakowało.

Wzmianka o Stephenie przypomniała Marian, że musi jeszcze wpaść do jego mieszkania i odebrać kartotekę CHAUCER. A przed tym odwiedzić Davida.

- Cóż, niebawem przekonamy się, jakim to nowym smakołykiem uraczy nas Frank. Ja wracam do domu, by rozmrozić pierożki z mięsem. Lindsay zabrała wizytową sukienkę, więc do Franka pojedzie prosto od was.

- Oczywiście. Gdy skończymy u niego, wrócimy tu, by się przebrać i zabierzemy Lindsay i Alexa. Blok, w którym mieszkał Stephen Tucker, wielka sześcienna budowla z metalowymi balkonami i rzędami identycznych okien, był jednym z wielu bezbarwnych wieżowców, które niczym grzyby po deszczu wyrosły w miastach Wirginii na początku lat sześćdziesiątych.

Marian przestudiowała listę lokatorów znajdującą się obok domofonu, po czym nacisnęła guzik oznaczony cyfrą 601. Gdy rozległ się brzęczyk, pchnęła drzwi i ruszyła ko-

rytarzem do windy. Po drodze obrzuciła przelotnym spojrzeniem przywiedniętego fikusa stojącego w kącie klatki schodowej. Drzewko miało pozołkłe na końcach liście, a w donicy widać było liczne niedopałki papierosów.

Kiedy na szóstym piętrze wysiadła z windy, Stephen czekał już w otwartych drzwiach mieszkania. Jego masywna sylwetka prawie całkowicie zasłaniała wejście.

- Cześć - powiedziała Marian. - Musisz być zmordowany. Dopiero jadąc do ciebie, uświadomiłam sobie, że spałeś zapewne tylko kilka godzin.

- Nie ma sprawy. Wchodź.

Wnętrze mieszkania, podobnie jak klatka schodowa, nie było szczególnie wyszukane. W promieniach wpadającego przez okno słonecznego światła widać było zgromadzony na otwartych żaluzjach kurz, a jasny dywan na podłodze od dawna dopraszał się pralni. W salonie stała zapadająca się, brązowa kanapa, fotel, stary stolik do kawy zawalony stosem gazet i czasopism, a pod ścianą piętrzył się zestaw stereo. Monotonie pomalowanych na biało ścian urozmaicały barwne plakaty gier komputerowych: „Gliniarza”, „Supergliniarza”, „Obrony twierdzy”, „Jeźdźców dinozaurów”, no i oczywiście „Czarnoksiężskiej różdżki”.

- To wszystko twoje gry? - spytała Mariah, oglądając plakaty.

Stephen skinął głową.

- Za kilka miesięcy na rynku pojawi się następna, „Broń czarnoksiężnika”. Będzie dużo bardziej skomplikowana od poprzedniej. Jej plakat jest już w druku. Dystrybutorzy donoszą, że mają dużo zamówień.

- To niesamowite - stwierdziła Mariah, która nieocze-

kiwanie ujrzała Stephen w całkiem nowym świetle. - Stanowisz jednoosobowe imperium gier komputerowych. Jak to się dzieje, że nie piszą o tobie w takich periodykach, jak „People” lub „Fortune”?

- Tworzę pod pseudonimem, a promocją i reklamą zajmują się moi dystrybutorzy.

- Pewnego dnia jednak będziesz musiał się ujawnić. Masz ogromny talent.

- To tylko dziecięce gry - odparł, wzruszając ramionami. - Nic wielkiego. Zaparzę kawę. Napijesz się?

- Nie, dziękuję, ale ty się nie krępuj. To naprawdę duża rzecz, Stephenie. Nie znam się na grach komputerowych, ale widzę, z jakim nabożeństwem odnosi się do nich Lindsay. A na rynku panuje wielka konkurencja. Naprawdę jesteś dobry.

- E, to tylko głupie hobby - odparł lekceważąco Stephen, grzebiąc w zlewie pełnym brudnych naczyń. Znalazł kubek, niedbale splukał go pod kranem, napełnił kawą, wsypał trzy czubate łyżeczki cukru i sięgnął do lodówki po śmietankę. W lodówce prócz śmietanki Mariah dostrzegła butelkę coca-coli, keczup i resztki pizzy. Poza tym chłodziarka była pusta.

- Nadal uważam, że się nie doceniasz - stwierdziła, odwracając się do niego plecami. W kuchni stał stary stolik do gry w karty i kilka krzeseł, które pamiętała jeszcze z mieszkania jego rodziców. Kiedy zerknęła na kuchenkę mikrofalową, zamarła. - Stevie, co tam robią płatki kukurydziane?

Stephen powędrował spojrzeniem za wzrokiem Mariah. Za szklanymi drzwiczkami kuchenki widać było barwne pudełka.



- Tak jest mi łatwiej je znaleźć. Śniadania jadam o drugiej lub trzeciej w nocy, po powrocie z pracy. Bywam roztargniony.

Marian popatrzyła nań tępo i wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś kompletnym wariatem, wiesz o tym?

- Mój ojciec przyznałby ci całkowitą rację.

- To nie krytyka. Potrzebujemy dziwaków. Bóg mi świadkiem, że normalni ludzie rzadko kiedy popychają świat do przodu. Ty jesteś unikalny, więc nie próbuj się zmieniać.

Wyszła za nim z kuchni. Minęli salon i weszli do sypialni. O ile całe mieszkanie składało się ze sprzętów pochodzących z licytacji i bazarów, sypialnia z rozgrzebanym łóżkiem stanowiła istną warownię najwyższej technologii. Znajdowały się tam dwa komputery, B3M i Macintosh, laserowa drukarka, modem, faks, osobliwie wyglądająca klawiatura z tuzinami guzików, pokręteł i potencjometrów oraz szereg innych skomplikowanych urządzeń, których przeznaczenia Mariah nawet nie próbowała dociekać. Wszystko to było ze sobą połączone różnokolorowymi kablami.

- Matko jedyna, ale nagromadziłeś tutaj skarbów! - wykrzyknęła. - Do czego to służy? - spytała, wodząc palcami po niezwyklej klawiaturze.

- Cyfrowe urządzenie próbkujące - wyjaśnił Stephen. - Używam go do tworzenia efektów dźwiękowych.

Mariah z niedowierzaniem potrząsnęła głową i rozejrzała się po pokoju. Jej uwagę przykuły dwie fotografie wiszące nad łóżkiem. Jedna przedstawiała Joanne, matkę Stephena, drugie zdjęcie było jej autorstwa. Zrobiła je przed kilku laty. Stephen i David grali na nim w szachy w jadalni jej mieszkania.

Zupełnie zapomniałam o tym zdjęciu - odezwała się cicho.

- To były piękne czasy. - Stephen wygładził przezroczystą taśmę klejącą, za pomocą której przymocował fotografie do ściany.

- Tobie też jego brakuje, prawda, Stevie? .

Mężczyzna w milczeniu skinął głową, podszedł do IBM-a i uruchomił komputer. Z bocznej szuflady wyciągnął pudełko z dyskietkami.

- Mówiłaś, że Lindsay grywa w moje gry. - Mariah skinęła głową i Stephen podał jej pudełko.

Widniała na niej etykieta „Jeźdźców dinozaurów”. - Trochę to zmodyfikowałem - wyjaśnił.

Wsunął dyskietkę do stacji dysków i na ekranie pojawiła się prehistoryczna sceneria. Siedzący na grzbietach ogromnych gadów jaskiniowcy toczyli ze sobą walki. Sypialnię wypełniła bitewna wrzawa i głośne porykiwania potworów.

- Z punktu widzenia naukowego ta gra to czysta bzdura - powiedział Stephen, przekrzykując hałas wydobywający się z głośników. - Dinozaury wymarły sześćdziesiąt milionów lat przed pojawieniem się pierwszego człowieka.

Mariah popatrzyła na Stephena, który jak urzeczony wpatrywał się w ekran. To był jego mały świat; świat, który stworzył i nad którym sprawował całkowitą władzę. Ale ona przecież nie przyszła tu po to, by to oglądać.

- Stevie, o co chodzi?

- Cierpliwości, patrz. - Sięgnął po myszkę i ustawił kursor na znajdującym się na górze ekranu okienku z napisem „Menu”, a następnie na napisie „Skończyć grę”. - Musisz kliknąć myszką i trzymając ją przyciśniętą, policzyć

do dziesięciu. Następnie zwolnij ją i powtórz operację. Rozumiesz? W przeciwnym wypadku gra tylko się wyłączy.

Marian skinęła głową i patrzyła, jak Stephen operuje myszką. Po chwili dinozaury zniknęły, umilkł bitewny wrzask. Na ich miejscu pojawił się znajomy obraz kartoteki operacyjnej CIA o kodowej nazwie CHAUCER. W górnym prawym rogu ekranu wyraźnie widniał symbol klasy tajności dokumentu.

Marian gwałtownie wciągnęła w płuca powietrze.

- Stevie, jak dokonałeś tej sztuki? Nie jestem ekspertem, ale trochę na komputerach się znam. Wiem, że Firma nie używa zwykłych komputerów na dyskietki, żeby nikt niepowołany nie myszkował po kartotekach. Jak udało ci się skopiować ten plik?

- Między terminalem a moim laptopem zainstalowałem niewielki wynalazek własnego pomysłu - wyjaśnił i dotknął stopą w jasnej skarpetce stojącego na podłodze przy biurku komputera.

- Przecież nie wolno wam wnosić do pracy prywatnych laptopów. Wiem coś o tym.

- Nie chciałabyś wiedzieć, jak to robię.

- Nie, nie chciałabym... Ale, do licha, powiedz!

- Cóż, strażnicy w nocy nudzą się jak małpy, więc ja im od czasu do czasu pożyczam laptopa i gier.

Ilekcóż widzą mnie z komputerkiem pod pachą, cieszą się jak dzieci.

Mariah zamknęła oczy.

- Och, Stevie, popełniłam wielki błąd. Nie powinnam była cię o to prosić.

- Nie przejmuj się. Nikt się o tym nie dowie. Nie zostawiłem śladu w centralnej bazie danych. A jeśli ktoś ze-

chce sprawdzić tę dyskietkę, znajdzie na niej jedynie dziecięcą grę.

Mariah otworzyła oczy i przez chwilę z uwagą studiowała twarz Stephena.

- Jak wszedłeś do systemu, nie znając hasła?

- Tego ci nie powiem. Ale gdy człowiek jest oblatany z komputerami, umie dokonywać nie takich cudów.

- Czy przeczytałeś tę kartotekę? Stephen zawahał się.

- Tyle tylko, by być pewnym, że to ta właściwa. Znalazłem pierwszą wiadomość, jaką przesłałaś memu tacie, oraz jego odpowiedź. Chodziło o rosyjskiego informatora... Czy w końcu nawalił?

Nawet nie wie, że była to kobieta - pomyślała Mariah. Nie czytał akt Tatiany Baranowej. To dobrze.

- Został odkryty i zabrało go KGB.

- Partacz.

- Nie żartuj.

Biedna Tania - pomyślała Mariah, gdy wracała samochodem do domu. W torebce miała dyskietkę, którą otrzymała od Stephena. Taniu, gdzie teraz jesteś?

Przed ponad dwoma laty, w sobotni ranek, spotkała się z Tanią na trybunach lodowiska, na którym zespół Davida rozgrywał mecz z miejscową drużyną. Obie kobiety wymieniły uśmiechy, lecz

Rosjanka była bardzo spięta. Aż podskoczyła, gdy z lodowiska dobiegł głośny krzyk.

Kiedy Mariah popatrzyła w stronę graczy, ujrzała, że Chaney wbił właśnie bramkę. David gratulował mu, klepiąc go po plecach, po czym obaj popatrzyli na widownię. Lind-

say podskakiwała z radości i wydawała głośnie okrzyki. Marian pomachała im rękę, pokazała uniesiony kciuk i odwróciła się do Tani.

- A więc przyszłaś - powiedziała z uśmiechem. - Cieszę się. Siadaj, Taniu.

Ujęła ją za łokieć. Mimo że Rosjanka miała na sobie gruby płaszcz, Mariah wyczuła, że Tania drży.

- Dzień dobry, pani Tardiff. Witaj, Lindsay. Lindsay, słysząc swoje imię, popatrzyła w jej stronę.

- Cześć! A jednak pani przyszła! Widziała pani ostatniego gola? Mój tata zaliczył asystę.

- Widziałam. Możesz być z niego dumna... to doskonały gracz.

Dziewczynka skinęła z powagą głową.

- Założę się, że następną bramkę strzeli tata.

Tania i Mariah uśmiechnęły się, a Lindsay ponownie skupiła uwagę na lodowisku, gdzie gracze rozpoczynali grę w strefie środkowej.

- Ona jest takim radosnym i energicznym dzieckiem - stwierdziła Tania. - Tak samo jak jej ojciec. To bardzo miły człowiek.

- Też tak uważamy.

- Może nie jest do niego fizycznie podobna, ale posiada jego charakter.

Mariah skinęła głową.

- To ukochana córeczka taty. Po jej urodzeniu lekarz pozwolił Davidowi przeciąć pępowinę. Później mój mąż podniósł noworodka i pierwszą rzecz, jaką Lindsay zobaczyła na tym świecie, była jego twarz.

- To wspaniałe. Rzadko który ojciec jest tak blisko z córką.

- A ty, Taniu? Czy masz dzieci?

Przez ładną twarz Rosjanki przebiegł cień i Baranowa odwróciła głowę w stronę lodowiska. ' -  
Przepraszam, nie chciałam być nietaktowna.

Tania przez chwilę milczała. Później potrząsnęła głową i ciężko westchnęła.

- Miałam dziecko - powiedziała cicho. - Dziewczynkę. Umarła, gdy miała dwa latka.

- Taniu, tak mi przykro.

- Urodziła się chora - ciągnęła nieszczęśliwa Rosjanka. - Przyszła na świat z wadą wątroby. Może to i dobrze, że umarła taka maleńka. Miałaby bardzo ciężkie życie. Ale była ślicznym dzieckiem. -

Baranowa znów skierowała wzrok na lodowisko, lecz Mariah wiedziała, że nie interesuje ją gra. - To była moja wina - powiedziała po długiej chwili, spoglądając na Mariah. - To ja mam w sobie jakąś wadę. Wcześniej dwukrotnie poroniłam. Powiedziano mi, że płody były zdeformowane.

- Przecież to nie twoja wina!

- Nic nie rozumiesz. Mój ojciec był fizykiem atomowym, tak samo jak ja... tak samo jak doktor Tardiff. Projektował dla Związku Radzieckiego broń jądrową. Wychowałam się w zamkniętym miasteczku, w cieniu wielkiej fabryki i ośrodka badawczego. Opuściłam je, dopiero gdy rozpoczęłam studia akademickie. Ale większość mieszkańców miasta miała problemy zdrowotne - rak, poronienia, bezpłodność...

Mariah z coraz większą zgrozą patrzyła na Tanię. Z wielką siłą docierał do niej sens tego, co mówiła Rosjanka.

- Wszystkiemu winne były materiały promieniotwórcze, z którymi pracowali. Środki bezpieczeństwa praktycznie nie istniały. Stare reaktory i odpady promieniotwórcze zatapiano w jeziorze, w którym kąpał się w dzieciństwie, lub zakopywano na polach, gdzie się bawiliśmy...

Mariah nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Ech, ci błyskodziwi naukowcy... Umieją budować najbardziej skomplikowaną broń, lecz nie potrafią skutecznie chronić własnych dzieci.

Marzyciele - pomyślała Mariah, a twarz wykrzywił jej grymas.

- Pani Tardiff... - zaczęła Tania.

- Mariah, po prostu Mariah.

- Mariah, chciałabym porozmawiać z doktorem Tardiffem, ale boję się spotykać z nim w biurach IAEA. Tam są inni Rosjanie. Niektórzy pracują dla KGB... ci wszędzie się kręcą. Dziś wyrwałam się z ogromnym trudem.

- 'Jaką masz sprawę do mojego męża?

- Wasz kraj musi o tym wiedzieć. Moja ojczyzna rozpaczliwie potrzebuje dewiz. A sprawujący u nas władzę ludzie nie cofną się przed niczym. Pozbawieni są sumień. Wbijają nam nieustannie do głów, że wszyscy Amerykanie pracujący w ONZ są agentami CIA. Ale jeśli nawet, to wiem, że doktor Tardiff jest przyzwoitym człowiekiem. - Popatrzyła na Lindsay, po czym znów przeniosła wzrok na Mariah. - Jestem przekonana, że twojemu mężowi mogę zaufać.

- Udawajmy, że rozmawiamy o meczu - szepnęła Mariah, pochylając się do przodu i wlepiając wzrok w graczy. Tania skinęła głową i również popatrzyła na lodowisko. Ma-

riah wyciągnęła nawet rękę, jakby wyjaśniała Rosjance zasady gry. - Pomogę ci, Taniu - szepnęła. - Ale nie zbliżaj się do Davida. Może to być niebezpieczne zarówno dla ciebie, jak i dla niego.

Drużyna Davida zdobyła następną bramkę. Rozległy się gromkie brawa.

- Jak wyjaśniłaś swoim ludziom dzisiejsze wyjście?

- Powiedziałam, że idę do muzeum Hofburg.

- Dobrze... A teraz posłuchaj, co masz zrobić. Czy znasz kawiarnię „Wienerhaus”? To mały lokalik, kilka kroków od twojego biura.

- Znam.

- Doskonale. Dzisiaj jest sobota. Od poniedziałku codziennie rano, gdy będziesz przechodziła obok tej kawiarni, popatrz na drzwi, na ich dolny lewy róg. Dolny lewy róg, zapamiętasz? Szukaj zielonej pinezki. Kiedy ją zobaczysz, wyjdź wcześniej z biura i między piętnastą a szesnastą udaj się do Hofburg.

- Ale gdzie dokładnie? Muzeum jest bardzo rozległe.

- Tym się nie martw. Znajdą ciebie.

- A jeśli nie będę mogła wyrwać się z pracy?

- Wtedy idź następnego dnia. Albo jeszcze następnego. W muzeum ktoś do ciebie podejdzie i zapyta o godzinę. Kiedy odpowiesz, ten ktoś spyta, czy widziałaś już w dziale etnograficznym pióropusz Montezumy. Po tym rozpoznasz naszego człowieka.

- Pióropusz Montezumy - powtórzyła Tania. - I co dalej?

- Powiadomią cię, co masz zrobić. - Mariah popatrzyła w wypełnione lękiem oczy Tani i szybko ścisnęła ją za rękę.



- Nie bój się, Taniu. Osoba, z którą się spotkasz, powie ci, jak dotrzeć w miejsce, gdzie będziesz mogła bezpiecznie porozmawiać. Wszystko będzie w porządku, obiecuję.

Tania zmrugała oczami, popatrzyła na Marian i w milczeniu skinęła głową.

Och, Taniu - pomyślała teraz Mariah z goryczą, skręcając na podjazd prowadzący do domu. Jak mogłam gwarantować ci bezpieczeństwo? Okazałam się równie bez serca, jak marzyciele. Nie udało mi się ocalić ani ciebie, ani własnej rodziny.

Rozłożony na łóżku w sypialni Rollie Burton usłyszał, jak otwierają się drzwi garażu, i natychmiast poderwał się na nogi.

Po wyjściu matki i córki dokładnie sprawdził cały dom, by dobrze zapamiętać rozkład pomieszczeń. Na koniec przeniósł się do sypialni i tam czekał, skracając sobie czas przeglądaniem szuflad, wodzeniem palcami po bieliźnie, przykładaniem jej do przyszczatej twarzy i wdychaniem słodkich zapachów.

Teraz podszedł do okna i stojąc w kącie, obserwował, jak volvo wjeżdża na podjazd i znika w garażu. W chwilę później dotarł doń dźwięk zamykanych drzwi samochodu, a niedługo po nim szereg elektronicznych dźwięków, dochodzących z kuchni.

Burton zamarł w bezruchu, kiedy usłyszał obcy głos. Po chwili dopiero uprzytomnił sobie, że pod nieobecność gospodyni dwukrotnie włączała się w telefonie automatyczna sekretarka i teraz kobieta zapewne odsłuchuje wiadomości.

149

Wsunął dłoń do kieszeni, w której trzymał nóż, i cicho przeszedł po dywanie do drzwi. Stamtąd uważnie nasłuchiwał dochodzących z dołu dźwięków. Zdecydował, że najlepiej będzie cierpliwie czekać. Przy odrobinie szczęścia jego ofiara sama niebawem wejdzie do sypialni. Jeśli nie, on zejdzie do niej.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Po przesłuchaniu taśmy w automatycznej sekretarce Marian udała się do przedpokoju, odwiesiła płaszcz i wróciła do kuchni. Na blacie obok zlewu stał kubek. Wzięła go do ręki, po czym otworzyła zmywarkę. W środku znajdowały się naczynia, których używała z Lindsay do śniadania. Popatrzyła na trzymany w dłoni kubek i zmarszczyła w zadumie brwi. Coś tu było nie tak. Po chwili jednak wzruszyła ramionami, wstawiła kubek do zmywarki i zamknęła drzwiczki.

Torebka z dyskietką, którą otrzymała od Stephena, leżała na stole,, Mariah zerknęła na zegarek. Dodchodziła trzynasta. Podeszła do lodówki i wyjęła z niej pierożki z mięsem, które przed kilkoma dniami upiekła specjalnie na przyjęcie u Franka. Zamierzała jeszcze przygotować ciasto bożonarodzeniowe, lecz akcja CHAUCER była pilniejsza. Najpierw kartoteka, a później, jeśli starczy czasu, ciasto - zdecydowała.

Gdy sięgała po torebkę, jej wzrok padł na żółtą kopertę, którą Lindsay przyniosła ze szkoły. Przez chwilę studiowała wypisane na niej swoje imię i nazwisko. Podeszła do szuflady i wyjęła nóż. Ostrze gładko przecięło papier. Mariah wsunęła do środka palce, by wyjąć zawartość.

Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Nowym Meksyku

często widywała tarantule sprzedawane w sklepie dla turystów. Zasuszone ciała tych niemiłych mieszkańców pustym zatapiane były w plastik. Żywe pająki widziała jedynie w sklepie z owadami i zawsze ze strachem myślała, że któreś z tych paskudztw może zawędrować do jej mieszkania w Los Alamos.

Kiedy więc z koperty wysunął się czarny, włochaty kształt i wylądował na jej otwartej dłoni, Mariah wrzasnęła i odskoczyła do tyłu, wypuszczając z rąk zarówno stworzenie, jak i kopertę, która spadając, przykryła pająka. Mariah stała bez ruchu z otwartymi z przerażenia ustami i czekała, aż pająk wypełźnie spod papieru.

Kiedy jednak nic takiego się nie stało, nie spuszczać wzroku z koperty i sunąc plecami po ścianie, podeszła do szafki, wyjęła z niej szczotkę i kilkakrotnie z całych sił uderzyła trzonkiem w kopertę. Następnie końcem kija przesunęła papier. Spodziewała się ujrzeć zmiażdżone, lepkie resztki tarantuli, lecz koperta gładko zsunęła się z czarnego, włochatego kłębka. Mariah, ściskając z całych sił zaimprovizowaną broń, uważniej przyjrzała się czarnemu kłębusz-kowi. Po chwili przykucnęła, jeszcze raz lekko szturchnęła szczotką czarny przedmiot, po czym wzięła go w palce.

Nie była to tarantula. W ogóle nie był to pająk. Były to włosy; pasmo czarnych włosów, ze śladami siwizny. Mariah gapiała się w oszołomieniu na znajomy, ciemny kosmyk. Nie miała wątpliwości, że włosy należały do Davida. Po chwili popatrzyła na Ust, odstawiła szczotkę i podniosła go z podłogi. Jeszcze raz zerknęła na napisane na maszynie imię i nazwisko: MARIAH BOLT. Nie Tardiff. Nie Pani Bolt-Tardiff,

jak zazwyczaj szkoła Lindsay adresowała kierowane do niej listy, lecz właśnie MARIAH BOLT. Panińskiego nazwiska używała tylko w pracy, więc....

Zajrzała do koperty. W środku znajdowało się kilka sztywnych kartek. Były to fotografie rozmiarów pocztówki. Zdjęcia posiadały ziarnistą fakturę, co znaczyło, że zrobiono je w niekorzystnych warunkach świetlnych. Przedstawały kobietę i mężczyznę w łóżku, w różnych pozycjach miłosnych. Ona była jasną blondynką; on miał ciemne, kręcone włosy. Na wszystkich trzech fotografiach bez trudu można było rozpoznać twarze.

David i Elsa.

Rollie Burton usłyszał krzyk kobiety i zamarł w bezru- ' chu. Ostrożnie wyjrzał z sypialni, z trzonka z kości słoniowej wysunęło się ostrze noża. Podszedł bezszelestnie do szczytu schodów i zerknął na dół, lecz z miejsca, w którym stał, nią widać było wnętrza kuchni.

Kiedy z dołu dobiegł dźwięk uderzeń, jeszcze bardziej wyteżył słuch, próbując coś usłyszeć.

Przeszkadzał mu szum własnej krwi w uszach i stłumione nawoływania bawiących się na ulicy dzieci.

Po chwili jednak w kuchni znów zapadła cisza.

Ścisnął mocniej nóż w dłoni i sunąc plecami po ścianie, zaczął pomalutku, stopień po stopniu, schodzić na parter.

Gdy dotarł doń kolejny okrzyk, a chwilę później głęboki, zdławiony szloch, przypominający odgłos wydawany przez śmiertelnie ranione zwierzę, odniósł wrażenie, że krew zamienia mu się w lód. Co tam się dzieje? - pomyślał zaintrygowany.

Tymczasem Marian stłumiła kolejny, pełen bólu i udręki

okrzyk, ciężko opadła na krzesło i rzuciła fotografie na blat stołu. Leżały teraz lśniące, szydercze i groźne.

Zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Dlaczego przysłano jej te zdjęcia? Dlaczego właśnie teraz? Skąd nauczyciel ze szkoły Lindsay zdobył te fotografie?

Z całą pewnością nie był to żaden nauczyciel. Lindsay go nie знаła.

Kim zatem był? Dlaczego zależało mu na tym, aby Mariah zobaczyła te zdjęcia? I dlaczego przesłał je za pośrednictwem Lindsay, a nie wysłał ich pocztą?

Żeby mnie przekonać - pomyślała Mariah.

Żeby udowodnić mi, że w każdej chwili mogą skrzywdzić Lindsay, i nie tylko - dodała w myślach, spoglądając na ciemny kosmyk, który wciąż ścisnęła w dłoni.

Igrali z nią, kpili z niej, straszili.

Ale kto? I czego od niej chcieli? A może chodziło o to, by nic nie robiła?

Mogła zrobić tylko jedno. Zadbać o bezpieczeństwo swej rodziny. Lindsay wprawdzie była chwilowo bezpieczna w domu Carol, lecz należało zadzwonić do Franka i poprosić go, by zabrał dzieci do siebie.

A David?

Podeszła do kosza na śmieci, wrzuciła do niego kosmyk włosów, po czym odwróciła się do telefonu. Zanim zadzwoni do Franka, skontaktuje się z ośrodkiem opieki i spyta, czy w ostatnich dniach nie odwiedzał Davida ktoś obcy. Następnie poprosi, by pilniej czuwano nad jej mężem.

Podeszła do telefonu i zaczęła szukać numeru.

- Odłóż słuchawkę, śliczna.

Słyszając za plecami obcy głos, wypuściła z dłoni słucha-

wkę, która odbiła się od blatu stołu i zaczęła w powietrzu kręcić się na kablu.

- Powiedziałem, odłóż słuchawkę.

Stał w progu kuchni, za plecami miał przedpokój. Marian popatrzyła ze strachem na poznaczoną bliznami po ospie twarz. Gdy nieznajomy poruszył ręką, dostrzegła błysk noża. Nie spuszczać z niego wzroku, wymacała za sobą wiszącą słuchawkę i posłusznie odłożyła ją na widełki.

- Kim jesteś?

Mężczyzna tylko się uśmiechnął.

- Chcesz pieniędzy? Nie mam dużo gotówki, ale w torebce znajdziesz karty kredytowe. Zabierz je i odejdz.

- Mam odejść? Nie zamierzam nigdzie iść.

- Czego więc chcesz?

- Ciebie, Mariah.

Żołądek podszedł jej do gardła, gdy zobaczyła, w jaki sposób na nią patrzy. Spostrzegła, że źrenice ma w różnych **kołach**; jedną niebieską, drugą zieloną.

- Skąd znasz moje imię? Popatrzył na jej twarz i oblizał usta.

- Wiem o tobie bardzo dużo. Wiem, dokąd chodzisz. Wiem, co robisz. Nawet widziałem cię bez ubrania.

- To ty szedłeś za mną, gdy wracałam do domu z basenu?

- Tak. I prawie cię wtedy dostałem. Tamtem staruch... Naprawdę byłem wkurzony.

- Czego chcesz?

Ale on znów tylko się uśmiechnął, a następnie powędrował wzrokiem na rozrzucone na stole zdjęcia. Podszedł do nich, trzymając wysunięty przed siebie nóż.

155

- Ładne fotki - powiedział, podnosząc jedną do oczu. - Lubisz oglądać takie rzeczy?

- Nie.

Parsknął niezadowolony.

- Na pewno lubisz. Kupiłaś je? A może są na nich twoi znajomi? - Kiedy milczała, warknął: - Zadałem ci pytanie.

- Ktoś mi je przysłał.

- Masz ciekawe towarzystwo. Ale kobiety takie jak ty wolą to robić niż patrzeć. Ja jestem taki sam. Wiem, czego potrzebujesz, Mariah. - Usta rozszerzyły mu się w szerokim uśmiechu. - Jesteś samotna. Potrzebujesz mężczyzny.

Ogarnęła ją nieprzytomna furia. Chwyliła stojącą obok szczotkę i uderzyła nią intruza w splot słoneczny. Mężczyzna zgiął się w pół. Z dłoni wysunął mu się nóż i z hałasem upadł na podłogę. Mariah cofnęła się, po czym znów zaatakowała. Ale to był błąd. Napastnik odchylił się i kij od szczotki trafił go tylko w ramię. Chwylił go, zanim kobieta zdążyła się cofnąć. Zamarli na chwilę w bezruchu, patrząc sobie w oczy. W jego przerażających, różnobarwnych źrenicach malował się gniew.

- Ty suko! Zabiję cię!

Szarpnęła kijem, wytrącając napastnika z równowagi. Zachwiał się, lecz natychmiast stanął pewnie na nogach i wyrwał jej szczotkę.

Mariah rzuciła się do tyłu, porwała z maszynki szklany dzbanek do parzenia kawy i cisnęła nim za siebie. Naczynie roztrzaskało się o przeciwległą ścianę. Prysnęły kawałki szkła.

Zrozpaczona i zdesperowana, rzuciła się do prowadzą-



cych do garażu drzwi. Chciała je otworzyć, ale bandyta przycisnął od tyłu jej plecy i Mariah uderzyła czołem w twardą ścianę.

Poczuła, że mężczyzna chwytą ją za włosy. Szarpnął tak mocno, że straciła równowagę i oparła się plecami o jego tors. Pociągnął ją z całych sił do tyłu, odsunął się i wówczas upadła na podłogę, boleśnie tłukąc sobie kość ogonową.

- Wstawaj! - warknął, nie puszczając jej włosów. Wolną ręką chwycił jej sweter i zaczął wlec ją przez kuchnię. W pewnej chwili zatrzymał się, puścił jej ubranie i podniósł nóż. Kiedy Mariah próbowała strącić z włosów jego rękę, jeszcze bardziej odgiął jej głowę do tyłu. Poczuła, jak wbija jej w kręgosłup kolano, a do naprężonej skóry na szyi przykłada ostrze noża.

- Już nie żyjesz, panienko!

- Proszę, nie! - Skrzywiła się, kiedy znów boleśnie wzarpnął ją za włosy. - Mam córeczkę! - zawołała rozpaczliwie, z wielkim trudem łapiąc oddech. - Ona mnie potrzebuje... straciła ojca. Zrobię, co zechcesz, ale nie zabijaj mnie.

Zamknęła oczy, żywiła nadzieję, że ostudziła trochę jego gniew. Rzeczywiście, poluzował nieco zaciśniętą na włosach dłoń, lecz nie zabierał noża z krtani.

- Wstawaj!

Rzucił ofiarę brzuchem na stół i przygniótł własnym ciałem. Mariah zdawała sobie sprawę z tego, że napastnik spogląda ponad jej ramieniem na fotografię.

- Na górę! - wychrypiął jej do ucha. - Do sypialni. A jeśli spróbujesz jeszcze jakichś sztuczek, zabiję cię.

Znów szarpnięciem postawił ją na nogi i popychając przed sobą, skierował w stronę schodów. Gdy rozległ się jęk policyjnej syreny, Paul Chaney popatrzył na licznik. Jechał z szybkością prawie osiemdziesięciu mil na godzinę.

- Niech to Ucho!

Zdjął nogę z gazu, wcisnął hamulec i zjechał na pobocze. Wyłączył silnik i sięgnął po portfel. We wstecznym lusterku obserwował, jak zatrzymuje się za nim wóz patrolowy i wysiada z niego policjant. Paul spuścił szybę i zdjął ciemne okulary.

- Dzień dobry panu - powiedział funkcjonariusz. - Proszę o prawo jazdy i kartę wozu.

- Oto prawo jazdy - odrzekł Chaney, wyciągając w jego stronę portfel.

- Proszę wyjąć dokumenty,

- Samochód pochodzi z wypożyczalni. Sądzę, że papiery znajdują się w schowku.

- Proszę więc mi je podać.

Chaney skinął głową, wyciągnął z portfela prawo jazdy, wręczył je policjantowi, po czym przechylił się i sięgnął do skrytki, gdzie trzymał teczkę z dokumentami wypożyczonego auta. Policjant stał obok samochodu i trzymał dłoń na biodrze. Nie, nie na biodrze - pomyślał Chaney. Na kolbie pistoletu. Ależ ci ludzie mają robotę. W każdej chwili jakiś świr może wyciągnąć do nich broń.

- Przepraszam, jechałem trochę za szybko.

- Zgadza się. Miał pan na liczniku osiemdziesiąt jeden mil.

- Osiemdziesiąt jeden? Nie wiedziałem, że tak dużo. Mam chyba uszkodzony szybkościomierz.

- Tutaj jest ograniczenie do pięćdziesięciu pięciu, proszę pana - wyjaśnił sucho policjant, a Chaney ciężko westchnął i skinął głową. - Proszę zaczekać w samochodzie.

Policjant przeszedł do radiowozu, by na komputerze sprawdzić ewentualną kartotekę dawniejszych wykroczeń Paula Chaneya, ten zaś rozparł się w fotelu i przetarł zmęczone oczy. Co jeszcze mi się dziś nie uda? - pomyślał.

Poprzedniego dnia Mort Rosen, wiceprezes CBN i kierownik działu wiadomości i spraw bieżących, odwołał spotkanie z Paulem, na którym mieli przedyskutować warunki nowego kontraktu. Tego dnia, wcześniej rano, Rosen znów zadzwonił i umówił się z Paulem na śniadanie. Chaney był przekonany, że szef zaproponuje mu stanowisko kierownika biura waszyngtońskiego, o które od dawna zabiegał. Ale podczas śniadania wybuchła bomba - CBN zamierzała go zwolnić.

- Nie możecie mnie wyrzucić! - zaprotestował zdumiony. - Jestem najlepszym reporterem waszej sieci. Zdobyłem najwięcej nagród, a na tym zawodzie znam się lepiej niż ktokolwiek inny.

Rosen nerwowo poprawił się na krześle.

- Przykro mi, ale zarząd chce jeszcze raz przemyśleć koncepcję pracy naszej sieci.

- Koncepcję pracy? O czym ty, do licha, mówisz, Mort?

- Teraz do głosu doszli nowi ludzie. Mają inną wizję, jeśli chodzi o prowadzenie wiadomości.

Posłuchaj, Paul, ja nie mam z tym nic wspólnego. Chciałem cię zatrzymać, ale przegrałem batalię.

Taka jest prawda.

**159**

- Komu tym razem podpadłem?

- Nie wiem. Ale musiałeś nadeprnąć na odcisk jakiejś naprawdę grubej rybie. - Rosen uśmiechnął się.

- Chyba gdzieś zdrowo narozrabiałeś. Jak zwykle. Pamiętasz, jak wyjechałeś do Wiednia na konferencję dotyczącą ochrony środowiska, a my dostaliśmy taśmy z Tunisu? Albo jak spotkałeś się z Jasserem Arafatem...

- No i co z tego? Byłem pierwszym dziennikarzem, z którym spotkał się po swoim wypadku lotniczym. Miałem kontakty, więc je wykorzystałem. Rozłożyliśmy wtedy na łopatki wszystkie sieci telewizyjne i redakcje gazet na całym świecie.

- Wiem. Ale tym razem to coś dużo poważniejszego.

- Mort, ta sprawa bardzo mi śmierdzi. Muszę dowiedzieć się, o co dokładnie chodzi.

- Nic z tego, Paul. Radzę ci jako przyjaciel: weź odprawę, którą ci dają - a dają kupę forsy - i znikaj. Przenieś się do jakiejś innej sieci. Gdy rozniesie się wieść o twoim odejściu, wszystkie stacje będą się o ciebie bić. - Rosen ciężko westchnął. - Ostatnio w CBN nie dzieje się dobrze. To, co robimy, niewiele ma wspólnego z rzetelnym dziennikarstwem. Chodzi jedynie o profity polityków. Wynoś się od nas, dopóki możesz. Nie będziesz żałował.

Gdy przy oknie samochodu znów pojawił się policjant, zaskoczony Chaney drgnął.

- Proszę, oto dokumenty, panie Chaney. Nie poznałem pana. A przecież zawsze oglądam pański program. Te reportaże z wojny w Zatoce to kawał solidnej roboty.

- Dziękuję - mruknął Paul, schował dokumenty i popatrzył na stojącego na tle słońca policjanta. - Ale mandat mi pan wypisze?

- Obawiam się, że tak. Przykro mi. - Policjant z szerokim uśmiechem podał mu kamy blankiet. Po odjeździe wozu patrolowego przepuścił kilka przejeżdżających samochodów, po czym włączył się swym buickiem do ruchu. Napomniął się w duchu, by przestrzegać dozwolonej prędkości, i w chwilę później dostrzegł zieloną tablicę informującą o zjeździe z autostrady do McLean.

I znów będę ją denerwować - pomyślał z goryczą. Ale musiał pomówić z Mariah osobiście, nie za pośrednictwem automatycznej sekretarki. Zresztą gdyby rozpoznała jego głos, natychmiast wyłączyłaby telefon.

De jest kobiet na świecie? Ze dwa miliardy. Odrzucając nieletnie - miliard. A on musiał zakochać się w żonie swego przyjaciela, która na dodatek traktowała go jak jakieś paskudztwo, które przyklepiło się jej do buta.

Nie sądził, że coś takiego może się zdarzyć. Poznali się na wielkim bankiecie wydanym w Wiedniu przez brytyjskiego dyplomatę. Mariah przyszła sama, gdyż Davida zatrzymały jakieś ważne obowiązki w IAEA. Oboje niedawno przybyli do Austrii.

Okazało się, że podczas uroczystej kolacji wyznaczono mu miejsce obok niej. Zerknął na wizytówkę leżącą obok jej kiejiszka i powiedział, wyciągając rękę:

- Pani Mariah Bolt? Jestem Paul Chaney.

Mariah popatrzyła na niego, następnie przeniosła wzrok na jego wyciągniętą dłoń i podała mu rękę.

- Tak, wiem.

- Jest pani Amerykanką? - Kiedy Mariah skinęła głową, dokładnie się jej przyjrzał. - Pani mi kogoś przypomina. Czy przypadkiem już się kiedyś nie spotkaliśmy?

- Zaczyna pan bardzo oryginalnie - powiedziała, unosząc lekko brwi.
- Nie, mówię poważnie. Wygląda pani jak... Widziałem gdzieś fotografię. Ale czyją? - Jeszcze raz popatrzył na jej wizytówkę leżącą obok kieliszka i uderzył się w czoło. - Oczywiście, Benjamin Bolt! Z twarzy Mariah zniknął uśmiech, lecz w tej samej chwili pojawił się kelner z zupą. Kiedy już ich obsłużył, Paul spytał:
  - Czy Benjamin Bolt należał do pani rodziny?
- Mariah wyłowiła z zupy kawałek marchewki, westchnęła, po czym odłożyła łyżkę. Rozejrzała się wokół siebie, ale inni goście zajęci byli rozmową z sąsiadami. Niechętnie popatrzyła na Chaneya.
  - Jestem jego córką.
  - Córką? To wspaniale! Na studiach zaczytywałem się w jego książkach. Właśnie odkryto go jako pisarza. Wielu krytyków uważało, że swymi powieściami zakasował samego Jacka Kerouaca.
  - Pamiętam.
  - I mieli rację. Posiadały w sobie nieprawdopodobny ładunek intelektualny i emocjonalny. Z „Cudownym gromem” po prostu się nie rozstawałem. - Chaney roześmiał się. - A kobiety to uwielbiały. Książka ta stanowiła najlepszy pretekst, by nawiązać znajomość z dziewczyną. Chłopakowi czytającemu „Cudowny grom” żadna nie potrafiła się oprzeć.
  - Miło mi to słyszeć.
  - Ale ja przede wszystkim doceniałem jej wartości literackie - odrzekł nieco zakłopotany. Patrzył, jak Mariah

podnosi do ust łyżkę z zupą, i zastanawiał się, skąd u tej kobiety taka oziębłość. - Nie wiedziałem, że Bolt miał rodzinę. Kiedy umarł w Paryżu, wyglądało, że jest samotny.

- Bo był. - Mariah gwałtownie odłożyła łyżkę i wlepiła w niego spojrzenie swych zimnych, szarych oczu. - Czy moglibyśmy zmienić temat? Nie znałam swego ojca, więc nie interesuje mnie rozmowa o nim.

Nie była też zainteresowana rozmową ze mną - pomyślał Chaney, zatrzymując samochód na światłach i przypominając sobie, że szybko wdała się w konwersację z sąsiadem siedzącym po jej drugiej stronie. Pod koniec posiłku, po kilku bezowocnych próbach nawiązania kontaktu, zaszufłdkował ją w odpowiedniej przegródce - atrakcyjna, inteligentna i zimna jak lód. Ciekawe, kim jest nieszczęśnik, który wybrał ją sobie na żonę - pomyślał wówczas, widząc na jej palcu złotą obrączkę.

Przyszło mu do głowy, że gdyby nie zaprzyjaźnił się z jejynęzem, nie dowiedziałby się, że tak naprawdę córka Bena Bolta jest skromną, bojaźliwą i w pewnym sensie nieszczęśliwą kobietą. Ale zaprzyjaźnił się - i się dowiedział. A po jakimś czasie Mariah go opętała, sprawiła, że zapomniał o swych wszystkich solennych przyrzeczeniach, że nigdy już nie ulegnie żadnej kobiecie.

- Ściągaj ubranie - rozkazał Burton, kiedy znaleźli się w sypialni.

Odwrócił ją przodem do siebie i przykładając jej nóż do brzucha, drugą ręką przyciągnął głowę do swojej twarzy. Gdy zaczął ją całować, poczuła bijący mu z ust kwaśny zapach. Zacisnęła z całych sił powieki, kiedy gwałtownie

wsunął jej język między zęby. Nie mogąc dłużej znieść tej tortury, odwróciła twarz. Poczowała jego usta na policzku. Skrzywiła się z bólu, kiedy ostrze noża ukłuło ją w brzuch.

- Daj spokój, Mariah - wymamrotał. - Nie próbuj stawiać oporu. - Znów przygarnął ją do siebie i zaczął wargami pieścić jej szyję. - Przypomnij sobie tamte zdjęcia, przypomnij sobie tamtą dziwkę.

Była taka gorąca... Chcę, byś i ty taka była. Rozumiesz?

- Zamknij się! - wrzasnęła Mariah, gwałtownie odpychając go od siebie.

Mężczyzna popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Zamknij się, skurwysynu! Nie wspominaj o tych zdjęciach!

- Kto na nich jest?

- Nie twój zakichany interes!

Gapił się na nią i powoli docierała do niego cała prawda.

- To twój stary... Czy tak?

- Powiedziałam, żebyś się zamknął i dał mi spokój! - Otworzyła oczy i popatrzyła na niego błagalnie: -

Proszę, odejdz.

Przeciągnął nożem po jej swetrze, od mostka po krocze, a następnie znów w górę.

- Niestety, śliczna, nie mogę.



## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Chaney stał przed drzwiami i naciskał dzwonek. Wiedział, że Mariah jest w domu. Drzwi garażu były otwarte, a w środku stał samochód. Przyłożył ucho do drzwi, po czym zawołał:

- Mariah, otwórz, to ja!

Ale z wnętrza domu nie dobiegał żaden dźwięk. Paul zerknął za siebie. Po chodniku szło dwóch nastolatków, strzelając z ręczników. Basen - pomyślał. Tam właśnie była tamtego wieczora. David wspominał przy jakiejś okazji, że jego żona jest zapaloną pływaczką.

- Ej chłopaki! Idziecie pływać?

Chłopcy zatrzymali się i podejrzliwie popatrzyli na nieznajomego.

- Tak. Bo co?

- Bo nic. - Chaney wskazał kciukiem budynek. - Odwiedziłem znajomą, ale nie ma jej w domu.

Pomyślałem więc, że mogła pójść na basen. Czy to daleko?

Chłopcy wyraźnie się uspokoili.

- Proszę iść tą alejką - powiedział jeden z nich, wskazując kierunek. - Na pewno pan trafi. To wielki ośrodek rekreacyjny, nie sposób go minąć.

- Dziękuję - odrzekł Paul, spoglądając we wskazaną przez chłopca stronę.

- Nie ma za co.

Chłopcy znów ruszyli przed siebie, strzelając z ręczników, on zaś zszedł po schodkach na ścieżkę. Po pierwszym dzwonku Burton przycisnął Mariah do ściany i zakrył jej dłonią usta. Do krtani przystawił czubek noża.

- Nie waż się pisnąć - syknął.

Mariah stała jak zamurowana. Dzwonek odezwał się jeszcze kilkakrotnie.

- Kto to? Czy na kogoś czekałaś?

Wzruszyła ramionami i bezradnie pokręciła głową. Spocona dłoń, którą napastnik trzymał na jej ustach, zasłaniała też nos i Mariah miała kłopoty z oddychaniem. Ktoś zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi. Kobieta prawie się uśmiechnęła, lecz widząc wyraz twarzy Burтона, natychmiast nad sobą zapanowała.

Wreszcie walenie w drzwi ustało, a z zewnątrz dobiegł stłumiony, męski głos. Paula Chaneya? Tak! Była prawie pewna, że to on. Z kimś rozmawiał. Niebawem głosy ucichły. Mariah wyteżęła słuch, ale docierał do niej jedynie odległy szum ruchu ulicznego i okrzyki bawiących się niedaleko dzieci.

Chaney odszedł.

Jej dręczyciel za to wciąż tu był, czujny i napięty. W końcu jednak poczuła, że jego ciało się rozluźnia. Zabrał rękę z jej twarzy i brutalnie pocałował ją w usta. Po chwili przesunął wargi na szyję. Mariah przytuliła się plecami do ściany i zacisnęła pięści. Gdy napastnik szarpnął palcami skraj jej swetra, zasłoniła instynktownie piersi.

- Ściągaj go! - Zrobił krok do tyłu i machnął nożem.

Patrzyła trwożnie w jego dziwne oczy, które nie wyrażały żadnych uczuć. Nie traktował jej ani jak kobiety, ani jak matki, ani nawet jak ludzkiej istoty. Jego źrenice spoglądały na nią wyłącznie jak na zabawkę i ofiarę. Były niczym oczy kota, obserwującego z zadowoleniem przygwożdżonego pazurami do ziemi wróbla; kota, bawiącego się ptakiem na chwilę przed tym, zanim go zabije. Zdawała sobie sprawę, że jej los jest z góry ustalony. Najpierw bandyta ją zgwałci, a następnie zamorduje. Mógł to zrobić bez trudu. Posiadał nóż i wielokrotnie przewyższał ją siłą fizyczną. Jedno co jej pozostało, to pozornie ugiąć się przed tą prymitywną siłą... i w odpowiedniej chwili uderzyć. Ściągnęła posłusznie sweter przez głowę, opuściła ramiona i powoli wyjmowała ręce z rękawów. Intruz wlepił wzrok w jej stanik i coraz głośniejsze sapał.

- Dobrze - powiedział z obleśnym uśmiechem. Twarz miał spoconą, blizny po ospie aż błyszcząły. Machnął nożem: Reszta!

Mariah skinęła zgodnie głową, prawie się uśmiechnęła. Oswobodziła ręce z rękawów i potrząsnęła grubym swetrem. W tej samej chwili rzuciła się na napastnika, owijając swetrem nóż i rękę, w której go trzymał. Próbował chwycić ją drugą ręką, ale ona z całych sił uderzyła go w twarz i bandyta upadł na podłogę.

Jak szalona wybiegła z pokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi i zaczęła zbiegać po schodach, skacząc po dwa stopnie. Już na dole zerknęła za siebie.

Bandzior stał na górnym podeście schodów, w jego oczach widać było wściekłość. Dolną część twarzy miał zalaną krwią płynącą z rozbitego nosa. Uniósł rękę nad ucho

i gwałtownie wyciągnął ją w jej stronę. Ujrzała, jak ostrze noża, obracając się powoli w powietrzu, kieruje się w jej stronę.

W ostatniej chwili schyliła się i padła na ziemię. Gdy dźwignęła się na kolana i rozejrzała wokół siebie, ujrzała, że nóż zatrzymał się w locie...

Nie! To Paul Chaney. Stał między nią a bandytą, krzyknął, a potem szeroko otworzył oczy, kiedy ostrze trafiło go w brzuch. Przeniósł wzrok z brzucha na Mariah, a następnie popatrzył na schody.

- Paul! - wrzasnęła przerażona.

Burton jak błyskawica zbiegł po schodach i runął na Chaneya, pragnąc odzyskać nóż. Reporter chwycił napastnika za nadgarstek i obaj szczepili się ze sobą w morderczej walce.

Mariah zaczęła rozpaczliwie rozglądać się po korytarzu w poszukiwaniu jakiejś broni. Kiedy nic nie znalazła, wskoczyła okrakiem na plecy Burtona i zgiętą w łokciu rękę zarzuciła mu na szyję. Drugą dłonią chwyciła za nadgarstek zagiętego ramienia i ścisnęła z całych sił. Burton zacharczał i puścił nóż. Uderzył Chaneya kolaniem w podbrzusze. Paul głośno jęknął, przewrócił się na bok i zwinął w kłębek.

Napastnik zerwał się na nogi, stracił z siebie Mariah i popatrzył po raz ostatni na niedoszłą ofiarę. Na jego zakrwawionej twarzy malowała się nienawiść. Przeniósł jeszcze szybko spojrzenie na prostującego się powoli na podłodze Paula, po czym pobiegł do frontowych drzwi. Po sekundzie już go nie było.

Mariah ciężko dźwignęła się z ziemi, chwiejnie podeszła do drzwi i zamknęła je na wszystkie zamki. Zbliżyła się

do Chaneya, który zdążył już przybrać pozycję siedzącą. Kolana wciąż dociskał do piersi. Obok niego leżał nóż o rękojeści z kości słoniowej.

- Co ci zrobił? - zapytała.

Paul popatrzył na lewą rękę. Dłoń mu krwawiła. Ostrożnie wsunął dwa palce w dziurę wydartą na przodzie jego skórzanej kurtki. Ostrze trafiło w miejsce, w którym nakładały się na siebie dwie warstwy grubej skóry i na szczęście nie zdołało ich przebić. Wyciągnął palce z postrzępionego pęknięcia, skinął głową i zamknął oczy. Krocze wciąż jeszcze przeszywał mu okropny ból.

Marian pobiegła do kuchni i zamknęła drzwi prowadzące do garażu. Przytuliła twarz do ich chłodnej powierzchni. Zacisnęła powieki. Do rzeczywistości przywołał ją dopiero głos Chaneya wołającego jej imię. Oderwała się od drzwi i rozejrzała po kuchni. Na ścianie widniały ciemne zacieki po fusach od kawy, na ziemi leżało szkło z potłuczonego dzbanka. Szczotka była rzucona w kąt, zdjęcia na stole porozrzucane. Mariah ruszyła po szklanych odłamkach do przedpokoju.

- Ty krwawisz! - krzyknął Chaney, zrywając się na równe nogi. Powędrował wzrokiem na jej pierś, po której spływała strużka krwi niknąca pod stanikiem.

- To tylko drobne draśnięcie.

- Drobne!

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona, lecz Mariah, czując na gołej skórze zimny dotyk jego skórzanej kurtki, natychmiast wyswobodziła się z uścisku. Skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się plecami o ścianę. Po chwili zadrzała, szybko podeszła do ściennej szafy i wyjęła z niej hokejową kurtkę Davida.

- Cholera. Prawie już sobie poszedłem - przerwał milczenie Chaney. - Zamierzałem szukać cię na basenie, lecz w ostatniej chwili coś mnie tknęło i postanowiłem sprawdzić garaż. Gdy wszedłem do kuchni, panował w niej okropny bałagan. Na podłodze potłuczone szkło, na ścianie ślady po fusach... Później usłyszałem łoskot. Ktoś zbiegał po schodach. No i w końcu ujrzałem cię w przedpokoju... Mariah oparła się o ścianę i powoli osunęła się po niej do pozycji siedzącej.

- Uratowałeś mi życie. Zamierzał mnie zabić.

- Kto to był? - zapytał Paul, a kiedy Mariah bezradnie potrząsnęła głową, dodał: - Zadzwoń na policję.

Zniknął w kuchni, a Mariah podciągnęła kolana pod brodę, położyła na nich ręce i ukryła w nich twarz. Choć docierał do niej jego głos, odnosiła wrażenie, że płynie on z jakiejś niezmiernie dalekiej dali, jakby z niesłychanie długiego tunelu.

- Policja jest już w drodze - usłyszała i potulnie skinęła głową. - Będą za parę minut. Te zdjęcia... Gwałtownie uniosła wzrok.

- Boże! Muszę je ukryć! Niezdarnie dźwignęła się na nogi.

- Poczekaj, Mariah, trzeba pokazać je policji. Stanowią dowód. Nie dotykaj ich.

- Nie! One nie mają z tym napadem nic wspólnego! Muszę się ich pozbyć! Nikt nie może tych zdjęć zobaczyć.

- O czym ty mówisz? Skąd je masz?

- Od Lindsay.

- Co?

- Od Lindsay. Ktoś w szkole wręczył jej kopertę i po-

wiedział, że ma ją oddać matce. Ktoś próbuje mnie zastraszyć. Nie wiem dlaczego.

- Marian, ten człowiek o mało cię nie zabił!

- On nic o nich nie wiedział. Gdy wróciłam do domu po odwiezieniu Lindsay, już tu był, czekał.

Kopertę przekazała mi jeszcze w samochodzie. Właśnie ją otworzyłam, kiedy ten... - zawahała się - kiedy ten bydlak wszedł do kuchni.

- Może jednak istnieje jakiś związek.

- Może. To on śledził mnie od kilku dni. To on szedł za mną, gdy wracałam z basenu.

- Pewnie płatny morderca.

Marian popatrzyła nań płonąącym wzrokiem.

- A ty kim jesteś, Paul? Jaką rolę grasz w tym wszystkim?

- Słucham?

- Dobrze słyszałeś. To dotyczy Wiednia, prawda? Chodzi o grę, jaką tam prowadziłeś, ty i Katarina Muller.

Popatrzył na nią z osłupieniem.

- Skąd znasz jej prawdziwe imię? - zapytał i nagle wszystko do niego dotarło. - A więc to ty? To ty pracujesz dla CIA!

- Nieważne! Jaką grę we dwójkę prowadziliście w Austrii?

- My? Ależ ja nie miałem z nią nic wspólnego. Wykorzystała mnie... zapewne by dotrzeć do Davida. Cholera, byłem skończonym idiotą. Wiedziałem, kim ona jest, lecz trzymałem język za zębami w nadziei, że trafi mi się dobry temat.

- Hiena!

171

- Kto?

- Ty! I ona!

- Pojawiła się przy mnie pewnego wieczoru na jakimś przyjęciu. Niezbyt przypadła mi do gustu, ale niewątpliwie coś w sobie miała.

- W to nie wątpię.

- Nie o to chodzi. Mam na myśli to, że od razu wydała mi się podejrzana. Sam nie wiem dlaczego. Była bardzo wyrachowana. Mam przyjaciela w niemieckiej ambasadzie, oficera wywiadu. Powiedział mi, że w czasach zimnej wojny Katarina Müller pracowała dla komunistów. Był ciekaw, co teraz porabia i co ja mam z nią wspólnego. Udałem głupiego. - Chaney ciężko westchnął. - Musisz mi uwierzyć. Za późno zorientowałem się, że chodziło jej wyłącznie o Davida. Gdybym to wiedział, nigdy bym ich ze sobą nie zetknął.

- Wiedziałaś o ich romansie.

Zabrzmiało to jak oskarżenie. Paul zagryzł usta, uważnie popatrzył jej w twarz i po chwili skinął głową.

- Zobaczyłem ich pewnego wieczoru, gdy wchodzili do hotelu, w którym mieszkała. Tego samego dnia, w którym nasz ambasador wydawał przyjęcie. Dlatego na tarasie zachowałem się, jak się zachowałem. Sprawiałaś wrażenie takiej nieszczęśliwej. Przyszło mi do głowy, że podejrzewasz, iż David cię zdradza. A ja chciałem tylko potrzymać cię w ramionach i ulżyć twemu bólowi.

Mariah chwilę na niego patrzyła, po czym znów osunęła się po ścianie na podłogę.

- Jak do tego doszło? Dlaczego to zrobił? Chaney przykucnął przed nią.



- Nie wiem. Ale rozgryziemy razem tę sprawę.

- A jaki ma to związek z tobą?

- David był moim przyjacielem, a poza tym... zależy mi na tobie - wyznał cicho. - Od wypadku Davida i Lindsay prowadzę prywatne dochodzenie, próbuję dojść, kto naprawdę za tym stał. No i proszę, kogoś moja dociekliwość bardzo zaniepokoiła.

- Zaniepokoiła?

- Dziś rano wyrzucono mnie z pracy. Mariah nieoczekiwanie chwyciła go za ramię.

- Zgoda, od tej chwili pracujemy razem. Ale te zdjęcia koniecznie musimy ukryć. - Paul chciał pokręcić odmownie głową, lecz Mariah jeszcze mocniej ścisnęła go za rękę. - Chcę, by policja schwyciła łajdaka, który próbował mnie zabić. Ale jeśli zobaczą zdjęcia, sprawa może wypłynąć w sądzie, a wtedy o wszystkim dowie się Lindsay. Ona kocha ojca ponad wszystko i zapatrzona jest w niego jak w obraz. Ja; za to co zrobił, mogłabym go zabić, ale nie pozwolę, by krzywdy doznała Lindsay. Pomóż mi, Paul, proszę...

Chaney skinął głową, wstał i ruszył do kuchni. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych, wsunął zdjęcia do koperty i schował ją do kieszeni spodni.

Przez kolejnych pięć godzin Mariah na okrągło odtwarzała chwile grozy. Ze zdumieniem stwierdziła, że wszystko trwało zaledwie dwadzieścia minut, choć jej wydawało się, że napastnik pastwi się nad nią kilka godzin. Musiała opowiedzieć całą historię najpierw policjantowi, później detektywom, a na koniec wylądowała w szpitalu, dokąd ją i Chaneya zawiozła policja. Tam lekarze zajęli się ich obrażeniami, zbadali ich, obfotografowali i zaaplikowali zastrzyki przeciw tężcowi.

Mariah zdała szczegółową relację z tego, co wydarzyło się od chwili, gdy wróciła po południu do domu. Nie wspomniała tylko nic o żółtej kopercie i jej zawartości.

Jeden z oficerów zaprowadził Chaneya do samochodu, by tam przepytać go na osobności, podczas gdy Mariah oprowadzała po domu detektywa prowadzącego śledztwo. Wskazała miejsca, gdzie szamotała się i walczyła z napastnikiem, opisała jego dziobatą twarz i oczy o różnych źrenicach. Znów zadrżała, wspominając chwilę, w której zrozumiała, że bandyta zamierza ją zabić.

- Twierdzi pani, że był już w środku, gdy wróciła pani do domu? - spytał detektyw Albrecht. - W jaki sposób mógł się tu dostać?

- Nie mam pojęcia. Kiedy wyjeżdżałam, frontowe drzwi zamknięte były na klucz. Zresztą rzadko je otwieram. Przeważnie do domu wchodzę drzwiami z garażu.

- Tymi?

- Tak.

- Czy zawsze pani je zamyka, gdy opuszcza dom?

- Nie, ale za pomocą pilota zamykam sam garaż. Sierżant skrzywił się.

- Jak sama pani widzi, nie jest to bezpieczne. Piloty działają na kilku określonych częstotliwościach. Początkujący złodziej poradziłby sobie z takim problemem. - Westchnął. - Czy dziś rano, opuszczając dom, zamknęła pani garaż?

- Naturalnie. Tego jestem pewna. Ale się śpieszyłam i nie sprawdziłam, czy drzwi zamknęły się do końca. - Ukryła twarz w dłoniach. - To moja wina. Powinnam była zachować większą ostrożność.

- Nie musi pani czynić sobie wyrzutów. Może tylko ułatwiła mu pani trochę zadanie, ale takie bydlę, jak on wcześniej czy później znalazłoby sposób dostania się do środka. Zwłaszcza że jak sama pani mówi, tropił już panią od pewnego czasu. Proszę się nie martwić. Schwytny go. Moi ludzie zbierają odciski palców. Poza tym mamy jego broń oraz próbki krwi. - Pokiwał z uznaniem głową. - Chyba złamała mu pani nos.

Mariah popatrzyła na dłoń, która zaczynała już puchnąć.

- Nie wiem, ale krwawił jak zarzynany wieprz.

- Ma pani krzepę - stwierdził Albrecht i Mariah lekko się uśmiechnęła. - Zawiadomimy wszystkie szpitale i lecznice, uczulając ich na pacjentów ze złamanym nosem, którzy odpowiadają podanemu przez panią opisowi. Szanse są niewielkie, ale spróbować warto. A nuż uśmiechnie się do nas szczęście.

Mariah skinęła głową, po czym popatrzyła na detektywa z nagłym zainteresowaniem.

- Właśnie sobie coś przypomniałam. Gdy weszłam do kuchni, na blacie przy zlewie stał kubek. Od razu pomyślałam, - że to trochę dziwne. Jestem przekonana, że ani ja, ani moja córka nie zostawiałyśmy go tam rano.

- Który to?

- Włożyłam go do zmywarki. Granatowy. Jest tam też biały, ale z niego piłam ja.

- Doskonale. Zaraz wezwę technika. Zdejmiemy odciski palców. Pobierzemy też odciski palców pani i pana Chańeya, aby wiedzieć, które do kogo należą. - Ujął ją za łokieć i zaprowadził do sypialni. - Proszę, niech to pani nałoży.

Mariah popatrzyła ze zdziwieniem na ciemne gogle, które jej wręczył, lecz posłusznie spełniła polecenie. W pokoju było ciemno, zasłony w oknach zostały dokładnie zaciągnięte. Po sypialni ktoś powoli przemieszczał się, stawiając na ścianach i sprzętach jakieś znaczki i pobierając próbki.

- To detektyw Harmon - wyjaśnił Albrecht, przedstawiając policjantkę. - Szuka śladów za pomocą przenośnego lasera.

- Prawie skończyłam - powiedziała Harmon. - Za chwilę będziemy mogli zapalić światło.

- Proszę stanąć pod ścianą, nie ruszać się i niczego nie dotykać - poinstruował Albrecht.

Mariah stanęła posłusznie w kącie i obserwowała, jak w świetle lasera pojawiają się mikroskopijne fragmenty, których człowiek gołym okiem nie byłby w stanie dostrzec. Na wspomnienie tego, co się wydarzyło, tym razem ogarnął ją palący gniew.

- Skończone. Można zapalić światło.

Albrecht spełnił polecenie i odebrał od Mariah gogle.

- Zostawię teraz panią z detektyw Harmon i pójdę zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz.

Mariah skinęła głową, mrużąc oczy w jaskrawym świetle. Popatrzyła na funkcjonariuszkę. Młoda Murzynka zwijała cienkie kable. Sweter Mariah leżał w tym samym miejscu, w którym porzucił go napastnik. Szuflada, w której trzymała bieliznę, była wyciągnięta. Obok niej leżały na podłodze majtki.

- Zeznała pani, że poza swetrem nic pani z siebie nie zdejmowała - odezwała się Harmon, a kiedy Mariah skinęła głową, dodała: - A więc ten bydlak, czekając na pani po-

wrót, skracał sobie czas, przeglądając pani bieliznę. Zakładam, że to nie pani rozgrzebała tę szufladę.

- Nie - odrzekła Marian. - Ale wcześniej tego nie zauważyłam, bo stałam tyłem do komody.

- Proszę posłuchać, pani Bolt, wiem, że nie jest pani łatwo. Za każdym razem chce mi się wymiotować, gdy widzę coś takiego. Ale ten drań będzie nasz. Czuję to w kościach. Czy pomoże mi pani?

Marian jeszcze raz rozejrzała się po pokoju i skinęła głową.

- Oczywiście, zrobię wszystko, co w mojej mocy. Proszę mi tylko powiedzieć, czego pani potrzebuje.

- Sprawdziłam tę bieliznę pod kątem śladów nasienia, ale nic nie znalazłam. Skoro ten bydlak nie ściągnął swoich gaci, niewielkie są szanse, że coś takiego znajdziemy. Ale dla pewności sprawdzimy. Zabiorę też odzież, którą miała pani na sobie, zwłaszcza sweter i majtki. Być może znajdziemy na nich włókna jego odzieży lub jego włosy. Proszę mi też powiedzieć, gdzie dokładnie panią całował...

-Skrzywiła się. - Przepraszam, nie jest to chyba odpowiednie określenie, prawda?

- Chyba że ma pani na myśli to, co robi pijawka - odrzekła z bladym uśmiechem Mariah.

- Trafna uwaga - mruknęła policjantka. - Chcę pobrać również próbkę pani śliny. Chodzi o badania porównawcze. Na dywanie i na całej drodze wiodącej do drzwi wyjściowych znaleźliśmy ślady jego krwi. - Zmarszczyła twarz w uśmiechu. - Na drodze jego ucieczki. Mam nadzieję, że dobrze mu pani zdefasonowała ryj, jeśli wybaczy mi pani moją francuszczyznę.

- Oczywiście.

- W takim razie proszę ostrożnie zdjąć spodnie, abym mogła je zabrać. Później przejdziemy do łazienki, gdzie pobiorę z pani ciała kilka próbek i zrobię parę zdjęć.

- A czy później będę mogła wziąć prysznic? Policjantka potrząsnęła głową.

- Dopiero po powrocie ze szpitala. Na dole czeka już samochód. Poza tym chcemy pobrać pani i panu Chaneyowi próbki krwi do analizy.

- Po co?

- Żeby odróżnić je od krwi tamtego drania.

Mariah skinęła głową, ostrożnie zdjęła spodnie i wsunęła je do papierowej torby, którą trzymała Harmon. Policjantka zapieczętowała worek, nakleiła nań odpowiednią etykietkę, po czym otworzyła szafę z ubraniami.

- Czy grzebał w niej? - spytała. Mariah dokładnie zlustrowała starannie poukładaną odzież i pokręciła głową. -Dobrze, proszę więc wziąć jakieś ubranie i ubrać się.

Zapadał już zmierzch, kiedy wóz patrolowy odwiózł ze szpitala Mariah i Chaneya. Podwórko wciąż jeszcze ogrodzone było żółtą taśmą, lecz pohcyjne samochody już odjechały, gapie się rozeszli i pod domem stał tylko jeden radiowóz.

Gdy weszli do salonu, na kanapie siedział detektyw Albrecht, robił jakieś notatki i z tekturowego kubka popijał kawę. Od czasu do czasu w przypiętym do paska policjanta radiotelefonie rozlegał się czyjś skrzekliwy głos. Gdy popatrzył na nich, zobaczyli zmęczoną twarz i czerwone oczy. Mimo to Albrecht uśmiechnął się na ich widok.

- Prawie już skończyliśmy - oświadczył. - Niebawem damy państwu spokój.
  - I jak poszło? - spytał Chaney.
  - Nieźle. W krzakach przy garażu znaleźliśmy odciski stóp oraz odpowiadające im ślady błota w garażu. Tamtędy dostał się do domu. Szukamy teraz sklepu, gdzie kupił te buty. Poza tym na zewnątrz kilkoro dzieciaków grało w hokeja i widziało tego typu. Miał zakrwawioną twarz. Byli świadkami jego odjazdu. Opisał samochód. Japończyk, nissan lub toyota, bardzo zdezelowany. Postawiliśmy już na nogi drogówkę.
  - W czym możemy wam jeszcze pomóc? - zapytała Mariah.
  - Wiemy już wszystko. Aha, jedno pytanie. W pojemniku na śmieci w kuchni znaleźliśmy kosmyk włosów, czarnych i kręconych. To z całą pewnością nie pańskie włosy, panie Chaney. A napastnik miał jasne i mocno przerzedzone.
- Mariah znieruchomiała i po chwili przeniosła wzrok na stojące na segmencie zdjęcie Lindsay i Davida.
- To włosy mego męża - wyjaśniła.
- Policjant zmarszczył brwi i zaczął kartkować notatnik.
- Oświadczyła pani, że mąż jest inwalidą i przebywa na stałe w domu opieki - powiedział, podnosząc głowę.
  - Zgadza się.
  - A więc jak te włosy znalazły się tutaj?
  - Odwiedziłam go dziś w szpitalu i trochę podstrzygłam. Po powrocie znalazłam ten kosmyk w moim ubraniu. To wszystko.
- Sierżant nic nie odpowiedział, skinął głową i zamknął notatnik.

- Zanim nie znajdziemy tego bandziora, będziemy mieli na oku pani dom. Proszę zachowywać ostrożność. Nie sądzę, by wrócił, ale lepiej dmuchać na zimne. Będziemy w kontakcie.

- Dziękuję panu. Jestem wam wdzięczna za to, co zrobiliście.

Albrecht skinął głową i ruszył do wyjścia. Chaney odprowadził go do drzwi, a Mariah ciężko opadła na fotel. Gdy reporter wrócił do pokoju, zajął miejsce na kanapie i oboje czekali, aż ucichnie w oddali dźwięk silnika policyjnego samochodu. Wtedy dopiero Chaney wyciągnął z kieszeni pogniecioną kopertę i rzucił ją na stolik.

- Jak udało ci się ukryć ją w szpitalu? - zainteresowała się Mariah.

- Gdy kazali mi się rozebrać, przykryłem spodnie resztą ubrania. Kiedy mnie badali, leżała obok mnie.

- Rozparł się na kanapie i zaczął masować sobie skronie. - O co chodziło z tymi włosami Davida?

Mariah ciężko westchnęła

- Zupełnie o nich zapomniałam. Przyszły wraz ze zdjęciami.

- Co? - zapytał Paul, prostując się na kanapie.

- To ostrzeżenie. Przysyłając je, chcieli dać mi do zrozumienia, że w każdej chwili mogą skrzywdzić Lindsay lub Davida. - Zamknęła oczy i ciągnęła dalej: - Dzwoniłam już do domu opieki z prośbą, by przeniesiono Davida do sali przylegającej do stanowiska siostry dyżurnej. Zadzwoiłam też do znajomego, którego wnukiem opiekuje się Lindsay. Prosiłam go, by zabrał ją do siebie. To te moje szpitalne telefony, pamiętasz...



Frank Tucker chciał przyjechać również i po nią, lecz Mariah zapewniła go, że nic jej nie jest, a musi jeszcze przygotować się na wieczorne przyjęcie.

- Do znajomego? Któregoś z zaprzyjaźnionych agentów?

Mariah westchnęła.

- Nie jestem agentką, Paul, a już na pewno nie taką, jak sobie wyobrażasz. W Firmie pełnię jedynie funkcję analityka.

- Oczywiście - mruknął z powątpiewaniem Chaney.

- Naprawdę. Większość z nas to przeciętni Amerykanie, z obciążoną hipoteką, dziećmi i zwiotczalymi mięśniami. Zwykli ludzie. Nie ma wśród nas Jamesów Bondów. Gdybym była tajnym agentem, ten bydlak nie wyszedłby stąd żywy.

Chaney pomyślał nad czymś szybko, po czym kiwnął głową.

- Wierzę ci. Co teraz?

Mariah spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta.

- Czy nie wybrałbyś się ze mną na bożonarodzeniowe przyjęcie?

- Co? Chyba żartujesz! Myślałem, że od razu zajmiemy się tą sprawą.

- Na to przyjdzie jeszcze czas. Najpewniej chcę zobaczyć się z córką... Zawiozę jej trochę rzeczy.

Przenocuje u mojej przyjaciółki, a ja pod jej nieobecność zrobię tu porządek. - Rozejrzała się po pokoju. Wszędzie widać było ślady po proszku daktyloskopijnym, a na dywanach ciemniały ślady krwi. - Poza tym muszę z kimś porozmawiać.

- Czy na przyjęciu będą ludzie z Firmy?

181

- Nie tylko, ale gospodarz jest moim szefem.

- I ucieszy się na mój widok?

- Wątpię.

- Co mu powiesz?

Chwilę bacznie mu się przyglądała.

- Że uratowałeś mi życie. A ty w ogóle się nie odzywaj.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

- Do licha, Mariah! - Tucker powitał ją w drzwiach swego domu. - Czy naprawdę nic ci się nie stało? Mariah bez przekonania pokręciła głową.

- Wszystko w porządku. Ale o mało nie przeszło mi koło nosa twoje przyjęcie, podobnie jak reszta życia. Gdyby w ostatniej chwili nie pojawił się Paul...

Tucker odwrócił głowę w stronę Chaneya i obrzucił go baczny spojrzeniem. Reporter, który skórzaną kurtkę zostawił na policji w charakterze dowodu, miał na sobie sportową marynarkę i krawat - strój, który zawsze woził w samochodzie i nakładał, kiedy stawał przed kamerami. Zdążył już całkowicie dojść do siebie po dramatycznych wydarzeniach popołudnia, powróciła jego nonszalancja i pewność siebie. Wręczył Tuckerowi pierożki z mięsem i uśmiechnął się doń szeroko.

Frank odebrał od niego pudło i postawił je na stole.

- Frank Tucker - burknął, wyciągając rękę. - Został pan bohaterem dnia.

- Nie ja. To Mariah dzielnie stawiała czoło temu draniowi. Prawdę mówiąc, ocaliła mi życie. Gdy walczyłem z tym łobuzem o nóż, ona zaatakowała go od tyłu jak lwica.

- Frank, mam nadzieję, że nic nie mówiłeś Lindsay? - zaniepokoiła się Mariah.

- Jasne, że nie. O napadzie wiedzą tylko Michael, Carol i Pat. A Lindsay powiedzieliśmy, że potrzebna nam jej pomoc przy organizacji przyjęcia.

- To dobrze. Powiem jej, że miałyśmy włamanie. Czy może na noc zostać u Carol? Przed jej powrotem chciałabym porządnie wysprzątać dom.

Tucker skinął głową.

- Może też zostać u mnie. Ale Carol powie, że weselej będzie jej u niej, gdzie jest dziecko. Wchodźcie, musimy się czegoś napić - dodał, patrząc na Chaneya, który pomagał Mariah zdjąć płaszcz.

Chaney podał Tuckerowi okrycie i gdy ten chował je do szafy, wraz z Mariah stanął w progu salonu.

Kiedy Frank odwrócił się w ich stronę, zmarszczył brwi na widok opatrunku na ręku Marian. Widząc troskę, jaka odmalowała się na jego twarzy, Mariah poklepała go uspokajająco po ramieniu.

- Nie martw się. Tamten facet naprawdę wyglądał gorzej.

Zmarszczka na czole Franka jeszcze bardziej się pogłębiła. Popatrzył na Chaneya, po czym znów przeniósł wzrok na Mariah.

- Musimy porozmawiać - szepnął. - W cztery oczy.

- To samo chciałam ci zaproponować - odparła pośpiesznie. - Ale najpierw porozmawiam z Lindsay.

Frank zabrał ze stołu pudło z pierożkami i wprowadził nowych gości do pokoju, gdzie znajdowało się już ze czterdzieści, a może i pięćdziesiąt osób. Do Mariah natychmiast podeszła Pat Bonelli i zarzuciła jej ręce na szyję. W oczach miała łzy.

- Nie mogłam wprost uwierzyć, kiedy dowiedziałam się o twojej przygodzie - wykrztusiła z trudem.  
- Nic się nie stało, Patty. Nie zdążył zrobić mi krzywdy. - Rozejrzała się po dużym pokoju. - Nie rób zamieszania, dobrze? Nie chcę, by ta historia nabrała rozgłosu. A już na pewno nie chcę, by dowiedziała się o niej Lindsay.

Pat skinęła głową, lecz jej zaciśnięte usta wyraźnie świadczyły, że sekretarka Franka wciąż jest bardzo przejęta. Pozornie twardzi ludzie w rzeczywistości są najbardziej wrażliwi - pomyślała Marian i jeszcze raz uścisnęła ją serdecznie.

- To jest Paul Chaney. Paul, poznaj moją przyjaciółkę, Patty Bonelli. Od lat razem pracujemy. Chaney podał Pat rękę i Marian zauważyła, że wywarł na niej duże wrażenie. Kobieta w jednej chwili wyprostowała się, łzy jej wyschły, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Stojący z boku Tucker głośno chrząknął i Pat dopiero wtedy oderwała wzrok od reportera.

- Pozwól, że zaniosę to do kuchni - powiedziała Mariah, odbierając od Tuckera pudło z pierożkami. - Planowałam jeszcze upiec ciasto, ale jakoś zabrakło mi czasu -dodała ponuro. - Nawet nie zgadniecie dlaczego.

- Pierożki wyglądają smakowicie - stwierdziła Pat, pociągając nosem. - Jedzenia starczy na pułk wojska. Frank przeszedł samego siebie. Sami obejrzyjcie sobie bufet.

- To za chwilę. Najpierw chcę zobaczyć się z Lindsay. Gdzie ona jest?

-W sypialni. Ubiera z Carol dziecko.

- Znajdę ją. Pat, zaprowadź Paula do jadalni. Z całą pewnością kona z głodu. Zapomniałam go nakarmić.

Chaney uśmiechnął się.

- Dotąd nie myślałem o jedzeniu, lecz teraz bardzo chętnie coś przekąszę. Pachnie wspaniale.

Pat odebrała od Mariah pudło z pierożkami, a reporter szarmancko ujął ją pod rękę.

- Idziemy - powiedziała Bonelli.

- O rany. Chyba sobie dziś wypiję - mruknął ponuro stojący obok Tucker, obserwując oddalającą się parę.

- Frank, bądź dla niego miły - poprosiła Mariah. - Naprawdę wiele mu zawdzięczam. Gdyby nie on, nie oglądałbyś mnie już żywej.

- To racja. Ale chyba nie zamierzasz spędzić dzisiejszej nocy u siebie w domu? Powinnaś zostać u mnie lub u Carol i Michaela.

Mariah odmownie pokręciła głową.

- Przeciwnie, chcę wrócić do siebie. Nie będę przecież z powodu byle dupka bała się spać we własnym domu.

- To zły pomysł. On może wrócić.

- Nie sądzę. Tak samo zresztą twierdzi policja. Mają obserwować mój dom. Poza tym nie będę sama.

Chaney rozgości się na mojej kanapie.

- Nie żartuj! Ten facet?

- Ten facet uratował mi życie - szepnęła, a oczy jej rozbłysły. - Poza tym, w przeciwieństwie do tak zwanych starych przyjaciół, opowiedział mi wiele o tym, co naprawdę wydarzyło się w Wiedniu.

- Próbowałem cię tylko chronić. Przeszłości nie zmienisz, a reszta, jak obiecałem, zostanie załatwiona.

- Frank, co znaczy „zostanie załatwiona”?

Tucker zerknął na zbliżającą się do nich parę. Mariah

poznała George'a Neville'a, zastępcę dyrektora wydziału operacyjnego Agencji, któremu towarzyszyła elegancka kobieta.

- Pomówimy później - szepnął.

- Proszę, proszę, Marian Bolt! Miło mi panią widzieć - rozpromienił się Neville i pocałował ją w policzek.

Mariah poczuła nieprzewartą ochotę, żeby natychmiast wytrzeć twarz. Widziała go przelotnie tylko kilka razy i wątpiła, by zapamiętał jej imię i nazwisko. Z pewnością znał je z danych operacyjnych, do których dostępu jej odmawiał.

Maniery Neville'a były nienagane, strój wytworny, siwe włosy lśniły niczym żywe srebro, a z twarzy nie schodził serdeczny, promienny uśmiech. Ale oczy pozostawały zimne i czujne. Przy nielicznych okazjach, kiedy Mariah go widziała, zawsze odnosiła wrażenie, że jego wzrok przenika ją niczym promienie rentgena.

Towarzyszącą kobietę przedstawił jako swoją żonę. Mariah uścisnęła jej dłoń.

- Coś się pani stało w rękę - stwierdził nieoczekiwanie Neville, spoglądając na zabandażowany nadgarstek. Mariah ogarnął gniew, lecz zastępca dyrektora ciągnął spokojnym tonem: - Widzę też tu media. Zauważyłem pani kawalera.

- On nie jest moim kawalerem. A jeśli chodzi o rękę, to potknęłam się i zwichnęłam nadgarstek. Miło mi pana widzieć - dodała gładko, przesyłając jego żonie przelotny uśmiech. Obrzuciła Neville'a zimnym wzrokiem i odwróciła się, nie zwracając uwagi na jego wyciągniętą dłoń. -Wybaczcie państwo, ale muszę zobaczyć się z córką.

Ruszyła na poszukiwania Lindsay. Znalazła ją w głównej

sypialni, gdzie dziewczynka pomagała córce Franka przewijać Alexa. Leżała na łóżku obok dziecka i łaskotała go w tłusty brzusek, podczas gdy Carol mozoliła się z pieluszką. Na widok matki Lindsay zerwała się z łóżka i podbiegła do drzwi.

- Mamo, wreszcie przyszedłeś! Gdzie tak długo byłeś? Miałaś być o siódmej.

Mariah bez słowa wzięła córkę w ramiona. Niepewna własnego głosu, tuliła ją do siebie w milczeniu. Dziewczynka uniosła głowę i popatrzyła ze zdziwieniem na matkę.

- O co chodzi? Mamo, ty płaczesz?

- Tylko troszeczkę, kochanie. Cieszę się, że cię widzę. To wszystko.

Lindsay zauważyła bandaż na ręku.

- Co się stało?

Mariah głęboko westchnęła i skrzywiła się.

- Uderzyłam kogoś. - Oczy Lindsay rozszerzyły się. - Nie przejmuj się, słoneczko. Jak powiedziałam wujkowi Frankowi: tamten facet naprawdę wyglądał gorzej.

- Kogo uderzyłaś?

- Włamywacza.

- Mamo!

- Nic się nie stało, Lins. Ktoś włamał się do naszego domu, a ja go złapałam na gorącym uczynku.

Mnie nic nie jest, a on niczego nie ukradł. Pojawił się akurat pan Chaney i wspólnie go przegoniliśmy.

- Pan Chaney? Nie wygłupiaj się.

- Nie wygłupiam się. Teraz już żałuję, że byłam dla niego taka okropna - dodała Mariah z kwaśnym uśmiechem. - Przyprowadziłam go tu ze sobą.



- Jest tutaj? Bomba! - wykrzyknęła Lindsay radośnie, lecz zaraz spoważniała. - Czy zawiadomiłaś policję?

- Oczywiście. Dlatego właśnie się spóźniłam. Musieliśmy im z pięćdziesiąt razy opowiedzieć, co się wydarzyło. Pobrali odciski palców i zbadali każdy najdrobniejszy ślad. Na pewno złapią tego łajdaka. Lindsay skinęła głową, ujęła dłoń matki i zaczęła z uwagą oglądać bandaż.

- Naprawdę nic ci się nie stało?

- Naprawdę. Ale jestem zmordowana. Nie zostanę tu długo.

Gdy na twarzy dziewczynki pojawił się płaczliwy wyraz, Carol dotknęła jej ramienia.

- Lindsay, czy chcesz dzisiejszą noc spędzić u nas? Jeśli tak, zostaniemy tu dłużej.

Teraz z kolei na twarzy Lindsay pojawił się szeroki uśmiech, lecz natychmiast popatrzyła na matkę i pokręciła przecząco głową.

- Nie, wrócę z tobą, mamo.

Mariah pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Kochanie, nic mi nie jest. Jeśli wolisz zostać u Carol, nie ma sprawy. Przyniosłam ci nawet rzeczy do spania. Wyśpisz się, a rano znów pobawisz się z Alexem.

Lindsay chwilę się zastanawiała, po czym skinęła głową.

- Dzięki, mamuś.

Razem pochyliły się nad wymachującym pulchnymi nóżkami Alexem.

- Czyż on nie jest uroczy? Nazywa mnie Lala. Tak w każdym razie to brzmi. Ilekroć mnie widzi, zaczyna gaworzyć. O, posłuchaj, mamo... Teraz.

- La-la - zagruchał Alex, jakby na potwierdzenie jej słów.

- Jest śliczny. I rośnie jak na drożdżach - oświadczyła Mariah. - Spójrzcie, jaką ma czuprynę.

- Wracajmy do gości - odezwała się Carol, a Lindsay nałożyła dziecku czapeczkę elfa i wzięła je na ręce. - Musisz być strasznie głodna.

- Chętnie coś zjem - przyznała Mariah. - A wyście już jadły?

Lindsay poprawiła Alexa, którego trzymała na biodrze.

- Próbowałam nawet potrawy z kałamarnic, którą przygotował wujek Frank. - Wykrzywiła usta, nie zostawiając najmniejszych wątpliwości co do tego, co sądzi o tym smakołyku.

- Nie przesadzaj, całkiem znośna - oświadczyła ze śmiechem Carol. - Powinnaś jej spróbować, Mariah. Ma, hmm... interesujący smak.

Przez chwilę spoglądały za Lindsay, która zaniósła Alexa do choinki i zaczęła pokazywać dziecku błyszczące bombki. Wreszcie Carol bacznie popatrzyła na Mariah i zapytała cicho:

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. Teraz już wydaje mi się, że to tylko zły sen, że przytrafiło się to komuś innemu. Ale dziś po południu naprawdę byłam blisko śmierci.

- Przygotowałam ci coś pysznego - rozległ się tuż za jej plecami głos Pat Bonelli, która pojawiła się z talerzem i sztuczkami.

Mariah serdecznie jej podziękowała, odebrała talerz i rozejrzała się za Paulem. Siedział na kanapie, a widząc, że

Mariah spogląda w jego stronę, zapraszająco poklepał dłonią miejsce obok siebie. Mariah przeprosiła Pat i Carol, podeszła do niego, usiadła i ostrożnie położyła talerz na kolanach. Sięgnęła po widelec i skrzywiła się, gdy nieoczekiwanie nadgarstek przeszył ostry ból.

- Nie zechcesz mnie znać, gdy wywrócę na siebie zawartość talerza.

- Nie ma takiej możliwości - odparł pogodnie Paul. - Tylko ty i twoja przyjaciółka Pat nie unikacie mnie jak morowego powietrza. Poza tym zapewniam cię, że z tą nie-zdarnością bardzo ci do twarzy. Mariah rozejrzała się po pokoju. Spostrzegła, że wielu gości rzuca w ich stronę ukradkowe spojrzenia. Obecność znanego reportera budziła w nich niepokój, albo niezdrową ciekawość.

- Zbyt wiele czasu spędzamy w swoim towarzystwie i często nie potrafimy znaleźć wspólnego języka z obcymi

ję- wyjaśniła Mariah. - Ale to zrozumiałe. Spróbuj komukolwiek przyznać się, że pracujesz dla CIA, a rozmowa natychmiast zamiera. Poza tym z mediami żyjemy na bakier. Każde potknięcie Agencji rozdmuchiwane jest do monstrualnych rozmiarów, za to każdy nasz sukces pomijacie milczeniem.

- No tak, twój przyjaciel Tucker najchętniej by mnie widział po tamtej stronie drzwi - mruknął Chaney i łapczywie rzucił się na jedzenie. - Jedyna pociecha to tutejszy bufet Mówię ci, Mariah, powinnaś obejrzeć sobie stół. To wprost nie mieści się w głowie.

- O tak, w tym to on jest prawdziwym czarodziejem.

- Czy to Tucker nauczył cię gotować?

- W pewnym sensie. Powiedzmy, że sprowokował mnie do zajmowania się kuchnią.
- Co masz na myśli, mówiąc „sprowokował”?
- Gdy trafiłam do Langley, Frank był moim pierwszym szefem - wyjaśniła. - Można powiedzieć, że on i jego żona adoptowali mnie; ona zresztą kilka lat później umarła. Tak czy owak byłam młoda, samotna i fatalnie się odżywiałam. Chyba już ci mówiłam, że moja matka nie była kulinarnym geniuszem. Frank nieustannie suszył mi głowę, że powinnam zadbać o swój żołądek. Zaczął dzielić się ze mną lunchem, który przynosił ze sobą do pracy. Kurczaki po królewsku, mięso jagnięcia z curry; co tylko chcesz. Gdy coś mi smakowało, dawał mi przepis. Niebawem zgromadziłam imponującą kolekcję. Zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że nie rewanżuję się Frankowi własnymi wyrobami, więc w końcu i ja zajęłam się gotowaniem.
- W tej chwili pojawił się osobiście Tucker, przynosząc Mariah i Chaneyowi po kieliszku wina.
- Za szefa i wielkiego czarodzieja - wzniosł toast reporter.
- Mariah również wzniosła kieliszek, stuknęła się z Chaneyem i wypła łyk. Frank natomiast zmarszczył brwi.
- Opowiadałam Paulowi, w jaki sposób zmusiłeś mnie do nauki gotowania - wyjaśniła.
- Rozumiem - odparł bez uśmiechu, a potem dodał rzeczowym tonem: - Posłuchaj, Mariah, gdy skończysz jeść, chciałbym z tobą zamienić kilka słów.
- Mariah popatrzyła na Chaneya, po czym dokończyła wino i skinęła głową.

- Już skończyłam, Frank. Jestem do twojej dyspozycji. Było pyszne, ale dzisiejszego wieczoru nie mam szczególnego apetytu.

Tucker zaprowadził ją do swej sypialni i dokładnie zamknął drzwi. Marian usiadła na krześle, a mężczyzna zaczął przechadzać się po pokoju.

- Bardzo mi się to nie podoba - burknął.

- Co ci się nie podoba?

- Obecność Chaneya.

- Frank! - zaprotestowała gwałtownie. - Kilka godzin temu ten człowiek przyjął na własny brzuch cios wymierzony we mnie. To cud, że nie zginął.

- A skąd wiesz, czy nie odegrał szopki? Skąd wiesz, czy nie był współnikiem tamtego drania?

- Chyba zwariowałaś! Widziałam nóż nadlatujący w moją stronę... To nie była żadna szopka. Nikt przy zdrowych zmysłach nie staje na drodze wielkiego, ostrego noża.

<sup>h</sup> - A jednak mu nie dowierzam - odparł z ponurym grymasem Tucker. - Ty też nie powinnaś mu ufać. Wiesz, że w Wiedniu związał się z tą Muller?

- Dokładnie mi wszystko wyjaśnił.

- Powiedziałaś mu o niej? - spytał Tucker z błyskiem w swych czarnych oczach.

- Tak, wie, że pracuję w Firmie. Wspomniałam mu o Katarinie Muller, więc nie zajęło mu wiele czasu, by się tego domyśleć. - Ciężko westchnęła. - Chaney nie jest durniem, a moja praca u was nie stanowi tajemnicy państwowej. Nie wyjadę już nigdy w żadnej misji zagranicznej, a poza tym mamy nową epokę, epokę bardziej otwartego CIA, nieprawdaż?

- Nie podoba mi się to - upierał się Tucker. - Coś mi tu cholernie śmierdzi.

- A nie znasz nawet połowy prawdy.

- O czym ty mówisz?

Marian przetarła oczy i opowiedziała o kopercie zawierającej zdjęcia oraz kosmyk włosów Davida. Skończywszy relację, zgrzytnęła zębami. Już wcześniej podjęła decyzję, że nie będzie Davidowi współczuć; sam sprowadził sobie na głowę nieszczęście.

Tucker ciężko opadł na łóżko.

- Do jasnej cholery, co oni kombinują?! - zaklął i spuścił wzrok.

Mariah gwałtownie uniosła głowę.

- Kto? Kto, Frank?

Tucker popatrzył na nią płomiennym wzrokiem.

- Powinnaś odpocząć. Wziąć sobie urlop. Do Bożego Narodzenia są jeszcze trzy tygodnie. Zrób sobie i Lindsay wakacje. Wyjedźcie do Kalifornii, pokaż jej swoje rodzinne strony...

- Chyba upadłeś na głowę! Po pierwsze, nie mam już żadnej rodziny, więc co mam jej tam pokazywać? Jakiś stary dom, w którym po odejściu ojca mieszkałam z matką i z siostrą? Długo nie mogłam się stamtąd wyrwać i teraz nie mam najmniejszego zamiaru tam wracać. A po drugie, Frank, nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i czekać na pojawienie się kata. Zamierzam walczyć. Na Boga, musisz dać mi tylko jakieś wskazówki.

- Wykluczone - odparł zdecydowanie. - Tak jak ci obiecałem, sam zrobię z tym porządek. Tobie nie wolno się w to mieszać.

- Czy chodzi o Neville'a i ludzi z wydziału operacyjnego?

Tucker puścił jej pytanie mimo uszu. Wstał z łóżka i znów zaczął przechadzać się po pokoju.

- Ty i Lindsay możecie zamieszkać u mnie. Będziecie strzeżone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ja w tym czasie...

Marian zerwała się z krzesła, podbiegła do Franka i chwyciła go za ramię,

- Posłuchaj, Frank! Nie zamierzam się kryć! Ani mi się śni!

Tucker położył jej dłonie na ramionach i mocno nią potrząsnął.

- To ty mnie posłuchaj! Musisz zejść z linii ognia. Zostaw tę sprawę. Jeśli nie ze względu na siebie, to dla dobra Lindsay.

- Frank, o co tu chodzi? Dlaczego? Mężczyzna popatrzył na nią spode łba.

- Bo wplątałaś się w jedną z tajnych operacji Neville'a. Ja tylko dostarczyłem mu kilku porad natury technicznej, ty nigdy nie miałaś być w to uwikłana. Ale wszystko się pochrzało. Ktoś wyrwał się spod kontroli i sprawę należy zamknąć. Mogę do tego zmusić Neville'a.

Marian z uwagą obserwowała jego twarz. Nigdy jeszcze nie widziała Franka tak bardzo wzburzonego.

- Czy chodzi o operację CHAUCER? Tucker po chwili wahania skinął głową.

- Czy wydanie Tatiany Baranowej stanowiło część tej operacji? Czy sprzedaliśmy ją?

Opuścił ręce i bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie, nie sędzę. Zresztą, nie jestem pewien; Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło, lecz cały pasztet zaczął się z chwilą jej zniknięcia.

Marian zamknęła oczy. Znow wróciły wspomnienia, a w nich - Tania...

W jednej z podmiejskich dzielnic Wiednia CIA wynajmowało bezpieczny lokal - dom z garażem, przez który do środka mogli dostawać się niezauważeni goście. Tam właśnie zawieziono Tatianę Baranową w trzy dni po jej pierwszym spotkaniu z agentem w muzeum Hofburg. Gdy wprowadzono ją do gabinetu o ścianach wyłożonych boazerią, była zaskoczona, ale poczuła ulgę na widok mającej ją przesłuchiwać osoby.

- Witaj, Taniu - powiedziała Mariah, wychodząc jej na spotkanie z serdecznym uśmiechem na twarzy.

- Pani Tardiff... To znaczy Mariah! - wykrzyknęła Tania. - To ty? Ty pracujesz dla CIA?

- Nie, ja jestem tylko twoją przyjaciółką - odrzekła Mariah. - Doszli do wniosku, że najchętniej porozmawiasz z kimś znajomym.

Dała znak funkcjonariuszowi, który przywiózł Baranową, i mężczyzna bez słowa opuścił gabinet.

- Czy będziemy rozmawiać w cztery oczy? - zapytała -Rosjanka.

Tak, tylko ty i ja. - W sąsiednim pomieszczeniu dwóch techników skrzętnie nagrywało ich rozmowę.

Mariah przekonała przełożonych, że ich obecność tylko by Baranową peszyła. - Podaj mi płaszc. Co chcesz pić, kawę czy herbatę? Przygotowałam jedno i drugie.

Położyła okrycie Tani na krześle i obie podeszły do nie-



wielkiego stolika, na którym stały kubki i dzbanki. Tania zatrzymała się przy kominku i przez chwilę grzała sobie dłonie.

- Z przyjemnością napiję się herbaty - powiedziała. Mariah spostrzegła, że mimo bijącego od ognia ciepła, Rosjanka drży. Nie zwracając niby na to uwagi, zajęła się nalewaniem herbaty, by dać Tani czas na zapanowanie nad nerwami.

- Zapowiadają opady śniegu - odezwała się towarzyskim tonem.

Zaskoczona Tania popatrzyła w jej stronę, po czym skinęła głową. Mariah uśmiechnęła się i wskazała jej jeden z dwóch wielkich, wygodnych foteli ustawionych przy stoliku. Kiedy Rosjanka usiadła, podała jej kubek z herbatą, cukier i mleko. Na stoliku stały też tace z kanapkami i słodyczami, lecz Tania najwyraźniej była zbyt spięta i zdenerwowana, by zwracać uwagę na jedzenie.

Mariah usiadła naprzeciwko niej, popijała herbatę i zastanawiała się, jak daleko może posunąć się podczas pierwszego spotkania.

- Czy miałaś kłopoty z opuszczeniem pracy?

- Żadnych. Zgodnie z tym, co poradził mi wasz człowiek, powiedziałam, że w godzinach lunchu zamierzam zrobić zakupy. Dziś w biurze nie mamy wielu zajęć i nikt nie zauważy, jeśli trochę się spóźnię. Zresztą wszyscy przedłużają sobie przerwę w pracy.

- Odstawimy cię punktualnie - zapewniła Mariah. - Przygotowaliśmy ci też torbę z kilkoma drobiazgami, z którymi wrócisz do biura. Herbatniki, dżem i tak dalej.

Mówiąc to, chciała przypomnieć prowadzącym nasłuch

technikom, że mają przygotować Rosjance odpowiednie alibi. Zawsze byli przygotowani, mieli pod ręką kilka plastikowych reklamówek z artykułami spożywczymi.

- Taniu - zaczęła Mariah. - Podczas meczu hokejowego powiedziałaś, że wiesz o czymś, o czym rjowinniśmy wiedzieć i my. Obawiasz się czegoś, co planuje rząd twojego kraju. Czy możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- To chyba nie są plany rządu - odparła cicho Tania.

- A czyje?

Tania wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale wy, ludzie z Zachodu, nie macie najmniejszego pojęcia, co obecnie dzieje się w moim kraju.

- A co się dzieje?

- Trwa walka o władzę. Gorbaczow obalił stary porządek, ale nie w pełni sprawuje nad wszystkim kontrolę. Są ludzie, zwłaszcza w kręgach wojskowych, pragnący zniszczyć go i nie dopuścić do zmian, jakie wprowadza. Co więcej, są w stanie dopiąć swego. On na Kremlu nie zagrzeje długo miejsca.

- Czy wiesz o czymś szczególnym?

Rosjanka dłuższą chwilę w zamyśleniu wodziła palcem po filiżance.

- Na południu mojej ojczyzny znajduje się tajny ośrodek badawczy - powiedziała w końcu.

- W mieście, w którym się urodziłaś i wychowałaś?

- Tak. Mówiłam ci, że mój ojciec był twórcą broni. Zaangażowano go do programu budowy niewielkiej, przenośnej broni atomowej. Takiej jak... jak wy to nazywacie? Takie wielkie, grube karabiny, które wasi żołnierze opierają na ramionach...

- Bazooka?

- Właśnie, bazooka. Trochę mniejsze, ale podobne. Bazooka... to zabawne słowo.

Marian uśmiechnęła się przelotnie.

- I co z tą bronią, Taniu? Twarz Baranowej spoważniała.

- Jest bardzo niebezpieczna. Nie ma wprawdzie wielkiej siły rażenia, ale piekielnie silne promieniowanie. Stanowi zmodyfikowaną wersję broni neutronowej, nad którą wasz rząd pracował przed kilkanaście laty.

- Ale my dobrowolnie zrezygnowaliśmy z tych prac -przypomniała Marian.

- Tak, wiem. Nasz rząd nigdy nie przyznał się, że i my prowadzimy podobne badania. A ponieważ nasza broń jest niewielka, trudno ją wytropić. W jej przypadku satelity szpiegowskie i rozpoznawcze są bezużyteczne. Te bomby można przenosić w walizkach.

Mariah nie spuszczała wzroku z Tani. Doskonale zdawała sobie sprawę z konsekwencji wynikających z tego, o czym mówiła Rosjanka. Bombę o tak niewielkich rozmiarach można było przeschmuglować do każdego miasta na świecie, przemycić na pokład samolotu i zdetonować w przewidzianym ściśle terminie, spuszczając na mieszkających w dole ludzi radioaktywny deszcz.

- Ponieważ nigdy nie przyznaliśmy się do posiadania takiej broni - kontynuowała Tania - nie podlega ona żadnym układom rozbrojeniowym.

Mariah nie spuszczała z niej oczu.

- I jest jeszcze coś, prawda? - zapytała, a Tania skinęła głową. Milczała. Mariah dotknęła delikatnie jej ręki. - Po-

wiedz mi. Powiedziałaś już bardzo dużo. Bądź pewna, że robisz dobrze, zwracając się z tym do nas. Powiedz wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

Rosjanka odstawiała filiżankę i spoglądała pustym wzrokiem na swoje dłonie. W końcu uniosła głowę.

- Nikt nie wie, kto wydał rozkaz, lecz niebawem broń ta ma zostać przewieziona.

- Czy wiesz dokąd?

- Do Astrachania.

- Nad Morzem Kaspijskim? - upewniła się Mariah. Tania skinęła głową.

A stamtąd statkiem do Iranu - pomyślała teraz Mariah. I dalej, na międzynarodowy, terrorystyczny bazar broni. Czy Rosjanie nie uzyskają za takie bomby wspaniałej ceny?

- To łajdactwo, Frank, ona ryzykowała życiem - oświadczyła. - Dlaczego pozwoliliśmy na to, by zgarnęło ją KGB? Dlaczego jej nie chroniliśmy?

Tucker stał przy oknie i w zamyśleniu spoglądał przez szybę.

- Wiedziała, czym ryzykuje.

- My jeszcze lepiej. Zaufała nam... Frank odwrócił się gwałtownie.

- Nie jestem człowiekiem nieczułym, lecz moja praca nie pozwala mi na sentymenty. Tatiana Baranowa zaginęła... prawdopodobnie nie żyje. Możesz się z tym nie godzić, ale żadne z nas nie ma na tę sprawę wpływu. Jeśli nie zachowasz czujności, ty możesz być następna.

- Sprowadź go tu, Frank - warknęła ze złością Mariah.

- Kogo?

- George'a Neville'a.

- Czyżby ktoś o mnie mówił?

Mariah błyskawicznie obejrzała się za siebie. W progu sypialni stał Neville. Wszedł do pokoju i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

- Traciecie bardzo udane przyjęcie - powiedział. - Jaki dręczy was problem?

Mariah popatrzyła w twarz zastępcy dyrektora wydziału operacyjnego. Z początku poczuła się niepewnie, zaraz jednak przypomniała sobie napastnika w jej domu i fotografie i ogarnęła ją dzika furia.

- Bardzo dobrze, że pan się zjawiał, panie Neville - oświadczyła. - Może wreszcie poznam powód wiedeńskiego zamachu na życie mego męża i córki. Może wyjaśni mi pan, dlaczego oświadczone mi, że był to zwykły wypadek? I dlaczego ktoś prowadzi ze mną wojnę psychologiczną, próbując mnie zastraszyć? Dlaczego grozi mojej rodzinie i przysyła mi odrażające zdjęcia, na których mój mąż występuje w towarzystwie dawnej agentki Niemiec Wschodnich? Dlaczego wreszcie ktoś dziś po południu próbował mnie zamordować?

- Zdjęcia? Frank wspominał mi tylko o tym, że zostałam zaatakowana. - Neville zmarszczył brwi i popatrzył na Tuckera. - Nie wiem nic o żadnych zdjęciach. Chyba nie sądzisz...

Mariah odsunęła kołnierz swetra, pokazując zabandażowane gardło.

- Dziś po południu jakiś typ spod ciemnej gwiazdy pociął mi nożem szyję, zamierzał mnie zgwałcić, a następnie zabić. Tak więc, panie Neville, musi mi pan wybaczyć,

że nie będę zwracać uwagi na protokół. Jestem w paskudnym nastroju i chcę wiedzieć, co pan i pańscy ludzie kombinują!

- Mariah!

- W porządku, Frank - powiedział Neville, unosząc rękę. - Mariah ma prawo być wściekła. Posłuchaj - zwrócił się do niej - wiem, że spotkała cię okropna przygoda i masz powody, by czuć się rozgoryczoną. Ale musisz mi uwierzyć, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Absolutnie nic. Przyśięgam.

- Nie wierzę.

- Dlaczego? Czy to Chaney zaraził cię swoją podejrzliwością? Przecież sama najlepiej wiesz, jaki jest stosunek mediów do tego, co robimy.

- My? O, nie! Ja z panem nie mam nic wspólnego. Nie wiem, co pan robi, jestem prostym analitykiem, który próbuje zrozumieć świat, w którym coraz trudniej jest się połączyć. Moja praca nie kazała mi okaleczać dziecka i niszczyć błyskotliwego naukowca. Nie kazała mi skazywać młodej kobiety, jaką była Tatiana Baranowa, na śmierć za to tylko, że postąpiła zgodnie z nakazem własnego sumienia.

- O czym ty mówisz? - zapytał zirytowany nieco Neville. - Przecież to ty zwerbowałaś Baranową. Dobrze wiedziałaś, że nakłaniając ją do zeznań, narażasz jej życie. - Mariah cicho westchnęła i zamknęła oczy. - Co zaś do twego męża i córki... Przykro mi. Sam mam dzieci. Ale powinnaś najpierw spytać, jaką rolę w tym wszystkim odegrał twój mąż.

- Został wrobiony!

- Działął z nieprzymuszonej woli, Mariah. Mógł odejść od tej kobiety.

- Dlaczego więc nie odszedł? - wykrzyknęła i ciężko usiadła na łóżku. - Proszę mi nie mówić, że chodziło tylko o seks. Gdy ta Muller pojawiła się z Chaneyem w naszym domu, od pierwszej chwili wzbudzała w Davidzie niechęć. Powiedział, że czuje odrazę do tej kobiety, ponieważ ona do niego się łąsi. Byliśmy dobrym małżeństwem. Wiele razy już o tym myślałam i dochodzę do wniosku, że gdyby nie miała na niego jakiegoś haka, nigdy by się z nią nie związał.

Neville przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

- Czy twój mąż wiedział, że zwerbowałaś Tatianę Baranową? - spytał.

- Nigdy nie rozmawiałam z nim o mojej pracy;" a już na pewno nie o takich sprawach. Postawiłabym go w niezręcznej sytuacji. Niemniej - dodała po krótkim namyśle - mógł nas widzieć razem podczas przyjęcia, na którym ją poznałam. I później, na meczu hokejowym.

- Mógł się zatem czegoś domyślać.

- Tak, zwłaszcza gdyby ktoś mu to zasugerował. Ale nie sądzę, by tak było. W każdym razie nie zająknął się na ten temat ani słowem.

- A co z Chaneyem?

- A co ma być?

- Czy wiedział o Baranowej? Marian pokręciła głową.

- Na pewno nie. Brał wprawdzie tamtego dnia udział w meczu, ale po skończonej grze natychmiast odjechał. Nigdy się nie spotkali.

- To on poznał Davida z Katariną Muller?

- Tak, ale sądziliśmy, że Elsa... to znaczy Katariną, jest tylko kolejną jego panią. A miał ich wiele.

- Czy Chaney zakochał się w tej Muller?

- Twierdzi, że nie... Wręcz przeciwnie. Wiedział, że to dawna agentka Wschodnich Niemiec.

Poszukiwał tematu.

- Więc dlaczego wciąż grzebie się w tej sprawie?

- Ponieważ był przyjacielem Davida. Ponieważ...

- ...kocha się w tobie - dokończył Tucker.

- Doprawdy? - Neville popatrzył z uwagą na Marian. - To bardzo ważne. Jeśli ciebie kocha, to mógł wmanewrować w to Davida, by usunąć go z drogi.

- Między nami nigdy nic nie było. Nie wykonałam najmniejszego gestu, który mógłby go zachęcić.

Nie miał też żadnych powodów, by sądzić, że jestem nim zainteresowana. Przeciwnie, wiedział, że go nie znoszę. I był naprawdę załamany tym, co przytrafiło się Davidowi. Bardzo się ze sobą przyjaźnili. Kiedy odkrył, że nie był to wypadek, nie zostawił tej sprawy. A teraz wszystko wskazuje na to, że za zbytnią dociekliwość wyrzucono go z pracy.

- Naprawdę go wyrzucono? - zapytał z niekłamanym zdumieniem Neville.

- Dziś rano. W każdym razie on uważa, że wyrzucono go z tego właśnie powodu. Ale dajmy spokój Chaneyo-wi. Chcę wiedzieć, kto przysłał mi te fotografie. I co mają znaczyć.

- Czy masz je przy sobie? Popatrzyła na niego- z niesmakiem.

- Nie są to rodzinne zdjęcia, które nosi się w portfeliku, by pokazywać znajomym. Zostawiłam je w domu.

- Co na nich było?



- David i Elsa... Katarina Müller.

Neville skinął głową. Nie potrzebował dalszych wyjaśnień.

- Pomimo to chcę je dostać. Poddamy je wnikliwej analizie.

- Twierdzi pan, że nic o nich nie wie?

- Przecież cały czas o tym mówię! Na Boga, kobieto, pomyśl! Tatiana Baranowa znika. Müller ma skompromitować twego męża. Frank utrzymuje, że David próbował namówić cię do opuszczenia Wiednia. Kiedy to nie wychodzi, ktoś próbuje cię zabić... - Marian szeroko otworzyła oczy. - Tak, ciebie! Zawsze uważałem, że to ty byłaś celem zamachu. Teraz, gdy Chaney zaczął rozdrapywać stare rany, ktoś znów próbuje cię zgładzić. Jakie z tego wyciągasz wnioski?

Mariah wodziła spojrzeniem, przenosząc wzrok z Neville'a na Ttickera.

- KGB... lub ich spadkobiercy.

- Trafiony, zatopiony! - powiedział Neville, znów siadając na krześle. - Nie była to trudna zagadka, prawda?

- Proszę nie traktować mnie tak protekcyjnie.

- Więc przestań zachowywać się jak niedorosły teoretyk konspiracji! - odwarknął Neville. - Po co mielibyśmy robić coś takiego jednemu z naszych pracowników?

- Kopertę ze zdjęciami moja córka dostała od kogoś w szkole. Drań, który mnie dziś zaatakował, tropił mnie co najmniej od czwartkowego wieczoru. Zresztą sam się do tego przyznał. Po co więc miałby mnie ktoś szantażować, skoro zdecydował się na ostateczne rozwiązanie?

- Rzeczywiście, to nie ma sensu - przyznał Neville. -

Chyba że twój prześladowca jest zwykłym, przypadkowym mordercą-zboczeńcem, który nie ma nic wspólnego z Wiedniem.

- Nie sądzi pan, że trochę za dużo zbiegów okoliczności?

- Też mi się tak wydaje, ale lepszego wytłumaczenia nie potrafię chwilowo znaleźć. Tak czy owak, drugi raz już taka sztuka im się nie uda. Dopóki nie dojdziemy prawdy, tobie i twojej córce zapewnię ciągłą ochronę.

- Powiedziałaś Frankowi, że nie mam zamiaru się kryć.

- Dobrze. Wcale tego od ciebie nie żądam - odparł Neville. - Będziemy bardzo dyskretni I pamiętaj: odkryjemy prawdę bez względu na to, kto za tym wszystkim stoi.

- Myśli pan, że znów spróbują? - zaniepokoiła się Mariah.

- Na Boga, nie! Ale jeśli nawet, będziemy na to przygotowani.

Mariah podeszła do okna i popatrzyła z zadumą przed siebie.

- Może powinnam wysłać Lindsay do rodziców Davida, do New Hampshire?

- Pomysł wart zastanowienia. Powinnaś też zerwać znajomość z tym reporterem. Może nie wyjść ci na zdrowie. Biorąc pod uwagę wszystko, co spotkało cię od chwili, gdy się pojawił, towarzystwo tego człowieka zdaje się dla ciebie bardzo niebezpieczne.

Mariah odwróciła się gwałtownie.

- Mówi pan, że nie wychodzi mi na zdrowie? A może nie wychodzi na zdrowie Firmie?

206

Neville puścił jej uwagę mimo uszu, wstał i skierował się do drzwi.

- Wracajmy na przyjęcie. Goście stęsknili się już za naszym towarzystwem. Idziecie?

Marian zerknęła na Tuckera. Spostrzegła, że szef spogląda na Neville'a mrocznym wzrokiem. Po chwili prawie niedostrzegalnie skinął głową i ruszył jego śladem.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Marian krążyła między gośćmi, lecz myślami była zupełnie gdzie indziej. Zostawiwszy Chaneya w grupie osób dyskutujących o obowiązkach i odpowiedzialności środków masowego przekazu, ruszyła na poszukiwanie Lindsay. Przechodziła z pokoju do pokoju, aż w końcu znalazła córkę w niewielkiej wniecie, gdzie w towarzystwie Stephena Tuckera zajęta była komputerem Franka.

- A, tu jesteście.

- Cześć, mamusiu - odrzekła Lindsay, podnosząc głowę. - Popatrz, to najnowsza gra Steviego.

Pozwolił mi ją przetestować!

Stephen ze zmarszczonym czołem obserwował zbliżającą się Mariah. Wzrok utkwiony miał w bandażu owiniętym wokół jej dłoni.

Stephena Mariah widziała już wcześniej. Rozmawiał z Patty, której niespokojnie spojrzenie w jej stronę nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości co do tego, o czym mówią.

Lindsay siedziała na krześle i z zachwytem spoglądała na średniowieczną paradę smoków, rycerzy i czarnoksiężników, przemierzających się na ekranie.

- Ta gra jest jeszcze lepsza od „Czarnoksiężskiej różdżki” - powiedziała podekscytowana. - Zobaczysz, co powiedzą o niej moi znajomi!

- Steve, wygląda na to, że stworzyłeś kolejne arcydzieło, które podbije rynek - pochwaliła go Marian. Stephen zarumienił się, co w niebieskawej poświacie monitora nadało jego twarzy purpurową barwę.

- Zostało jeszcze do opracowania kilka szczegółów -wymamrotał skromnie.

Marian przez kilka minut przyglądała się grze, po czym pocałowała Lindsay na pożegnanie i Stephen odprowadził ją do holu.

- Czy wszystko w porządku? - spytał, a kiedy potakująco skinęła głową, dodał: - Czy miało to jakiś związek z tamtą operacją w Wiedniu?

Marian szybko rozejrzała się wokół siebie i wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, ale twój tata i kilku innych ludzi wszystko dokładnie sprawdzą. Nikomu nie wspominałam o tym pliku - dodała, wyczuwając jego nagły niepokój. -

i nie wspomnę. Masz na to moje słowo. Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna za to, że go dla mnie wydobyłeś.

- Mariah? - Odwrócili się w stronę zbliżającego się Chaneya. - Cześć. Przepraszam, że przeszkadzam. Właśnie przerwałem dyskusję, która lada chwila mogła zamienić się w awanturę. Jeden z gości za dużo sobie wypił.

- Doskonale się składa, bo ja jestem już gotowa do wyjścia. To jest Stephen Tucker, syn Franka. Stevie, poznaj Paula Chaneya, przyjaciela Davida z Wiednia.

Stephen odwrócił wzrok, coś niewyraźnie wymamrotał i potrząsnął ręką reportera. Jego zażenowanie było aż bolesne. Dał krok do tyłu i ruszył za Mariah i Paulem w stronę wyjściowych drzwi.

Tam czekał już Frank. W ręku trzymał płaszcz Mariah.

- Już uciekamy, Frank - oświadczyła - Przyjęcie wspaniałe, ale jestem wykończona.

Tucker obrzucił przelotnym spojrzeniem Paula, po czym pomógł nałożyć jej ubranie. Kiedy już wsunęła ręce w rękawy i wyrównała okrycie na ramionach, poczuła, że jest ono wyjątkowo ciężkie. Wsunęła ręce do kieszeni i zdrętwiała. Wlepiała wzrok w swego szefa, który czujnie na nią spoglądał. W lewej kieszeni wyczuła twarde, kanciasty, metalowy przedmiot. W otworze na jego końcu wymacała palcami pierwszy pocisk. Pełen magazynek. Palcami prawej, zabandażowanej dłoni wyczuła z kolei pistolet.

Cholera. Frank zadbał o jej bezpieczeństwo. A przecież wiedział, że Mariah nie posiada zezwolenia na broń i w żadnych innych okolicznościach nie zgodziłby się, aby miała w domu pistolet.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zostać u mnie? - zapytał, a gdy potrząsnęła głową, zmarszczył brwi. - Uważaj więc na siebie.

Chaney wziął ją pod rękę.

- Będę jej strzegł jak źrenicy oka - oświadczył i Tucker przeniósł na chwilę wzrok na niego, na jego ramię, którym obejmował Mariah, i wreszcie znów na jej twarz.

- Nic mi nie będzie. Porozmawiamy jutro - powiedziała poważnie. - Teraz jestem śmiertelnie zmęczona.

Chaney uściśnął dłoń Franka, a następnie Stephena. Kiedy Mariah, będąc już na dole schodów, zerknęła za siebie, twarze ojca i syna były tak samo smutne.

Do McLean jechali w milczeniu. Rozbita fizycznie

i psychicznie Marian rozmyślała o dziwnej rozmowie z Georgem Nevillem. Choć w tym, co powiedział, było dużo racji, to jednak nie zająknął się słowem, co naprawdę wie o tej paskudnej sprawie.

Katarina Müller uwiodła Davida, żeby móc go później szantażować i zmusić, by wraz z żoną wyniósł się z Wiednia. Ale Mariah nie mieściło się w głowie, że jej mąż w ogóle mógł postawić się w tak kompromitującej sytuacji. Kiedy Mariah nie wyraziła zgody na wyjazd, mocodawcy Müller postanowili zorganizować przed szkołą Lindsay zasadzkę.

I teraz wszystko zaczyna się od nowa. Dlaczego?

Zerknęła na Chaneya, który ze ściągniętymi brwiami obserwował w skupieniu drogę. Jego uporczywe drażnienie sprawy najwyraźniej miało jakiś związek z ostatnimi wydarzeniami. Ktoś koniecznie chciał, by oboje przestali interesować się tą sprawą. Ale Mariah dobrze wiedziała, że reporter nie ma najmniejszego zamiaru rezygnować z prywatnego śledztwa, co więcej, jest jedynym jej sprzymierzeńcem. Było w tym fakcie dużo ironii, uwzględniając uczucia, jakimi darzyła go w Wiedniu.

- Czy powiedziałaś Tuckerowi o kopercie i zdjęciach? - zapytał cicho.

- Tak. - O rozmowie z Nevillem nie wspominała.

- I co? Czy znalazł jakieś wytłumaczenie?

- Nie. Ale wiem, że ktokolwiek polecił Elsie... Katarine Müller szantażować Davida, teraz próbował zamknąć mi usta. I, jak sądzę, tobie.

- Czy Tucker powiedział ci, że Katarina Muller nie żyje?

- Co?

- Trzy miesiące temu wyłowiono jej zwłoki z Dunaju... a w każdym razie to, co z nich zostało. Dowiedziałem się o tym od mego znajomego z ambasady niemieckiej. Po zamachu na twego męża próbowałem ją odnaleźć, lecz ona jakby zapadła się pod ziemię. Rozpoznali ją tylko na podstawie analizy stomatologicznej. Długo leżała w wodzie.

Mariah potrząsnęła głową.

- Frank o tym nie wspominał. Ale nie powiem, żeby wiadomość o jej śmierci specjalnie mną wstrząsnęła.

Przed domem zastali dwa wozy patrolowe policji z hrabstwa Fairfax, karetkę pogotowia oraz samochód z napisem „Koroner”.

Gdy tylko wysiedli z auta, natychmiast podszedł do nich policjant, który poprzednim razem pierwszy pojawił się w domu Mariah.

- Dobrze żeście już wrócili - powiedział. - Czeka na was detektyw Albrecht.

- O co chodzi? - zapytała Mariah. - Co się stało?

- Znaleziono zwłoki.

- Czyje?

Policjant wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo. Przy trupie nie było żadnych dokumentów. Wygląda na to, że leżał tam kilka dni.

Proszę za mną.

Ruszyli alejką za policjantem. Dotarli do miejsca, gdzie dróżki krzyżowały się na wprost ośrodka rekreacyjnego. Dwóch funkcjonariuszy w kamizelkach z białymi napisami POLICJA robiło jakieś pomiary na spadającym stromo stoku. Mariah rozpoznała w jednym z nich detektyw Harmon, policjantkę, która zbierała dowody w jej sypialni. Strone zbocze oświetlały dwa przenośne reflektory, nieopodal cicho



buczał generator. Obok rozłożonych noszy kręciło się kilku sanitariuszy.

Kiedy zbliżył się do nich Albrecht, Marian z niepokojem przypomniała sobie o broni, którą miała w kieszeni płaszcza.

- Mamy dziś sporo pracy w pani okolicy - stwierdził zgryźliwie detektyw.

- Pański podwładny wspomniał, że znaleźliście czyjeś zwłoki.

- Jeden z pani sąsiadów podczas spaceru z psem natknął się na ciało staruszka.

- Pański człowiek powiedział też, że przy trupie nie znaleźliście dokumentów - wtrącił Chaney.

Albrecht potakująco skinął głową i zwrócił się do Mariah.

- Zeznała pani, że dzisiejszy napastnik w czwartek wieczorem prawdopodobnie skradał się za panią, kiedy wracała pani z basenu.

- Tak, ale towarzyszył mi wtedy... Och, nie... - Przerazona szeroko otworzyła oczy. - Zabił go? - szepnęła. - Boże... Boże, tylko nie to!

Zachwiała się i Chaney otoczył ją ramieniem.

- Niestety, wszystko na to wskazuje - odezwał się Albrecht. - Mówiła pani o tropiącym ją mężczyźnie.

I o Laughlinie, starym człowieku poznanym na basenie.

- Tak, John Laughlin - powtórzyła tępo Mariah.

- Czy zgodzi się pani zidentyfikować zwłoki? Ustaliliśmy już, że Laughlin mieszkał samotnie, a sądziedzi nie widzieli go od kilku dni. Poszukujemy obecnie jego rodziny. Głowę dam, że to on, ale pani zeznanie bardzo ułatwi nam sprawę.

- Cóż, nie mam chyba innego wyjścia.

- Proszę wziąć się w garść - powiedział Albrecht, prowadząc ją w stronę noszy. - Nie jest to miły widok.

- W jaki sposób? - spytała słabym głosem Mariah.

- Poderżnął mu gardło. - Albrecht dał znak sanitariuszom i jeden z nich rozsunął suwak plastikowego worka.

Trup miał wybałuszone, zmatowiałe oczy, usta szeroko otwarte, a siwe włosy, które Laughlin tak starannie zaczesał sobie po kąpieli, zmierzwiłone i pełne zeschniętej trawy. Jego skóra połyskiwała w mroku perłową, szarozieloną barwą, z szyi na chudą klatkę piersiową spływała struga zakrzepłej krwi.

- Nieszczęsny pan Laughlin - szepnęła Mariah. - To on... Tak mi przykro.

Popatrzyła na Albrechta, w milczeniu skinęła głową i sanitariusz zasunął zamek.

Rollie Burton sięgnął po stojącą na stoliku butelkę whisky. Próbował nalać alkohol do szklanki, lecz nie trafił, skrzywił się i rzucił puste szkło na podłogę. Ujął flaszkę za szyjkę i pociągnął z niej tęgi łyk. Trzymał chwilę piekący trunek w ustach, po czym przełknął go i zaczął masować bolącą głowę. Pod oczyma porobiły mu się sińce, nadając napuchniętej twarzy okropny wygląd. Do nosa powsuwał kawałki gazy i teraz ciężko oddychał samymi ustami.

Po opuszczeniu mieszkania Mariah pojechał prosto do podziemnego garażu w swym obskurnym bloku w Arlington. Dobrze wiedział, że musi jak najszybciej ukryć toyotę. W sobotnie popołudnie drogi były prawie puste, więc jazda zajęła mu na szczęście niewiele czasu.

W garażu wetknął do nosa kawałki ligniny, tamując w ten sposób krwotok, splukał wodą twarz, a na zakrwawioną koszulę nałożył ortalionową wiatrówkę. Nasunął na oczy daszek baseballówki, włożył ciemne okulary i unikając windy, ruszył po schodach do znajdującego się na drugim piętrze mieszkania. Resztę popołudnia spędził, leżąc na kanapie i przykładając do twarzy okłady z lodu.

Wiedział, że ma złamany nos, lecz nie mógł zgłosić się z tym do żadnego lekarza. Wiedział też, że przy pierwszej nadarżającej się okazji musi wrócić i zabić tę kurwę.

Gdy ponownie pociągnął z flaszki, rozległ się dźwięk telefonu. Burton drgnął zaskoczony, zakrztusił się alkoholem i dłuższą chwilę gwałtownie kaszlał. Następnie przeszedł chwiejnie do kuchni i podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Burton?

Zamarł jak słup soli, słysząc znajomy, metaliczny, lekko ^zniekształcony głos.

- Tak?

- Schrzaniłeś robotę.

Zleceniodawca znał numer jego telefonu, jak też zapewne i adres. A ludzie, którzy znali numer telefonu Burtona i robili z niego użytek, nie tolerowali najmniejszych błędów.

- O co ci chodzi?

- Nie udawaj - syknęło w słuchawce. - Miałeś ją uciszyć, a me zabawiać się z nią po swojemu, idioto!

- Robiłem tylko to, co trzeba. Żeby zmylić policję. Chciałem upozorować zwykły gwałt i napad rabunkowy. - Modlił się w duchu, by zleceniodawca kupił jego tłumaczenie. W słuchawce zaległa cisza, więc ciągnął dalej: - Ale

ty chyba zapomniałeś powiedzieć mi o kilku szczegółach, na przykład, że ona ma dziecko. Co, do diabła, mam zrobić? Zabić również małą, by każdy gliniarz w Wirginii polował na moją głowę? Człowieku, a co z tym reporterem? Przecież on nieustannie za nią łązi! Czy chcesz, bym zabijał w świetle telewizyjnych reflektorów?

Burton potrząsnął głową. W miarę jak w żyłach rozchodziła mu się whisky, nabierał coraz większego animuszu.

- Jestem zawodowcem! Jeśli chcesz, bym dla ciebie pracował, podaj mi, do jasnej cholery, wszystkie fakty. Nie mówiąc już o tym, że będzie to cię dużo drożej kosztować. W przeciwnym razie z naszego kontraktu nici!

Ze wstrzymanym oddechem czekał na odpowiedź. Przez bardzo długą chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Czego chcesz? - zapytał w końcu głos.

- Kilku dni... I więcej forsy.

- Co?

- Słyszałeś. To nie jest tak prosta robota, jak próbowałeś mi wmówić. Ryzyko jest ogromne... powtarzam, ogromne. A to kosztuje.

- Ile?

Burton czuł, jak z każdą chwilą wstępuje w niego coraz większa odwaga.

- Podwójnie. I dziesięć patyków na początek.

Ze słuchawki dobiegło głośne syknięcie; rozmówca po drugiej stronie najwyraźniej gwałtownie wciągnął powietrze w płuca.

- Zgoda. Zajmie mi to jeden dzień. We wtorek o drugiej w nocy w pojemniku na śmieci na Tyson's Corner. Pieniądze będą czekać.

216

- Rozumiem.

- Burton?

- Co?

- I tym razem żadnych wpadek, jasne?

- Jasne. Masz to jak w banku.

Odwiesił słuchawkę, oparł się plecami o ścianę i chwilę ścisnął w dłoniach pękającą od bólu głowę. Następnie wrócił na kanapę i opróżnił do końca butelkę, by odpędzić natrętą myśl, że jest już za stary na takie zabawy.

- Dobra wiadomość - powiedział detektyw Albrecht. - Chyba już wiemy, kim jest ten drań.

Marian i Chaney gwałtownie unieśli głowy. Siedzieli w kuchni, gdzie policjant zadawał im kolejne pytania dotyczące mężczyzny, który szedł jej tropem od basenu.

- Tak szybko? - zdziwił się Chaney. - Jak wam się udało?

- Czysty przypadek. Mój sąsiad pracuje w FBI, w centralnym rejestrze Unii papilarnych.

Dzisiejszego popołudnia przepuściliśmy przez nasze komputery odciski palców, jakie zebraUśmy w pani domu. Bez rezultatu. Zadzwońełm więc do mego kumpla. Tak się pomyślnie złożyło, że akurat pełnił dużur. Normalnie trwa to całe tygodnie, zanim uda się od nich cokolwiek wyciągnąć - dodał z brzydkim grymasem.

- I trafiliście w dziesiątkę? - domyśliła się Mariah.

- Zgadza się. - Albrecht otworzył notatnik i wyjął spomiędzy kartek fotografię, którą położył na stole.

- Czy to on?

Mariah i Chaney dłuższą chwilę studiowaU podobiznę białowłosego mężczyzny siedzącego ze szklanką w ręku

w ulicznym ogródku kawiarni. Napis na szybie za jego plecami zachwalał potrawy i trunki hiszpańskie - *vino y cer-veza, tapas y pialoś combinados*. Mariah wielokrotnie miała do czynienia z takimi zdjęciami. Domyśliła się, że to zostało wykonane bardzo precyzyjnym teleobiektywem. Zadrżała i popatrzyła na Chaneya. Odwzajemnił spojrzenie, a potem oboje spojrzeli na Albrechta i zgodnie skinęli głowami.

- To zawodowiec - wyjaśnił policjant. - Nazywa się Roland Norman Burton.

- Zawodowiec?

Albrecht skinął głową i z uwagą popatrzył na Mariah.

- Czy ma pani z kimś na pieńku? Może jest pani zamieszana w jakieś podejrzone operacje CIA? Tego popołudnia wyznała policji, że pracuje w Agencji.

Ostatecznie, jak powiedziała Frankowi Tuckerowi, nie jest to tajemnica państwowa. Wprawdzie oficjalnie przyznawała się do fikcyjnej pracy w Departemencie Stanu, lecz akurat policji wołała wyznać prawdę.

- Jestem zwykłym analitykiem. Już to panu mówiłam. Po co więc te pytania?

Albrecht przeniósł wzrok na Paula.

- Co zaś do pana, pozwalam panu tu siedzieć tylko dlatego, że jest pan przyjacielem pani Bolt i tak samo jak ona wplątał się pan w tę aferę. Ale ostrzegam, dopóki nie przyszpilimy drania, żadne z was nie ma prawa opowiadać tego, o czym tu mówimy.

- Interesuję się tą sprawą ze względów osobistych, nie zawodowych.

- W porządku, przepraszam - mruknął Albrecht i ponownie zwrócił się do Mariah. - Burton pracuje dla różnych

zleceniodawców, głównie dla gangsterów i międzynarodowych karteli narkotykowych. Posiada kilometrowej długości kartotekę zarówno w FBI, jak i Wydziale Narkotykowym, lecz jak dotąd nikt nie wiedział, gdzie się ukrywa. Zdziwiliśmy się nawet, że przebywa w kraju. On przeważnie działa w państwach Dalekiego Wschodu i w Ameryce Łacińskiej. Ma już dobrze po pięćdziesiątce i zapewne niebawem przejdzie na emeryturę.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, co mógł mieć do mnie - odezwała się Marian. - Fima posiada wprawdzie jednostkę zajmującą się narkobiznesem, ale z Wydziałem Narkotyków współpracuje jedynie w sprawach o zasięgu międzynarodowym. A ja nigdy nie miałam nic wspólnego z tą jednostką.

- Cóż, powiedziałem, że Burton p r z e w a ż n i e działa w branży narkotykowej, ale bynajmniej grymaśny nie jest. Może go wynająć każdy, kto dysponuje odpowiednią kwotą. No i jest - dodał cicho Albrecht - jednym z waszych. Czy raczej był...

- Słucham? Ma pan na myśli CIA? Policjant skinął głową. .

- Tajny agent, który w dawnych czasach brał udział w operacji Feniks w Wietnamie. Wyszkolony zabójca... doskonale wyszkolony. Plotka głosi, że po roku czy dwóch wyrzucono go ze służby. Był za ostry nawet jak na gust CIA. Oficjalnie usunięto go za gwałty, jakich dopuszczał się na miejscowych kobietach. Niektóre z tych gwałtów były bardzo brutalne.

Mariah ponownie zadrżała. Podeszła do zlewu, nalała z kranu wody do szklanki i opierając się o zlew, piła ją ma-

łymi łykami. Dostrzegła, że w automatycznej sekretarce telefonu pali się światełko.

- Dokąd nas to wszystko prowadzi? - zapytał Chaney.

- Uczyniliśmy duży krok naprzód. Jesteśmy w kontakcie z Biurem Bezpieczeństwa CIA. Mają nam dostarczyć najświeższych informacji o Burtonie oraz o jego ewentualnych kontaktach w Waszyngtonie. - Policjant z trzaskiem zamknął notatnik. - Ale chwilowo musicie bardzo uważać. Wprawdzie nasz wóz patrolowy będzie przebywać w pobliżu, lecz mamy do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym zbrojcem. Nie wolno go lekceważyć. W normalnych warunkach nie spodziewałbym się powrotu bandziora, ale w tym przypadku najwyraźniej chodzi o jakiś kontrakt. No, ale skoro pani złamała mu nos... - Albrecht ponownie popatrzył z uznaniem na Mariah - ...kontuzja powstrzyma go na kilka dni. W tym czasie może uda się nam go wytropić. W każdym razie taką mamy nadzieję. No dobrze - oparł dłonie na kolanach - muszę już uciekać. Dziękuję państwu. Będziemy w kontakcie. Chaney odprowadził policjanta do drzwi. Mariah przez chwilę nad czymś się zastanawiała, a następnie podeszła do telefonu i uruchomiła odtwarzanie automatycznej sekretarki.

- „Pani Tardiff? Mówię z ośrodka stałej opieki w Montgomery. Jest godzina dwudziesta trzecia piętnaście. Proszę jak najszybciej skontaktować się z siostrą dużurną.”

Mariah zmarszczyła brwi i popatrzyła na zegar. Minęła północ. Znalazła numer ośrodka i wystukała numer.

Gdy w kuchni pojawił się Chaney, odwieszała właśnie słuchawkę. Jej twarz była przeraźliwie blada.

- Mariah? Co się stało?



- Czy Albrecht już odjechał?
- Samochód jest jeszcze przed domem - odparł Chaney, wyglądając przez okno. - Ale o co chodzi?
- Zawołaj go z powrotem.
- Po co? Co się stało?
- Rozmawiałam właśnie z domem opieki - powiedziała martwym głosem. - David nie żyje.
- Tak czy inaczej domagam się sekcji zwłok - oświadczyła Mariah, kiedy skoficzyła zdawać relację detektywowi Albrechtowi.
- Co powiedzieli pani w zakładzie?
- Podczas wieczornego obchodu, mniej więcej dwie godziny temu, stwierdzono, że umarł we śnie. Lekarz wypisał już akt zgonu. Jako przyczynę podał wylew mózgu. Przy obrażeniach głowy, jakie odniósł mój mąż, zdarza się to podobno bardzo często.
- Ale pani w to nie wierzy? - spytał Albrecht
- Nie wiem, w co wierzę, a w co nie - odparła cicho.
- Może jest w tym coś więcej. - Podniosła głowę i ujrzała, że policjant bacznie się jej przygląda. - Po tym wszystkim, co wydarzyło się dzisiejszego dnia, lepiej nie wykluczać żadnej możliwości. Albrecht chwilę się wahał, po czym powoli skinął głową.
- W porządku. Wezwę przez radio ekipę koronera. Niedawno odjechali z Laughlinem.
- Chwileczkę! Czy może pan trochę się wstrzymać?
- poprosiła Mariah. - Chciałabym go jeszcze raz zobaczyć... mojego męża. Proszę. Natychmiast pojedę do domu opieki.

221

Albrecht lekko się zarumienił.

- Pewnie. Rozumiem. Powiem koronerowi, by zajęli się tym z samego rana.

- Pojadę z tobą, Mariah - oświadczył Chaney, odprowadzając Albrechta do kuchennych drzwi. -

Sierżancie, kiedy spodziewa się pan wyników sekcji?

- W południe, może trochę później. - Policjant odwrócił się do Mariah. - Przykro mi, proszę pani. Ma pani za sobą paskudny dzień. - Położył na stole wizytówkę. - Gdybyście państwo jeszcze coś sobie przypomnieli, proszę dzwonić. Nawet w środku nocy. Dyżurny w razie czego połączy panią z moim domem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Czy przypominasz sobie Rolliego Burtona? - zapytał George Neville.

On i Dieter Pflanz spacerowali powoli przed Pomnikiem Weteranów Wietnamu, na którym wryto w czarnym granicie pięćdziesiąt osiem tysięcy nazwisk poległych w tej wojnie żołnierzy.

- Jasne - odparł Pflanz, wkładając głębiej ręce w kieszenie. - To był zupełny świr. Co u niego słychać?

- Z naszym biurem bezpieczeństwa skontaktowała się policja z hrabstwa Fairfax. Utrzymują, że to Burton zaatakował wczoraj Mariah Bolt. Policja pytała, Czy Firma ma jakieś informacje, gdzie może przebywać.

- I co?

- Właśnie, co? Co zrobimy z tym fantem?

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Zastanawiam się, czy ty przypadkiem czegoś nie wiesz.

- A dlaczego miałbym coś wiedzieć o ataku na jednego z waszych pracowników?

- Daj spokój, Dieter! - warknął rozdrażniony Neville. - Nie udawaj głupiego. Wiem, że nigdy nie pogodziłeś się z naszą wpadką w Wiedniu. Ale mówiłem ci, że Bolt jest niegroźna. Wyłączyliśmy ją ze wszystkiego. Jeśli więc teraz

jesteś w tę sprawę zamieszany, dostanę cię, gdyż było to niepotrzebne, a wręcz szkodliwe.

Pflanz gwałtownie przystanął. Przysunął swój nos, przypominający dziób drapieżnego ptaka, do twarzy zastępcy dyrektora wydziału operacyjnego i chwycił go za klapę płaszcza.

- Nie szukaj ze mną zwady, George - warknął. - Jeśli ma spaść czyjaś głowa, to na pewno nie moja. To ty mnie tu sprowadziłeś, pamiętasz? Wykonaliśmy wspólnie wielką robotę, więc nie pieprz mi tu jakichś biurokratycznych bzdur.

- Uspokój się! - Neville szybko rozejrzał się, po czym znów odwrócił do Pflanza poczerwieniałą z gniewu twarz. - Wiem, co zrobiliśmy. Ale ta kobieta zadaje niewygodne pytania. I ma wysoko postawionych przyjaciół gotowych ją bronić. Jeśli coś się jej przytrafi, wybuchnie wielka afera.

- A więc miejcie ją na oku.

- Mamy.

- To dobrze.

- Naprawdę nic nie wiesz o Burtonie? - spytał po krótkim wahaniu Neville, lecz Pflanz, który puścił już klapę jego płaszcza, popatrzył nań takim wzrokiem, że zastępca dyrektora cofnął się pośpiesznie. - W porządku, w porządku, chciałem się tylko upewnić.

- Napijesz się jeszcze kawy? - zapytał cicho Chaney.

- Dziękuję, nie.

Siedzieli na kanapie w salonie. Po powrocie z domu opieki Mariah długo nie mogła zasnąć. Kiedy wreszcie zamknęła zmęczone oczy, zegar wskazywał czwartą nad ranem.

Obudziła się o ósmej i na palcach zeszła na parter. Paul

już nie spał i krzątał się po kuchni. Najwyraźniej, podobnie jak ona, niewiele spał tej nocy.

Marian po raz setny chyba zerknęła na zegarek.

- Kiedy wreszcie zadzwonią? - spytała niecierpliwie.

- Albrecht powiedział, że w południe, może trochę później. Obiecał, że poinformuje nas natychmiast, jak tylko dostanie wyniki.

Mariah postanowiła wstrzymać się z telefonem do rodziców Davida, dopóki nie pozna wyników sekcji. Lindsay wciąż była u Carol. Mariah chciała, by jej córka miała jeszcze trochę radości, zanim ponownie zatrzęsie się w posadach jej świat.

- Niedługo muszę jechać po Lindsay - oświadczyła, zamykając oczy. - Boże, Paul, jak ja jej to powiem?

- Nie będzie to łatwe - odparł cicho. - Ale na swój sposób ona już pożegnała się z nim wcześniej.

- Masz rację. Tak naprawdę straciliśmy go w styczniu. . . *Ale* obawiam się, że Lindsay znów zacznie się obwiniać.

- Obwiniać? O co?

- Wiem, że to głupie, ale długo po wypadku uważała, że to jej wina. Rozumiesz, to ją David odwoził do szkoły. Ja zresztą też długo winiłam siebie za to, że odszedł od nas mój ojciec.

- Miałaś wtedy zaledwie siedem lat!

- I co z tego? - spytała, wzruszając ramionami. - Poczucie winy rozwija się w człowieku bardzo wcześnie.

- Dlaczego sądziłaś, że ojciec odszedł od was z twojego powodu?

- Kiedy pisał, był na utrzymaniu matki. Jej to nie przeszkadzało. Wierzyła w jego talent. - Mariah potrząsnęła

głową. - Strasznie go rozpaskudziła, ale sędzę, że tak postępowała z nim większość kobiet. Był przystojny, posiadał ogromny talent i wzbudzał powszechne zainteresowanie. Mimo że byłem małym dzieckiem, zdawałam sobie z tego sprawę. Byłam taka dumna, kiedy mogłam iść ulicą obok niego. Pamiętam też, że często wędrowaliśmy wzdłuż plaży. Trzymał mnie za rękę, a ja czułam się jak księżniczka z bajki.

- Ale w bajki szybko przestaje się wierzyć.

- Ano właśnie. Pewnego wieczora, gdy moja matka była w pracy, urządził na plaży przyjęcie.

Ponieważ nie miał pieniędzy na opiekunkę, zabrał mnie ze sobą. Pamiętam wielkie ognisko, pamiętam ludzi, którzy głośno śmiali się i śpiewali. Zapierało mi dech w piersiach na myśl, że jestem o tak późnej porze na plaży i mogę tańczyć na piasku. W pewnej chwili ojciec wziął mnie na ręce i głośno się śmiejąc, zaczął kręcić mną w powietrzu. Czułam wtedy, że mam najwspanialszego tatę pod słońcem. Później oświadczył mi, że idzie się przejść, a ja mam zostać z innymi gośćmi przy ognisku. Długo nie wracał, coraz bardziej się denerwowałam. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, a twarze zgromadzonych przy ognisku ludzi w blasku płomieni wyglądały przerażająco. Ruszyłam więc na poszukiwanie mojego taty i nikt nawet nie spostrzegł mego odejścia. Pamiętam niebieską poświatę odbijającego się w wodzie księżycy i szum fal. Wydawały mi się takie groźne. W pewnym momencie naprawdę się przestraszyłam i zaczęłam biec. Płakałam i wołałam imię ojca. W ciemnościach prawie się o nich potknęłam...

- O nich?

- O niego i kobietę. On był zły, ona zażenowana. Oboje byli nadzy. Pamiętam, że pomyślałam sobie, że mogą się przeziębic.

- Co wydarzyło się później?

- Odprowadził mnie do domu i położył do łóżka. Zbudziłam się, dopiero gdy do domu wróciła matka. Klócili się. Jak mogę pracować - krzyczał - skoro wciąż mam na głowie tego utrapionego bachora?" Następnego dnia zwinął manatki i odszedł, zostawiając siedmioletnie dziecko i ciężarną żonę. Nigdy więcej go nie widziałyśmy.

- Co za bydlak - mruknął Chaney i przez chwilę z uwagą studiował twarz Mariah. - A ty myślałaś, że to twoja wina?

Skinęła głową.

- Przez całe lata. Dopiero gdy podrosłam i zmądrzałam, pojęłam, że mój tatuś był łajdakiem.

- Pojechał do Paryża?

- Tak. Jakaś bogata kobieta, którą uwiódł, finansowała jego „rozwój twórczy”. W każdym razie finansowała do czasu, aż nie odkryła, że i ją zdradza. Później zamieszkał z jakąś dziwką na Montmartrze, a po roku zmarł na zapalenie wątroby.

- Właścicielka domu spakowała jego rzeczy, wyniosła je na strych i jego twórczość została na kilka lat zapomniana - dodał Chaney, prawie dosłownie cytując jednego z profesorów literatury angielskiej, który poszukiwał rękopisów Bolta i w końcu odnalazł je w Paryżu. - Nigdy nie poznał swojej drugiej córki, twojej siostry?

- Katie urodziła się w sześć miesięcy po jego odejściu. Nigdy nie miała ojca, tylko matkę i mnie. Całe dzieciństwo

spędziłam na zapiaszczonej podłodze ciasnego domu, wszędzie zabierałam ze sobą Katie i uciszałam ją jak mogłam, gdy zmęczona pracą matka zasypiała na kanapie.

- Wiem, że nie było ci łatwo, ale dzięki temu wyrosłaś na piękną, dzielną kobietę. Co stało się z twoją siostrą?

- Umarła w wieku dwunastu lat. Studiowałam już wtedy w Berkeley. Katie bawiła się z innymi dziećmi na przystani w Newport. Spadła z falochronu, złamała sobie kręgosłup i utonęła. Chciałam rzucić studia i wrócić do matki, ale ona mi nie pozwoliła. Gdy zachorowała na raka, przyjechałam, by być przy niej. Powiedziała mi, że muszę skończyć studia i być niezależna. I dokonywać w życiu lepszych wyborów niż ona.

- Twoja matka była mądrą i dobrą kobietą.

- Tak. Nie zasłużyła sobie na taki los.

Chaney milczał. Mariah otuliła się kocem i wygodniej ułożyła się na kanapie. Zmęczona zasnęła i zbudził ją dopiero ostry dźwięk dzwoniącego telefonu. Wyprostowała się gwałtownie, zaczęła przecierać oczy i półprzytomnie rozglądać się po pokoju.

- Czy mam odebrać? - zapytał Paul, zaglądając do salonu.

Mariah popatrzyła na niego i skinęła głową, a on bez słowa pomaszerował do kuchni. Ona również wstała z kanapy, przeszła przez pokój i stanęła za jego plecami.

- I co? Co ci powiedzieli? - zapytała, gdy odłożył słuchawkę. - Czy David został zamordowany?

- Nie - odparł Paul, odwracając się w jej stronę. - To naprawdę był wylew. Pękł tętniak. Wykryli też raka tarczycy. Nastąpiły przerzuty na tchawicę. Gdy leżał w łóżku, wy-



stały trudności z oddychaniem i w wyniku wysiłku przy nabieraniu powietrza tętniak pękł. - Słowa Paula powoli docierały do świadomości Mariah. Przypomniała sobie świszczący oddech Davida, kiedy była u niego poprzedniego dnia. I nagle ugięły się pod nią kolana.

- To moja wina - szepnęła.

- Nie rozumiem.

- Zabiłam go. Wczoraj, kiedy go odwiedziłam. Powiedziałam mu, że wiem o Elsie. Byłam wściekła i pełna złości. Rozumiał, co mówiłam. Jego reakcja... och, Paul!

- Mariah, wysłuchaj mnie - odezwał się Chaney, biorąc ją za podbródek. - David był bardzo chory. Patolog powiedział, że ten rodzaj raka rozpełza się po organizmie' niczym chwast i prawie zawsze pociąga za sobą śmierć chorego. Twój mąż miał przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia. Być może dobrze się stało, że umarł szybciej.

- Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, lecz lekarze twierdzą, że za kilka dni będzie mogła opuścić szpital - oświadczył Gus McCord.

Dieter Pflanz widział, że Angus bardzo się cieszy, iż jego żona wróci po zawale do zdrowia.

Specjaliści twierdzili, że był to wprawdzie niewielki atak, lecz stanowił znak, iż chora musi zacząć bardziej o siebie dbać i oszczędzać siły.

- To bardzo dobrze - powiedział Pflanz, spoglądając na krążącego po szpitalnej poczekalni Gusa. - Może i ty zwolnisz trochę tempo. Odpoczniesz.

McCord wykrzywił twarz w nieprzyjemnym grymasie.

- Nie zaczynaj, Dieter. Dosyć się na ten temat nasłuchałem od Nancy i chłopców.
- Ale oni mają rację. Co komu przyjdzie z tego, że padniesz ze zmęczenia? Czy ty w ogóle spałeś choć trochę przez dwa ostatnie dni?
- Trochę. Ale to mi w zupełności wystarcza. Pflanz pogardliwie parsknął.
- Wracaj do swego pokoju, Gus, i solidnie wypocznij. Chłopcy wyjechali już z hotelu, są w drodze do szpitala. Oni zajmą się twoją żoną.
- Nie poznaję cię, Dieter. Od kiedy to przeszedłeś na etat opiekunki?
- Od rana, od chwili kiedy Jerry Siddon wszedł do samolotu i wrócił do Kalifornii. Zlecił mi tę funkcję.
- Ty też możesz już wracać. Nie ma sensu, byś niepotrzebnie marnował tu czas.
- Mam jeszcze do załatwienia kilka spraw. McCord zmarszczył brwi i chwilę patrzył przenikliwie na szefa swej ochrony.
- Jakież kłopoty z Nowym Meksykiem?
- Raczej nie - odparł z lekkim wahaniem Pflanz. - Takie tam głupstwa. Zajmę się nimi. Ty się nie martw.
- Myślałem, że mamy to już z głowy. Znów sprawa Chaneya?
- Chaney wypadł z gry. Wprawdzie wciąż jeszcze węszy, ale nic nie może zrobić. Z jego strony nic nam nie grozi.
- W czym więc problem? - zapytał Gus, lecz w tej samej chwili w drzwiach szpitala pojawili się jego czterej synowie.
- Niczym się nie martw - powtórzył szybko Pflanz. -Zostaw to mnie.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Zgodnie z tym, co powiedział głos w telefonie, Rollie Burton pojawił się na parkingu przy Tyson's Corner Mall tuż po drugiej w nocy. Zatrzymał toyotę w cieniu, na skraju parkingu, i odczekał, aż przejedzie niewielki wóz patrolowy z ochroniarzami pilnującymi placu. Następnie podjechał do wielkiego kontenera na śmieci. Nie wyłączając silnika, wysiadł z auta i szybko zajrzał do pojemnika. Ostatnim razem teczka z pieniędzmi leżała na górze stosu śmieci, lecz teraz kontener był do połowy tylko wypełniony odpadkami, a teczki w nim nie było.

- Co, do diabła... - mruknął pod nosem. Wyciągnął kieszonkową latarkę i omiótł strugą światła wnętrze kontenera. Dopiero wtedy dostrzegł przesyłkę. Zsunęła się ze sterty śmieci i leżała głęboko w rogu, po tej stronie, którą pojemnik przylegał do ściany budynku.

- No, jest!

Wspiął się na czubki palców i próbował dosięgnąć teczki; próbował wcisnąć się między mur a stalową skrzynię, ale żadnym sposobem nie mógł dosięgnąć dna kontenera. Zrezygnowany, schował latarkę do kieszeni, wskoczył na krawędź pojemnika, po czym spuścił nogi do środka. Klnąc ordynarnie, zsunął się na pośladkach po stercie pustych kartonów i plastikowych worków.

Kiedy dotarł do teczki, położył ją sobie na kolanach, znów wyciągnął latarkę i otworzył zamki. Wziął w dłoń jedną ze schludnych paczek dwudziestodolarówek i próbował ją powąchać. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że przed wyjściem z domu zatkał dziurki złamanego nosa gazikami. Przeciągnął więc tylko pieśczołtliwie dłonią po pozostałych paczkach, następnie opuścił wieko teczki i z trzaskiem zamknął oba zamki.

Gdy dotarł doń trzeci trzask, Burton zamarł. Podniósł głowę i ujrzał stojącą obok pojemnika wielką postać; ciemną sylwetkę na tle świateł parkingu.

- Zgaś latarkę - usłyszał.

W kręgu światła pojawiła się broń. Wyglądem przypominała Smitha and Wessona z przymocowanym do lufy tłumikiem. Burton posłusznie opuścił latarkę.

- To ty? - zapytał zdumiony.

- Kupa czasu, Rollie. - Ciemna postać potrząsnęła głową. - Postarzałeś się, ale rozumu ci nie przybyło.

W dalszym ciągu w robocie przeszkadza ci fujara.

- No wiesz, człowiek musi mieć trochę frajdy - wystękał Burton, krzywiąc twarz w nerwowym uśmiechu. - Spokojnie, wszystko mam pod kontrolą. A swoją drogą, kim jest ta baba? Dlaczego chcesz ją zabić? - Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, ciągnął dalej: - Jasne, to nie moja sprawa. I nigdy cię w życiu nie widziałem. Do licha, jak mogłem nie poznać cię przez telefon? Z drugiej strony elektroniky potrafią teraz robić takie sztuczki...

Chciał wstać, lecz poślizgnął się na kartonach i wymachując trzymaną w rękę teczką, ponownie wylądował na dnie kontenera.

- Zaczekaj. Jak wyjdę, to pogadamy,

- Nie, Rollie. Nie wyjdiesz. Schrzaniłeś sprawę po raz ostatni.

Błagalne słowa zagłuszył syk sprężonego gazu ulatującego z tłumika i głucho uderzenie kuli rozłupującej czaszkę. Ciało Burtona osunęło się na dno pojemnika. Śmietnik stał się jego trumną.

Oczy, niebieskie i zielone, spoglądały martwo na wielką dłoń zabierającą walizkę. W dwadzieścia minut później przy czekającej z zapalonym silnikiem toyocie pojawił się patrol ochroniarzy.

Zwłoki Davida przetransportowane zostały do Dover w New Hampshire, gdzie miały zostać złożone w rodzinnym grobowcu Tardiffów.

Stojąc na cmentarzu obok trumny, Mariah spoglądała z tekkim, smutnym uśmiechem na pochylającą się nad Lindsay matkę Davida. Ona swoich dziadków nie знаła. Rodzice ojca rozwiedli się i umarli na długo przed tym, jak ona przyszła na świat. Z kolei rodzice jej matki wyparli się córki, kiedy ta w wieku osiemnastu lat uciekła do Kalifornii z nieodpowiedzialnym bitnikiem, Benem Boltem.

Stateczny bankier z Illinois i jego żona nigdy tego córce nie wybaczyli.

Gdy jej matka była już bliska śmierci, Mariah zadzwoniła do nich w nadziei, że w końcu dojdzie do pojednania. Spotkała się jednak z tak zimnym przyjęciem, że szybko odłożyła słuchawkę i nigdy już nie kusiło jej, by ponownie nawiązywać kontakt.

Większość żałobników po ceremonii pogrzebowej udała się do domu rodziców Davida. Frank Tucker i Pat Bonelli

również tam poszli, ale na krótko. Postanowili, że jeszcze tego popołudnia złapią samolot do Waszyngtonu.

- Carol tak bardzo chciała przyjechać - wyznała przy kawie Pat. - Nie mogła jednak zostawić dziecka. Mały potwornie się przeziębził. Stephen też zamierzał się pojawić, lecz w ostatniej chwili stchórzył. Wiesz, jak bardzo wstydzi się obcych.

Mariah machnęła ręką,

- Nieważne. Wiem, co naprawdę czuł do Davida. Biedny Stevie. Podejrzewam, że David był jednym z nielicznych ludzi, w towarzystwie których potrafił się rozluźnić. Po wypadku w Wiedniu kompletnie się załamał. Po naszym powrocie z Europy Carol okazała nam wielką pomoc i jeszcze więcej serca. Ty i Frank również - dodała, spoglądając na Tuckera, który właśnie zbliżał się, niosąc płaszcz Pat. - Nie wiem, jak poradziłybyśmy sobie bez was.

- Jak długo zamierzasz zostać w New Hampshire? - zapytał Frank.

- Jeśli dasz mi urlop, chciałabym zostać do końca świąt. Myślę, że Lindsay powinna teraz pobyć trochę z dziadkami.

- Bardzo dobry pomysł.

- Witaj, Paul - powiedziała Pat gdy podszedł do nich reporter, który skończył właśnie rozmawiać z kuzynami Tardiffa. - Miło mi cię znów widzieć, choć wolałabym się spotkać w weselszych okolicznościach.

- Wracacie już dzisiaj?

- Zgadza się. A ty? Chaney pokręcił głową.

- Chcę skorzystać z okazji i odwiedzić syna, który mieszka w Connecticut Pojadę tam jutro z rana.
  - I z nim spędzisz święta? - zainteresowała się Pat
  - Nie sędę, by jego matka okazała się aż tak wspaniałomyślna, by mi na to pozwolić. Boże Narodzenie spędzę z rodzicami. Są na emeryturze, mieszkają w Phoenix.
  - Cóż, życzę ci zatem wesołych i pogodnych świąt - powiedziała serdecznie Pat - A do ciebie, Mariah, zadzwonię za kilka dni. Sprawdzę, jak wam się wiedzie.
  - Oczywiście. I dziękuję za przyjazd. Tobie też, Frank.
  - Niczym się nie martw - odparł Tucker. - Biuro bez ciebie się nie zawali, a teraz najważniejsze jest, by Lindsay odzyskała spokój. Na jakiś czas o wszystkim zapomnij.
- Mariah nastawiła budzik na wpół do siódmej rano. Gdy zadzwonił, wyszła z łóżka, nałożyła dżinsy i bluzę, po czym ruszyła do kuchni. Dom wypełniały smakowite zapachy wypieków. W kuchni matka Davida wyciągała właśnie z pieca chleb.
- Starsza kobieta popatrzyła ze zdziwieniem na Mariah.
- A co ty tu robisz o tak wczesnej porze? - zapytała - Powinnaś się solidnie wyspać. Biedactwo, wczoraj wyglądałaś tak marnie i żałośnie.
- Mariah przytuliła ją do siebie.
- Ja? A co z tobą? - Pociągnęła nosem, delektując się wspaniałym zapachem wypełniającym kuchnię.
  - O której godzinie wstałaś?

- Och, nigdy nie byłam śpiochem. Lubię wczesnie wstawać i brać się od rana za robotę.
- Wiem. Pamiętam twoje słowa: „Nie ma nic gorszego od wylegiwania się w łóżku”.
- Matka Davida odłożyła bochenki chleba do wystygnięcia i wsunęła do pieca dwa następne. Wytarła ręce w fartuch i zapatrzyła się w okno.
- Gdy mieszkały jeszcze w domu dzieci, piekłam trzy razy w tygodniu po sześć bochenków. Mogłam im wprawdzie dawać chleb kupowany w sklepie, ale one wołały domowy. Zwłaszcza David. To było istne diable. Wystarczyło, bym spuściła go na chwilę z oka, a już nie było bochenka. Zjadał, zanim chleb zdążył wystygnąć.
- Mariah uśmiechnęła się.
- I nigdy się w tym względzie nie zmienił. Nie wiem, jak to robił, że tyle jedząc, nie przybierał na wadze.
- Kwestia przemiany materii. Zawsze w ruchu, zawsze w pogoni za czymś, co jeszcze przed nim. - W oczach pani Tardiff pojawiły się łzy, które szybko wytarła wyjętą spod fartucha chusteczką. - Mam... miałam sześcioro dzieci -powiedziała cicho. - Wszystkie je kochałam, ale w głębi serca Davida najbardziej...
- Już wszyscy na nogach? - rozległ się nieoczekiwanie głos ojca Davida, który stanął właśnie w drzwiach.
- Wszyscy prócz Lindsay - odparła z uśmiechem Mariah. - Nie sądzę, by wstała przed dziesiątą. W południe ma wpaść po nią Suzanne z dziećmi.
- Siadajcie, zaraz przygotuję śniadanie - powiedziała pani Tardiff i znów zaczęła krzątać się po kuchni.
- Ja dziękuję - zastrzegła się Mariah. - Jeśli nie macie



nic przeciwko temu, chciałabym przejechać się samochodem po okolicy. Myślę, że odrobina świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

- Oczywiście - odparł ojciec Davida. - Jeśli chcesz, mogę ci towarzyszyć.

- Dziękuję, potrzebuję trochę samotności. Muszę przemyśleć kilka spraw.

- Ale najpierw coś zjesz - powiedziała pani Tardiff. - Przygotowanie śniadania zajmie mi minutkę.

- Naprawdę dziękuję. Nie jestem głodna. Przekaszę coś po powrocie. Obiecuję, że niedługo wrócę.

Kiedy kilka minut później wyjeżdżała pożyczonym samochodem z podjazdu, dostrzegła zaparkowanego nieopodal na ulicy szarego forda. Włączyła się do ruchu, zerknęła we wsteczne lusterko i spostrzegła, że ford rusza jej śladem. Jadąc z umiarkowaną prędkością, rozważała kilka możliwości. Ostatecznie zdecydowała się pojechać Silver Street • w kierunku autostrady.

Rodzinne miasteczko Davida leżało nad Atlantykiem na dziewiętnastomilowym odcinku wybrzeża New Hampshire, wciśniętym między stany Maine i Massachusetts. Po ślubie, każdego lata, Mariah przyjeżdżała z mężem i Lindsay na dwa lub trzy tygodnie do starego domku letniskowego Tardiffów w York Beach w Maine, tuż za granicą New Hampshire. Rodzice Davida mieszkali tam całe lato i zajmowali się przyjmowaniem synów, córek, zięciów, synowych oraz wnuków, którzy z wielką ochotą odwiedzali to miejsce. Spali na łóżkach, kanapach, a czasami i na podłodze. Dopiero po kilku pobytach Mariah jako tako zaczęła się orientować w rodzinnych powiązaniach męża i rozróżniać, które dziec-

ko jest czyje. Lubiała tam przyjeżdżać. Panujący w tym domu rozgardiasz miał w sobie wiele uroku. Choć na szosie panował duży poranny ruch, bez trudu wypatrzyła szarego forda, w którym jechała ekipa wysłana przez Neville'a. Podręcznikowa akcja - pomyślała Mariah z ponurym uśmiechem. Kierowca forda wiedział, że Mariah i tak musi minąć bramkę, gdzie pobierano opłaty za przejazd autostradą, więc pozwolił sobie na spore pozostanie w tyle. Wybrał nawet daleki pas, żeby nie rzucać się w oczy.

Przy bramce opuściła szybę.

- Dzień dobry pani - powiedział uprzejmie młodzieniec w budce. - Dwadzieścia pięć centów.

Mariah sięgnęła po portfelik.

- Chcę dostać się do Rochester. Nie jestem stąd. Czy dobrze jadę?

- Nie, jedź pani do Maine. Rochester znajduje się na zachodzie, w przeciwnym kierunku.

- Tego jeszcze brakowało! A ja już jestem spóźniona. - Mariah z rozpaczą popatrzyła na zegarek. - O ósmej mam umówione spotkanie. Gdzie najbliżej mogę zawrócić, by zmienić kierunek jazdy?

Mężczyzna popatrzył na gromadzący się za jej autem sznur samochodów.

- Po drugiej stronie budki jest przejazd dla pojazdów uprzywilejowanych. Tam może pani zawrócić i skierować się we właściwą stronę. Proszę tylko uważać przy włączaniu się do ruchu.

- Dziękuję bardzo. Uratował mi pan życie i honor. Mariah przesłała mu promienny uśmiech, zawróciła

za budką i ruszyła na zachód. Niebawem zobaczyła po drugiej stronie autostrady jadącego w przeciwną stronę szarego ford.

Paul Chaney czekał w York Beach przy niewielkiej kawiarence.

- Cześć - powiedziała Marian, wysiadając z samochodu i obrzucając go baczny spojrzeniem. - Widzę, że masz nową kurtkę. Powinnam ci przynajmniej zwrócić pieniądze.

Paul pokiwał głową.

- I tak zamierzałem ją kupić. W tamtej chodziłem już kilka lat.

- Zateśniłeś za odmianą? - zakpiła. Skórzana kurtka była taka sama jak ta, którą zabrała policja. - Czy trafiłeś tu bez trudu?

- Początkowo miałem nieproszone towarzystwo, którego musiałem się pozbyć.

- - Ja od swego uwolniłam się na punkcie opłat drogowych.

- A ja uciekłem, przejeżdżając w Portsmouth skrzyżowanie na czerwonych światłach. Czy wiesz, kto to był?

- Opiekunowie. Ale ja nie mam dziś nastroju do opiekunów.

- Wstąpimy na kawę?

Mariah skinęła głową i weszła za reporterem do kawiarni. Gdy już zajęli miejsca, a kelnerka przyjęła zamówienie, popatrzyła na jego rękę.

- Jak rany?

- Goją się. W Phoenix zgłoszę się na zdjęcie szwów. A jak tam twój nadgarstek?

Poruszyła lekko palcami i pokręciła dłonią, z której zdjęła już bandaż.

- W porządku, mogę nią ruszać. - Rozejrzała się po lokalu i pochyliła w stronę Paula. - Po twoim wyjeździe dzwonił Albrecht. Znaleźli Burtona.

- Wspaniale. Czy powiedział, kto go wynajął? Mariah wyprostowała się, gdyż przy ich stoliku pojawiła

się kelnerka. Kiedy odeszła, dołąła do kawy mleka, zamieszała i upiła łyk. Popatrzyła na Chaneya zadumany wzrokiem.

- Niewiele miał do powiedzenia. Nie żyje.

- Co?

- Zabito go strzałem w głowę. Ciało znaleziono w kontenerze na śmieci przy Tyson's Corner Mall. Chaney gwizdnął cicho przez zęby. - Egzekucja?

- Tak twierdzi Albrecht. Burton w chwili śmierci znajdował się już w kontenerze. Pocisk uderzył w ścianę pojemnika. Policja doszła do wniosku, że specjalnie go tam zwabiono. Wszedł do środka, ponieważ miała tam na niego czekać walizka z gotówką. Nieopodał stał jego samochód z zapalonym silnikiem. Ktokolwiek zastrzelił Burtona, zabił go jak królika w klatce.

- Nie wygląda to dobrze.

- Bardzo źle. To samo zresztą powiedział Albrecht Wypytywał mnie szczegółowo ó moją pracę i ten kosmyk włosów Davida, który znaleźli w kuchni w koszu na śmieci. Patolog odkrył, że włosy zostały wyrwane z tyłu głowy. Detektyw nie jest najlepszego zdania o moich fryzjerskich umiejętnościach.

- Dlaczego nie powiesz mu prawdy? Lindsay o niczym się nie dowie. Burton przecież nie stanie już przed sądem.
- Ponieważ policja nigdy nie dojdzie prawdy - odparła Marian. Wyciągnęła z torby egzemplarze „Newsweeka” i „Post”, które Chaney zostawił jej poprzedniego dnia. -Przestudiowałam te artykuły i doszłam do wniosku, że masz rację. Może to mieć związek z Wiedniem. W zeszłym tygodniu przegapiłam artykuł o wypadku w Nowym Meksyku zamieszczony w „Post”.
- Dobrze go ukryli - odparł Chaney. - Dwie kolumnienki na trzydziestej drugiej stronie. Ale największą rewelacją jest to, że w ogóle go opublikowano. Założę się, że federalni robią wszystko, by sprawię ukrećić łeb.
- W ostatnich dniach nie zaglądałam do gazet. Czy drą-' żono dalej ten temat?
- Nie. Zabawne, prawda? Pięciu wybitnych ekspertów od broni nuklearnej, dwóch Amerykanów i trzech Rosjan, poleciało do królestwa niebieskiego i nikt się specjalnie tym nie przejął.
- Znałam Kingmana.
- Był zastępcą dyrektora laboratorium w Los Alamos. Mariah potakująco skinęła głową.
- David u niego pracował. Gdy mieszkałam w Nowym Meksyku, często spotykaliśmy się z Kingmanem i z jego żoną. Słyszałam, że później się rozwiedli, lecz z tego co wiem, on został w Los Alamos.
- A czy wiesz, kim byli Rosjanie?
- Sokołów, Borodin i Guskow. Z tej trójki prawdziwą gwiazdą był Sokołów, ich najlepszy fizyk. Borodin był inżynierem nuklearnym zaangażowanym w program badaw-

czy w Semipałatyńsku. O Guskowie wiem niewiele. Tyle tylko, że też był inżynierem.

- Podobnie jak Bowker, drugi Amerykanin - stwierdził z zadumą Chaney. - Co mi powiedziałaś tamtego wieczoru, gdy pojawiłem się u ciebie w domu? Że do programów produkcji broni szuka się głównie inżynierów i techników?

- Jeśli dobrze pamiętam, chłopcy ci mieli jedną cechę wspólną: cała piątka była samotna. Albo wdowcy, albo roz-wiedzeni. Nie posiadali rodzin.

- Nikt więc nie zainteresuje się ich losem.

- Dokładnie.

- Czy przeczytałaś artykuł w „Newsweeku” dotyczący McCorda?

Mariah skinęła głową, oczy się jej zwęziły.

- Dlaczego McCord wydaje ci się podejrzany?

- Z dwóch powodów. - Odebrał jej czasopismo i otworzył na właściwym artykule. Przekartkował go, po czym wskazał Mariah fotografię przedstawiającą Gusa i jego ekipę podczas zwiedzania zakładu przemysłowego w Rosji. - Popatrz na to zdjęcie. Widzisz tego ogromnego mężczyznę stojącego z tyłu? Czy już go kiedyś widziałaś?

Mariah popatrzyła na górującą za grupą zwiedzających postać z nosem przypominającym dziób drapieżnego ptaka i potrząsnęła odmownie głową.

- A ja spotkałem go w Wiedniu - powiedział Chaney.

- Gdzie?

- Przed hotelem, w którym mieszkała Katarina Muller. Obserwował, jak wchodziła tam z Davidem.

Mariah poczuła, że z twarzy odpływa jej krew.

- Czy wiesz, kto to jest?

- Nazywa się Dieter Pflanz. Jest szefem ochrony w McCord Industries. To również były agent CIA.
- Powiedziałeś, że podejrzewasz o coś McCorda z dwóch powodów. Jaki jest ten drugi?
- McCord posiada pakiet czterdziestu procent akcji CBN. Nie stanowi to bezwzględnej większości, ale właśnie Gus jest największym udziałowcem sieci, a tym samym ma tam najwięcej do powiedzenia. Facet, który powiadomił mnie o zwolnieniu, twierdził, że to decyzja rady nadzorczej.
- Wciąż nie mogę uwierzyć, że wyrzucono cię z pracy. Biorąc pod uwagę splendor, jaki przynosiły im twoje nagrody...
- McCord na każdego z członków rady ma jakiegoś haka, więc żaden z nich nie odważy się podskoczyć. No i'opłaca ich po królewsku. O tym mogę cię zapewnić z pełnym przekonaniem. Mariah skinęła głową i rozejrzała się wokół siebie. Lokal •powoli się zapełniał.
- Czy zabrałeś ze sobą laptopa? - zapytała.
- Mam go w samochodzie.
- Nigdy się z nim nie rozstajesz?
- Zamierzałem właśnie skończyć jeden temat i zacząć drugi. Po co ci komputer?
- Tu zaczyna robić się tłoczno. Co powiesz o tym, byśmy zapłacili i przeszli się trochę po plaży? Zeszli po drewnianych schodach, a następnie wspięli się na kamienny falochron, chroniący przed sztormami ciągnącą się wzdłuż wybrzeża drogę. Mariah owinęła szyję wełnianym szalikiem i wsunęła ręce do kieszeni płaszcza.
- Niewiele to przypomina plaże z twoich rodzinnych

stron, co? - odezwał się cicho Chaney, spoglądając na fale liżące piasek wybrzeża. Na rozrzuconych wzdłuż brzegu skałach białł lód. Niebo było zachmurzone, nad północnym Atlantykiem wiał zimny wiatr.

- Masz rację. Tu ocean nawet pachnie inaczej. Jakby było w nim więcej soli. Przez lata przyjeżdżałam w te strony z Davidem, ale nigdy nie odważyłam się wejść do morza. Nawet w sierpniu woda jest tu lodowato zimna, choć miejscowym to nie przeszkadza. Niemniej z tutejszymi plażami mam dużo piękniejsze wspomnienia niż z tymi w Kalifornii. - Umilkła, popatrzyła na Chaneya i zmieniła temat.

- Sądzę, że nie mylisz się co do McCorda. Jestem, przekonana, iż prowadzi jakieś lewe interesy na wielką skalę.

- Dlaczego? Co o nim wiesz?

- W zeszłym tygodniu przypadkowo natknęłam się na interesującą informację. Po potrójnym zamachu bombowym w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku sporządzałam raport na temat dostawców broni dla terrorystów. Nasze satelity wykryły morski transport broni z Libii. Nie byliśmy jednak w stanie niczego udowodnić, ponieważ broń, jeśli była to broń, gdzieś po drodze rozplynęła się w powietrzu. W każdym razie w transport ten zamieszane było przedsiębiorstwo, którego udziały w zeszłym roku wykupił McCord.

- Co się stało z tym raportem?

- Utknął w naszych szufladach. Informacja o ewentualnych powiązaniach McCorda z •terrorystami nigdy nie ujrzała dziennego światła. Może słusznie. Dowody były kruche. Ja jednak mam złe przeczucia.

- To poważna sprawa. O McCordzie mówi się jako



o następnym prezydencie. W zeszłym tygodniu został przyjęty na audiencji w Białym Domu. Krążą plotki, że prezydent wystawi swego zastępcę do wiatru i poprze McCorda, jeśli ten zdecyduje się wziąć udział w przyszłorocznym wyścigu do prezydenckiego fotela.

- Wiem o tym.

- Po co więc taki facet miałby wikłać się w przemyt broni? Przecież ma więcej pieniędzy pochodzących z legalnych źródeł niż dziesięciu innych zdołałoby wydać przez całe życie. Jest wielkim filantropem i ma ogromne ambicje polityczne. To bez sensu. Z drugiej jednak strony - dumiał na głos Chaney - po co Dieter Pflanz śledził w Wiedniu Davida i Katarinę Muller? I jaki ma to związek z zamachem przed szkołą Lindsay?

Marian zmarszczyła brwi i kopnęła kawałek drewna wyrzuconego przez fale.

- Pewni ludzie w Firmie uważają, że w Wiedniu miałam zginąć ja.

Chaney zatrzymał się zaskoczony.

- Jak to?

- To całkiem możliwe - odparła cicho i zaczęła czubkiem buta rysować na piasku esy floresy.

- Dlaczego? W co się tam wplątałaś?

- O to chodzi, że w nic. W Firmie pełnię funkcję analityka, a analityków w zasadzie nie wysyła się na misje zagraniczne. Pojechałam do Wiednia tylko ze względu na Davida. Nie należałam jednak do bractwa tajnych operacji i w Austrii ledwie mnie tolerowano. Głównie zajmowałam się papierkową robotą. Grzebałam w raportach wywiadowczych. Nic poważnego.

- Musiało jednak istnieć jeszcze coś, jakieś drugie dno. Mariah skinęła głową.
- Na jednym z oficjalnych przyjęć poznałam rosyjską fizyczkę. Okazało się, że bardzo dużo wie o tajnym programie produkcji radzieckiej broni atomowej.
- I otworzyła przed tobą serce?
- To bardzo smutna historia. Urodziła się i wychowała obok wielkiej fabryki broni atomowej i pod wpływem promieniowania w jej organizmie nastąpiły nieodwracalne zmiany. Gdy zaofiarowała się przekazać nam wszystko, co wie, zajęłam się nią, gdyż w wiedeńskiej placówce tylko ja się na tym znałam.
- Co się z nią stało?
- Prowadziłam ją przez półtora roku, po czym zniknęła. Po prostu nie stawiała się na kolejnym spotkaniu. Nikt też już więcej nie ujrzał jej w biurach IAEA. Gdy IAEA zaczęła jej oficjalnie poszukiwać, ambasada rosyjska umyła ręce, a ani my, ani nasi sprzymierzeńcy nie wpadliśmy na najmniejszy trop naszej informatorki. Jesteśmy przekonani, że przejęło ją KGB. Tak naprawdę KGB nigdy nie zawiesiło swej działalności, mimo kosmetycznych zmian jakie wprowadzono tam po upadku Związku Radzieckiego.
- I wtedy samochód, w którym miałaś jechać, został staranowany przez ciężarówkę. - Chaney zatrzymał się, wziął Mariah za rękaw i odwrócił ją twarzą do siebie. - Jak mogłaś nie dostrzec tych powiązań? Niczego wcześniej nie podejrzewałaś?
- Podejrzewałam! - odparła ze złością, strząsając z ramienia jego dłoń. - O tym właśnie pomyślałam w pierwszym momencie. Ale moim głównym obowiązkiem była

opieka nad Davidem i Lindsay. Zwróciłam się z prośbą o pomoc do jedynej osoby, której ufałam.

- Do Franka Tuckera?

- Tak. Pracuje w Firmie od trzydziestu lat. Najpierw działał w wydziale operacyjnym, gdy jednak okazało się, że jego żona choruje na białaczkę, poprosił o przeniesienie do wydziału analiz. Nie mogli już więcej podróżować razem. To on wszystkiego mnie nauczył i od szesnastu lat jest moim najbliższym przyjacielem. Zawierzyłabym mu własne życie.

- A jednak cię okłamał.

- Nie sądzę... Nie w dosłownym sensie. Początkowo, gdy mówił mi, że był to wypadek, mówił to w dobrej wierze. Później, kiedy zaczął coś podejrzewać, odebrał mi sprawę, chcąc mnie chronić. Tak w każdym razie twierdzi, a ja nie mam powodów, by mu nie wierzyć. Następnego dnia po naszym wieczornym spotkaniu w domu opieki próbowałam wejść do kartotek Firmy dotyczących operacji CHAUCER.

- CHAUCER?

- To kodowa nazwa rosyjskiej informatorki, którą prowadziłam.

- I co stało się dalej?

- Nie miałam dostępu do tych dokumentów. Odebrano mi go. Frankowi chyba też... w każdym razie do ich części.

Chaney przez chwilę z uwagą studiował jej twarz.

- A dlaczego pytałaś, czy mam ze sobą laptopa? Ciężko westchnęła, odwróciła się do niego plecami i zatopiała wzrok w spienionych falach oceanu.

- Wykraść tę kartotekę - oświadczyła po długiej chwili. - Nie pytaj, w jaki sposób. Po prostu ją mam. Ale

jak dotąd jeszcze jej nie przestudiowałam. Przed wyjazdem przelotnie tylko do niej zajrzałam. Jest tam dużo uzupełnień do oryginalnych, sporządzonych przeze mnie akt. Sądzę, że Frank również nie ma do nich dostępu i dlatego o niczym nie wie. Ale ja muszę dokładnie przejrzeć te pliki.

- Co potem?

- Nie wiem - Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Naprawdę wybierasz się do Phoenix?

- Tak, ale najpierw chcę odwiedzić Jacka, mego syna. A jutro po południu polecę z Nowego Jorku do Phoenix.

- Twoi rodzice mieszkają w Arizonie?

- Tak... zamierzam też przy okazji odwiedzić Nowy Meksyk. Jeśli zdołam pozbyć się opiekunów. Mariah skinęła głową.

- Sądzę, że i ja powinnam się tam wybrać.

- Po co?

- Gdyż jestem pewna, iż tam właśnie wszystko się zaczęło. Znam teren i pewnych ludzi, którzy mogą okazać się pomocni.

- Zostawisz Lindsay?

- Tylko na kilka dni. U rodziców Davida jest jej dobrze, a dopóki nie dowiem się, co naprawdę się dzieje, wolę usunąć ją z Unii ognia. Ostatecznie polują na mnie, nie na nią.

- Ale czy uda ci się wymknąć, nie wzbudzając jej podejrzeń? Co powiesz rodzicom Davida?

- Mam pewien pomysł. Jeśli się uda, za dwa dni spotkamy się w Albuquerque. W sobotę, w południe, na rynku Starego Miasta. Czy to ci pasuje?

- Mnie tak, ale czy ty jesteś pewna swej decyzji?

- Całkowicie. Mam już serdecznie dosyć noszenia tego

248

w kieszeni. - Wysunęła z płaszcza otrzymany od Franka pistolet. Chaney otworzył szeroko oczy ze zdumienia, a Marian natychmiast schowała broń. - Co za dużo, to niezdrowo, Paul - powiedziała ponuro. - Dopadnijmy tych drani i skończmy z nimi raz na zawsze. - Z przyjemnością - odparł krótko.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dwa dni później, wczesnym rankiem, Mariah stała na lotnisku Logan w Bostonie w kolejce po bilet do Waszyngtonu. Do Bożego Narodzenia zostały jeszcze dwa tygodnie, lecz świąteczny ruch zaczął się już na dobre.

Rozejrzała się czujnie po kasach. Natychmiast dostrzegła człowieka, który ją śledził. Stał w niewielkiej odległości od niej i oparty o ścianę czytał gazetę. Był to jeden z dwóch agentów, którzy od kilku dni na zmianę czuwali pod domem Tardiffów. Teraz zapewne zamierzał sprawdzić, dokąd Ma-riah leci, i przekazać tę wiadomość dalej.

Rodzicom Davida oświadczyła, że wybiera się na kilka dni do domu, by dokończyć pewne rozpoczęte prace w biurze i dowieźć trochę rzeczy na święta, jako że w gorączce przygotowań do pogrzebu nie pomyślała o ich zabraniu.

- Mam rezerwację na lot o siódmej rano do Waszyngtonu - powiedziała, gdy znalazła się przy okienku kasowym. - Nazywam się Mariah Bolt. - Wręczyła urzędnikowi kartę kredytową.

- Bolt... Bolt... o tu, proszę - powiedział agent, odwracając wzrok od ekranu komputera i przesyłając Mariah uśmiech. - Czy ma pani jakiś bagaż?

- Tylko tę torbę.

- Doskonale. - Mężczyzna z okienka wręczył jej bilet

i kartę kredytową. - Lot numer trzy-osiem-jeden. Za pięć minut zaczniemy wpuszczać na pokład. Proszę niezwłocznie iść do bramki kontroli bezpieczeństwa, a następnie do wyjścia numer dwadzieścia jeden. Szczęśliwej podróży. - Dziękuję.

W drodze do stanowiska ochrony wstąpiła jeszcze do toalety. Tam zamknęła się w kabynie, postawiła torbę na podłodze, wyciągnęła z kieszeni płaszcz półautomatyczny pistolet, a z drugiej rolkę plastra. Z przymocowanego do ściany pojemnika na odpadki wyciągnęła plastikowy worek i do dna metalowej skrzynki przykleiła taśmą pistolet. Dokładnie ugniotła taśmę palcami i ponownie włożyła worek do pojemnika. Taśmę schowała do torby, przezornie spuściła wodę i wyszła z kabiny.

Po przejściu przez bramkę kontrolną zatrzymała się przy stoisku z prasą i kątem oka obserwowała, jak śledzący ją mężczyzna okazuje znaczek identyfikacyjny strażnikowi i obchodzi bramkę bokiem.

Najwyraźniej ma przy sobie broń - pomyślała. Ukryta za stelażem z gazetami, patrzyła, jak mija ją, siada na plastikowym krześle nieopodal bramki i znów rozkłada gazetę.

W chwili gdy dotarła do wyjścia numer dwadzieścia je den, rozpoczęto właśnie wprowadzanie pasażerów do samolotu. Stała na kpińcu długiej kolejki. Kiedy pracownik lotniska oddał końcówkę jej karty pokładowej, Mariah wmieszała się ponownie w tłum, gdy zaś minęła ostatni zakręt rampy prowadzącej bezpośrednio do samolotu, obserwujący Mariah z sali odlotów mężczyzna stracił ją z oczu.

Szybko wślizgnęła się za metalowe, służbowe drzwi i po metalowych schodkach zbiegła na płytę lotniska. Ruszy-

ła pod gigantycznym brzuchem samolotu w kierunku ba-gażowni. Przy niewielkim budyneczku przystanęła i obejrzała się.

- Ej, co pani tu robi? - Od samolotu zbliżał się w jej stronę kierownik służb naziemnych.

- Przepraszam bardzo, ale zasłania mi pan widok - odparła bezczelnie.

- Doprawdy? Lepiej niech pani wytłumaczy swoją obecność. W przeciwnym razie wezwę policję. Mariah, nie spuszczać wzroku z samolotu, sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła niewielką, plastikową okładkę. Otworzyła ją i podstawiła kierownikowi podjios.

- Centralna Agencja Wywiadowcza - powiedziała. - Tym samolotem leci VIP. Ale proszę tę wiadomość zostawić

• dla siebie. Sprawdzamy, czy bezpiecznie wystartuje do Waszyngtonu.

Kierownik z uwagą, ale i trochę podejrzliwie, studiował odznakę. Mariah pokazała mu uniesiony kciuk.

- Chce pan sprawdzić odcisk palca?

- Nie trzeba - mruknął, oddając jej okładkę, i popatrzył na samolot. - No tak, CIA. Ale dlaczego nikt mi o tym nie wspomniał?

Mariah szybko zerknęła na wizytówkę przypiętą do kieszeni na jego piersi.

- Pan Figueroa, tak? Przykro mi. Doceniamy waszą czujność - mówiła, nie spuszczać wzroku z samolotu. -Ale on ostatnio uniknął już dwóch zamachów, więc nie chcemy rozgłaszać o każdym jego ruchu.

Kierownik stał obok niej i również bacznie obserwował samolot.



- Bez urazy, panienko, ale jak ktoś tak mały, jak pani zdoła powstrzymać wielkiego bandziora?

Marian uśmiechnęła się tajemniczo.

- Niebezpieczne przedmioty zawsze przychodzą w małych przesyłkach, panie Figueroa. Poza tym stanowią część dużego zespołu. Od Świtu po lotnisku włączą się nasi ludzie. Nie odetchniemy spokojnie, dopóki ta maszyna nie wystartuje bezpiecznie.

W tej samej chwili ciągnik zaczął odciągać samolot na pas startowy.

Mariah odetchnęła z ulgą.

- Chwała Bogu! Ruszył. Teraz już niech kogoś innego boli o to głowa. Wie pan, czasami zastanawiam się, jaki diabeł podkusił mnie, bym podjęła pracę w takim małym cyrku.

Kierownik przesłał jej uśmiech.

- Moim zdaniem macie ciekawą pracę. Tylko że... Do licha, nigdy bym nie przypuszczał, że twardziele z CIA mogą wyglądać jak pani. - Pokręcił głową. - Nikomu by to nie przyszło do głowy.

- Czy mógłby mi pan pokazać, gdzie tu jest winda służbowa? Muszę jak najszybciej pojawić się w biurze.

Kiedy znów znalazła się w hali głównej lotniska, spostrzegła, że monitory wyświetlają informację o odlocie samolotu rejsowego trzy-osiem-jeden do Waszyngtonu. Mariah wmieszała się w grupę reprezentacji koszykarzy jakiejś wyższej uczelni. Zdażyła jeszcze spostrzec, że śledzący ją człowiek wychodzi głównym wejściem. Natychmiast skierowała się do kasy linii lotniczych Air West.

- Czym mogę służyć? - zapytał urzędnik.

253

- Chcę dostać się do Albuquerque. Wiem, że jest jakieś ranne połączenie.

Kasjer wywołał na ekranie komputera rozkład lotów i chwilę go studiował.

- Tak, przez Dallas-Fort Worth. Odlot o siódmej trzydzieści. W Albuquerque będzie pani o dziesiątej czterdzieści pięć czasu miejscowego.

- Doskonale. Poproszę więc bilet.

- Powrotny też?

- Tylko w jedną stronę. Nie mam jeszcze dalszych planów.

- Jak się pani nazywa?

- Diane Tardiff.

- Proszę przeliterować nazwisko.

Mariah wyjęła kartę American Express, którą nosiła przy sobie od czasu wypadku w Wiedniu. Karta wystawiona była na D.J. Tardiff. Podpis Davida stanowił wielki gryzmoł, który dawno już nauczyła się bezbłędnie podrabiać, co ułatwiało jej regulowanie bieżących wydatków. Dopóki karta miała pokrycie, nikt nie sprawdzał ani jej ważności, ani właściciela.

- W porządku, pani Tardiff. Lot dwa-dziewięć-dwa. Wyjście czterdzieści siedem. Niebawem zaczniemy wprowadzać pasażerów na pokład.

Mariah podziękowała mu uprzejmie i ruszyła do damskiej toalety. Tam weszła do kabiny, w której niedawno była, i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Wyciągnęła do połowy napełniony worek z odpadkami z przymocowanego do ściany pojemnika, oderwała od jego dna pistolet i ponownie włożyła plastikowy worek. Zdjęła z broni plaster i wrzuciła

go do śmieci, a pistolet wsunęła do kieszeni. Spuściła wodę i ponownie wyszła do głównej hali lotniska.

Przy bramce ochroniarzy na chwilę się zawahała, po czym wyciągnęła swój identyfikator, wzięła głęboki wdech i zdecydowanym krokiem ruszyła do bocznej furtki, przez którą niedawno przechodził śledzący ją człowiek.

- Proszę pani? - odezwał się ochroniarz, podnosząc rękę.

Podstawiła mu pod nos legitymację z odznaką CIA i bez kłopotu przeszła na drugą stronę.

- Mamy klienta - powiedział Dieter Pflanz.

On i George Neville stali na płycie lotniska Dullesa w Waszyngtonie i obserwowali, jak pod baczny okiem Gusa McCorda i lekarza kardiologa sanitariusze wynoszą z ambulansu panią Nancy McCord.

- Kogo?

\* ^ - Nowa grupa fundamentalistów, z agendą polityczną. Chcą zrobić jakieś spektakularne widowisko, by zwrócić na siebie uwagę. Ludzie Kaddafiego są pod wielkim wrażeniem naszej operacji na Maderze i gorąco polecili nas jako najlepszych dostawców.

- To dobrze. Czy nasi ludzie są już na miejscu?

- Wszystko gotowe. Jutro mamy pokazać towar i ostatecznie dobić targu.

- Wielki Boże! - powiedział Neville, potrząsając głową. - To naprawdę może się udać.

- Uda się, jeśli nikt niczego nie schrzani, a ty ze swej strony będziesz miał wszystko pod kontrolą. Jak skończyła się historia z tą Bolt i reporterem?

- Ona przebywa w Nowej Anglii i wróci dopiero po świętach. A Chaney wyjechał do Phoenix, by spędzić Boże Narodzenie z rodzicami. - Neville postanowił nie wspominać, że poprzedniego dnia Bolt i Chaney urwali się śledzącym ich ludziom. Ale nic strasznego się nie stało i w tej chwili oboje znów byli pod obserwacją, - Czy słyszałeś już o Burtonie?

- Słyszałem. Trafił swój na swego.

Neville obrzucił go bystrym spojrzeniem i szybko odwrócił wzrok.

- Też tak myślę. - Wskazał ręką nosze i krzątających się przy nich pielęgniarzy. - A co z żoną Qusa? Czy jej choroba nie będzie miała wpływu na naszą operację?

Pflanz powoli pokręcił głową.

- McCord trzyma rękę na pulsie, a ja wszystkiego dobrze pilnuję.

- To dobrze. Podejrzewam, że mocno przeżył zawał żony.

- Zgadza się, ale to twardziel.

- Sądysz, że się wycofa?

- Nie wiem. Jeszcze przed kilkoma dniami myślał jedynie o fotelu prezydenckim. Ale teraz, kiedy wiadomo już, że jego żona nie podołałaby trudom kampani, nie jestem już tego taki pewien.

Neville skinął głową.

- Może to i lepiej? Bóg jeden wie, po co ktoś chciałby użerać się z tymi parafianami na górze. Moim zdaniem potrzebny jest tu. Niech robi to, co robił do tej pory.

- W pełni podzielam twoją opinię - zgodził się Pflanz.

Marian sięgnęła po leżącą na przednim fotelu samochodu brązową czapkę z daszkiem, taką jakie często nakładają starej daty gracze w golfa. Obok niej spoczywała cytrynowo-żółta, ortalionowa wiatrówka. Nie było to ubranie w stylu Paula Chaneya.

- Zmieniłeś krawca? - spytała, nakładając mu na głowę czapkę. - Twoje wielbiciele oszaleją, widząc cię w nowym wcieleniu.

Chaney przejrzał się we wstecznym lusterku, brzydko się skrzywił i zdjął czapkę. Kiedy to zrobił, na jego głowie wzbił się tuman białego proszku.

- To ubranie ojca. Kiedy ostaniej nocy wymykałem się z domu w Phoenix, nałożyłem ten strój i ciemne okulary. Talk sprawił, że mam siwe włosy.

- Czy samochód też należy do rodziców? Chaney skinął głową.

- Zostawiłem im swój, wypożyczony. Tata zgodził się nie wychodzić przed dom aż do dzisiaj.

Dzwoniłem do nich rano i mama powiedziała, że towarzystwo cały czas obserwuje dom.

- Telefon może być na podsłuchu.

- Wymyśliliśmy hasła. Zmienionym głosem przedstawiłem się jako pracownik firmy czyszczącej dywany. Matka odparła, że swoje niedawno wyprała. Gdyby zgodziła się na czyszczenie, znaczyłoby to, że jednak ciągnę za sobą ogoa

Mariah roześmiała się cicho.

- Nie wydało im się to wszystko nieco dziwaczne?

- Uwielbiają takie gry. Od lat już tak dobrze się nie bawili. Moja matka zawsze była aktywistką społeczną i lubi

grać władzom na nosie. A ojciec, stary dziennikarz, wie, jakich nieraz trzeba chwycić się sztuczek, by napisać dobry artykuł.

- A ty po to tu jesteś?

- Wiesz, że nie - odparł poważnie i Mariah znów się uśmiechnęła. - W którą stronę? - zapytał, wyjeżdżając z parkingu na Starym Mieście.

- W prawo. - Mariah popatrzyła na mapę, którą wcześniej wręczył jej Paul. - Musimy dostać się do autostrady międzystanowej 25 prowadzącej na północ, do Santa Fe. Stamtąd szosą 68 prosto na Los Alamos. Ale zanim dotrzemy do celu, chciałabym obejrzeć miejsce, w którym zginęło tych pięciu naukowców.

- Główny wydawca „Phoenix Star” jest starym kumplem mego taty - oświadczył Chaney. - Nagrał mi parę kontaktów. Wczorajszy ranek spędziłem w miejscowej kostnicy. Mieli dużo więcej do powiedzenia niż zamieszczony w „Washington Post” artykuł.

- I?

- Stało się to wieczorem, tuż za Taos. Zgodnie z raportem, wcześniej popili sobie zdrowo w znajdującym się niedaleko barze.

- Przejechali taki kawał drogi, by wstąpić do baru w Taos?

- Najwyraźniej tak. Najpierw podjęto rosyjskich uczonych uroczystą kolacją w Los Alamos, a później Kingman i Bowker, dwaj Amerykanie, zabrali ich ze sobą.

- Z Los Alamos do Taos jest ponad sześćdziesiąt mil. Dlaczego pojechali tak daleko?

- Może w Los Alamos nie ma odpowiednich barów?

- Los Alamos nie jest centrum rozrywki, to prawda -

przyznała Marian. - Ale gdyby szukali czegoś lepszego, powinni pojechać do Santa Fe. To o połowę bliżej. Chaney wzruszył ramionami.

- Rzeczywiście dziwne - przyznał.

- Pozwól, że ja usiądę za kierownicą. Całą noc byłeś w drodze.

- Daj spokój. Po przyjeździe do Albuquerque przespałem się kilka godzin. Na razie czuję się świetnie. Zmienimy się w Santa Fe. - Zerknął na Mariah. - Przystudiowałaś już te pliki?

- Tak. Ale są w nich poważne luki. Natrafiłam na enigmatyczne odnośniki do jakichś rozmów prowadzonych za pomocą bezpiecznych telefonów przez zastępcę dyrektora wydziału operacyjnego z dyrektorem placówki w Wiedniu. Ale treści tych rozmów w aktach nie ma.

- Zastępca dyrektora wydziału operacyjnego? George Neville? Widziałem, jak składał przysięgę przed senacką komisją do spraw wywiadu. I spotkałem go na przyjęciu u twego szefa. Myślałem, że mnie pogryzie.- Chaney najwyraźniej był z siebie bardzo zadowolony. -I powiem ci coś jeszcze. Przed chwilą wspomniałem ci o kumplu mego ojca, wydawcy „Phoenix Star”. Na początku wojny wietnamskiej przebywał w Sajgonie. Powiedział mi, że Neville i człowiek McCorda, Dieter Pflanz, stacjonowali w tej samej jednostce. Kumpel mego ojca kilkakrotnie z nimi pił. W tamtym mniej więcej czasie wyrzucono ze służby Bur-ona. Ci faceci to jedna rodzinka.

- Wiedziałam. Nigdy nie ufałam Neville'owi! - wykrzyknęła Mariah. - Teraz zaczyna to mieć ręce i nogi.

- Co przez to rozumiesz?

- Po tym jak Baranowa, ta rosyjska fizyczka, powiedziała mi o tajnym rosyjskim ośrodku badawczym, nasze satelity i miejscowi agenci podjęli czynności mające na celu potwierdzenie jej doniesień. O tym wiedziałam, gdyż prowadziłam jej sprawę. Nie wiedziałam natomiast, że zastępca dyrektora wydziału operacyjnego zatrudnił agenta z zewnątrz - w kartotekach występuje pod kodową nazwą PIELGRZYM - by kontynuował pracę. Nie jest jasne, jakie dokładnie miał zadanie. Jeden z teleksów Neville'a do dyrektora naszej placówki zapowiada przyjazd PIELGRZYMA do Wiednia. Neville rozkazuje w nim dyrektorowi udzielanie agentowi jak najdalej idącej pomocy, nakazując jednocześnie, by w nic się nie wtrącał.

- Założę się, że tym PIELGRZYMEM był Pflanz. To wyjaśnia powód, dla którego tam węszył.

- I wygrałbyś zakład - mruknęła Mariah i zagryzła wargi. - Tylko że...

- O co chodzi? - zapytał Chaney, widząc jej wahanie.

- Cholera jasna! Wiedzieli o Davidzie i Katarinie Mtilier - powiedziała ponuro. - Wszyscy wiedzieli. Dyrektor placówki, Neville, PIELGRZYM, Frank Tucker... - Obrzuciła Paula lodowatym spojrzeniem. - Wiedzieli wszyscy poza mną.

- Mariah...

- Mniejsza o to. Ty nie miałeś obowiązku o niczym mi mówić. Ale był to psi obowiązek tamtych drani. Dłuższy czas jechali w milczeniu.

- To dziwne, że trzymali wszystko przed tobą w tajemnicy - odezwał się w końcu Chaney. - I że zgodzili się, żebyś prowadziła rosyjskiego informatora.

- Zgodnie z kartoteką, nasze mieszkanie, samochód



i biuro Davida było na podsłuchu. Później wzięli na spytki mego męża. Wyznał dyrektorowi placówki, że Müller szantażem wciągnęła go w tę aferę.

- Szantażem? Jak?

Mariah wzruszyła ramionami.

- Tu właśnie w aktach jest luka. Zakładam, że Müller groziła, że zabiją mnie i Lindsay. Nie przychodzi mi do głowy nic innego, czym mogłaby skłonić Davida do współpracy.

- A co było dalej z Davidem?

- Polecono mu, by wszedł w grę i dowiedział się, o co dokładnie chodzi Katarinie. I tu ciekawostka. Kilka miesięcy wcześniej David odwiedził z ramienia IAEA Moskwę. Wiesz, kogo tam poznał?

- Kogo?

- Jurija Sokołowa, fizyka atomowego, który zginął w katastrofie pod Taos.

- Strzał w dziesiątkę!

- Zgadza się. David nigdy mi o tym nie powiedział, ale wiele wskazuje na to, że Sokołow wyznał mu żal z powodu swego udziału w radzieckich programach rozbudowy broni jądrowej. - Skrzywiła się. - Po trzydziestu latach zaczęło gryźć go sumienie. David przekazał tę informację kilku osobom z IAEA. Jedną z nich, tu kolejną niespocznianką, okazała się agentem, którego prowadził jeden z ludzi naszej placówki.

- Aha! Tak więc gdy Katarina Müller zajęła się Davidem, wasi ludzie doszli do wniosku, że próbuje wybadać, czy przypadkiem nie zwerbowałicie Sokołowa.

- Właśnie.

- Ciekawe, że Rosjanie, mimo że podejrzewali Sokołowa, pozwolili mu wyjechać do Stanów.

- Nie tylko jemu, ale i dwóm pozostałym, którzy zginęli w wypadku wraz z Kingmanem i Bowkerem. Na konferencję w Los Alamos wybrał ich osobiście Sokołów.

- Zaczyna to być coraz ciekawsze.

- Chcesz dowiedzieć się o czymś jeszcze ciekawszym? Moim zdaniem Katarinie Müller, gdy nawiązywała kontakt z Davidem, wcale nie chodziło o Sokołowa.

- Dlaczego nie?

- Bo Katarina nie próbowała wyciągać od niego informacji na ten temat. W aktach znajduje się teleks dyrektora placówki do Neville'a. Informacja jest jasna i krótka: David utrzymuje, iż Müller nie próbuje wyciągnąć od niego żadnych informacji.

- Myślisz, że po prostu poczuła do niego miłość?

- Kto wie? Do licha, David koniecznie chciał wyjechać z Wiednia, lecz nie otrzymał zgody na zerwanie kontaktu z Katariną Müller. Wystawili go do wiatru. Ja również się nie zgodziłam, gdy próbował namówić mnie do wyjazdu. Ale gdyby wyznał mi wtedy prawdę, nie byłoby siły, która zdołałaby zatrzymać nas w Europie.

- Jak mógł ci powiedzieć, skoro wszystko się już zaczęło? Wtedy siedział już w tym po uszy. A ja znałam Davida - dodał cicho Chaney - ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było to, abyś się o wszystkim dowiedziała. Uważał, że gdyby ci powiedział, straciłby ciebie i Lindsay. Taka perspektywa go przerażała.

- A jednak powinien był mi zaufać. Jakoś byśmy sobie poradzili z tym problemem. A tak stracił wszystko.

Dieter Pflanz wrócił właśnie do swego biura w Newport,

kiedy zadzwonił bezpieczny telefon, zainstalowany w szafce ustawionej niedaleko biurka.

- Zniknęli - odezwał się bez wstępu Neville, gdy tylko urządzenie zaczęło klekotać, przechodząc na tryb kodowy

- Kto?

- Mariah Bolt i Paul Chaney.

- Na Boga! Gdzie? Kiedy?

- Chaney wymknął się naszym ludziom w Phoenix; chyba zeszłej nocy. Kobieta wsiadła w Bostonie do samolotu lecącego do Waszyngtonu, ale z niego nie wysiadła.

- Co masz na myśli, mówiąc „nie wysiadła”? Chcesz mi wmówić, że w połowie drogi wyskoczyła na spadochronie?

- Nie... Nie wiem. Nieustannie próbujemy ją namierzyć. Jedynym śladem jest jej karta kredytowa. Kupiła nią bilet do Waszyngtonu. Gdyby nie zniknął również Chaney, uważalibyśmy, że została uprowadzona.

, - Właśnie, co z Chaneyem?

- Żadnego śladu. Wyjechał z domu rodziców samochodem. Sam. Tyle wiemy.

- I twoi ludzie nic nie zauważyli? - spytał zdumiony Pflanz. - Są ślepi? Pracują na dwie strony?

- Było ciemno, a Chaney przebrał się za swego ojca - warknął Neville. - Siedzieli spokojnie w samochodzie i czekali. Dopiero dziś rano jego ojciec wyszedł przed dom. Nawet im pomachał.

- I pewnie śmiał się w kułak. Jakiego sprzętu używają twoi ludzie?

- Daj spokój, Dieter. Dostanie się im, kiedy wezmę ich na dywanik. Dzwonię, byś postawił swoich ludzi w stan

pogotowia. Chwilowo wężymy na lotnisku w Phoenix. Szukamy samochodu starego Chaneya i sprawdzamy listy pasażerów. Możliwe, że zachomikował gdzieś auto, a sam zapłacił za bilet gotówką i odleciał którymś z samolotów. Jeśli natomiast pojechał samochodem...

- Jeśli pojechał samochodem, to teraz już może być wszędzie... nawet w Nowym Meksyku - sapnął gniewnie Pflanz. - Czy twoim zdaniem mogła do niego dołączyć ta kobieta?

- To też sprawdzamy. A ty ruszaj w drogę.

- Dobra. Masz mój numer telefonu. Dzwoń, jak tylko będziesz wiedział coś nowego.

- Zawsze dziwiłem się, że David podjął pracę przy produkcji broni atomowej. Był człowiekiem odpowiedzialnym i o wielkim sumieniu. Jak on trafił do takiej roboty?

- Ludzi tego typu zawsze to ciągnie. Przypomina to naukowy Mount Everest. Ludzie wspinają się na niego tylko dlatego, że istnieje. Zaczyna się od fascynacji urodą atomu, ale później porywa ich perspektywa nieograniczonego rozwoju fizyki, inżynierii, mechaniki. Nie nazywają tego nawet bombami. W laboratoriach używa się terminu „wynałazek”. „Podjąć pracę nad wynalazkiem” - taka jest nazwa tej gry.

- Ale muszą zdawać sobie sprawę z konsekwencji tego, co robią.

- Pewnie, z czasem. Ale początkowo są tak oczarowani organizacją pracy, zarobkami i dostępem do najwymyślniejszej aparatury, że bez trudu wynajdują dla siebie stosowne usprawiedliwienie. Na przykład obrona demokratycznego świata.

- Dlaczego więc David stamtąd odszedł?

- Lubię się łudzić, że z mojego powodu. Pojechałam z nim do Los Alamos, gdy zaproponowano mu pracę w laboratorium. Nie wytrzymałam tam jednak długo. Wyjechałam, a on pozostał w Nowym Meksyku jeszcze przez dwa lata, zanim dołączył do mnie w Waszyngtonie.

- Co sprawiło, że zmienił zdanie?

- W laboratorium wydarzył się okropny wypadek. Jeden z techników dostał śmiertelną dawkę promieniowania. Był to jeszcze dzieciak; miał dwadzieścia trzy lata. Umierał dwa tygodnie. I była to straszna i bolesna śmierć. David doznał wstrząsu psychicznego i niedługo potem rzucił tę pracę.

- Mówią, że choroba popromienna to coś straszego. Ofiara gnije od środka.

- Radiacja niszczy zdolność organizmu do regeneracji komórek. Komórki w naszych ciałach nieustannie umierają, a na ich miejscu powstają nowe. David powiedział, że chłopak po wypadku wyglądał normalnie, był tylko trochę zaczadzony dymem. Ale wskazania dozymetru powiedziały, że jest on już żywym trupem. Pierwsze objawy choroby wystąpiły po kilku godzinach. W ciągu kilku pierwszych dni na dziąsłach i twarzy pojawiły mu się bąble, a następnie zaczęła schodzić z niego skóra. Później wrzody rozniosły się na całe ciało. Zaczęły mu w jelitach pękać błony, naczynia krwionośne wprost wybuchały. Zaczął krwawić całym ciałem, napuchł jak balon, aż w końcu popękała na nim skóra. Mogli jedynie dawać mu końskie dawki morfiny i patrzeć, jak się rozpada. Gdy w końcu umarł, David oświadczył, że było to prawdziwe błogosławieństwo.

- Straszna śmierć - szepnął Chaney.

- Wtedy David zupełnie stracił serce do tej pracy. Porzucił ją, wrócił do Waszyngtonu i zaczął wykładać na uniwersytecie. - Na twarzy Mariah pojawił się cień uśmiechu, który jednak szybko zgasł.

- Kiedy stanął w progu mego mieszkania... Boże, to był najszczęśliwy dzień mego życia. Nie rozumiem, dlaczego to wszystko tak mamie się skończyło.

Dieter Pflanz siedział w kabinie pilota, kiedy z przedziału pasażerskiego samolotu dobiegł elektroniczny dźwięk telefonu. Dieter przełączył rozmowę na kabinę i nałożył na głowę słuchawki.

- Tak?

- To ja.

- To nie jest bezpieczna linia - ostrzegł Pflanz.

- Wiem - odrzekł Neville. - Odnaleźliśmy jedną zgubę. Sklasyfikowano ją pod inną nazwą. Cargo zostało dziś rano wysłane do Albuquerque.

- W porządku. Powiadomię nasze tamtejsze biuro.

- Ja jadę tam osobiście. Spotkamy się wieczorem. W międzyczasie możesz próbować zlokalizować resztę, ale bez mojego polecenia nie podejmuj żadnych akcji.

Pflanz skrzywił się.

- Żadnych akcji - powtórzył Neville. - Czy wyrażam się jasno?

- Aż za bardzo - burknął Pflanz i rozłączył rozmowę.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Czy jesteś pewien, że to tu? - zapytała szeptem Marian, kiedy przekraczali próg „Trinity Bar”. Zmrużyła oczy, próbując przyzwyczaić oczy do panującego w pozbawionej okien izbie półmroku. Lokal był prawie pusty. Tylko przy ustawionym w kącie stole bilardowym dwóch mężczyzn w przepoconych kapeluszach prowadziło ospale grę, a trzech innych z wyraźnym znudzeniem przyglądało się rozgrywce. Z głośników płynęła muzyka Gartha Brooksa, do rytmu której przytupywali butami w podłogę. Barman wycierał szklanki i rozmawiał z opartą o blat kobietą o blond włosach i białej bluzce z bufiastymi rękawami.

- Tak, to tu, chyba że w Taos jest jakiś inny „Trinity Bar” - odparł Chaney.

W powietrzu unosił się przyprawiający o zawrót głowy duszący, gromadzący się od lat zapach piwa, potu i tytoniowego dymu. Tanie stoliki i rozchwiane krzesła nie dodawały miejscu elegancji. Nie był to w każdym razie lokal, do którego warto byłoby nadkładać godzinę drogi, żeby zrobić wrażenie na zagranicznych gościach.

- Czym mogę służyć? - zapytał barman, nie przerywając wycierania szklanki. Chaney usadowił się na barowym stołku.

- Duże piwo - powiedział i zerknął na Mariah, która przycupnęła obok niego i skinęła potakująco głową. - Dwa kufle.

- Służę państwu.

Mariah oglądała wnętrze lokalu w lustrze, znajdującym się za plecami barmana. Spostrzegła, że stojąca przy barze kobieta wyprostowała się nieco i zaczęła z uwagą przeglądać się w zwierciadle. Środkowym palcem o długim, karmazynowym paznokciu starła z kącika ust nadmiar szminki i zerknęła dyskretnie kątem oka na nowo przybyłych. Grający nie przerwali uderzania w bile, ale rozmowy ucichły. Zdawało się, jakby wszyscy z uwagą nastawili uszu i czekali, co się wydarzy.

- Niezbyt dużo macie tu śniegu - zauważył Chaney, sięgając po piwo.

- Ostatni raz padało kilka tygodni temu - wyjaśnił barman.

- Ciężkie czasy dla narciarzy.

- Dlaczego? Mamy urządzenia do naśnieżania stoków.

Na Boże Narodzenie wszystko będzie zapięte na ostatni guzik. Ale i tak niewielu turystów tu przyjeżdża.

- A ci z Los Alamos?

Barman zacisnął usta i potrząsnął głową.

- Też nie. Bazujemy głównie na miejscowych. Turyści wolą wytworniejsze miejsca. A ludzi z laboratorium w ogóle nie widzimy. Oni żyją we własnym świecie.

- Ale czasem tu wpadają. Jak ci sprzed kilku tygodni...

- Co jest? Jesteście z FBI, czy co?

- Niezupełnie. Ja jestem dziennikarzem - wyjaśnił Paul, wyciągając z portfela wizytówkę. - Nazywam się Chaney. A to Mariah Bolt, moja partnerka.



Byłeś dziennikarzem - pomyślała Marian, ale nie odezwała się słowem. Chaney najwyraźniej liczył na to, że ktoś go rozpozna, więc nie należało go dekonspirować.

- Zaraz, moment. Chyba rzeczywiście gdzieś pana widziałam - odezwała się kobieta przy barze.

Chaney przesłał jej oszłamiający uśmiech, po czym znów zwrócił się do barmana:

- Zbieram materiały do artykułu o wypadku tych pięciu naukowców, którzy spłoneli w pożarze, gdy w ich samochód uderzyła cysterna.

Barman wzruszył ramionami.

- Nie rozmawiałem z nimi. Usługiwała im Cheryl. Chaney odwrócił się i wyciągnął dłoń do kobiety stojącej przy barze.

- To ty jesteś Cheryl? Cześć. Możemy chwilę porozmawiać?

Kobieta przysunęła się skwapliwie i ochoczo wyciągnęła rękę. Ukłoniła się Mariah i znów zwróciła do reportera rozpromienioną twarz.

- Cheryl Miller - przedstawiła się. - Rozmawiałam już z policją. Dobrze zapamiętałam tych chłopców, bo to była zabawna grupa. Rzucali się w oczy. U nas tacy rzadko się pojawiają.

- Wiedziałaś, że są z Los Alamos?

- Jasne. Każdy z nich miał teczkę z nazwą laboratorium. O jedną z nich nawet się potknęłam. O mało nie wypuściłam z rąk pełnej tacy.

- Czy byli wśród nich Rosjanie?

- Mowa! - Cheryl uniosła zabawnie oczy do góry. - Prawdziwi eleganci. Nowiutkie levisy, kowbojskie kapelu-

sze... - Rozejrzała się szybko wokół siebie. - Macie ze sobą kamery? Czy ten program będzie w telewizji?

- Jeszcze nie wiemy. Przeprowadzamy na razie wstępne wywiady. Ale jak znajdziemy jakiś interesujący materiał... Słuchaj, Cheryl, czy ewentualnie mogę liczyć na wywiad?

- Pewnie! Też pytanie!

- To wspaniale - odparł Chaney. - Jesteś super. Cheryl przysunęła się do niego jeszcze bliżej.

- Tylko powiedz mi, kiedy będzie emisja.

- Jasne. W każdym razie nie tak prędko. Powiedz mi na razie, Cheryl, czy z nimi rozmawiałaś?

- Nie, tylko kilka słów.

- Jakie wywarli na tobie wrażenie?

- Byli w porządku. Zwłaszcza ten starszy gość, Amerykanin. Słodki facet, hojny w napiwkach. Ale ci Rosjanie też. Trochę nie z tej bajki, ale mili. - Pokręciła ze smutkiem głową, westchnęła. - To straszne, co się im przytrafiło. Eddie Ortega mówi, że nie mieli najmniejszych szans.

- Eddie Ortega? - zainteresował się Chaney.

Cheryl wskazała za siebie w stronę stołu bilardowego w głębi sali.

- Tamten strażak. Był na miejscu wypadku... Ej, Eddie! - zawołała. - Chodź do nas na chwilę!

Mężczyzna o beczkowatym torsie i z długim kucykiem opadającym na plecy popatrzył w ich stronę, po czym przeniósł spojrzenia na swoich kumpli. Wzruszył ramionami, mruknął coś pod nosem i powoli skierował się w stronę baru. Drewniane obcasy jego kowbojskich butów stuknęły głucho na pokrytej dywanem podłodze. Mariah, widząc jego

ciemne oczy i wydatne, wysokie kości policzkowe, od razu się domyśliła, że jest rodowitym mieszkańcem tych ziem.

- Czym mogę państwu służyć? - zapytał głębokim, dźwięcznym basem

- Dzień dobry, panie Ortega, nazywam się Paul Chaney. Jestem reporterem wiadomości CBN. A to Mariah Bolt, moja partnerka. Idziemy tropem wypadku sprzed kilku tygodni, w którym zginęło pięciu naukowców. Cheryl powiedziała, że był pan jednym ze strażaków, którzy gasili tam pożar.

- Zgadza się.

- Wyobrażam sobie, że był to straszliwy wypadek.

- Straszliwy. - Ortega skinął głową. - Szosę zamknięto na całą dobę. Trzeba było kłaść nową nawierzchnię.

- Gdzie w Taos przechowywano ciała?

- Jakie ciała?

- No, naukowców i kierowcy cysterny.

- Nie było żadnych ciał. Żadnych?

- Pewnie. Spłonęły w ogniu.

- I nic nie zostało? - zdziwił się Chaney. - Nic? Ortega pokręcił w milczeniu głową. Chaney również milczał dłuższą chwilę, w zamyśleniu pociągając piwo, wreszcie znów popatrzył uważnie na strażaka.

- Panie Ortega, od jak dawna jest pan strażakiem?

- W marcu będzie siedemnaście lat.

- To tyle samo, co ja jestem reporterem. Byłem w kilku dziwnych miejscach. W Afryce, na Bliskim Wschodzie. Widziałem wojny, wypadki lotnicze, zamachy bombowe, a raz nawet wybuch wulkanu. I powiem panu szczerze, że nigdy nie spotkałem się z pożarem, w którym nie pozostał po lu-

dziach żaden ślad. - Strażak poruszył się niespokojnie i wbił wzrok w podłogę. - A pan, panie Ortega? Widział pan taki ogień, który spopieli człowieka do szczętu? W barze zapadła głucha cisza.

- Różnie bywa - mruknął w końcu Ortega. - Zęby... Albo szpilki z wolframu.

- Słucham? - zdziwiła się Mariah.

- Szpilki z wolframu - powtórzył Ortega. - Mówiono, że ten starszy Amerykanin... Kingman, tak? - popatrzył pytająco na Cheryl - ...mówiono, że miał chore kolana i te szpile wzmacniały mu kości. Takie protezy robi się właśnie z wolframu. Jest podobno niezniszczalny, nawet ogień go nie topi.

- No a zęby? - podpowiedział Chaney. - Panie Ortega, w tamtych dwóch pojazdach było sześciu ludzi. Sześciu ludzi, czyli około stu osiemdziesięciu zębów. Czy widział pan tak gorący ogień, który strawi nawet zęby? Nawet po wypadkach lotniczych znajduje się szczęki, kawałki kości, plomby. Albo ortopedyczne szpilki z wolframu, jak sam pan mówi. Naprawdę nic nie było?

- Próbowaliśmy szukać - zaprotestował Ortega. - Grzebaliśmy w pogorzeli, dopóki nas nie odsunęto.

- Kto was odsunął?

- Federalni. Zresztą, nie jestem pewien. To wam powie koroner... jeśli w tym tygodniu jest trzeźwy. Gdy na scenie pojawiają się federalni, należy się grzecznie wycofać i trzymać gębę na kłódkę.

- Ale co się dokładnie stało?

- Jak to co? Pojawili się federalni, oświadczyli, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego i całe śledztwo prze-

mują oni. - Onega parsknął pogardliwie i potrząsnął głową: - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak postępował.

- Co ma pan na myśli? - wtrąciła się Marian. - Co takiego robili?

- Załadowali buldożerami to wszystko na ciężarówki - popioły, prochy, pogięte wraki samochodów - i odjechali. Wie pan, federalni uważają nas za jakichś tępych Indian lub dzikusów. Zgoda, nie żyjemy może w Nowym Jorku, ale wiemy, do cholery, jak postępować przy tego rodzaju wypadkach. A ja ostatecznie mam patent zawodowego strażaka.

- Zostawmy tu samochód - zaproponowała Mariah.

Chaney wprowadził pojazd na niewielkie pole parkingowe, usytuowane w miejscu, gdzie dolina nieco się rozszerzała. Między Taos a Espanolą szosa była wąska i kręta, wciśnięta między wierzchołki Sangre de Cristo z jednej strony, a Rio Grande i góry Jemez z drugiej. Ale w Pilar, około dwiuiastu mil na południe, teren parkingu obniżono do poziomu rzeki, aby umożliwić do niej dostęp tabunom turystów i amatorom wioślarstwa, którzy rokrocznie pojawiali się w tych okolicach.

Chaney i Mariah, ścigając się z zachodzącym słońcem, szybko szli poboczem autostrady. Po przejściu około kilometra dotarli na miejsce wypadku.

- Otwarta przestrzeń - zauważyła Mariah. - Doskonała widoczność w obie strony.

- Mówiono, że tamtej nocy padał śnieg. A zgodnie z tym, co mówiła Cheryl, wszyscy byli po kilku głębszych.

- Może któryś z kierowców przysnął i zjechał na przeciwny pas?

- Albo ostro hamował, gdy na szosę wybiegło jakieś zwierzę.

Mariah potrząsnęła głową,

- Nie. Ortega twierdzi, że nie było żadnych śladów ostrego hamowania. Po prostu oba pojazdy zderzyły się czołowo przy pełnej prędkości.

Pokręcili się jeszcze trochę po miejscu katastrofy, lecz niewiele tu było do oglądania - ot, nowy czarny asfalt i trochę zwęglonych krzaków. Za kilka miesięcy, kiedy świeża nawierzchnia szosy wyblaknie w słońcu, a wiosną wyrosnie nowa roślinność, po wypadku, w którym poniosło śmierć pięciu wybitnych fizyków atomowych, nie pozostanie najmniejszy ślad.

Do samochodu wracali powoli. Już na parkingu Chaney poszedł do auta, a Mariah skreśliła w stronę rzeki i zatrzymała się na jej brzegu. Rio Grandę była tu wąska, miała około dziesięciu metrów szerokości i ze trzy głębokości. O tej porze roku jej nurt był stosunkowo spokojny

- Mariah, co tam robisz? - zawołał Chaney. Podniosła z ziemi płaski kamień i próbowała puścić rum kaczkę, jednak ten po pierwszym kontakcie z wodą poszedł na dno.

- Nic. Myślę - odchrząknęła.

- Chodź już. Robi się ciemno. Musimy wracać. Skinęła potakująco głową, po czym ruszyła wzdłuż rzeki.

Jakby dla spokoju sumienia podniosła z ziemi patyk i zaczęła grzebać nim między kamieniami, leżącymi po drodze wzdłuż brzegu. Gdy doszła do końca równego terenu, a przed nią pojawiły się strome skały i zarośla, zaczęła przeskakiwać po sterczących z wody głazach, by ominąć prze-

szkodę. Stała na ostatnim, popatrzyła w niebo, a następnie na płynącą pod jej stopami rzekę.

Wreszcie westchnęła ciężko i ruszyła po kamieniach w stronę brzegu.

Kiedy już jednak do niego dotarła, dostrzegła jakiś błyszczący przedmiot, sterczący ze szczeliny skalnej. Pochyliła się nisko, próbując dosięgnąć go ręką, lecz zahaczyła przy tym rękawem płaszcza o gałąź zwieszającego się nad wodą jałowca, szarpnęła ręką, a wówczas stopa obsunęła się jej z mokrego kamienia i Mariah po krótkiej próbie utrzymania równowagi wpadła z pluskiem do wody.

Usłyszała za sobą krzyk Paula, podniosła się i usiadła w płytkiej, lodowatej wodzie.

- Och, zarnknij się! - warknęła ze złością, widząc jego kpiący uśmiech.

- Przecież nic nie mówię. Nie mam zamiaru pouczać Mariah Bolt, gdzie i kiedy należy brać codzienną kąpiel.

Wyciągnął ku niej rękę i dopiero wówczas przypomniała sobie, że chciała zrobić. Nie zwracając uwagi na pomocną dłoń mężczyzny, zaczęła rozglądać się po skałach, ale tajemniczego przedmiotu nigdzie nie było. Dopiero po chwili spostrzegła go w płytkiej wodzie, gdzie zapewne przed chwilą wpadł.

Zanurzyła dłoń w lodowatej strudze.

- Co robisz, wariatko? - Chaney pochylił się, wsunął jej pod ramiona ręce i postawił ją na nogi. -

Chodź. Chcesz dostać zapalenia płuc?

- Coś znalazłam - powiedziała, wyciągając przed siebie zaciśniętą pięść.

- Dobra. Wyłaż wreszcie z tej wody! - Pomógł jej wdrapać się na kamienie i wyprowadził na brzeg. -

W samochodzie mam koc. Pośpiesz się, bo zamarzniesz.

Ruszyli biegiem na paridng. Chaney podtrzymywał ją, gdyż sztywna z zimna i w przemoczonych butach co chwilę potykała się na wystających z ziemi kamieniach. Kiedy dobiegli do auta, otworzył bagażnik, wyciągnął z niego pled i dokładnie otulił nim Mariah. Następnie posadził ją w fotelu obok kierowcy, schylił się i ściągnął jej z nóg buty i skarpetki.

- Zamknij drzwi. Za chwilę zacznie działać ogrzewanie.

Kiedy uruchamiał silnik, Mariah szczelniej otuliła się kocem, wsunęła pod siebie zmarznięte stopy i popatrzyła na ściskany w dłoni przedmiot

- Co tam masz? - zainteresował się Chaney, wrzucając pierwszy bieg.

- Kawalek sprzączki. - Uniosła kawalek czarnej, nylonowej plecionki z połówką plastikowej klamerki.

- To po to nurkowałeś w lodowatej wodzie? Dygocząc z zimna, Mariah bez słowa wsunęła znalezione do kieszeni.

- Masz rację, to głupota - przyznała. - Ale wcale nie zamierzałam się kąpać. Boże drogi, cała skostniałam!

- Spokojnie, ogrzewanie już zaczyna działać. Ale musimy jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś porządnego hotelu.

- Hiltop House w Los Alamos - powiedziała, szcękając zębami. - Najlepszy hotel w mieście.

Chaney zatrzymał nagle samochód na poboczu szosy.

- A może wrócimy do Taos. To dużo bliżej.

- Daj spokój, przeżyję. Jedź na południe. Rozjazd na Los Alamos będzie tuż za Espanolą.

Paul skinął w milczeniu głową, wrzucił bieg i w gasnącym świetle dnia ruszył z piskiem opon do Los Alamos.



- Na razie lepiej zostań w samochodzie - powiedział, obrzucając ją krytycznym spojrzeniem. - Nie sądzę, by kierownictwo hotelu było zachwycone, gdybyś w takim stanie przeszła przez główny hol. Mariah posłusznie skinęła głową i Chaney wysiadł z samochodu. Silnik zostawił włączony, by działało ogrzewanie. Wrócił szybciej, niż się spodziewała.

- Załatwione - oznajmił. - Zajedziemy samochodem za budynek i wejdziemy bocznym wejściem. Po kilku minutach otworzył drzwi hotelowego pokoju i przepuścił Mariah przodem. Posłusznie przekroczyła próg i włączyła światło.

- Dzięki. A gdzie ty będziesz spał?

- Tutaj - odparł Chaney, zamykając za sobą drzwi.

- Słucham? Chyba kpisz. Musisz poprosić o osobny pokój.

— I tak miałem dużo szczęścia, że dostałem ten - odrzekł, stawiając na podłodze torbę. - W hotelu mieszkają uczestnicy jakiejś konferencji, w ostatniej chwili odwołali rezerwację jednego pokoju. Poza tym wszystko zajęte. Jeśli nie chcesz jechać po nocy samochodem i zamienić się w sopel lodu, musimy dojść do jakiegoś porozumienia. Zajmiesz to łóżko, a ja to, daleko od ciebie, zgoda? Obiecuję zachowywać się przyzwoicie.

Mariah zmarszczyła brwi. W mieście nie było innego, dużego hotelu, a wątpiła, by znaleźli stosowne lokum w którejś z niewielkich gospód.

- Idź teraz do łazienki, zrzuć z siebie mokre ubranie i weź gorącą kąpiel - polecił Chaney, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Recepcjonista powiedział, że na parterze ma

ją pralnię. Ty będziesz się kąpać, a ja wysuszę ci ubranie i później przyniosę coś do jedzenia. Może być?

Mariah popatrzyła na dywan, na który skąpy wała z niej woda.

- Wygrałeś. Nie mam zbyt wielu ubrań na zmianę -powiedziała bezradnie, opróżniając kieszenie.

Pistolet wsunęła do górnej szuflady biurka, następnie zdjęła przemoczony płaszcz, podała go Chaneyowi, a sama udała się do łazienki. Kiedy zdjęła już z siebie mokrą odzież, usłyszała, że Chaney stawia coś ciężkiego przy drzwiach.

- Mariah? Zostawiam ci pod drzwiami moją torbę. Znajdziesz w niej zapasowy sweter. Ja wychodzę, wrócę niedługo.

- Dzięki. Do zobaczenia.

Weszła do wanny i z rozkoszą zanurzyła się po uszy w gorącej wodzie. Powoli zaczynała odzyskiwać czucie w zdrętwiałych stopach i dłoniach. Zamknęła oczy i nasłuchiwała w zamyśleniu płynących z budynku głuchych odgłosów. Była w siódmym niebie. Zawsze, ilekroć chciała uciec od zmęczenia i bólu, zażywała gorącej kąpieli.

Zaczęła wspominać lata spędzone w tym mieście wspólnie z Davidem. Los Alamos było szczególnym miejscem. Przez dwadzieścia lat po zamknięciu projektu Manhattan, który w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym zaowocował próbą Trinity, zapoczątkowując erę atomową, pozostawało ośrodkiem całkowicie zamkniętym i odizolowanym od reszty kraju. Wstęp do niego mieli jedynie naukowcy, którzy doskonalili amerykański arsenał atomowy.

Kiedy jednak do Los Alamos trafili David i Mariah^ miasto od dawna było już otwarte, choć mimo nowych barów,

kin i kręglami jedynym przemysłem pozostawała owa fabryka śmierci.

Obecnie, w dobie ogólnoświatowych przemian, wielu rosyjskich naukowców odwiedzało tutejsze laboratoria. Wraz z koncern zimnej wojny dawni wrogowie stali się serdecznymi i cenionymi sprzymierzeńcami. Jak ta piątka naukowców, jadących późnym wieczorem do Taos - pomyślała Mariah, rozchlapując dłonią ciepłą wodę. Przebyli sześćdziesiąt pięć mil, by napić się w nędznym barze, a następnie zniknęli z powierzchni ziemi w ognistym podmuchu.

Nagle woda chlapnęła wielką strugą na podłogę, a Mariah usiadła sztywno w wannie.

- Matko Boska! - jęknęła, po czym wstała szybko, sięgnęła po ręcznik, owinęła się nim i wybiegła z łazienki do pokoju. Podeszła do komódki, na której zostawiła wyjęte z kieszeni płaszcza drobiazgi. Wzięła sprzączkę, którą wyłowiała z Rio Grande. Była to plastikowa klamerka, jakich używano w kamizelkach ratunkowych. Czarna taśma była postrzępiona. Mogło to świadczyć o tym, że sprzączka została oderwana, gdy ktoś zaczepił nią o porastające brzeg rzeki krzaki; dokładnie tak jak ona zahaczyła rękawem o jałowiec. Osoba, od której kapoka oderwała się sprzączka, musiała się bardzo śpieszyć...

- Matko Boska! - powtórzyła ze zgrozą Mariah.

Brian Latimer, recepcjonista hotelu Hiltop House, z uwagą studiował fotografie, które przedstawił mu nieznajomy. Miał już za sobą dzienną zmianę, a w domu czekało go jeszcze dokończenie szkicu literackiego z zakresu literatury angielskiej. Jednak pracownik, który miał przejąć nocny dy-

żur, zachorował na grypę i Brian musiał spędzić w recepcji dodatkowe dwie godziny do czasu, aż wróci szef.

Pani Paterson bardzo go przepraszała, prosząc zarazem, by został jeszcze trochę w pracy. Mówiła, że jest najbardziej odpowiedzialnym studentem, jakiego kiedykolwiek zatrudniała w swoim hotelu.

Odpowiedzialnym, dobre sobie - pomyślał ponuro Brian. Jak nie oddam wypracowania na czas, obleję egzamin.

Zerknął jeszcze raz na zegar i popatrzył na nieznajomego.

- Więc widział ich pan, czy nie? - niecierphwił się przybysz.

Brian pokręcił głową.

- Tej pani nie widziałem. - Popatrzył na drugie zdjęcie. - Ale tego gościa tak. Niedawno się u nas zameldował. Właśnie wyszedł. Jakies pięć czy dziesięć minut temu.

- Był sam?

- Tak. - Brian oddał mu zdjęcia. - Kto to jest?

- Nikt szczególnie. Sprawdzamy rutynowo. W którym pokoju się zameldował?

- Zaraz... - Brian zerknął do rejestru. - Pokój numer trzysta trzy. Czy mam mu zostawić jakąś wiadomość?

- Nie trzeba. Proszę w ogóle nie wspominać mu o tym, że ktoś o niego pytał. Rozumiesz, synu, to sprawa bezpieczeństwa.

- Oczywiście, proszę pana.

- Pralnia i pizza to nasza specjalność! - zawołał Cha-ney, wchodząc do pokoju obładowany niczym wielbłąd.

Postawił na stole torbę z rzeczami oraz karton z jedzeniem, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu Mariah. Stała

w progu łazienki, ubrana w jego sweter, który sięgał jej prawie do kolan. Na nogach miała grube skarpety.

- Wyglądasz kwitnąco - uśmiechnął się. - W przeciwieństwie do mnie.
- Czy mógłbyś podać mi spodnie?
- Już się robi. - Podał jej suche i wyprasowane dżinsy i Mariah znów zamknęła się w łazience.
- Wielkie dzięki! - zawołała przez drzwi.
- Nie ma sprawy! Na tym znam się najlepiej. Pranie w hotelowych pralkach to moja specjalność.
- Paul?
- Tak?

Mariah wynurzyła się z łazienki z notatnikiem w czarnej, twardej oprawie.

- Kiedy brałam sweter, to leżało na samym wierzchu - powiedziała.

Chaney popatrzył nieruchomym wzrokiem na notes, po czym wyjął go z jej rąk. Podeszedł do torby, wrzucił go do środka i zasunął zamek.

- Nie czytałam. Słowo honoru. Tylko stronę tytułową. „Listy do Jacka - Tom XIII”. Nic więcej, przysięgam.

Przez chwilę przyglądał się jej podejrzliwie, wreszcie odstawił torbę w róg pokoju i ruszył do stołu, na którym leżał karton z pizzą.

- Przepraszam, Paul. Nie myśl, że jestem wścibska. Usiadł na krześle, utkwiał wzrok w ścianie.
- To dziennik - powiedział cicho, przerywając milczenie. - Zacząłem go pisać, kiedy ode mnie odeszli. Jack był jeszcze niemowlakiem. - Oderwał z kartonu z pizzą etykietkę i zaczął ją składać, aż stała się prawie mikroskopij-

nym kwadracikiem. - Phyllis ponownie wyszła za mąż. Wtedy zrozumiałem, że jego ojcem będzie ktoś inny; że nie ja będę go uczył jazdy na rowerze i gry w baseball. Że nie będzie mnie przy nim, kiedy nabije sobie pierwszego guza i straci pierwszy ząb. Że komuś innemu będzie się zwierzał, kiedy pierwsza dziewczyna złamie mu serce.

- I wtedy właśnie zacząłeś pisać do niego listy? Chaney skinął głową.

- Wysyłam mu z całego świata pocztówki i prezenty. Ale te listy to co innego; to są listy do człowieka dorosłego. Być może dam mu je któregoś dnia. Niech je spali lub zrobi z nimi co zechce. Ale niech wie, że choć nie było mnie przy nim, myślałem o nim często, dzieliłem się z nim wszystkim, co było dla mnie ważne. A że w ten sposób... Cholera, tak wyszło.

Mariah wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

- Musisz wiedzieć, Paul, że to bardzo ważne. Bardzo chciałabym dostać coś takiego od swego ojca. Chciałabym wiedzieć, że umierając, myślał o mnie.

- Mariah?

- Tak?

- E, mniejsza o to. Nieważne.

- Nie! Powiedz...

- Nie. Nie chcę, żebyś znów czuła do mnie pogardę.

- Nigdy jej do ciebie nie czułam.

- Nie lubiłaś mnie.

- To nie tak. Wszystko było bardziej skomplikowane.

- To znaczy?

- Przypominałeś mi jego.

- Kogo?

282

- Ojca.

- Nie jestem Benem Boltem.

- Wiem. W niczym go nie przypominasz. Ale wtedy o tym nie wiedziałam. Wybacz.

Chaney długo się nie odzywał.

- Pewnego dnia mu wybaczysz - powiedział wreszcie.

- Wybaczę?

- Nie próbuję go rozgrzeszać. To, co zrobił tobie i twojej rodzinie, było podłe. Ale jeśli dobrze pamiętam, Benjamin Bolt umarł w pańskim przytułku w wieku dwudziestu ośmiu lat. Większość ludzi popełnia w tym wieku błędy, których żałuje później do końca życia. Być może gdyby dane mu było żyć dłużej... Nie wierzę, że nie żałowałby tego, że ciebie stracił.

- Powinien smażyć się w piekle - burknęła Mariah, zaciskając mściwie wargi.

- I zapewne się smaży. Ale i ty cierpisz. Cierpisz od zawsze. I będziesz cierpieć, dopóki nie zrozumiesz, że był

tylko niedorośłym szczeniakiem, któremu powinnaś wybaczyć.

- Może masz rację. Ale na razie nie umiem mu przebaczyć.

Znów zapadło długie milczenie.

- Dajmy temu spokój. - Paul uśmiechnął się blado. - Stygnie pizza.

Mariah odetchnęła głęboko i pokiwała głową.

- Racja. Umieram z głodu. - Usiadła na krześle i wzięła w palce kawałek placka. Przez chwilę żuła go w milczeniu, wreszcie oznajmiła: - Pod twoją nieobecność telefonowałam.

283

- Do kogo?
  - Do Rachel Kingman, byłej żony Larry'ego Kingmana.
  - Kiedy ostatni raz ją widziałaś?
  - Szesnaście lat temu.
  - Twój telefon chyba ją zaskoczył.
  - Bardzo. Powiedziałam jej, że David nie żyje i że słyszałam o Larrym... Poprosiłam o spotkanie. Dziś ma gości, ale zgodziła się zobaczyć ze mną jutro, jeszcze przed pojawieniem się pierwszych pacjentów.
  - Jest lekarzem? Mariah skinęła głową.
  - No i jest jeszcze coś.
  - Mianowicie?
  - Ta sprzączka, którą znalazłam w rzece. Pochodzi z kapoka.
  - I co z tego?
  - Przyszła mi na myśl łódź.
  - Nie łapię. O co ci chodzi?
  - Jak myślisz, po co ci naukowcy przejechali taki szmat drogi do Taos? Czy tylko po to, by upić się w podręcznym barze?
- Chaney zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział.
- Moim zdaniem po to, by ich tu widziano - ciągnęła Mariah. - Po co mieliby przyjeżdżać w miejsce, gdzie tak bardzo rzucali się w oczy? Zauważ, że mieli nawet ze sobą bardzo charakterystyczne teczki, aby nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, skąd przyjechali i kim są. Później jest wypadek, po którym zostaje tylko tablica rejestracyjna ich samochodu. Żadnych ciał, ale każdy wie, kim byli.
  - A co z tą sprzączką?



- No właśnie. Dlaczego przyjechali aż do Taos? Dlatego że nieopodal droga dochodzi do samej rzeki. Stamtąd najłatwiej dotrzeć do czekającej łodzi. Jeśli zna się teren, można szybko dostać się do łatwo dostępnego miejsca na brzegu rzeki. I wiesz co, Paul? Larry Kingman był doświadczonym wioślarzem. Często zabierał Davida na spływy rzeką...

Chaney cicho gwizdnął pod nosem.

- Rozumiesz, co to może znaczyć? - zapytał cicho.

- Oczywiście. To wielki bluff. Ci faceci wcale nie zginęli. Powiedz, podejrzewałeś to od początku?

- Nie miałem pewności. Czuję tylko, że coś jest nie tak. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej utwierdzałem się w swych podejrzeniach.

- Wtedy padał śnieg. Kiedy pojawiła się policja i straż ogniowa, wszystkie ślady w okolicy były już zaspane.

- Wyglądało to na klasyczny wypadek. I trudno było cokolwiek znaleźć. Eddie Ortega wyraźnie to powiedział.

- Co powiedział?

- Po twoim wyjściu z baru... a może byłeś wtedy w toalecie. W każdym razie przyznał, że nikt nie wiedział, do jakiego przedsiębiorstwa należała ta cysterna. Ogień zniszczył wszelkie ślady. Ciekawe tylko, że w Taos żadna stacja benzynowa nie prosiła tego dnia o dostawę paliwa. Ale skoro odsunięto miejscową policję od śledztwa, nikt nie poszedł tym śladem.

Przed wyjściem z hali przylotów na lotnisku w Albuquerque na George'a Neville'a czekał Dieter Pflanz. Obaj mężczyźni przywitali się i ruszyli do czekającego przed budynkiem samochodu.

- Namierzyliśmy Chaneya w hotelu w Los Alamos - poinformował Pflanz, kiedy pojazd już ruszył. - Jest sam. Kobieta jeszcze nie przyjechała, ale z całą pewnością się pojawi.
- Szukaliśmy jej kart kredytowych w tutejszych agencjach wynajmu samochodów - dodał Neville. - Bez skutku. Wyleciała z Bostonu jako Diane Tardiff i posługiwała się należącą do męża kartą American Express. Czy jesteś pewien, że nie spotkała się z Chaneyem w Albuquerque?
- Pflanz wzruszył ramionami.
- Nie spuszczaamy hotelu z oka. Może powinniśmy zastosować inwigilację elektroniczną?
- Dobry pomysł. - Neville skinął głową i pochylił się w stronę szofera. - Podaj mi telefon. - Kierowca podał mu telefon komórkowy i Neville wystukał odpowiednią kombinację cyfr. - Który numer pokoju? - zapytał Pflanza.
- Trzysta trzy.
- Kod alfa-siedem-dwa-siedem - powiedział do mikrofonu. - Stanowisko dziewięćdziesiąt siedem. Priorytet: jeden... Całkowita tajność, jednostka trzy-zero-trzy.
- Gdy druga strona potwierdziła przyjęcie polecenia, Neville rozłączył się i oddał telefon kierowcy. Stanowisko dziewięćdziesiąt siedem było nazwą kodową Hiltop House, hotelu, w którym zazwyczaj zatrzymywali się krajowi i zagraniczni goście przybywający do Los Alamos. Wielu z nich było śledzonych, zatem uaktywnienie systemu inwigilacyjnego nie nastęczało najmniejszych kłopotów.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Chaney oddychał przez sen równo i głęboko. Ostatnią noc spędził za kierownicą samochodu, jadąc z Phoenix do Albuquerque, nic zatem dziwnego, że jest z mordowany -pomyślała Mariah. Jej również oczy zamykały się same.

Gdy tylko skończyli pizzę, Paul zgasił światło i Mariah wsunęła się pod kołdrę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, była smukła sylwetka mężczyzny, który przy oknie zdejmował spodnie.

Teraz otworzyła oczy i popatrzyła na podświetloną tarczę cyfrowego zegarka, stojącego na nocnej szafce między ich łózkami. Dochodziła północ. Spali prawie cztery godziny.

Chaney odwrócił się na bok. Mariah patrzyła na jego twarz. Kiedy opowiadał o prowadzonym przez siebie dzienniku, który w przyszłości chciał przekazać swemu synowi, był taki bezradny, prawie bezbronny. Teraz spoglądała na zarys jego ramienia na kołdrze i jasne włosy, które lekko lśniły w mdłym świetle wypełniającym pokój, i nie mogła nie pomyśleć, że ten mężczyzna bardzo jej się podoba. Powstrzymała się w ostatniej chwili, by nie dotknąć jego ręki i nie musnąć palcami jego torsu, nie dotknąć bioder.

Przewróciła się na bok i zamknęła oczy, odpędzając od siebie te dziwne myśli. Ale prawda była taka, że Paul Chaney podniecał ją od chwili, kiedy go poznała.

Jego czar i urok osobisty, jego szczerą, przystojną twarz przywróciły jej ojca, który ją opuścił. Ale to jedynie zwiększało jej zakłopotanie, ilekroć w Wiedniu znajdowała się w jego towarzystwie. W miarę upływu czasu ogarniał ją coraz częściej niepokój, czy przypadkiem nie odziedziczyła po ojcu „genu niewierności”, genu, który zadecyduje o jej losie, niezależnie od tego, ile dla niej znaczyli David i Lindsay.

Teraz wróciło tamto uczucie. Znowu zdawało jej się, że Chaney przyciąga ją niczym magnes. Ostatnio zdarzało się to prawie codziennie; zawsze, ilekroć czuła się porzucona, gdy czuła potrzebę czułości, której od tak dawna jej brakowało. Od jak dawna? Zbyt długo. Zbyt długo żyła bez kogoś, komu mogłaby zaufać, kto dałby jej ciepło, miłość, namiętność, kto tuliłby ją w nocy i odpędzał wszelkie strachy, widma i upiory.

A jedynym mężczyzną, który ostatnio ją dotykał, był Roland Button.

Wciąż czuła na twarzy odrażający dotyk jego ust, wciąż widziała te dziwne źrenice wpatrzone w jej oczy. Bała się, że odtąd za każdym razem, gdy dotknie ją jakikolwiek mężczyzna, ona pod powiekami będzie miała obraz Burtona. I nie tylko to - także tamte zdjęcia, odrażające, ohydne. Czy zdoła kiedykolwiek zapomnieć o tym, co na nich widziała? Davida wpatrzonego w rozkraczoną nad nim Kata-rinę Müller? Czy po takiej zdradzie zdoła jeszcze zaufać jakiemukolwiek mężczyźnie? Zadrżała, przekręciła się na bok i mocniej otuliła się kołdrą. Kiedy zerknęła w stronę Paula, spostrzegła, że jej towarzysz nie śpi, lecz bacznie się jej przygląda.

288

- Nic ci nie jest? - zapytał cicho.

- Jest. Walczę z upiorami.

- Kto jest górą?

- Jak zwykle one.

- Dlaczego? Zawsze nadchodzi świt, a wtedy wszelkie strachy odchodzą. Drżysz?

- Jest mi zimno. To chyba po tej kąpieli w rzece. Chaney podał jej zapasowy koc.

- Lepiej?

- Dziękuję.

Przykucnął obok jej pośłania.

- Gdybym nie obawiał się ciężkich urazów, zaproponowałbym ci moje gorące ciało.

- Ciężkich urazów?

- Widziałem, jak potrafisz się bić.

Uśmiechnęła się, a on odgarnął kosmyk włosów z jej czoła. Westchnął cicho, przeciągnął delikatnie palcami po jej policzku i ustach. Marian zamknęła oczy, poddając się pieśczoście, lecz zaraz znów je otworzyła. Położyła dłoń na torsie mężczyzny i lekko odepchnęła go od siebie. Wprawdzie rozpaczliwie pragnęła jego bliskości, ale zdawała sobie jednocześnie sprawę, że gdyby pozwoliła mu na więcej, popełniłaby błąd.

- Proszę, nie - szepnęła.

Paul przyglądał się jej chwilę w milczeniu, wreszcie niechętnie skinął głową.

- Rozumiem. W porządku. - Jeszcze raz uścisnął jej dłoń, po czym podniósł się z podłogi.

- Paul?

- Słucham?

- Jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?
  - Dziękuję. Jestem pod wrażeniem.
  - Może to ta poza Casanovy, którą nieustannie przybierasz? Chaney niedbale machnął ręką.
  - Nigdy nie ufaj pozie dziennikarza.
  - Nie mów, że żyjesz jak mnich.
  - Nigdy tak nie twierdziłem. Ale mówiąc szczerze, moja strategia życiowa dawno już straciła dla mnie urok. Nie lubię budzić się obok obcych kobiet.
- Marian nieoczekiwanie oparła się na łokciu i marszcząc brwi, uważnie popatrzyła na Chaney a.
- Paul, czy mogę zadać ci bardzo niedyskretne pytanie?
  - Jak niedyskretne?
  - Chodzi o Katarinę Muller.
  - Nie sądzę...
  - Paul, proszę - nie pozwoliła mu dokończyć. - Muszę wiedzieć, w jaki sposób skłoniła Davida do zdrady. Nie powiesz mi?
  - Obawiam się, że nie jestem w stanie nic wytłumaczyć. Sam tego nie rozumiem. Może tylko... - zawahał się.
  - Tak?
  - Zapytałem ją raz, co kombinuje z Davidem.
  - I co? - Paul znów się zawahał, więc go ponagliła: - Daj spokój, i tak ręk już nie może bardziej mnie zranić.
  - Spytałem ją, czym może usprawiedliwić to, że niszczy tak dobre małżeństwo. A ona odpowiedziała: „Tylko ci się wydaje, że dobrze ich znasz i że to urocza rodzinka. Uwierz mi, to wyłącznie pozory, wielkie kłamstwo. Nie wiesz naprawdę nic ani o Davidzie, ani o jego żonie”.

- Co takiego? - Marian aż usiadła na łóżku z wrażenia. - Jak mogła coś podobnego powiedzieć? Czyżby David... Nie! - Uderzyła pięścią w prześcieradło. - Nie wierzę, by naopowiadał jej bzdur, żeby usprawiedliwić własne wiarołomstwo! Do licha, byliśmy naprawdę bardzo dobrym i zgodnym małżeństwem.

- Wiem o tym Dlatego o niczym ci nie mówiłem. A ona była zawodową oszustką.

Marian podciągnęła kolana pod brodę.

- Zapewne uwielbiała seks.

Chaney popatrzył ostro na Marian, lecz na widok jej twarzy wzrok mu złagodniał. Usiadł na skraju jej łóżka i starł łzy z jej policzka.

- Nie wiem. Nigdy z nią nie spałem.

- Nie opowiadaj głupstw.

- Mówię poważnie. Nigdy nie wydawała mi się szczególnie atrakcyjna. Byłem naturalnie jej ciekaw, ale nie do tego stopnia.

Mariah głęboko westchnęła i sięgnęła po papierową chusteczkę, aby wytrzeć nos.

- David nie mógłby o sobie tego powiedzieć - mruknęła z goryczą. - Ale twój stosunek do niej dobrze o tobie świadczy.

- Nie przesadzaj, takich wniosków nie powinnaś wyciągać. Nie jestem czysty i szlachetny, wiedz o tym. Odchodziłem od kobiet, którym bardzo na mnie zależało. No i skończyło się tym, że zakochałem się w żonie jednego z moich najlepszych przyjaciół, co wcale dobrze o mnie nie świadczy. I chcę powiedzieć ci coś jeszcze: nie miałem w stosunku do ciebie żadnych planów. Nigdy zapewne bym

cię nie dotknął, gdyby... gdyby nie wydarzyło się tamto między Davidem a Katariną.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Chaney znów ujął jej dłoń.

- A zatem wiesz, że... że wciąż ciebie kocham? Poczekaj! Wysłuchaj mnie - dodał szybko, widząc, że Mariah marszczy brwi i spuszcza głowę. - Pragnę cię, lecz sam nigdy nie wyciągnę po ciebie ręki. Ale będę w pobliżu, bez względu na to, czy będziesz mnie pragnąć, czy nie. Pamiętaj, że wystarczy jeden jedyny gest i... jestem twój

Mariah dłuższą chwilę przyglądała się jego poważnej twarzy. Chciała mu wyrazić wdzięczność.

Chciała go przeprosić za wszystkie złe myśli i uczucia, jakie do niego żywiła. Chciała poprosić, żeby wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Żeby pocałował, a może nawet więcej.

A jednak nie mogła tego uczynić. Nie teraz.

Być może nigdy.

- Nie wiem, co mam powiedzieć...

- Nie musisz nic mówić, Mariah. Najwyżej życz mi dobrej nocy.

- Dobrej nocy, Paul.

- Dobranoc, Mariah.

Po raz ostatni uściśnął jej dłoń i wrócił na swoje łóżko.

George Neville i Dieter Pflanz przebywali w odległości niecałej mili od poszukiwanych, na najwyższym piętrze biurowca w centrum Los Alamos. Napis na frontowych drzwiach głosił, że biura wynajmuje firma McCord Indu-



stries. W ciągu tygodnia w pomieszczeniach urzędował personel handlowy i inżynierski przedsiębiorstwa, jednak teraz, w niedzielę późnym wieczorem, biuro było ciche i puste. Prócz Neville'a i Pflanz w biurówcu przebywało dwóch techników wyspecjalizowanych w podsłuchach. Okupowali oni pokoje znajdujące się na samym końcu długiego korytarza. Jedno z tych pomieszczeń posiadało nawet osobne wejście niedaleko klatki schodowej budynku. W pokojach znajdowała się skomplikowana aparatura do utrzymywania łączności satelitarnej z kwaterą główną przedsiębiorstwa w Kalifornii oraz ze wszystkimi podległymi mu placówkami i filiami na całym świecie.

Neville i Pflanz pojawili się tu przed dwudziestą trzecią. Urządzenia podsłuchowe w pokoju Paula Chaneya pracowały już od godziny. Technik obsługujący pluskwy oświadczył, że na razie w pokoju numer 303 panuje głucha cisza. Gdy na polecenie Neville'a maksymalnie wzmocnił dźwięk, podsłuchujący usłyszeli równy oddech, wskazujący na to, że lokator pogrążony jest we śnie.

- Centrala telefoniczna zarejestrowała wczesnym wieczorem rozmowę z tego pokoju - wyjaśnił technik. - Połączenie lokalne.

- Dokąd?

Technik bezradnie pokręcił głową.

- Rozmowa miała miejsce, zanim uaktywniliśmy system.

- Sprawdzimy to jutro z samego rana w hotelowej centrali - oświadczył Neville.

- Po co czekać do rana? Dlaczego od razu nie wejdzie-

my do jego pokoju? - spytał Pflanz. - Wtedy nic me zdąży zrobić. Powinniśmy natychmiast go zabrać i po kłopotcie.

- Dokąd, Dieter? Przecież nie wiemy, czy już coś wie, czy tylko się domyśla.

- Podejrzewa. W przeciwnym razie nie przyjeżdżałby do Los Alamos.

- Podejrzenia to jedno, a dowody drugie. Nie możesz przecież, ot, tak, porywać obywateli z ulicy.

- A co on twoim zdaniem tu robi? Szuka dowodu. Co będzie, jeśli go znajdzie?

- Nie ma nic do znalezienia.

- Miejmy nadzieję. A jeśli jednak? Jeśli wygada wszystko tej wścibskiej babie, która Bóg wie gdzie się znajduje? Co wtedy zrobisz? Odwołasz się do ich patriotyzmu? Cha-ney to kawał chama. Natychmiast o wszystkim roztrąbi w wiadomościach. - Pflanz zacisnął gniewnie swe wielkie jak bochny chleba pięści. - Stawka jest zbyt wysoka, George. Powinniśmy przejąć go natychmiast.

- Spokojnie. Na razie obserwujmy - odparł Neville. - Słuchajmy. Ale broń Boże nic nie róbmy...

Dopiero jak powiem, jasne? Jasne? - powtórzył groźnie, gdy Pflanz nie odpowiedział od razu.

Stali zwrócenii do siebie twarzami i spoglądali na siebie kamiennym wzrokiem. Wyglądali jak sprzymierzeni ze sobą wojownicy, których sojusz zaczyna właśnie się chwiać.

- Popełniasz błąd taktyczny, Neville, i gorzko tego pożałujesz - odezwał się w końcu Pflanz. -

Wszyscy gorzko pożałujemy.

- Może. Ale chwilowo poprzestaniemy na podsłuchu. Musimy sprawdzić, czy Chaney spotka się z Mariah Bolt

i jakie ona ma plany. Przy odrobinie szczęścia oboje wpadną w nasze ręce.

- A jeśli nie?

- Przekroczymy most, kiedy dotrzemy do rzeki. A chwilowo trochę pośpijmy. - Zastępca dyrektora wydziału operacyjnego odwrócił się do technika. - Jeśli coś usłyszysz, natychmiast nas budź.

Mężczyzna skinął głową i Neville z Pflanzem przeszli do sąsiedniego biura, gdzie ułożyli się do snu na dwóch kanapach.

Technik obudził ich około północy. W podsłuchiwanym pokoju prowadzono rozmowę. Kiedy Neville nałożył na głowę słuchawki, natychmiast rozpoznał drugi głos.

- Jest z nim! - oświadczył, przecinając powietrze pię- ' ścią. - Mamy ich!

Wysłuchali rozmowy Chaneya z Mariah, a później, gdy inwigilowana dwójka poszła spać, przesłuchali taśmę po-nowhię,

- W porządku - mruknął Neville. - Doskonałe.

- Doskonałe? Co w tym doskonałego?

- Mamy ich w garści. Węsząc w Los Alamos, niczego nie znajdują. W laboratorium nikt nic nie wie, a gdyby nawet, to z całą pewnością nie ma takiego, który zechciałby rozmawiać z natrętnym reporterem. Tutaj ludzie są ostrożni. - Pflanz nie dowierzał, lecz Neville nie zwracał na niego uwagi. -

Interesujące - dumął głośno. - Jeśli Chaney nie kłamał, to jego słowa potwierdzają wszystko to, o czym już wiemy: Muller wykorzystwała go tylko po to, żeby dotrzeć do Davida Tardiffa.

Pflanz skinął głową. Ani przez chwilę nie wątpił, że Ka-

tarina Miller wyznała mu prawdę. Spowiedź w obliczu śmierci zawsze jest szczerą.

- Rachel, poznaj Paula Chaneya - powiedziała Mariah, wyswobodzając się z serdecznych objęć dawnej przyjaciółki.

Wstali z Chaneyem wcześniej rano, zamówili do pokoju śniadanie i dokładnie o wpół do ósmej pojawili się w ośrodku zdrowia. Doktor Rachel Kingman już na nich czekała. Zaprowadziła ich do gabinetu i zamknęła za nimi drzwi. Potem odwróciła się w stronę gości i obdarzyła ich powitalnym uśmiechem.

Ubrana była w biały fartuch narzucony na granatowy sweter i spodnie. Miała krótkie, proste siwe włosy i ani śladu makijażu na twarzy. Jedynie lśniące zielone oczy zdradzały ciepło i poczucie humoru czające się pod tak oficjalnym wyglądem.

W niewielkiej społeczności Los Alamos, gdzie mężczyźni pracowali, a ich żony przeważnie zajmowały się domem i dziećmi, trudno było świeżo upieczonej absolwentce wyższej uczelni znaleźć przyjaciół o podobnych zainteresowaniach. Podczas krótkiego pobytu w Nowym Meksyku Mariah czuła się samotna i wyobcowana, a jedyną osobą, z którą się zaprzyjaźniła, była właśnie żona szefa Davida w Narodowym Laboratorium w Los Alamos. Rachel Kingman należała w tamtym czasie do personelu medycznego ośrodka i mówiła Mariah, że zamierza otworzyć prywatną praktykę. Kingmanowie nie mieli dzieci. Mariah nie wiedziała, czy po prostu nie chcieli ich mieć, czy też z jakichś innych

względów. Wiedziała natomiast, że Rachel Kingman interesuje się historią, polityką i ruc-zofią i że w związku z tym jest doskonałym partnerem do rozmowy podczas długich wieczorów, w trakcie których Larry Kingman oraz David wdawali się w zawile dysputy na temat fizyki jądrowej, nie wykazując większego zainteresowania obecnymi w ich towarzystwie kobietami. Tak więc teraz, po upływie wielu lat, Mariah żałowała trochę, że nie zrobiła nic, by podtrzymać tę interesującą znajomość. Cóż, opuszczała Los Alamos w niezbyt miłych okolicznościach i zobowiązania towarzyskie były ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby jej wówczas do głowy.

Rachel przyjaźnie potrząsnęła dłonią Paula.

- Witam pana, panie Chaney.

- Miło mi panią poznać, pani doktor. I proszę mówić do mnie Paul.

- Dobrze, Paul. Ja jestem Rachel. Tylko pacjenci mówią na mnie „pani doktor”. Mam nadzieję, że nie przyszedłeś po' paradę lekarską. Jesteś reporterem?

- Tak. Ale w tej chwili poza służbą... Prawdę mówiąc, jestem bezrobotny.

- Bezrobotny? Co się stało?

- To długa historia.

- Paul jest moim bliskim przyjacielem - wyjaśniła Mariah. - Znał Davida. Poznaliśmy się w Wiedniu.

- Zatem i u mnie jest mile widzianym gościem. - Rachel odwróciła się do Mariah i ujęła ze współczuciem jej ramię. Twarz jej spoważniała. - Wiadomość o Davidzie mocno mną wstrząsnęła. Mariah zacisnęła tylko usta i skinęła w milczeniu głową.

- A jak ty się czujesz?

- Ostatnio dużo przeszłam. Najpierw ten wypadek, później rak, który zabił Davida... Wydarzyło się także wiele innych rzeczy. Uwierz mi, Rachel, to był upiorny rok.
  - Co za koszmar. David był jeszcze taki młody. To, że miał raka, szczególnie mnie nie dziwi, ale ten głupi wypadek samochodowy... to prawdziwa tragedia.
  - Dlaczego powiedziałaś, że nie dziwi cię jego rak? -zapytał Chaney.
- Rachel poklepała Mariah po dłoni i wskazała gościom krzesła. Sama przysiadła na skraju biurka.
- Cóż, ryzyko zawodowe. Przykro mi to mówić, ale spotkałam się już tu z wieloma przypadkami tej choroby.
  - Wywołują je wykonywane tu prace? Rachel wzruszyła ramionami.
  - Badania wciąż trwają, dotychczasowe studia nie dały rozstrzygających odpowiedzi. Oficjalnie zaprzecza się wpływowi laboratorium na występowanie raka wśród pracowników. Ale prawda jest taka, że w Los Alamos mamy ponadprzeciętnie wysoki wskaźnik zachorowalności na pewne nowotwory: guzy mózgu, białaczka, rak tarczycy...
  - Jak u Davida - powiedziała Mariah.
  - Dokładnie. Teraz dysponujemy lepszym sprzętem do obchodzenia się z materiałami radioaktywnymi, ale w naszym muzeum historii ośrodka wisi wiele zdjęć, które dowodzą, jak bardzo kiedyś byliśmy beztroscy i lekkomyślni. Może o tym nie słyszałaś, ale w jednym z okolicznych kanyonów odkryliśmy odpady promieniotwórcze. A przecież w tamtych okolicach ludzie jeżdżą konno, bawią się dzieci. Mówimy o odpadach, które będą zabójcze jeszcze przez tysiące lat.

- Przypomina mi to opowieści o radzieckich tajnych ośrodkach - zauważyła ze zdziwieniem Mariah.
- Może nie na taką skalę, ale zjawisko to występuje też i u nas.

Chaney potrząsnął gniewnie głową.

- Cholerny świat! Od pięćdziesięciu lat bawimy się materiałami radioaktywnymi i wciąż nie wiemy dobrze, jak pozbywać się odpadów. A jeśli nawet uda się nam je gdzieś bezpiecznie upchnąć, pozostaje problem, jak ostrzec przed takimi „skarbami” przyszłe pokolenia. Za tysiąc lat na ziemi będą całkiem inne języki, a materiały te wciąż będą stanowić śmiertelne zagrożenie.

- To taki nasz spadek dla przyszłości - stwierdziła ponuro lekarka. - A jeśli chodzi o Davida, to oczywiście wcale nie musiał jeździć konno po tym kanionie, żeby nabawić się raka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

^!Myślę, że to wynik tamtego wypadku w laboratorium.

- Wypadek? - powtórzyła Mariah. - Mówisz o tym pożarze, w wyniku którego zmarł jeden z techników?

Rachel ze smutkiem pokiwała głową.

- Pamiętasz? David mówił ci, w jakich męczarniach umierał tamten chłopak. Coś przerażającego...

Nikogo nie wolno skazywać na taką śmierć.

- To rzeczywiście było straszne - przyznała Mariah. - Davida przez całe lata gnębiły związane z tym koszmary. Ale jaki mogło to mieć związek z jego chorobą?

- Cóż, w przeciwieństwie do tamtego technika, David nie dostał śmiertelnej dawki promieniowania, lecz wiedzieliśmy, że grozi mu rak i że jest to poważne zagrożenie.

Doktor Kingman urwała i ujęła twarz Mariah w dłonie. -Zdaje się, że o tym nie rozmawialiście.

- O czym? Mówił mi o pożarze, opisał agonię technika. Co więcej było do opowiadania?

Rachel ponownie usiadła na biurku. Zmarszczyła brwi.

- Czy David nie mówił ci, że to on znalazł tego nieszczęsnego chłopca i wyniósł go z laboratorium?

- Boże...

- No tak - westchnęła cicho Rachel. - Sądzę, że milczał, gdyż bał się twojej reakcji. Podczas jego rekonwalescencji prowadziliśmy na ten temat długie rozmowy. Powiedział mi, że straciłaś całą rodzinę. Kiedy wyjechałaś z Los Alamos, bardzo za tobą tęsknił. Obawiał się, że jeżeli poznasz prognozy lekarskie, nie zgodzisz się, by do ciebie wrócił.

Mariah była zbyt zdumiona i zbyt wstrząśnięta, by móc cokolwiek z siebie wykrztusić.

- Ale co dokładnie wydarzyło się tamtej nocy? - zapytał Chaney.

- Zaraz, po kolei - uśmiechnęła się smutno Rachel. -Laboratorium Davida znajdowało się w jednym ze starszych budynków, pochodzących jeszcze z czasów wojny. Teraz większość tych drewnianych szop już wyburzono. Pierwotnie miały stanowić jedynie prowizoryczne pomieszczenia, ale jak to w życiu bywa, wykorzystywane były do wszystkiego. Niestety, instalacje elektryczne nie odpowiadały w nich wymogom nowoczesnego sprzętu, jaki tam zgromadzono. Mój były mąż zawsze wpadał w złość, gdy przepalały się bezpieczniki i eksperymenty trzeba było zaczynać od początku.



300

- Wadliwa instalacja elektryczna? To ona spowodowała pożar?

Rachel Kingman skinęła głową,

- Takie krążyły pogłoski, ale wyniki śledztwa nigdy nie ujrzały światła dziennego. W każdym razie tamtej nocy David i ów technik prowadzili jakieś eksperymenty z cezem. Nie znam szczegółów. David opuścił laboratorium, by przynieść kolację. Kiedy wrócił, budynek stał w płomieniach. Wbiegł do środka, ale technik był już nieprzytomny. Najwyraźniej próbował wynieść z budynku materiały radioaktywne i stracił przytomność od trujących gazów. Wypuścił z rąk niesiony pojemnik, a sam na niego upadł.

- I dostał śmiertelną dawkę promieniowania. Doktor Kingman znów skinęła głową,

- Tamtej nocy, kiedy przyniesiono tych dwóch ludzi, pełniłam dyżur w szpitalu przy laboratorium.

Natychmiast przystąpiliśmy do usuwania skutków zezadzenia, lecz nie to' najbardziej nas zaniepokoiło. Licznik promieniowania wyraźnie mówił, że technik dostał zabójczą dawkę promieni gamma. David, wychodząc po kolację, zostawił własny dozymetr w laboratorium, więc trudno było powiedzieć, jaką dawkę otrzymał. Mogliśmy jedynie obserwować zmiany w jego organizmie i trzymać kciuki, by nic mu nie było. Jak się okazało, zapadł tylko na lekką chorobę popromienną. Wyzdrowiał, ale...

- Ale skutki ujawniły się dopiero po latach. Niech go licho - zaklęła Mariah. - To dla niego typowe.

- Co?

- Że nie powiedział na ten temat ani słowa. Zawsze był życiowym optymistą, przymykał oczy na zło świata, jakby

jego nie mogło ono dotknąć. Po prostu dryfował po powierzchni życia, nie dopuszczając do siebie złych myśli. Cały David...

- Może to nie jest najgorsza recepta na życie.

- Co będzie, to będzie?

- Coś w tym rodzaju. Korzystaj do maksimum z bieżącego dnia, a kolejnym martw się nazajutrz.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Rachel otworzyła je i na progu stanęła młoda kobieta w ubraniu pielęgniarki.

- Dzień dobry, doktor Kingman - powiedziała, obrzucając szybkim spojrzeniem Mariah i Chaneya, - Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam się zameldować. Nie wiedziałam, że ma już pani pacjentów.

- Nie pacjentów, lecz gości. Niebawem się pojawię. O ósmej mają się zgłosić na zastrzyk przeciwalergiczni bliźniaki od Marshallów.

- Tak, zajrzą w drodze do szkoły. Później ma pani wizytę w domu seniora. Chodzi o tę szczepionkę przeciw grypie.

- Pamiętam. Wywołaj mnie, Beth, gdy pojawią się bliźniaki.

Kiedy za pielęgniarką zamknęły się drzwi, do lekarki zwrócił się Paul.

- Nie chcemy zabierać ci czasu, Rachel, lecz musimy zadać jeszcze kilka pytań na temat wypadku,, w którym zginął twój były mąż.

- Co chcecie wiedzieć?

- Widzisz, gdy zastanawialiśmy się z Mariah nad wypadkiem Davida, doszliśmy do wniosku, że był to zamach

na jego życie. Kiedy dotarła do nas wieść o wypadku twego męża, zaczęliśmy rozważać, czy między obiema katastrofami nie ma związku. David w ostatnim czasie kontaktował się z jednym z Rosjan, z którym tamtej fatalnej nocy był Lany Kingman. Rosjanin ten, niejaki doktor Sokołów, zrobił dosłownie wszystko, by wraz z nim wasze laboratorium przyjechali odwiedzić dwaj pozostali jego rodacy. Wszyscy oni zginęli...

Teraz do rozmowy włączyła się Marian.

- Jesteśmy przekonani, że odkryliśmy pewne ślady wskazujące na to, że wypadek z cysterną nie wydarzył się przypadkowo.

- Jakie ślady?

- Po pierwsze, czy Lany i pozostali czterej naukowcy przebyliby szmat drogi do Taos tylko po to, by wypić tam kilka drinków? Wyobraź sobie, że odwiedziliśmy z Paulem ten bar. Z tego co pamiętam, Lany nie znosił podobnych miejsc.-Po drugie, sposób w jaki przeprowadzono śledztwo...

- Coś waszym zdaniem było nie tak? - przerwała Rachel.

- Zajęło się tym FBI, odsuwając od sprawy miejscową policję. Nie pozwolono działać na miejscu wypadku straży pożarnej.

- Biorąc pod uwagę pracę Lany'ego i śmierć Rosjan, nie ma w tym chyba nic dziwnego.

- Ale chodzi właśnie o to, że nie było żadnego śledztwa - wyjaśniła Mariah. - Świadczenie wypadku twierdzą, że wszystkie ewentualne dowody federalni po prostu załadowali przy pomocy buldożera na ciężarówkę i wywieźli. A przecież wiesz, jak czujni są ludzie z bezpieczeństwa. Czy rozmawiałaś z Lanym ostatnio... przed wypadkiem?

- Naturalnie. Rozstaliśmy się przed pięciu laty. Klasyczny rozwód. Dotarliśmy do takiego punktu naszego małżeństwa, że nie mogliśmy już dłużej przebywać w swoim towarzystwie. Kiedy jednak każde z nas zaczęło żyć na swój rachunek, znów lubiliśmy się spotykać. Dwa dni przed wypadkiem byłam z nim na kolacji.
- Czy wspominał coś o tym, że ostatnio odbył wycieczkę łodzią lub tratwą? - zapytał nieoczekiwanie Chaney.
- Nie - odparła zbита z tropu lekarka. - Nawet bym się zdziwiła, gdyby zrobił coś podobnego. To nie pora na takie wyprawy. Woda w rzece jest zbyt zimna i zbyt wolno płynie. Poza tym wioślarstwo nie sprawiało mu już tyk radości, co kiedyś.
- Szpilki w kolanach? - domyślił się Chaney.
- Tak, efekt licznych kontuzji, narciarskich i nie tylko. Zaraz, Paul... Skąd wiesz o szpilkach?
- Rozmawialiśmy w Taos z pewnym bardzo doświadczonym strażakiem - wyjaśnił Chaney. - Zanim nie odsunięto od sprawy władz miejscowych, strażacy dokładnie przeszukali pogorzelnisko celem identyfikacji ofiar. Poszukiwali szczątków kostnych, zębów, protez. Nic nie znaleźli. Powiedz mi, czy gdyby Lany musiał, poradziłby sobie z taką wyprawą wioślarską?
- Niewątpliwie. Byłoby to dlań nieco przykre doświadczenie, ale z pewnością by sobie poradził.
- A czy podczas tego waszego ostatniego spotkania zachowywał się normalnie? - wtrąciła się do rozmowy Mariah.
- Jak najbardziej. Może był w trochę melancholijnym nastroju, ale ogólnie wspominam ten wieczór bardzo miło. Rozmawialiśmy o starych, dobrych czasach. - Potrząsnęła

głową. - To dziwne, ale kiedy dotarła do mnie wieść o jego śmierci, nabrałam pewności, że Lany miał przeczucie, że coś się wydarzy.

- Przeczucie?

- Wiem, to niemądre. Ale zachowywał się moim zdaniem tak, jakby chciał przeprosić za wszystkie złe rzeczy, jakie spotkały mnie z jego strony. To była jedna z najszczerzych rozmów, jakie ze sobą przeprowadziliśmy. Wybaczyliśmy sobie wiele zadawnionych żali, pretensji... - nie dokończyła, bowiem rozdzwonił się właśnie stojący na biurku telefon i Rachel podniosła słuchawkę. - Doskonale, Beth - odezwała się do rozmówczyni - zaprowadź ich do sali zabiegowej. Za chwilę przyjdę. Paul i Mariah zaczęli zbierać się do wyjścia.

- Poczekajcie - zatrzymała ich. - Dokąd ma was zaprowadzić to wypytywanie?

- Może nigdzie - odparła Mariah. - Dowody są zbyt kruche, by wyciągać ostateczne wnioski.

- A Scott Bowker, drugi Amerykanin, który zginął w wypadku? - nieoczekiwanie zapytał Chaney. - Znałaś go?

- Nie. Nigdy nie widziałam go na oczy. Tylko o nim słyszałam.

- Co na przykład? Kingman wzruszyła ramionami.

- Dochodziły do mnie różne plotki.

- Jakie?

- Mówiono, że jest bardzo zdolny i błyskotliwy, ale szorstki w obejściu. Nie miał wielu przyjaciół.

- Może wiesz dlaczego? Skinęła głową.

- Był tu od niedawna, jakieś półtora roku. Poza tym ludzie w miasteczku kojarzyli go z nowymi porządkami. Odkąd skończyła się zimna wojna, wszyscy zastanawiają się u nas, czy takie miejsca jak Los Alamos mają jeszcze rację bytu. Czy laboratoria nie zmieniają działalności, nie porzucają broni jądrowej i nie zajmą się rzeczami bardziej przyziemnymi.

- Przekują miecze na lemiesze.

- Coś w tym rodzaju. Ale nie jest to prosta operacja. Zajmuje wiele czasu i wymaga skomplikowanych manewrów, Najwyraźniej Bowker przyjechał tu po to, by pomóc zdefiniować „nowy profil”, a gdy jego zdaniem ludzie zbyt opieszale zmieniali te biegi, robił różne obraźliwe przytyki pod ich adresem. Cóż, nikt nie lubi, kiedy ktoś mu wmawia, że praca, którą wykonywał przez całe życie, jest niemoralna.

- A więc nikt tu specjalnie po Bowkerze nie rozpaczał?

- Nikt mu nie życzył śmierci, jeśli o to ci chodzi, ale też nikt żałoby po nim nie nosił.

- A Lany? Co on sądził o zmianach zachodzących w laboratorium? - zapytała Mariah.

- Uważał laboratorium za relikwinię minionej epoki. Trzymał się tej roboty tylko dlatego, że zbliżał się do emerytury. Ale dawno już stracił fascynację niszczącym potencjałem atomu i uważał wyścig zbrojeń za czyste szaleństwo. Został nawet rzecznikiem ruchu „Atom dla pokoju”. - Westchnęła głęboko. - Mógł zrobić wiele dobrego na tym polu. Wiecie, że mi go brakuje?

Zza ściany dobiegły głośne chichoty dzieci.

- Czekaają na ciebie pacjenci - zauważył Chaney.

Rachel Kingman skinęła głową i zmarszczyła brwi.

- Wciąż nie rozumiem, czego szukacie. Jeśli dobrze się domyślam, Larry wplątał się waszym zdaniem w jakiś dziwaczny samobójczy spisek. Intrygująca koncepcja, ale moim zdaniem zupełnie bez sensu.

- Być może - przyznał Chaney.

- Więc o co chodzi?

- Dobre pytanie. Nie mamy żadnych dowodów, ale osobiście nie sądzę, by ta piątka straciła życie. Już raczej zostali przez kogoś kupieni, a sam wypadek miał zatrzeć po nich ślady i sprawić, by pozornie zniknęli z powierzchni ziemi.

- Kupieni? A komu zależałoby na ich usługach?

- Istnieje wielu pozbawionych skrupułów klientów, gontowych kupić takie właśnie usługi i umiejętności - powiedziała cicho Mariah. - I to jest właśnie w tej sprawie najbardziej przerażające.

- Nie, Mariah, to nie ma najmniejszego sensu. Larry nigdy nie zgodziłby się na taki układ. Za największe nawet pieniądze.

- Jesteś pewna? Istniało wiele rzeczy, co do których byłam pewna, że David nigdy by ich nie zrobił. Byłam w dużym błędzie.

- W tej chwili mamy tylko podejrzenia - dodał Chaney. - Fragmenty układanki, które nie bardzo do siebie pasują. Jeśli jednak istnieje jakieś inne wytłumaczenie, chciałbym je poznać. Zatem Rachel, proszę cię, byś naszą rozmowę zachowała w głębokiej tajemnicy. Nie chcemy nikogo pochopnie skrzywdzić, jeśli nasze podejrzenia okażą się zwykłą paranoją.

Doktor Kingman studiowała chwilę twarz Mariah, po czym powoli skinęła głową,

- Dobrze. Ale mówiąc szczerze, uważam, że te podejrzenia nie mają żadnych podstaw.

- Możliwe - zgodziła się Mariah i ruszyła za Chaneyem w stronę drzwi. - Jeśli tak jest, z największą radością wrócę do domu, do swej córki, i postaram się na nowo poukładać sobie życie.

- Do córki? - rozpromieniła się Kingman. - Nie wiedziałam, że adoptowaliście dziecko. To cudowne!

- Adoptowaliśmy? Nie, Lindsay jest naszym dzieckiem, moim i Davida. Ma teraz trzynaście lat.

Urodziła się równo dziewięć miesięcy po przybyciu Davida do Waszyngtonu. Szkoda, że ich razem nie widziałas, Rachel. Wprost za sobą szaleli.

Doktor Kingman milczała. Stała bez ruchu przy drzwiach, trzymała rękę na klamce i spoglądała przenikliwie na Mariah.

- O co chodzi, Rachel? Czy coś się stało? Przypomniałaś coś sobie?

- Nie, tylko że... Wybacz mi, Mariah, ale to po prostu jest niemożliwe.

- Co jest niemożliwe?

- Że masz z Davidem dziecko.

- Ależ tak - Mariah uśmiechnęła się ponownie. - Lindsay przebywa obecnie u jego rodziców. Nosiłam ją dziewięć miesięcy w brzuchu, widziałam, jak się rodziła. Niezależnie od wszystkiego, o czym mówiliśmy, Lindsay z całą pewnością nie jest wytworem mojej wyobraźni.

- Możliwe, ale...



308

- Ale co?

- Przepraszam, Marian, ale ty chyba wciąż nie wiesz o pewnej sprawie. David Tardiff nie mógł mieć dziecka ani z tobą, ani z żadną inną kobietą. Po wypadku w laboratorium został bezpłodny. Wiem to, sama go badałam.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Mariah zostawiła Chaneya i Rachel, wybiegła z budynku i minawszy park, znalazła się na ulicy. Szła coraz szybciej, aż w końcu zaczęła biec. Za sobą słyszała wołanie Paula, który dogonił ją dopiero przy Klubie Fullera. Tam Mariah gwałtownie się zatrzymała, on zaś, oparty o ławkę, ciężko oddychał i patrzył na nią, niepewny, jak powinien się zachować.

- I co teraz? - odezwała się Mariah. - Nie masz pytań?

- Pytań? Na przykład jakich?

- Kto jest prawdziwym ojcem Lindsay.

- Jeśli nie chcesz sama mi powiedzieć, nie będę pytać. Mariah zacisnęła ręce na oparciu ławki, zamknęła oczy

i chwiała się na nogach w przód i w tył. Zdawało jej się, że jeszcze chwila, a ziemia usunie się jej spod nóg. Nagle gwałtownie otworzyła oczy, pobiegła w krzaki i zaczęła wymiotować. Kiedy torsje wreszcie minęły, była tak słaba, że nie miała siły, by dźwignąć się na nogi.

Gdy poczuła na ramieniu dotyk dłoni Chaneya, wyprostowała się niepewnie. Podał jej zmoczoną w śniegu chusteczkę, którą Mariah wytarła sobie twarz, po czym zaczęła głęboko, równo oddychać.

Mężczyzna objął ją ramieniem i zaprowadził na ławkę. Siedzieli jakiś czas w milczeniu, wystawiając twarze do słońca i obserwując, jak

w ciepłych promieniach słońca śnieg zamienia się w kałuże błota.

- Teraz to wszystko ma sens - przerwała milczenie Marian.

- Co?

- David. Sposób, w jaki opuścił Los Alamos i pojawił się na progu mego mieszkania. Lindsay...

Wiedeń...

Chaney nic nie odpowiedział, lecz wyraz jego twarzy wyraźnie mówił, że słowa Mariah nie układają się w jego głowie w żadną sensowną całość.

- Zanim na powrót pojawił się w moim życiu, przez długie miesiące nie miałam od niego żadnej wiadomości. Tęskniłam za nim okropnie, ale on nie odpowiadał na moje listy, a gdy dzwoniłam, od razu odkładał słuchawkę. Myślałam nawet, że związał się z jakąś kobietą. I nagle pewnego dnia się pojawił. Chudy, wyczerpany. Był to jedyny raz, za wyjątkiem kilku ostatnich tygodni w Wiedniu, kiedy widziałam go przygnębionego. Opowiedział mi o pożarze w laboratorium i o śmierci technika, ale nie wspomniał o tym, że sam został poszkodowany. - Mariah splotła ręce na piersiach, z oczu popłynęły jej łzy. - Przecież nigdy bym go nie opuściła. Nawet gdybym wiedziała. Powinien był bardziej mi ufać. Powinien wyznać mi prawdę...

Chaney słuchał w milczeniu. Wiedział, że tylko w ten sposób może jej pomóc. Tymczasem Mariah mówiła dalej:

- Zawsze pragnął mieć dzieci. Był to zresztą jeden z powodów, dla których go opuściłam. Po moim żalnym dzieciństwie nie potrafiłam znieść myśli, że mogłabym sama urodzić dziecko. I wtedy, w kilka tygodni po tym, jak się do mnie sprowadził, odkryłam, że jestem w ciąży. David

### 311

był tym bardzo poruszony; teraz już wiem dlaczego. Po kilku dniach jednak przywykł do myśli, że zostanie tatą, i żadne z nas nie wracało już do przeszłości. Był tak bardzo przywiązany do dziecka, jeszcze przed jego urodzeniem, że nie miałam wątpliwości, iż tylko on może być jego ojcem.

- Ale brałaś pod uwagę, że może nim nie być.

- Brałam. Nie byłam przecież idiotką. Czy myślisz, że się tym nie dręczyłam? Przez dziewięć miesięcy nawiedzały mnie koszmary senne, że urodzę łyse, masywne dziecko z krzaczastymi brwiami.. - Oczy Mariah znów zwilgotniały, w kącikach ust pojawił się nieśmiały uśmiech. - I tak na świat przyszła Lindsay. Była śliczna, a David ją uwielbiał. Może zabrzmiało to jak majaki szaleńca, ale od chwili urodzenia Lindsay ani razu, ani razu nie dopuściłam do siebie myśli, że jej ojcem może być ktoś inny niż David. Bo to on był jej ojcem; był jej ojcem we wszystkim, co naprawdę się liczyło.

Chaney skinął głową i popatrzył w stronę dwóch matek z dziećmi idących przez park.

- Frank Tucker - powiedział w końcu.

- Tak. Jesteś w szoku?

- Nie. Tamtego wieczoru, na przyjęciu, zauważyłem, że łączą was bardzo szczególne więzy.

- Przestań! Nie jest tak, jak myślisz. Frank to mój najlepszy przyjaciel, ale między nami nigdy nic nie było.

- Wybacz, Mariah, ale...

- Za wyjątkiem jednego razu. To trudno wytłumaczyć. Po prostu stało się. - Jęknęła nagle i uderzyła ze złością pięścią w udo. - Do licha, to wszystko jest takie wstrętne! Nigdy nie pozwalałam Lindsay stosować takich tłumaczeń

i wymówek. Stało się! Zawsze ją uczę, że *meczy* nie zdarzają się same z siebie. To my jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny.

- Owszem, Mariah, ale jesteśmy ludźmi, a nie aniołami. Wszyscy popełniamy błędy.

- To prawda. Frank i ja popełniliśmy wielki błąd. Od początku tego żałowaliśmy.

- Czy jego żona jeszcze wtedy żyła?

- Tak. Zdarzyło się to tuż przed przyjazdem Davida do Waszyngtonu. Joannę Tucker umierała, konała po długiej i ciężkiej walce. Jej białaczka wprawdzie chwilowo się cofnęła, lecz ta nieszczęsna kobieta słabła z każdym dniem i nikt nie miał wątpliwości, że ponowny nawrót choroby odbierze jej życie...

Pewnego dnia pracowaliśmy z Frankiem do późna. W moim samochodzie zepsuł się akumulator.

Odpaliłam auto od jego baterii, a następnie Frank pojechał za mną, by być pewnym, że bezpiecznie dotrę do domu, Joannę i dzieci wyjechały akurat na kilka dni do jej rodziców w Pensylwanii.

Następnego dnia Frank miał po nią pojechać.

Mariah i Chaney obserwowali przez chwilę wiewiórkę przebiegającą chodnikiem w stronę klubu.

Nietypowa, prawie wiosenna pogoda, wybiła zapewne zwierzę z zimowego snu.

- Tamtego dnia mieliśmy nawet pracę - mówiła dalej Mariah - od rana nic nie jedliśmy, więc po przyjeździe do mojego domu zaprosiłam go na kolację. Nie mieliśmy żadnych planów, żadnych zamiarów. Zawsze lubiłam Franka Tuckera. Pomruczał czasem 'na mnie jak rozdrażniony niedźwiedź, ale w gruncie rzeczy był uczciwym i prostoli-

nijnym człowiekiem i za to go ceniłam Nie było i nie ma w nim nic fałszywego. Widziałam to i dlatego też byłam jedną z nielicznych osób, która się go nie bała. Tak czy owak, zjedliśmy wtedy kolację, wypiliśmy butelkę wina, a później zaczęliśmy rozmawiać. Dobrze nam się gadało. Oboje od dawna nie mieliśmy podobnej okazji. Ja czułam się samotna, Frank był opoką swej rodziny i musiał grać twardego i niewzruszonego. W pewnej chwili zaczął opowiadać o Joanne, o ich małżeństwie, o strachu, jaki ogarnia go na myśl o tym, że niebawem ją straci. Choć starał się być dzielny, wtedy, przy mnie, całkiem się rozkleił. Ów twardy mężczyzna siedział w mojej kuchni i płakał jak dziecko.

Mariah przerwała, przełknęła gorzkie łzy. Zamknęła oczy i znów zaczęła opowiadać:

- Nawet mi przez myśl nie przeszło, że do tego dojdzie. Żadne z nas tego nie chciało. Po prostu objęłam go i tuliłam do siebie. I wtedy, niech mi Bóg wybaczy, pocałowałam go. Ja, nie on. A Frank chwycił się mnie niczym tonący liny. Zanim pojęliśmy, co się święci, już byliśmy w łóżku... Po wszystkim czuliśmy się paskudnie. Joanne zawsze okazywała mi tyle serca... Frank wstydził się tego, co zrobił, jej i mnie. Całą winę wziął na siebie, lecz przecież niczemu winny nie był. Później czuliśmy się z początku niezręcznie w swoim towarzystwie, w końcu jednak udało nam się wrócić do starych układów. No a w kilka dni później pojawił się David. - Gwałtownie wstała z ławki i ruszyła alejką przed siebie. - Oto cała moja brudna tajemnica.

- Nie osądzaj siebie tak surowo. - Paul podążył w ślad za nią, - Chciałaś tylko ukoić ból przyjaciela. W moim przekonaniu to nie jest wielki grzech.

- Przeklinałam cię za to samo na tarasie u ambasadora.
- Tak, ale różnica polega na tym, że kiedy cię pocałowałem, nie oddałaś mi pieśczoły.
- Cześć mnie pragnęła tego - wyznała z pewnym wahaniem. - Nie jestem z kamienia. -
- Wiem. A jednak się oparłaś. A to znaczy, że jesteś lepszym człowiekiem niż ja.
- Lepszym! - Mariah roześmiała się gorzko. - Sam popatrz, jakiego narobiłam zamieszania.

Chaney zatrzymał się i chwycił ją za łokieć.

- Poczekaj. Może i popełniłaś błąd, ale w wyniku tego błędu na świecie pojawiła się Lindsay. Obie dałyście Davidowi radość i szczęście, których już nie oczekiwał w swoim życiu. Popatrz na to z tej perspektywy.
- Nie umiem. Teraz już nie. Czy nie rozumiesz, że to kłamstwo wróciło, niszcząc po drodze wszystko? Ona wiedziała. Katarina Müller z pewnością znała prawdę. Musiała ją znać. To właśnie to miała na myśli, mówiąc, że nasza rodzina opiera się na jednym, wielkim kłamstwie. I tej wiedzy użyła, by szantażować Davida.
- Skąd mogła znać prawdę?
- Ktoś poszperał w jego przeszłości, dowiedział się o wypadku w laboratorium i dodał dwa do dwóch.
- Ktoś?
- Zapewne ta sama osoba, która wynajęła Katarinę Müller.
- Ale nawet jeśli groziła, że wyjawia prawdę, David nie uwierzyłby, że z tego powodu utraci cię. Ostatecznie też brałaś udział w tworzeniu tej iluzji.

- Nie chodziło o mnie! To nie mojej reakcji obawiał się David. Bał się, co powie Lindsay. On był dla niej bohaterem, rozumiesz? Gdyby odkryła, że nie jest jej prawdziwym tatą, nie wiadomo co by się stało. Może zechciałaby poznać swego prawdziwego ojca, kto wie? Davida przerażała myśl, że mógłby ją stracić, stracić cały jej szacunek. I dlatego zrobiliby wszystko, byle tylko prawda nie dotarła do Lindsay. Jestem tego pewna.

Chaney podniósł wzrok i rozejrzał się z zadumą po parku.

- Rachel Kingman może wiedzieć.

- Co wiedzieć?

- Kto poszukiwał informacji o Davidzie. Była jego lekarzem. Gdy ktoś dowiedział się o wypadku w laboratorium, na pewno próbował wydobyć od niej historię jego choroby.

- Masz rację. Powinam była ją o to zapytać, lecz gdy powiedziała o bezpłodności Davida, zupełnie straciłam głowę.

- Nic dziwnego. Ale teraz musimy wrócić do tej sprawy. Jeśli chcesz, znów do niej pójde. Ty zaczekaj.

- Nie, w porządku, już doszłam do siebie. - Mariah wskazała głową stojącą na skraju parku budkę telefoniczną. - Ale wolę załatwić to przez telefon. Nie wiem, czy mogłabym jej teraz spojrzeć prosto w oczy.

- Naprawdę nie chcesz, żebym ja się tym zajął? Mariah ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie, to w gruncie rzeczy moja sprawa. Usiądź tu i poczekaj. Ja zadzwonię.

Stojąc w budce telefonicznej i czekając na połączenie, Mariah obserwowała Paula. Podnosił z przyzmy śnieg, lepił



z niego kule i ciskał nimi w pień drzewa. Miał przy tym ponury i zacięty wyraz twarzy. Zeszłej nocy, po ciemku, wyznał jej miłość. Teraz, w jaskrawym świetle dnia, gdy dowiedział się prawdy o Marian Bolt, musiał się czuć jak skończony dureń.

- Tu biuro doktor Kingman - rozległ się w słuchawce kobiecy głos.

- Czy rozmawiam z Beth?

- Tak.

- Nazywam się Marian Bolt. Gdy zgłosiłaś się rano do pracy, byłam w gabinecie doktor Kingman. Czy mogłabyś poprosić ją do telefonu?

- Och, nie wiem, czy jeszcze jest. Miała dostarczyć do domu seniora szczepionkę przeciw grypie.

- A czy mogłabyś to sprawdzić?

- Zobaczę, ale ona już i tak była spóźniona. Po waszym wyjściu pojawił się ktoś jeszcze.

'-^próbuj, Beth. To bardzo ważne.

- Dobrze. Proszę poczekać.

Czekając ze słuchawką przy uchu, kartkowała książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru telefonu do miejscowego domu seniora. Gdy jednak go znalazła, w słuchawce rozległ się zdyszany głos Beth.

- To znowu ja. Złapałam ją już przy windzie. Za chwileczkę podejdzie.

- Dziękuję, Beth.

- Żaden kłopot.

Przez chwilę w słuchawce brzmiała muzyka, po czym rozległ się cichy trzask i do Mariah dotarł zaniepokojony głos Rachel Kingman.

- Mariah? Co się stało? Czy wszystko w porządku?

- W porządku, Rachel. Przepraszam, że wyszłam tak szybko, ale ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

- To ja przepraszam. Powinnam była trzymać język za zębami. Ale kiedy wspomniałaś o córce, też na chwilę straciłam głowę.

- Daj spokój. To nie twoja wina, że David o niczym mi nie powiedział. Zanim ponownie wrócił do mego życia, miałam przelotny romans. Wierz mi lub nie, ale przez wszystkie te lata naprawdę wierzyłam, że ojcem Lindsay jest David. Może wierzyłam w to, bo chciałam wierzyć? Najbardziej jednak boli mnie to, że on wiedział. Wiedział, a mimo to przełknął gorzką prawdę i uznał dziecko innego mężczyzny za swoje.

- David nade wszystko pragnął być z tobą. Jak większość ludzi, którzy stanęli oko w oko ze śmiercią, dobrze wiedział, co jest dla niego najlepsze i najważniejsze. Jeśli ty czułaś do niego to samo, to on o nic nie miał żalu.

- Też go nieprzytomnie kochałam. Ale nasza tajemnica w końcu doprowadziła do tragedii. I muszę dowiedzieć się, kto jeszcze znał ten sekret. To właśnie ten ktoś jest odpowiedzialny za zamach na Davida w Wiedniu.

- Jesteś tego pewna?

- Nie, ale to jedyne, co mi w tej chwili przychodzi do głowy. Powiedz, Rachel, kto jeszcze wiedział o jego stanie?

- O bezpłodności? Tutaj nikt. Podczas rekonwalescencji badaliśmy nieustannie jego spermę, która początkowo posiadała bardzo niski poziom plemników, co zresztą w takich przypadkach jest rzeczą normalną. Ze wszystkich stworzeń

żyjących na ziemi istoty ludzkie są najbardziej wrażliwe na promieniowanie; a najwrażliwsze są organy rozrodcze.

Marian odniosła wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Powiedziałaś: początkowo? A więc uszkodzenie nie musiało być całkowite?

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłam. Istnieją udokumentowane przypadki, że sperma odzyskuje swoje pełne właściwości, lecz regeneracja zajmuje rok, a nawet dwa.

Marian znów straciła nadzieję.

- A więc nie istnieje żadna możliwość, by ojcem Lindsay był David?

- Nie, ale z innego powodu.

- Z jakiego?

Rachel Kingman ciężko westchnęła.

- Posłuchaj, Marian, David był naukowcem, nigdy sam siebie nie oszukiwał. Jako naukowiec wiedział, jakich spustoszeń potrafi dokonać w organizmie promieniowanie gamma. Sam organizm potrafi się często zregenerować, lecz deformacje genetyczne przekazywane są potomstwu. Mutacja może nie ujawniać się nawet przez dwa lub trzy pokolenia, ale zawsze w końcu się pojawia i jest wówczas bardzo niebezpieczna. David nie chciał podejmować takiego ryzyka. Zwłaszcza że rzecz dotyczyłaby dzieci.

- Rachel, o czym ty mówisz?

- Mówię, że David dobrowolnie poddał się sterylizacji. Operacji dokonałam osobiście.

- Matko Boska! - szepnęła zbielełymi wargami Marian, opierając się całym ciężarem o ścianę budki telefonicznej.

- Rzecz w tym, że zabiegu nie dokonałam w naszym

szpitalu, więc nie ma żadnego śladu w dokumentacji. David nie chciał, by sprawa się rozniosła, więc poprosił mnie, bym sprawę załatwiła tutaj. Może nie było to całkiem zgodne z moją etyką zawodową, lecz doszłam do wniosku, że po tym co przeszedł, zasługuje na szczególne względy.

- I nigdy o tym nikomu nie wspomniałaś? Nawet Larry'emu?

- Pomijając już fakt, że skrupulatnie przestrzegam tajemnicy lekarskiej, Lany był szefem Davida, a David prosił mnie, bym nie wspominała o tym nikomu w laboratorium. A więc nie mówiłam również Larry'emu.

- Ani Larry'emu, ani nikomu innemu? Na pewno? Rachel westchnęła ciężko po drugiej stronie.

- No dobrze, komuś tę historię opowiedziałam. Później żałowałam tego bardzo, lecz w tamtym czasie miałam w sobie głęboko zakorzenioną dbałość o bezpieczeństwo laboratorium.

- Nie rozumiem. Co to ma do rzeczy?

- Niedługo po tym, jak David opuścił Los Alamos, odwiedził mnie pewien oficer CIA. David wyznał mi, że zamierzasz tam podjąć pracę, pomyślałam więc, że chcecie się pobrać, a agent przeprowadza rutynowe śledztwo.

- To normalna procedura, gdy pracownik CIA zawiera związek małżeński - przyznała Mariah.

- Tak właśnie powiedział. Wiedział sporo o laboratorium. Wiedział o pożarze i o tym, że byłam lekarzem Davida. Jak na agenta CIA wiedział też zdumiewająco dużo na temat skutków, jakie radiacja wywiera na ludzki organizm. Wypytywał mnie i wypytywał, więc w końcu wyznałam mu całą prawdę.

- I co było dalej?

- Dziwna była jego reakcja. Sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego. Później poprosił mnie, bym nikomu nie wspominała o jego wizycie, a prawdę o Davidzie traktowała jako informację ściśle tajną. Poleciał nawet zniszczyć dokumentację dotyczącą jego choroby. Czy to nie dziwne?

- Bardzo - przyznała Mariah, marszcząc brwi. Czuła, że jest o krok od poznania prawdy; prawdy, która albo ją wyzwoli, albo zabije. - Przypomnij sobie, Rachel - poprosiła - czy pamiętasz może nazwisko tego oficera?

- Nie. To było tak dawno temu. Ale pamiętam doskonale jego wygląd.

- A jak wyglądał?

- Wielki... wysoki, masywny. I zupełnie łysy. Miał tylko gęste, krzaczaste, ciemne brwi. Prawdę mówiąc, wyglądał raczej przerażająco.

- Frank.

' Słucham?

- Frank Tucker - powiedziała głucho Mariah. - Czy tak się właśnie nazywał?

- Nie jestem pewna, ale to nazwisko brzmi mi znajomo. Tucker... Może i Tucker. Tak, chyba tak.

- A czy ktoś jeszcze wypytywał cię w tej sprawie? Może ostatnio, rok lub dwa lata temu? Albo może ktoś przeglądał dokumentację medyczną Davida?

- Jego karty zamknięte są w sejfie. Nie potrafiłam się zmusić, by je zniszczyć, ale od czternastu lat leżą na samym dnie. Od tamtego czasu za wyjątkiem tego Tuckera nie rozmawiałam o tej sprawie z nikim. Dopiero teraz... - zawahała się.

## 321

- Tak?

- Może nie powinnam ci o tym mówić, ale znam ciebie i wiem, że nigdy nie wpychałabyś nosa w me swoje sprawy. Zaraz po tym jak wyszłaś stąd z panem Chaneyem, pojawił się jakiś człowiek.

Najwyraźniej cię znał. Pytał, o czym rozmawialiśmy.

- Czy się przedstawił?

- Powiedział, że nazywa się George Sanders.

- Sanders? Jak wyglądał?

- Po pięćdziesiątce, doskonale ubrany, siwe włosy. Bardzo układny.

George Neville - pomyślała Mariah i serce zaczęło jej bić jak młotem.

- Czy pytał o coś jeszcze?

- Nie, ale... Mariah, on... on znał prawdę o twojej córce. Chciał się dowiedzieć o wypadku w laboratorium i o tym, kto jeszcze może wiedzieć o sprawie Davida. Właśnie dlatego ci to mówię.

- Czy wspomniałaś mu o wizycie Tuckera?

- Nie. Sama nie wiem dlaczego. Po prostu ten typ mi się nie spodobał. Powiedziałam mu więc tylko, że jesteśmy starymi przyjaciółkami i uciełyśmy sobie pogawędkę. Ale on chyba tego nie kupił. Chciał wiedzieć, czy pytałaś o Larry'ego. Powiedziałam, że złożyłaś mi kondolencje i na tym skończył się temat. - W głosie Rachel pojawił się nagle ton niepokoju. - Marian, o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi?

- Bóg jeden raczy wiedzieć. Posłuchaj, muszę już kończyć, ale będziemy w kontakcie. Obiecuję.

- Mariah, poczekaj! - zawołała jeszcze Rachel, lecz

Marian odwiesiła już słuchawkę. Odwróciła się i ujrzała, że Paula zaczepia właśnie w parku dwóch mężczyzn. Jednego nie znała, drugi był tym samym człowiekiem o sępiej twarzy, którego widziała na zdjęciu w „Newsweeku”. Dieter Pflanz, były agent CIA - tak przynajmniej twierdził Paul.

Mariah wybiegła z budki, wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza, lecz w chwili gdy zacisnęła palce na kolbie pistoletu, dotarł do niej z tyłu męski głos:

- Stój, Mariah! Ani kroku dalej! Gwałtownie wyjęła z kieszeni broń i odwróciła się w stronę George'a Neville'a, który nagle wyszedł zza drzewa. Na widok broni w jej ręku stanął jak wryty.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Konieczne. Powiedz tym bandziorom, żeby go puścili.

- Proszę, proszę, stałaś się bardzo zdecydowana - zakpił

- Ja nie żartuję, Neville. Niech go natychmiast puszczą! — Podążyła za jego wzrokiem w stronę, gdzie Pflanz i drugi mężczyzna próbowali obezwładnić szarpiącego się Chaneya.

- Uspokój się - powiedział Neville, znów przenosząc na nią wzrok. - Musimy porozmawiać.

- Zaczynam tracić cierpliwość!

- Nie wątpię. Ale nie odważysz się mnie zastrzelić. Oboje dobrze o tym wiemy. Oddaj więc broń, bo Chaneya naprawdę spotka krzywda.

- Nie licz na to. Mam już dosyć łgarstw i fałszu. Rozkaż im puścić Paula, a wtedy porozmawiamy, jeśli sobie życzysz. To znaczy ty mi wszystko powiesz. Powiesz mi co, do cholery ciężkiej, kombinujesz z Tuckerem, Pflanzem i jego szefem.

Neville gwałtownie się cofnął i wskazał kciukiem Pflanza.

- Skąd znasz jego nazwisko?

- Nieważne! Powiedz im, by puścili Paula! Natychmiast!

Neville znów popatrzył w stronę szarpiących się mężczyzn.

- Chciałbym, Mariah, naprawdę chciałbym. To wygląda paskudnie, prawda? - Skrzywił się z udanym obrzydzeniem. - Ale mamy tu mały problem. Pflanz jest zdecydowany skrócić mu kark bez względu na to, czy mnie zastrzelisz, czy nie. Sądzę, że jedynym sposobem uratowania twego kochasia jest przekonanie Pflanza, że oboje jesteście gotowi posłuchać głosu rozsądku.

- Rozsądku? Co ty bredzisz?

- Posłuchaj uważnie, Mariah, popełniliśmy błąd. Powinniśmy już dużo wcześniej we wszystko cię wtajemniczyć. Ale Tucker uważał, że ty byś tego nie przeżyła. Moim zdaniem nie miał racji. Moim zdaniem od początku byłaś twarda. Nie tylko powinnaś się dowiedzieć, ale miałaś do tego pełne prawo. Teraz pewien problem stanowi jedynie Chaney, ale zapewne gdybyśmy wszystko wyjaśnili ci wcześniej, nie musiałabyś się go czepiać. Podejdźmy zatem do tych ludzi i powshzymajmy ich, zanim twój reporter nie straci ręki... albo głowy. A potem pogadamy.

Kątem oka Mariah dostrzegła teraz dwóch innych mężczyzn, którzy nieoczekiwanie pojawili się w parku i powoli zbliżali się w ich stronę. Ręce trzymali w kieszeniach, w których z całą pewnością nie mieli chusteczek do nosa. Mariah zrozumiała, że nie pojawili się po to, by ratować ją i Paula. Wręcz przeciwnie.



- Powinnaś oddać broń - odezwał się Neville, potwierdzając jej najgorsze obawy. - To bardzo porywczy i zdecydowani ludzie, na pewno nie spodoba im się twoja brawura.

Marian wciąż się wahała. Po ataku płatnego mordercy Frank dał jej pistolet, by mogła się bronić, choć przecież dobrze wiedział, że Neville zapewnił jej ochronę. Teraz zrozumiała, że Tucker nie wierzył Neville'owi, podobnie zresztą jak ona. Jednocześnie dotarło do niej, że Frank okłamywał ją przez czternaście lat. Co gorsza, wiedział, jaki wpływ miało to kłamstwo na Davida, i łatwiej mu było go szantażować. Nie mieściło się jej w głowie, że szef mógł tak postąpić, lecz to, że miał w tym wszystkim jakiś swój udział, było pewne.

Pflanz powalił Paula na ziemię, a jej zachciało się nagle płakać. Paul Chaney wpadł w tarapaty tylko dlatego, że stanął po stronie jej i Davida. To ona, całkiem nieświadomie, sprowadziła na jego głowę śmiertelne niebezpieczeństwo.

Niechętnie opuściła rękę i oddała Neville'owi pistolet.

- Grzeczna dziewczynka - mruknął, chowając broń do kieszeni płaszcza. - Ruszajmy teraz z pomocą twemu przyjacielowi.

Kilka minut później Marian i Chaney zostali wepchnięci do wnętrza ciemnego samochodu, zaś Neville i Pflanz stanęli obok wozu i wdali się w burzliwą rozmowę.

- Wygląda na to, że nie do końca zgadzają się, co z nami zrobić - zauważył Chaney, rozcierając obolałe ramię.

- Neville gra dobrego glinę, a Pflanz bandytę - odparła Mariah. - Nie wierzę żadnemu z nich. Nic ci nie zrobili?

- Nic, za wyjątkiem tego, że prawie urwali mi **rękę**.
- Paul tak mi przykro, że wciągnęłam cię w to wszystko.
- Nikt mnie nie wciągał. Wszedłem w to dobrowolnie i z szeroko otwartymi oczyma. Za bardzo zależało mi na tobie i na Davidzie, by odsunąć się na bok. Kiedy dowiedziałem się, że wypadek w Wiedniu został sprowokowany, wiedziałem już, że nie popuszczę. Mariah odwróciła głowę i zaczęła wyglądać przez okno.
- Och, Davidzie! — zaszlochała nagle. - Co ja najlepszego zrobiłam? W co cię wciągnęłam, biedaku? Chaney ujął ją za dłoń.
- Posłuchaj, wiem, że to boli, ale David też prowadził swoją grę. Powinien był ci o wszystkim powiedzieć.
- Już nie powie, nigdy... I ja też nie. Och, Boże, dlaczego to zrobiliśmy? Jak dwoje kochających się ludzi może mieć przed sobą takie tajemnice? A mi nawet do głowy nie przyszło, żeby wyjawić, co zaszło między mną a Frankiem. To był błąd. Ogromny błąd. Ale udawałam przed sobą, że to nigdy się nie zdarzyło.
- David ci w tym dopomógł. Pozwolił, byś uwierzyła, iż dziecko jest jego. Uważał, że Lindsay jeszcze bardziej was zwiąże.
- To samo powiedziała Rachel. Ale powiedziała mi też, że w jej szpitalu pojawił się Frank. Wypytywał o Davida, poznał prawdę. Rozumiesz, Paul? On wiedział. Domyślasz się, co to może znaczyć, prawda? A po naszej dzisiejszej wizycie u Rachel, pojawił się Neville. On też o wszystkim wiedział...
- Coraz gorzej to wszystko wygląda - westchnął Paul.

Wyrzwał przez okno, za którym Neville i Pflanz najwyraźniej doszli do porozumienia i teraz zgodnie szli w stronę samochodu. - Co więcej, sądzę, że z jakichś powodów ten Pflanz cholernie mnie nie lubi.

- Kiedy to odkryłeś? - spytała Mariah z krzywym uśmiechem.

Po chwili otworzyły się drzwi i obok niej usiadł Neville, podczas gdy Pflanz zajął miejsce obok kierowcy. Drugi mężczyzna, który pomagał mu obezwładnić Chaneya, usiadł za kierownicą i urachomił silnik.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Mariah.

- Wracamy do pracy - odparł Neville. - Urlop skończony.

- Urlop! - parsknęła. - Może teraz wyjaśnisz nam, o co chodzi?

- W stosownym czasie - powiedział Neville, wskazując głową kierowcę. - Jak mówią, małe dzbanki mają wielkie USzy.

Dalszą drogę do niewielkiego, rządowego lotniska na obrzeżach miasta odbyli w milczeniu. Na miejscu wyprowadzono ich z auta i zapakowano do samolotu - najnowszej maszyny wojskowej, przekazanej do użytku cywilnego, przystosowanej do niemal pionowego startu i lądowania i zdolnej utrzymywać się nieruchomo w powietrzu niczym helikopter. Cena tego odrzutowca była gigantyczna, Mariah wiedziała o tym. Na jej zapłacenie stać było tylko ludzi równie bogatych, jak Angus McCord. Wewnątrz samolotu Neville wskazał im wygodne, miękkie fotele ustawione wokół niewielkiego stolika z pleksiglasu, sam zaś zajął miejsce naprzeciwko. Mariah rozejrzała

się po kabinie. Ściany zostały wyłożone elegancką boazerią, na podłodze leżał dywan. W rogu, na biurku, umieszczono komputer, faks oraz telefon. W drugim rogu, wzdłuż ściany, stała wygodna kanapa, przy niej zaś kilka krzeseł.

Pflanz, ignorując czwarte miejsce przy stole, usiadł w obitym skórą fotelu lotniczym, zapiął pasy i obrzucił posepnym wzrokiem całą trójkę - Neville'a, Mariah i Chaneya.

Gdy samolot wystartował, Mariah wyrzała przez okno. Po położeniu słońca zorientowała się, że lecą na wschód.

- Czy wracamy do Langley? - zapytała. Neville potakująco skinął głową.

- Do kogo należy ten samolot?

Teraz Neville zerknął na Pflanza, a następnie przeniósł wzrok na Mariah oraz przysłuchującego się wymianie zdań Chaneya.

- Do przyjaciela.

- Do McCorda - mruknęła Mariah.

Neville zmarszczył brwi i poprawił się w fotelu. Obrzucił wzrokiem Paula, po czym znów zwrócił się do Mariah.

- Nie wiem, czy powinniśmy obciążać patia reportera rrie^ niezbędnymi informacjami. Proszę mi wierzyć, panie Chaney, sprawa jest drażliwa, a ja nie chcę stawiać pana w sytuacji, która zmusi pana do łamania dziennikarskiej etyki.

- To rzeczywiście przykre - odparł sucho Chaney. Neville wzruszył ramionami.

- Próbujemy dobrze żyć z prasą.

- Doceniam to, ale mam niejakie obawy odnośnie mojej osoby. Pański przyjaciel najwyraźniej uważa, że wiem za dużo.

- Tak, to rzeczywiście problem. A tak naprawdę, co pan w istocie wie?

- On nie wie nic - wtrąciła szybko Mariah. - Węszył tylko, a ode mnie nie dowiedział się zbyt wiele. Dajcie mu spokój, a obiecuję, że Paul Chaney zaprzestanie swego śledztwa. Prawda, Paul?

- Tylko niech pan nie próbuje kłamać, panie Chaney - powiedział Neville, unosząc palec. - Wybacz, Mariah, chyba nie możemy mu zaufać. Wiemy, że wie, co wydarzyło się w Wiedniu. Wiemy też, że nigdy się nie cofa i że nie umie zachowywać tajemnic dla siebie, Cóż, taki fach. Dlatego też wolałbym, żebyście to wy mówili, a nie ja. Chcę wiedzieć, po co przybyliście do Nowego Meksyku i co tam odkryliście.

- Nic...

- Mariah, to na nic - odezwał się nieoczekiwanie Chaney. - Ci chłopcy i tak nie zamierzają puścić nas wolno, więc po co te wykręty. - Wbił gniewne spojrzenie w Neville'a. - Wiem, jaką rolę odegrała Katarina Müller w Wiedniu. Wiem, że szantażowała Davida Tardiffa. Wiem, że ma to ścisły związek z usiłowaniami IAEA, które próbuje zapobiec niekontrolowanemu rozprzestrzenianiu broni jądrowej. Najpierw odkryłem, kim był kierowca wiedeńskiej ciężarówki. Dało mi to sporo do myślenia. Później dowiedziałem się o pięciu naukowcach, którzy zginęli w wypadku pod Taos. Wiedziałem, że Sokołów był jednym z najlepszych fizyków jądrowych na świecie...

- Skąd?

- David Tardiff powiedział mi, że poznał go w Moskwie. Powiedział też, że Sokołów miał duże kłopoty z wy-

jazdem do Los Alamos w ramach rosyjsko-amerykańskiej umowy.

To nieprawda - pomyślała Mariah. Tę informację Paul zaczerpnął z akt operacji CHAUCER.

Najwyraźniej chce w ten sposób ukryć fakt, że to ja dostałam się do poufnych plików.

- Rozumiem - mruknął Neville. - Proszę mówić dalej.

- Cóż, wypadek w Nowym Meksyku wydawał się całkowicie prawdopodobny. Ale jeśli nie był to wypadek rysowały się dwie możliwości: albo ludzie ci zostali zlikwidowani przez naszą stronę, ponieważ szmugłowali broń, albo też ich śmierć została zaplanowana przez dobrze zorganizowaną grupę terrorystyczną, która pragnęła w ciszy i spokoju budować swój jądrowy arsenał.

- I która z tych opcji okazała się prawdziwa?

- Żadna.

- Żadna?

- Żadna - odparł Chaney. - W Los Alamos odkryłem, że obaj Amerykanie oraz Sokołów czuli ogromną niechęć do wyścigu zbrojeń. Wyobrażałem więc sobie, że pozostali dwaj Rosjanie podzielali niechęć swych kolegów, gdyż do wyprawy do Ameryki Sokołów wybrał ich osobiście. Tym samym założyłem, że żaden z tej piątki nie był zainteresowany dostaniem się broni jądrowej w niepowołane ręce. Pojechaliśmy ich śladem aż do Taos, do baru, w którym pili, a później na miejsce samego wypadku. Po katastrofie nie zostały żadne ślady, brak dowodów. Federalni zebrali wszystko, pozacierali wszelkie ślady i zamknęli sprawę.

- A dlaczego niby mielibyśmy chcieć śmierci tych naukowców?

- Nie twierdę, że chcieliście. Chcieliście tylko, żeby wyglądało, że zginęli. Ale oni nie zginęli w tym wypadku. Odpłynęli Rio Grande łodzią. Nie wiem dokąd, lecz domyślam się, że na miejscu czekali na nich wasi ludzie.

- Rozumiem - mruknął Neville i popatrzył na Pflanza, którego spojrzenie pochmurniało coraz bardziej. - Nader interesujące spekulacje. Coś jeszcze?

- Jedna sprawa: Dieter Pflanz - ciągnął Chaney. - Widziałem, jak śledził w Wiedniu Katarinę Muller. Wiem, że jesteście panowie starymi towarzyszami broni, a także to, że Pflanz pracuje obecnie dla Angusa McCorda. Jestem też pewien, że to z osobistego polecenia McCorda wyrzucono mnie z CBN. Wybaczcie, ale z waszej strony był to ogromny błąd. Zrobiliście to mało subtelnie. Wkurzyłem się, za-' wziąłem i teraz macie kłopoty.

- Więc miałam rację, mówiąc, że McCord ma związek z przemysłem broni - odezwała się cicho Mariah.

-Mariah! - wykrzyknęli jednocześnie Chaney i Neville, spoglądając z przerażeniem w jej stronę.

- O co chodzi, Neville! - wykrzyknęła. - Nie powinnam wymawiać tutaj tego nazwiska? Powtórzę je, ile razy będzie trzeba! Nie pada zresztą po raz pierwszy. Powiedziałam Paulowi zarówno o swoim raporcie, który pan odrzucił, jak i o operacji CHAUCER.

- Mariah...

- Spokojnie, Paul. Sam powiedziałeś, że oni już nas nie wypuszczą. Zatem karty na stół, panowie. Neville siedział nieruchomo w fotelu i bębnił palcami po blacie stołu.

- Jakie więc są wasze wnioski? - zapytał wreszcie z zi-

mnym uśmiechem. - Uważacie, że Dieter, Gus McCord i ja handlujemy dla własnych korzyści bronią jądrową? Czy o to chodzi?

- Dlaczego nie zaprzestaniesz tych gier i sam wszystkiego nam nie wyjaśnisz? - westchnęła zniecierpliwiona Mariah.

Neville długą chwilę milczał, ważąc jakąś myśl. W końcu skinął głową i powiedział:

- W porządku. Lubię szczerłość, powiem więc wam co nieco w ramach rewanżu. Wszystko zaczęło się od operacji CHAUCER. Zlokalizowaliśmy broń, o której mówiła Tatiana Baranowa. Personel radzieckiego ośrodka badawczego łatwo dał się skorumpować. W dawnych czasach ludzie pracujący w ZSRR nad rozwojem tej broni mieli status osób uprzywilejowanych, ale z chwilą rozpadu państwa Rosja przestała się nimi interesować. Zostawiono ich w zamkniętych miastach, w których pozbawieni są podstawowych środków do życia. Niewiele potrzebowali czasu, by pojąć, że na ich umiejętności istnieje jednak duży popyt i że w każdej chwili mogą je zamienić na wszystko, czego pragną.

- I tu wkracza na scenę McCord - przerwała mu Mariah.

- Przedsiębiorstwo transportu morskiego, które kupił McCord, od dawna zajmowało się nielegalnym szmuglem broni z krajów bloku wschodniego. Firma dostarczała ją różnym ugrupowaniom partyzanckim i terrorystycznym na całym chyba świecie. McCord. przejął za naszą wiedzą te operacje, a my mogliśmy dzięki temu przechwytywać większość broni jądrowej szmuglowanej przez Rosjan.

Chaney pochylił się w fotelu.



- Po co mu było to przedsiębiorstwo transportu morskiego?
  - Legitymacja - powiedziała Marian i Neville skinął głową.
  - Słucham?
  - Nie można tak pp prostu wejść na rynek broni i zacząć nią handlować - wyjaśniła Mariah. - Musisz znaleźć się na nim legalnie, jeśli to w tym przypadku właściwe określenie. Zdobyć renome, opinię odpowiedzialnego handlarza i dopiero wtedy zyskać zaufanie dostawców i odbiorców.
  - Zwłaszcza jeśli chcesz wejść w tak specyficzny interes, jak handel bronią jądrową - dodał Neville.
  - Zgoda - powiedział Chaney. - McCord wyrobił sobie markę na rynku broni poprzez przejęcie firmy, która funkcjonowała w tej branży od dawna. I co dalej? Zajęli się szmuglem broni należącej do byłego Związku Radzieckiego?
  - Ogólnie właśnie tak - powiedział Neville.
  - Dlaczego więc nie powiedzieliście nam tego od razu?
  - Chaney uśmiechnął się z sarkazmem i wyprostował w fotelu. - Mój Boże, przecież to kwintesencja amerykańskiego sprytu i ducha przedsiębiorczości. Zdobywanie nowych rynków zbytu. Kto by miał to wam za złe? A jeszcze w szlachetnym celu...
- Neville, słysząc tę ironiczną uwagę, łypnął groźnie na reportera, a Pflanz - Mariah mogłaby przysiąc - zazgrzytał ze złości zębami.
- W tej sprawie chodzi o dużo więcej - powiedziała zamyślonym tonem. - Pięciu ekspertów, którzy zniknęli w Nowym Meksyku, było potrzebnych do bezpiecznego

szmuglowania sowieckiej broni jądrowej. Ale przecież sami przed chwilą stwierdziliśmy, że ich filozofia życiowa nie pozwalała im na pomoc w rozpowszechnianiu tej broni. Jaki więc w tym sens? Neville westchnął ciężko.

- Operacja ta miała dwa cele. Po pierwsze, przejmować broń dzięki skorumpowanym źródłom rosyjskim. Po drugie, uszczelnić w dalszym etapie przecieki, przez które ta broń wypływa z rosyjskich arsenałów. W tej operacji współpracuje z nami zresztą kilku oficerów i urzędników dawnego KGB.

- KGB! - wykrzyknęła Mariah. - To oni porwali Tatianę Baranową!

- Bałagan, wszystko przez bałagan... Jeden z ich wieloletnich agentów w Wiedniu odkrył, że Tatiana współpracuje z nami, i spowodował jej zniknięcie. Próbowaliśmy ją zlokalizować, lecz nasze kontakty w rosyjskim aparacie bezpieczeństwa są na razie ograniczone, a musieliśmy uważać, by nie zdradzić się z innymi sprawami.

- Powiedziałeś dwa cele - odezwał się Chaney. - Czy to znaczy, że namierzacie zarówno dostawców, jak odbiorców?

Neville skinął głową.

- Zespół naukowców z Nowego Meksyku został wysłany do pewnego zamorskiego ośrodka. Tam unieruchomili detonatory broni i usunęli z niej paliwo radioaktywne, a następnie zainstalowali urządzenia elektroniczne, pozwalające namierzyć broń w razie niebezpieczeństwa. Gdy rozbrojone pociski dotrą do odbiorców, zaczną nadawać sygnały identyfikacyjne, zbyt krótkie i rzadkie, by je wykryć - jedna

tyśnięzna sekundy na dwie godziny - ale jak dla nas to wystarczy. Nasze satelity zlokalizują rozbrojone bomby, a tym samym ich posiadaczy.

- By w odpowiedniej chwili je przejąć?

- Taką mamy nadzieję. Jak dotąd nie przejęliśmy ich zbyt wiele, za wyjątkiem kilku przenośnych rakiet, o których donosiła CHAUCER. Ale ostatnio dostaliśmy informacje o nowych, potencjalnych klientach.

Mariah i Chaney spoglądali oszołomieni na Neville'a. Z początku byli pod wrażeniem zuchwałości całego przedsięwzięcia. Zaraz jednak pojawiły się pierwsze wątpliwości.

- Wspaniała akcja - odezwał się Paul. - Dlaczego tylko panowie McCord i Pflanz, czekając na odbiorców tych rozbrojonych pocisków, handlują póki co bezkarnie bronią konwencjonalną?

- Dokonali kilku transakcji, które miały nas uwiarygodnić - wyjaśnił Neville, wzruszając ramionami. - To i tak niewielka cena.

- Niewielka! - zachnęła się Mariah.

- Daj spokój! - uciszył ją Neville. - Znasz doskonale te sprawy i wiesz, jak rozpowszechniony jest handel bronią. Gdy tylko jakiś terrorysta chce kupić karabiny lub materiały wybuchowe, od razu ustawia się do niego długa kolejka. Musimy w jakiś sposób poznać wszelkie powiązania, a nie ma lepszej metody, jak samemu wejść do gniazda os.

- Nie mówiąc o tym, że pokrywa to przy okazji koszty operacji - stwierdziła z przekąsem Mariah. - Bo nawet kieszenie Gusa McCorda mają gdzieś dno, prawda?

- A gdy jeszcze dodamy, że w myśl amerykańskiego prawa jest to nielegalne... - dołączył się Chaney.

- Kongres

od razu sprzeciwiłby się takim transakcjom, bez względu na intencje kierujące Agencją. Do tego właśnie potrzebujecie McCorda, prawda? Żeby podobne akcje nie zostały odnotowane w archiwach CIA.

- Angus McCord jest patriotą i wielkim humanistą - odezwał się nieoczekiwanie Dieter Pflanz i cała trójka odwróciła się w jego stronę. - Nie robi tego dla siebie. Robi to dla dobra Ameryki.

- Bzdura! Ten amerykański patriota i humanista gwałci amerykańskie prawo - sprzeciwił się Chaney. - To prawo właśnie ma stać na straży bezpieczeństwa naszego kraju.

- Co ty o tym wiesz, Chaney! - parsknął lekceważąco Pflanz. - Nigdy nie walczyłeś w obronie tego kraju. Gdzie byłeś, gdy nasi żołnierze przedzierali się przez dżungle Wietnamu?

- Na studiach, na które dzięki Bogu się dostałem - odpalił Paul. - Bo nie wiem, co bym zrobił, gdybym dostał powołanie do wojska. Nigdy nie popierałem tej wojny i nie czuję z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Moim zdaniem nasze władze popełniły **wówczas** wielki błąd. Ale to wcale nie świadczy, że jestem gorszym patriotą niż ty czy McCord, więc nie opowiadaj mi tutaj bzdur. Wy, chłopcy, macie w największej pogardzie prawo i instytucje naszego państwa. Jaki to patriotyzm? Pflanz zerwał się z fotela. Przez chwilę nic nie mówił.

- Ostrzegałem cię - zwrócił się po chwili do Neville'a. - Powtarzałem, że to nie ma najmniejszego sensu. Jego nic nie przekona. Ten gówniarz nie myśli rozsądnie. Pragnie tylko, by oglądano w mediach jego gębę!

- Spokojnie, Dieter. On po prostu wyraża swoje opinie.

Przejdź lepiej do kabiny pilota i pozwól mi spokojnie z nimi porozmawiać.

Pflanz zawahał się, obrzucił ich ponurym spojrzeniem, zaraz jednak odwrócił się bez słowa, zniknął w kabinie pilota i głośno zatrzaskał za sobą drzwi.

- Co teraz? - zapytał Chaney.

Neville popatrzył na niego, ciężko westchnął i przeciągnął palcami po włosach.

- Naprawdę wierzyłem, Chaney, że przekonam cię do milczenia. Opłaciliby ci się to.

- Próbujesz mnie kupić?

- Ależ skąd! Chce ci jedynie dać do zrozumienia, że Agencja usiłuje obecnie nawiązać kontakt z prasą... w każdym razie z jej rozsądnymi przedstawicielami. Potrzebuje-' my ludzi, którzy rozumieją nasze działania. My ze swojej strony możemy zapewnić pewne kontakty, które wzbudzą najwyższą zawiść wśród twoich kolegów po fachu. Sam najlepiej wiesz, że nie jesteśmy potworami. Jeśli nawet czasami okazujemy się zbyt gorliwi w wykonywaniu naszych obowiązków, bierze się to z najlepszych intencji. O tym mogę cię zapewnić z czystym sumieniem.

- Powiedz to rodzinom czterdziestu siedmiu ofiar zamachów terrorystycznych w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie - wtrąciła Marian. - Powiedz im, że pozwoliłeś McCordowi sprzedać broń terrorystom... w najlepszych intencjach.

- Nie ma żadnego związku między tamtymi zamachami a operacjami prowadzonymi przez McCorda.

- To twoja opinia - odezwał się Chaney. - Nie ma różnicy, czy sprzedajesz broń terrorystom z Afryki, Bliskiego

Wschodu, Europy czy Azji. Wszystkie te organizacje są powiązane i handlują ze sobą.

- Jeśli nie zamkniemy pudła z handlem bronią nuklearną, następnym razem zniknie z powierzchni ziemi cały Paryż, Londyn albo Nowy Jork.

- Wiem o tym, ale osłanianie parasolem ochronnym terrorystów posługujących się bronią konwencjonalną nie stanowi rozwiązania problemu. Nie można iść do łóżka z łajdakiem i mieć nadzieję, że zachowa się cnotę.

- Nie wiesz, jak to jest - odrzekł ze złością Neville. - Nie wiedzą też tego nasi kongresmeni. Tylko Gus McCord wie i dlatego zgodził się wejść na tę ścieżkę. Pomaga nam, nie licząc się z tym, co może go spotkać ze strony Kongresu.

- Mylisz się, Neville - odrzekł Chaney. - Większość życia spędziłem na rozmaitych wojnach, próbując pokazać je Amerykanom tak, by mogli sami wyrobić sobie opinię i podjąć decyzję odnośnie tego, co ma czynić ich rząd. 'Widziałem już wielu bogatych, potężnych dyktatorów, którzy działali w sekrecie, mając jak najlepsze intencje. Tacy megalomani, tacy zbawcy świata sądzą, że tylko oni wiedzą, co jest najlepsze. Ale ostatecznie zawsze cierpią na tym zwykli ludzie.

- Czy myślisz, że Amerykanów obchodzi, co robimy, dopóki nasza działalność jest skuteczna?

W tej samej chwili Mariah zauważyła, że słoneczne światło wpadające przez Uminatory zaczyna przesuwać się po ścianach kabiny.

- Dlaczego kołujemy? - zapytała głośno. - Tracimy wysokość.

338

Wyjrzeni przez okno. Tuż pod nimi rozciągały się bezludne równiny Nowego Meksyku.

Neville rozpiął niespokojnie pasy bezpieczeństwa.

- Nie wiem - powiedział. - Zaraz sprawdzę.

Wstał, odwrócił się w stronę kabiny pilota, lecz nie on otworzył drzwi. Pierwszy uczynił to z drugiej strony Dieter Pflanz. Wyszedł do przedziału pasażerskiego z pistoletem w ręku, szybkim krokiem podszedł do fotela, na którym siedziała Marian, i przyłożył jej lufę do skroni.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

- Nie zrobisz tego, Dieter - powiedział spokojnie Neville.
- Nie? To popatrz. Ty! - Wskazał Chaneya. - Wstawaj! Chaney rozpiął pasy bezpieczeństwa i dźwignął się z fotela.
- Posłuchaj, Pflanz, nie rób jej krzywdy. Zrobię wszystko, co każesz, ale ją puść wolno. To ja ją wciągnąłem w tę aferę.
- Sama jest sobie winna. Powinna trzymać się z dala od takich typów jak ty. Ostrzegałem ją.
- Ostrzegałeś? - zapytała Mariah. - Kiedy?
- Koperta, którą dałem twojej córce. Naprawdę jesteś tak mało domyślna? Próbowałem cię ostrzec, żebyś nie otwierała tej cholernej puszkę z robactwem, ale ty zaczęłaś w niej grzebać.
- Łajdak! Jak mogłeś straszyć dziecko! I inwalidę!
- Chciałem, byś zajęła się własnymi sprawami.
- Więc wynająłeś Katarinę Muller.
- Pudło.
- To skąd miałeś te zdjęcia?
- Zabrałem je od niej... zanim umarła.
- Zamordowałeś ją! Pflanz roześmiał się cicho.



- Szantażowała twego męża, zorganizowała wypadek przed szkołą twojej córki. Powinnaś być mi wdzięczna, że rozprawiłem się z nią tak szybko.
- A co z Burtonem, facetem, który próbował zabić mnie w moim domu? Czy to też było ostrzeżenie?
- Nie, ale nim zająłem się również.
- Dieter, posłuchaj mnie - wtrącił się nieoczekiwanie George Neville. - Wiem, co chcesz zrobić. To czyste szaleństwo. Domyślam się, że jesteś wściekły, ale pamiętaj, że Chaney i Marian są przyzwoitymi, przestrzegającymi prawa amerykańskimi obywatelami. Ja też nie zgadzam się z ich punktem widzenia, ale, na Boga, stoimy w końcu po tej samej stronie.
- Ja nie jestem po jego stronie. Właśnie tacy pismacy, jak Chaney zniszczyli amerykańską wolę walki podczas wojny w Wietnamie. Wysysają z tego kraju całego ducha. George, dobrze wiesz, że to co robimy jest słuszne. Nie możemy pozwolić sobie na kolejne pomyłki. Tym razem skończymy, cośmy zaczęli, i żaden wścibski reporter nas nie powstrzyma!
- Zabraniam ci! Ja się na to nie zgadzam! - zaprotestował Neville.
- Więc zejź mi z drogi. Ja nie mam skrupułów.
- Dieter, jeszcze raz ci powtarzam... - Neville wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i w tym samym momencie Pflanz ścisnął Marian za gardło. Jęknęła głośno. Wiedziała, że jest w stanie zmiażdżyć jej krtań.
- Nie rób tego - warknął. - Podnieś ręce. O, tak... I spokojnie. Ty... - skinął głową na Chaneya. - Odbierz mu broń. Mają pod marynarką. Ale nie zapominaj, że masz

to zrobić powoli, bardzo powoli... Jeden fałszywy ruch i możesz pożegnać się z tą panią. Chaney skinął głową, wsunął Neville'owi dłoń pod marynarkę i ostrożnie wyjął broń z kabury na ramieniu.

- Dobra. Teraz wyciągnij magazynek, a pistolet połóż na kanapie - polecił Pflanz. - Doskonale. A teraz wysyp na podłogę naboje z magazynka.

Kiedy pociski rozsypały się po dywanie, a Chaney odrzucił pusty- magazynek, Pflanz puścił szyję Mariah i poklepał ją po ramieniu.

- Wstawaj - rozkazał.

Rozpięła pas i podniosła się z miejsca. . Pflanz wciąż trzymał dłoń na jej ramieniu, a do skroni przyciskał lufę pistoletu. Podprowadził ją do luku samolotu i skinął na Paula.

- Podejź tu, Chaney. Tak, dobra... Teraz otwórz klapę.

- Na Boga, Dieter, nie rób tego! - zawołał Neville.

- Zamknij się, George! Słyszałeś; Chaney? Kazałem ci otworzyć klapę.

Reporter chwilę na niego spoglądał, po czym podniósł powoli rygiel. Kłapa uniosła się lekko i do wnętrza maszyny zaczęły wpadać potężne podmuchy wiatru. Pflanz popchnął Mariah w ramiona Chaneya i stanął po drugiej stronie uniesionej klapy

- W porządku, teraz jak chcecie: po kolei albo razem. Wybór zostawiam wam - odezwał się, przekrzykując hałas silników i huk wiatru.

Mariah kurczowo trzymała się kurtki Chaneya i spoglądała szeroko rozwartymi oczyma na Pflanza, jakby nie wierzyła, że wszystko to dzieje się naprawdę. Lecieli kilkaset

metrów nad bezludną pustynią, za chwilę mieli zostać wyrzuceni na zewnątrz...

- Pośpieszcie się! - znów wrzasnął Pflanz. - Nie będziemy tak latać przez cały dzień! Dajcie krok do przodu, albo was zastrzelę i wypchnę. Ruszajcie się!

- Nie! - krzyknęła Mariah. - Idź do diabła, Pflanz! Nie ujdzie ci to na sucho!

- Doprawdy? A kto wie, gdzie jesteście? Nikt. Kiedy już waszymi ciałami zajmą się kojoty i sępy, do wiosny nie zostanie po was śladu.

Chaney i Mariah wciąż nie ruszali się z miejsca. Pflanz niecierpliwie machnął pistoletem.

- Skoczę pierwszy - powiedział w końcu Chaney.

- Paul, nie!

Popatrzył ponuro na otwarte drzwi.

- Wolę to mieć za sobą... Nie znoszę długich pożegnań. A swoją drogą - dodał, spoglądając jej w twarz i dotykając policzka - wciąż uważam cię za najwspanialszą kobietę, jaką spotkałem w swoim życiu.

Oderwał od kurtki jej palce, popatrzył na nią po raz ostatni i przesunął się w stronę Pflanza.

Następny jego ruch był błyskawiczny i zaskakujący. Odwracając się w stronę drzwi, zatoczył ręką szybki łuk i trafił Pflanza zaciśniętą pięścią w nadgarstek. Ten z niedowierzaniem popatrzył na dłoń, z której szerokim łukiem wypadł pistolet, odbił się od podłogi i zniknął za otwartymi drzwiami samolotu.

Zaraz jednak sytuacja wróciła do normy. Pflanz chwycił Chaneya za klapę kurtki i wyrznął go pięścią w twarz. Chaney upadł z impetem na podłogę, lecz Pflanz nie pozwolił

mu dojsć do siebie. Doskoczył do niego i obaj zaczęli mocować się tuż przy otwartym luku. Chaney, oszołomiony po otrzymanym ciosie, kurczowo zaciskał dłonie na koszuli przeciwnika, gotów pociągnąć go za sobą w razie mocniejszego pchnięcia.

Jednak Pflanz mocnym szarpnięciem ramion oderwał od siebie ręce Chaneya, chwycił go za kurtkę i zamierzał właśnie wyrzucić go na zewnątrz niczym szmacianą lalkę, gdy nagle zawahał się i zatrzymał.

W pierwszej chwili Mariah pomyślała, że zaskoczył go jej wrzask, lecz natychmiast uświadomiła sobie, że to nie to. Ujrzała na torsie Pflanza niewielką czerwoną kropkę, która gwałtownie rozkwitła szkarłatem i zaczęła się powiększać. Pflanz z niedowierzaniem popatrzył na koszulę, następnie przeniósł wzrok na Chaneya, na Mariah i jeszcze dalej, w głąb kabiny. Twarz wykrzywił mu okropny grymas. Wciąż szczepiony z reporterem, zaczął przechylać się w stronę ziejącej pustki wypełnionej błękitnym niebem.

Mariah skoczyła w ich stronę. Chwyciła Paula za pasek od spodni i pociągnęła z całych sił w swoją stronę. Niestety, Pflanz był zbyt ciężki. Jej nogi poślizgnęły się na dywanie i cała trójka powoli zaczęła przechylać się w stronę drzwi. Chaney rozpaczliwie próbował oderwać od swojej kurtki zaciśnięte na niej palce Pflanza, ten jednak wciąż trzymał mocno. Trwali tak jakiś czas, przerażeni i pewni rychłej śmierci, i dopiero gdy spostrzegli, że w miarę powiększania się szkarłatnej plamy uścisk Pflanza słabnie, uwierzyli, że to może jeszcze nie koniec.

Mariah ponownie szarpnęła Paula w swoją stronę i oboje gwałtownie polecili w głąb kabiny. Pflanz zamachał ręką

mi, szukając jakiegoś oparcia, ale zagarnął tylko palcami powietrze. Wypełnione wściekłością oczy zaśniły mu diabelskim blaskiem, rozpostarł ramiona jak skrzydła i uleciał w błękit wypełniony jaskrawym, porannym blaskiem.

Mariah i Chaney wciąż leżeli na podłodze odrzutowca. Popatrzyli w stronę Neville'a, który tkwił przykucnięty za jednym z foteli, trzymając w obu dłoniach wyciągnięty pistolet; ten sam pistolet, który odebrał Mariah w parku w Los Alamos i schował do kieszeni płaszcza; pistolet Franka. Po chwili dźwignął się na nogi, szybko podszedł do klapy, zamknął ją i zasunął rygiel.

- Nic wam nie jest? - zapytał. - Wybaczcie, muszę zamienić słówko z pilotem i wykonać kilka telefonów. Wracamy do domu. - Powiedziawszy to, zniknął w kabinie pilota i po chwili samolot wzniósł się i wziął kurs na wschód.

Mariah odwróciła się do Chaneya i bez słowa zarzuciła 'raju ręce na szyję. Przytulił ją i długo trzymał w mocnym uścisku.

- Dzięki za pomoc - powiedział w końcu schrypniętym głosem. - Myślałem, że już po mnie.

Próbował się uśmiechnąć, lecz tylko skrzywił się z bólu. Mariah dotknęła delikatnie jego twarzy, po czym go pocałowała; najpierw w policzek, później w usta.

Gdy jakiś czas potem wrócił do nich Neville, siedzieli na kanapce w tyle kabiny, trzymali się za ręce i prowadzili cichą, intymną rozmowę. Neville usiadł na wprost nich i popatrzył na szczęśliwą parę z wyrazem znużenia.

- Zwołałem ekipę, która odszuka jdggo ciało - powiedział.

- Zrobił pan dla niego więcej, niż on był gotów uczynić dla nas - zauważyła z goryczą Mariah.
- Przykro mi, że tak to się skończyło. Nie chcę go usprawiedliwiać, ale powinniście wiedzieć, że to nie był zły człowiek. Nigdy nie pożył dla siebie pieniędzy czy władzy. Nie miał może zbyt subtelny umysł, lecz wierzył głęboko w słuszność tego, co robi.
- Czy był pańskim przyjacielem? - spytał Chaney.
- Wiele wspólnie przeszliśmy. Nie raz uratował mi życie.
- Nie było więc panu łatwo to zrobić - stwierdziła cicho Mariah.
- Musiałem. Ale ja też nie jestem złym, człowiekiem. Wiem, że nie masz o mnie najlepszego zdania, Mariah, lecz w świecie, w jakim przyszło nam żyć, nie zawsze możemy dokonywać idealnych wyborów. Nikt nie chce, by w progu jego domu wylądowała bomba atomowa, ani też nikt nie pragnie mieć nad głową naszych żołnierzy w roli policjantów. Stając twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, trzeba dokonywać trudnych wyborów, a opcji bywa niewiele. Taka już jest ta nasza cholerna praca.
- Co się teraz stanie?
- Zakończymy tę operację, choćby z tego względu, że nie możemy jej ciągnąć bez Pflanza. On był osią całej akcji. Poza tym, jeśli nie pan, panie Chaney, to ktoś inny z pańskich kolegów w najbliższym czasie wywlecze sprawę na światło dzienne, a Kongres nie pogłuszcze nas za to po główkach. Tak czy owak, moja kariera dobiega końca. Chciałbym prosić tylko o jedną przysługę. Nie dla siebie...
- Jaką?
- Nasi agenci negocjują właśnie z nabywcami tej uszko-

dzonej rosyjskiej broni. Jeśli cała historia nabierze rozgłosu, z pewnością zginą. Czy mógłby pan wstrzymać się nieco z rozpowszechnianiem swych rewelacji, panie Chaney?

- A czy pan może mnie zapewnić, że McCord przestanie szmuglować broń?

- Daję słowo honoru - odrzekł Neville. - Operacja została właśnie definitywnie zakończona.

- Cóż, i tak jestem bez pracy, mogę poczekać - mruknął Chaney i popatrzył na Mariah. - Poza tym rozpocząłem to śledztwo nie ze względu na korzyści zawodowe.

- Doceniam pańskie osobiste zaangażowanie, panie Chaney.

- I nie przestanę śledzić dalszego ciągu tej historii. Jeśli znajdę jakikolwiek dowód na to, że pańscy ludzie kontynuują mimo wszystko działalność sprzeczną z prawem, podniosę raban. Taka już jest ta moja cholerna praca.

- Wiem. I choć pan również przekracza czasem dozwoloną granicę, rozumiem, że pańskie zajęcie jest równie ważne. A zatem zrozumieliśmy się? - Chaney skinął głową. - A co z tobą? - Neville zwrócił się do Mariah.

- Dla mnie to wcale nie koniec.

- Jak to?

- Muszę wiedzieć, kto naprawdę wynajął Katarinę Muller, by szantażowała mego męża.

- Zawsze zakładaliśmy, że dokonała tego ta sama grupa z rosyjskiego wywiadu, która porwała Tatianę Baranową. I zgadzam się z tą opinią wbrew temu, co wyznała przed śmiercią Katarina Muller.

- Pflanzowi? A co mu wyznała?

- Że nigdy nie widziała ludzi, którzy ją Wynajęli. Zle-

cenie przekazane zostało drogą telefoniczną, a pieniądze przekazem. Powiedziała, że osoba, która z nią rozmawiała, mówiła po angielsku z amerykańskim akcentem.

- I nie wydało się to panu dziwne?

- Metoda, nie. To zwykły sposób. Pieniądze transferowane są wielokrotnie na specjalne konta i dlatego trudno wytropić ich pochodzenie. Co zaś do akcentu, wielu agentów KGB znakomicie posługuje się angielskim z amerykańską wymową. Kiedy Müller i wynajęty przez nią kierowca ciężarówki zginęli, myślałem, że to robota Rosjan. Dopiero później Pflanz zdradził mi, że to on wszystko posprzątał.

- A jeśli to nie Rosjanie wynajęli Müller?

- Dlaczego tak przypuszczasz?

- Czy wiesz, w jaki sposób szantażowała mego męża? Mam na myśli okres, zanim jeszcze zaciągnęła go do łóżka.

Neville skinął głową.

- Kiedy moi ludzie w Wiedniu odkryli ten fakt, twój mąż oświadczył im, że Müller groziła, iż zniszczy waszą córkę. Zdjęcia łóżkowe stanowić miały zapewne dodatkową obelgę; taką ekstra amunicję. On próbował jedynie chronić wasze dziecko.

- A czy wiesz, w jaki sposób mogła zniszczyć naszą córkę, co mogła jej zrobić? - Neville zawahał się i popatrzył na Chaneya. - Możemy być szczerzy - dodała Mariah. - Paul o wszystkim wie.

- Wiem, że David Tardiff nie był biologicznym ojcem waszej córki - odezwał się Neville. - Müller wyznała przed śmiercią Pflanzowi, że miała na twego męża haka. Groziła, że ujawni waszemu dziecku prawdziwe pochodzenie.

- Ale skąd ona o tym wiedziała?



- Sądzę, że od ludzi, którzy ją wynajęli.

- Od pańskich ludzi, panie Neville.

- Go?

- Tak właśnie musiało być. Poza Davidem i jego lekarzem prawdę znał jedynie Frank Tucker. Zdradził panu tę tajemnicę, a pan ją wykorzystał. Jednego tylko nie rozumiem: jaki cel miała ta gra.

Neville siedział nieruchomo na krześle i spoglądał na nią baranym wzrokiem.

- To jakaś paranoja. Nie znałem prawdy o twojej córce aż do zeszłej nocy, kiedy to powiedział mi o tym Pflanz. Może i Tucker znał prawdę, ale nic mi nie powiedział. Do diabła, Marian, uważasz mnie chyba za największego łajdaka pod słońcem. Nie jestem aniołem, to fakt, ale chronię własnych ludzi, a ciebie póki co do nich zaliczam. Przysięgam, do wczoraj nie znałem prawdy o twojej córce.

- Ja też nie - powiedziała cicho Marian. - Nie wiedziałaś?

- Nie wiedziałam, że David został na trwałe okaleczony i że nie może mieć dzieci. Kiedy zaszłam w ciążę, zdawałam sobie sprawę, że istnieje szansa, że to nie on jest ojcem dziecka, ale stanowczo odrzucałam tę możliwość. Po pewnym zaś czasie byłam święcie przekonana, że ojcem Lindsay może być tylko David.

- Ale Tucker wiedział. Wiedział od początku, czy tak? - Oczy Neville'a rozbłysły gwałtownie, - Czy Frank Tucker jest ojcem twego dziecka?

Mariah odwróciła wzrok i w milczeniu skinęła głową.

- Do diabła! - sapnął Neville. - Muszę wszcząć śledztwo w jego sprawie. To wygląda paskudnie.

- Pozwól, że najpierw ja z nim porozmawiam.

- Niedobry pomysł.

- Proszę. Bóg mi świadkiem, że Frank jest mi winien pewne wyjaśnienia. Na przekór wszystkiemu nie wierzę, by chciał mi lub mojej rodzinie wyrządzić krzywdę. Proszę, daj mi szansę samej dojść prawdy. Neville przez dłuższą chwilę bębnił w zadumie palcami po kolanie.

- Zgoda - oznajmił wreszcie. - Zwróć się do niego pierwsza. Ale musisz mieć przy sobie mikrofon.

Nagrywaj wszystko. Tucker może okazać się bardzo niebezpieczny.

- Nie dla mnie. Mnie nigdy by nie skrzywdził. Bez względu na to, co zrobił, jestem tego pewna.

- Bez mikrofonu nie zbliżysz się do niego. To mój warunek.

W kwaterze głównej CIA w Langley pojawili się wczesnym wieczorem. Wartownik powiedział im, że Frank Tucker poszedł właśnie do domu, George Neville zaprowadził więc Mariah do wydziału technicznego, gdzie zainstalowano na jej ciele ukryty mikrofon i nadajnik. Następnie pojechała do domu po samochód, Chaney zaś został z Nevillem w Agencji. O dziewiętnastej trzydzieści w domu Tuckera w Alexandrii rozległ się dzwonek przy drzwiach.

- Mariah? Gdzieś ty się podziewała? - wykrzyknął gospodarz na jej powitanie. - Patty dzwoniła wczoraj do rodziców Davida. Powiedzieli, że wyjechałaś do nas. Potem zadzwonił Neville z wiadomością, że zniknęłaś. Pytał, czy nie wiem, gdzie można cię znaleźć. Co się dzieje?

- Wybrałam się w podróż.

350

- W podróż? Na Boga, dokąd?

- Do Los Alamos.

Frank Tucker dał krok do tyłu.

- Musimy porozmawiać - dodała, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Skinął głową i ruszył za nią korytarzem do salonu. Na choince mrugały lampki, a podłoga zasłana była ilustrowanymi książkami i zabawkami.

- Co robisz? - zainteresowała się Marian.

- Porządkuję dziecięce rzeczy. Carol chce zabrać dla dzieciaka swoje dawne książki. Oddzielam jej rzeczy od rzeczy Stephena. Zdejmij płaszcz, odniosę go na wieszak.

Mariah pokręciła głową.

- O co chodzi, Mariah? Dlaczego nie siadasz? Uniosła wzrok i popatrzyła mu prosto w oczy.

- W Los Alamos rozmawiałam z Rachel Kingman. Tucker usiadł na krześle, lecz wytrzymał jej spojrzenie.

- Zapamiętała ciebie.

- Mariah...

- Frank, przez wszystkie te lata... przez wszystkie lata wiedziałeś, że Lindsay jest twoim dzieckiem, ale ani razu nie zająknąłeś się na ten temat Jak mogłeś tak po prostu się jej wyrzec?

- A jak mogłem się nie wyrzec?

- Zdaję sobie sprawę, jak bardzo było ci ciężko, ale czy nie przeszkadzało ci, że kto inny rości sobie do niej prawa?

- Bardzo przeszkadzało. Wiesz jednak dobrze, że nie mogłem domagać się swych praw. Wiedziałem, jak bardzo zależy ci na tym, aby jej ojcem był David.

**351**

- David wiedział. I też milczał.

- Nie wiń go za to. To był mój pomysł.

- Twój pomysł? Rozmawialiście na ten temat? Prowadziliście grę, żebym o niczym się nie dowiedziała?

- A co by ci przyszło z poznania prawdy?

- Niewiedza wcale nie jest błogosławieństwem, Frank.

- Może nie, ale czasem jest lepszym rozwiązaniem niż prawda. Posłuchaj, moje dzieci były jeszcze niemowlętami, a ja już wiedziałem, że pewnego dnia stracę Joanne. Rzuciło to na nasze życie czarny cień. Nie chciałem, by podobny los spotkał ciebie.

- Ale dlaczego on mi nic nie powiedział?

- Bał się. Wiedział, że się domyślisz, jakie konsekwencje może mieć dla niego tamto napromieniowanie.

- Więc dlaczego wybrałaś się do Los Alamos?

- Kiedy zaczęliśmy ze sobą żyć, poleciłem w biurze bezpieczeństwa wziąć pod lupę przeszłość Davida. Wiedziałem, że solidnie już go sprawdzili, kiedy zaczął pracować w laboratorium, ale fakt, że tak nieoczekiwanie wrócił do ciebie, wydał mi się podejrzany. Powiem szczerze: jednocześnie ukłuła mnie lekka zazdrość, choć przecież nie spodziewałem się niczego po naszym związku. Popełniliśmy kiedyś błąd. Współczułaś mi. A jednak miałem pewne nadzieje. Może było to egoistyczne, ale po raz pierwszy zacząłem wierzyć, że po śmierci Joanne będę mógł sobie jeszcze ułożyć życie. Tak czy owak, kiedy odkryłaś, że jesteś w ciąży, na moim biurku wylądował raport wydziału bezpieczeństwa wyjaśniający powód odejścia Davida z laboratorium. Pojechałem więc i sam wszystko sprawdziłem. Spotkałem się z doktor Kingman.

Po powrocie odwiedziłem Davida i powiedziałem mu, co wiem.

- Czy David wiedział, że to ty? Tucker wzruszył ramionami

- Nie jestem pewien... Może się czegoś domyślał. Po prostu powiedziałem, że ojciec dziecka jest żonaty i nie zamierza nigdy dochodzić praw rodzicielskich. David najwyraźniej był z tego rad.

Mariah usiadła na kanapie i zaczęła wpatrywać się w podłogę. Po chwili Frank wstał z krzesła i zajął miejsce obok niej.

- Mariah, zrozum mnie. Nigdy bym nie opuścił ani ciebie, ani dziecka. Ale wiedziałem, że nie jesteś mi pisana... ani ja tobie. Nigdy nie miałem co do tego złudzeń. Ustąpienie miejsca Davidowi wydawało mi się najrozsądniejszym rozwiązaniem.

- David nas krył, prawda?

Może. Ale co miałem zrobić? Wyznać Joanne prawdę? Powiedzieć o wszystkim Carol i Stephenowi? Miałem czterdzieści trzy lata, śmiertelnie chorą żonę i dwoje dzieci, z których jedno przystało właśnie do zbuntowanej młodzieży. Ty miałaś dwadzieścia pięć lat, byłaś zakochana w innym mężczyźnie, miałaś przed sobą całe życie. Nie stanowiłem żadnej konkurencji. David był lepszym kandydatem na ojca.

Mariah spoglądała na jego wykrzywioną bólem twarz. Ciężko westchnęła i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Och, Frank, tak mi przykro, że narobiłam tyle zamieszania.

- To mi jest przykro. Ty dałaś mi nowe siły, a za swoją

dobroć spotkało cię jedynie zło. Chciałbym wrócić do **przeszłości** i wszystko zmienić.

- A ja nie. Jeśli miałyby to oznaczać, że na świecie nie pojawiłaby się Lindsay... David pierwszy to zrozumiał. Przepraszam cię za mój gniew. Widzę teraz, że podjąłeś właściwą decyzję. Ale i ty byłeś dobrym ojcem... jesteś nim. Nie możesz w to ani przez chwilę wątpić.

Po tych słowach z korytarza dobiegło pogardliwe parsknięcie i w progu salonu pojawiła się barczysta postać, na widok której Mariah podszedł żołądek do gardła.

- Stephen!

- Podśluchiwałeś! - warknął Frank. - Jak długo?

- Usłyszałem, co trzeba. Zobaczyłem jej samochód przed domem, więc wszedłem.

- Co tutaj robisz o tej porze? Nie jesteś w pracy?

- Dzisiejszą noc mam wolną, Carol powiedziała, że sortujesz nasze rzeczy, więc wpadłem, by sprawdzić, czy czegoś nie pomyliłeś.

- Jasne, że nie.

- Naturalnie, nie taki ojciec jak ty. - Znów pogardliwie parsknął, taksując wzrokiem Franka i Mariah. - Stanowicie wspaniałą parę. Od początku wiedziałem, że prędzej czy później znów się zejdziecie.

- Co ty wygadujesz?

- Jak to co? Zawsze coś podejrzewałem. Nawet kiedy jeszcze żyła mama. Zawsze w obecności Mariah zachowywałeś się dziwnie. Mama była zbyt ufna i prostolinijna, by to dostrzec. Nie wiedziała, co wyprawia się pod jej bokiem. A ja wiele razy zastanawiałem się, czy jesteś wobec niej uczciwy.

- Dosyć! - krzyknął Frank, zrywając się z kanapy.
- I w końcu doszedłem prawdy - nie przestawał mówić Stephen. - Oszukiwałeś mamę. A ty - odwrócił się do Mariah - wmówiłaś jego dziecko Davidowi. Twój mąż był wspaniałym człowiekiem, a ty zrobiłaś z niego durnia.
- Stephen, ostrzegam!
- Daj spokój, Frank - odezwała się cicho Marian. - Gniew nic nie pomoże. Wszyscy tu zwariujemy, jeśli nie powiemy sobie prawdy. Posłuchaj, Stevie, to nie było tak. Niczego nie rozumiesz.
- Oszczędź sobie tych żalosnych wykrętów.
- Nie, posłuchaj. Raz popełniliśmy błąd. I stało się to z mojej winy, nie z winy twego ojca. On bardzo kochał twoją matkę. Dobrze o tym wiesz...
- Kochał ciebie. Kochał wtedy i kocha teraz.
- Stephen, dosyć! Natychmiast ją przeproś!
- Dobre sobie! To ty jej powiedz, że o niej nie zapomniałeś. Powiedz, że wciąż ją kochasz. Powiedz jej o tym hasle.
- Słucham?
- Hasło w twoim komputerze. Wtedy dopiero wszystko zrozumiałem.
- O czym ty mówisz?
- Pewnej nocy, jakieś półtora roku temu, wszedłem do twego systemu i złamałem kod główny. Odkryłem, że hasło brzmi MARIAH. W kilka tygodni później, gdy przyszła pora zmienić to hasło, znów się włamałem. - Stephen odwrócił się do Marian. - Ciekawe, czy zgadniesz, jak brzmiało to nowe. Wiesz jak?
- Nie wiem.

- LINDSAY. Niespodzianka, co? A wiesz, jak brzmiało hasło w jeszcze następnym miesiącu? Znów MARIAH. -Pogroził ojcu palcem. - To nieładnie, tato. Masz obowiązek co miesiąc wymyślać nowe słowo. A ty co? MARIAH-LINDSAY-MARIAH-LINDSAY... i tak miesiąc po miesiącu.

- To nic nie znaczy. Miałem na głowie wiele trosk. Nie doszukuj się czegoś tam, gdzie nic nie ma.

- Troski! I te troski kazały ci w zeszłym roku zmienić testament?

- Skąd o tym wiesz? — spytał nieswoim głosem Frank.

- Kiedy zacząłem sprzedawać swoje gry, potrzebowałem prawnika. Udałem się więc do naszego.

Pewnego dnia wpadłem do jego biura, by rzucić okiem na kontrakt. Zatrudnił akurat nową sekretarkę, która nie domyśliła się, że Stephen F. Tucker to ktoś inny niż Frank Tucker. Dała mi więc do wglądu dwa dokumenty.

- Boże, nie... - Frank przeciągnął dłonią po łysej czaszce i głęboko odetchnął.

- O co chodzi? - spytała zupełnie zbita z tropu Mariah. - Co takiego zrobiłeś?

Stephen odwrócił się w jej stronę.

- Wprowadził do swego testamentu Lindsay. Jedną trzecią majątku przepisał na anonimową osobę. Tylko jego prawnik wiedział, kim ona jest - dziecko z nieprawego łoża, dziecko Franka Tuckera i Mariah Bolt.

- Dlaczego to zrobiłeś, Frank? - spytała zdumiona Mariah.

- To i tak niewiele. Chciałem zapewnić jej lepszą przyszłość.



- Ona nie potrzebuje twoich pieniędzy. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje moja córka.
- Daj spokój - uśmiechnął się blado Frank. - Wiem, że jesteś honorowa, ale...
- To nie ma nic wspólnego z moim honorem. Gdy dorośnie, pieniędzy będzie miała w bród. Po śmierci mojej matki zostałam jedyną spadkobierczynią wielkiego Benjaminu Bolta. Jego książki już zarobiły fortunę. Ale ja nie chciałam od niego ani grosza. Kiedy więc urodziła się Lindsay, cały ten majątek i wszelkie prawa autorskie przepisałam na nią.
- Nie wiedziałem... po prostu uznałem, że tak będzie najwłaściwiej - odparł bezradnie Frank.
- Ech, co wy oboje możecie wiedzieć o tym, co jest właściwe, a co nie? - zapytał z pogardą Stephen. - Zrobiliście durniów z dwojga najwspanialszych ludzi, jakich znałem, z Davida Tardiffa i z mojej matki. W niczym sobie nar tą nie zasłużyli. - Okrągłą twarz Stephena wykrzywił grymas nienawiści, policzki miał mokre od łez. Popatrzył znów na Mariah. - David był dla ciebie taki dobry. Przyjął cię, choć byłaś w ciąży z innym. A ty jak mu odpłaciłaś? Ledwie umarł, rzuciłaś się w ramiona temu Chaneyowi.
- To nieprawda!
- Prawda, prawda. Obserwowałam was podczas przyjęcia, tego samego wieczoru, kiedy umierał David. Chaney nie spuszczał z ciebie wzroku, nieustannie cię dotykał. A później zostawiłaś Lindsay u Carol, byście mogli być sami.
- Grubo się mylisz! Kochałam Davida! Jak możesz opowiadać takie bzdury? Naprawdę nie wiesz, dlaczego zosta-

wiłam Lindsay u Carol? Tego dnia o mało nie zostałam zamordowana we własnym domu! Panował w nim okropny bałagan, więc nie chciałam, by Lindsay się przestraszyła.

- Rollie Burton powinien był wykonać swoją robotę -odparł mściwie Stephen i po tych słowach w salonie zapadła ogłuszająca cisza, którą przerwał dopiero pisk opon hamującego za oknem samochodu.

- Skąd znasz to nazwisko? - zapytał Frank.

Stephen rozejrzał się nerwowo, przestąpił z nogi na nogę. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku wejściowych drzwi i schował twarz w dłoniach, jakby bał się, że za chwilę spotka go jakaś krzywda. Z przedpokoju dobiegł głos jego siostry:

- Nie przeszkadzajcie sobie, to tylko ja! Wpadłam, żeby pomóc uporządkować te rzeczy. - Stała w progu z uśmiechem i ściągnęła szybko płaszcz. - O, cześć, widzę, że cała paczka w komplecie. Witaj, Mariah. Nie wiedziałam, że jesteś... - zamilkła, widząc ponure miny całej trójki. - Coś się stało? Tato, o co chodzi?

Tucker popatrzył na Carol, uciszył ją gestem dłoni i znów odwrócił się do syna.

- Czekam na odpowiedź, Stephen. Skąd znasz imię i nazwisko człowieka, który próbował zamordować Mariah?

- Od ciebie,

- Nie, ja ci o nim nie wspominałem.

- Więc od Mariah. Wymieniła je na przyjęciu. Mariah pokręciła głową.

- Wtedy nie wiedziałam jeszcze, kto mnie zaatakował. Dowiedziałam się dopiero później, od policji.

358

- Cóż, musiałem zatem dowiedzieć się o tym z systemu komputerowego, do którego się włamałem.  
- W żadnej z kartotek Agencji nie ma wzmianki na ten temat - wtrącił cicho Frank. - To ty, Stephenie? Czy to ty wynająłeś Burtona, żeby zabił Mariah?

- Tato! - wykrzyknęła Carol. - Co ty mówisz? Steve nie byłby zdolny do czegoś takiego! Stevie, na Boga, powiedz im!

- Nie doszłoby do tego, gdyby tamtego ranka była tam, gdzie powinna być, a nie David... - zaczął Stephen, lecz jego głos zaraz się załamał. Chłopak wbił w sufit pełen udręki wzrok, otarł łzy wierzchem dłoni. - Do diabła! - jęknął. - Nie powinieneś tam wtedy być, Davidzie! Wybacz mi! Nie chciałem cię skrzywdzić!

Dopiero teraz Mariah zrozumiała, kim był dla Stephena jej mąż. Syn Franka Tuckera sprawiał wrażenie, jakby spotkało go największe możliwe nieszczęście. Pod jego rozpaczą krył się podziw, uwielbienie dla Davida, nie przyjaźń już, lecz miłość.

Tak, właśnie miłość.

Kolejne słowa potwierdziły jej domysły. Stephen włożył ' rękę do kieszeni i popatrzył na zgromadzonych wzrokiem, w którym jaśniał dziwny blask.

- Wyznałem mu kiedyś, co do niego czuję - powiedział. - I David mnie nie odtrącił. Nie odwrócił się ode mnie, tylko oświadczył, że nie może mnie wprawdzie kochać tak, jak tego pragnąłem, lecz może zaoferować mi przyjaźń. Chciał być moim przyjacielem, rozumiecie? Był nim...

- Stevie, ja też go kochałam.

- Ty na niego nie zasługiwałaś! - przerwał jej. - Kiedy to odkryłem, postanowiłem dać ci nauczkę.
- Katarina Müller?
- Jaka znowu Katarina Müller? - spytała Carol.
- Kobieta, która uwiodła i szantażowała Davida, a na koniec próbowała zabić mnie w Wiedniu. Z tym tylko, że w samochodzie zamiast mnie znajdował się David i Lindsay. Katarina Müller pracowała dla Stephena.
- To niemożliwe! - zaprotestowała Carol. - On nie zna takich ludzi, on w ogóle zna niewielu ludzi. Sama wiesz, że nawet nigdzie nie wychodzi. Cały swój czas dzieli między dom, gry komputerowe i pracę. Stevie ma pewne problemy, przyznaję, ale na pewno nie wynajmuje płatnych zabójców.
- Mógł to zrobić bez wychodzenia z własnej sypialni - wyjaśniła Mariah. - Ma tam wszystko, co potrzeba. Komputer, modem, telefon. Nie wiem, w jaki sposób dotarł do Katariny Müller, ale przy dochodach, jakie czerpał ze sprzedaży gier, stać go było na taki wydatek.
- Dlaczego to zrobiłeś, synu? - zapytał Frank. - Mor^ derstwo? Stephenie, dlaczego?
- Stephen już nie starał się niczego ukrywać. Był spokojny niczym skazaniec, który pogodził się z losem. Po jego twarzy płynęły łzy, jednak oczy miał jasne, niemal pogodne.
- Początkowo nie zamierzałem jej zabijać - mówił. - Najpierw pomyślałem sobie, że byłaby to bardzo poetycka zemsta, gdyby David nawiązał romans z inną kobietą. Mariah musiała oczywiście o wszystkim się dowiedzieć, więc potrzebowaliśmy odpowiednich zdjęć. Wynikły jednak pewne problemy. David nie dawał się usidlić, choć Müller próbowała wszystkich sztuczek. Po prostu nie przejawiał naj-

mniejszego zainteresowania. Aż wreszcie dostarczyłem jej odpowiedniej amunicji.

- Wciągając w spisek Lindsay?

- Przecież od samego początku głęboko w tym tkwiła - warknął Stephen, lecz po chwili twarz znów mu złagodniała. - Nie chciałem, by przytrafiło się jej coś złego. Ostatecznie ona nie była niczemu winna. Po prostu została w to wszystko wmanewrowana.

- Ale dlaczego? - powtórzył Frank. - Po co? Przecież nie zamierzałeś zabijać Mariah, sam to przed chwilą powiedziałeś. Co sprawiło, że zmieniłeś zamiary?

- Prowadziłem podgląd meldunków z Wiednia i wiedziałem, że David robi wszystko, by opuścić Austrię. Pomyślałem, że jeśli wyjedzie z całą rodziną, moja zemsta się nie uda i Mariah nawet się nie dowie, co jej przyszykowałem. Wkurzyłem się. Chciałem jej dopiec. I właśnie wtedy natrafiłem na kartotekę CHAUCER i wzmiankę o zniknięciu rosyjskiej informatorki. Tak, tak, Mariah, od początku znałem tę kartotekę. Przyszło mi do głowy, że jeśli teraz coś ci się przytrafi, całą winą obarczą Rosjan. Trafiła mi się okazja... Ale wszystko poszło nie tak i ucierpiał na tym David. To twoja wina! To ty miałaś być w tym samochodzie! Kiedy zobaczyłem Davida w domu opieki, kiedy przekonałem się, co się z nim stało, zrozumiałem, że musisz za to zapłacić. Wynająłem Burtona, by dokończył dzieła...

Stephen dał krok w stronę drzwi i wyciągnął ręce z kieszeni. W dłoni trzymał rewolwer, celował prosto w głowę Mariah.

- Ale Button również spartolił robotę - ciągnął. - Powinienem był to przewidzieć. Nikomu nie można ufać. Lu-

dzie zawsze w końcu cię zawiodą, najlepiej samemu brać się za najtrudniejsze sprawy.

- Odłóż broń, dziecko - odezwał się łagodnie Frank.

- To już koniec. Wiesz, że z tego nie wyjdiesz.

- I co z tego? Po tym, co przytrafiło się Davidowi, nie dbam o nic. To jej wina i aż mdli mnie na myśl, że mogłaby wykręcić się sianem.

- Wykręcić się sianem? - zawołała wzburzona Mariah.

- Tak nazywasz to wszystko, co mnie spotkało?

- To za mało!

-•- Uspokój się, Stephen, tak naprawdę to jesteś zły na mnie - powiedział Frank. - Daj więc spokój Mariah i porozmawiaj z własnym ojcem.

- Bronisz jej. Rozumiem. A jeśli chodzi o ciebie, to czuję coś więcej niż złość. Nienawidzę cię, tato. Chcę, żebyś cierpiał, cierpiał okrutnie. A niczym nie sprawię ci większego bólu...

- Stevie, nie! - wrzasnęła Carol. - To czyste szaleństwo!

- Cicho! Nie wiesz, co zrobili, Carol? Niczego nie rozumiesz? Jeśli tak, to trzymaj się od tego z daleka.

- Czego nie wiem? Czego me rozumiem? Tego że Lindsay jest naszą przyrodnią siostrą? Wiem o tym!

- Co? - Stephen popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Wiem - powtórzyła. - Proszę cię, odłóż tę broń.

- Jak się dowiedziałaś? - spytała szeptem Mariah.

- Zaczęłam coś podejrzewać, gdy wróciłyście z Wiednia i zobaczyłam Lindsay. Bardzo wyrosła i niebywale się zmieniła. Gdy wyjeżdżaliście, była małą dziewczynką, a po waszym powrocie ujrzałam młodą damę.

- Ale jak...?

Wszyscy w salonie zamarli i spoglądali na Carol, która podeszła do polki z książkami i zdjęła z niej oprawiony w skórę album na zdjęcia. W środku były fotografie o ząbkowanych brzegach, przymocowane za pomocą czarnych rożków. Carol przez chwilę kartkowała album, w końcu podeszła z nim do Mariah.

- W dzieciństwie uwielbiałam przeglądać stare fotografie - wyjaśniła. - Wszystkie znam na pamięć. Zobacz.

Mariah wzięła album w ręce i popatrzyła na wskazaną przez Carol stronę. Znajdowało się niej czarno-białe zdjęcie, zrobione podczas weselnego przyjęcia. Para młoda siedziała w otoczeniu sześciu osób, kobiet i mężczyzn ubranych w odświętne stroje. Gdy zaczęła z uwagą przyglądać się ich twarzom, znieruchomiała.

Młoda dziewczyna w górnym prawym rogu miała jasną skórę, ciemne oczy, włosy zaś kręcone, upięte w kokj' spod którego wymykały się niesforne kosmyki, i - rude. Mimo że zdjęcie było czarno-białe, Mariah nie miała co do tego wątpliwości.

- To Lindsay - szepnęła.

Carol uśmiechnęła się lekko i skinęła głową.

- Twoja córka za kilka lat będzie wyglądać tak samo. To jest Granny Tucker, matka mojego taty. Kiedy robiono to zdjęcie, miała piętnaście lat. Panna młoda była jej starszą siostrą. Posiadamy niewiele zdjęć Gran, a to jest jedyne, które przedstawia ją jako dziewczynkę. Mój Alex również ma rude włosy, ale Lindsay to po prostu skóra zdjęta z babci. Nic dziwnego. W końcu w jej żyłach płynie krew Tuckerów.

- Nie o to chodzi, Carol! - przerwał jej Stephen. - Nie

chodzi o Lindsay. Chodzi o tych dwoje i o to, co zrobili naszej matce.

- A co takiego jej zrobili?

- Daj spokój. Wiesz, jakby ją to bolało.

- Ale nie zabolalo. O niczym się nigdy nie dowiedziała.

- Wybacz, Carol - odezwał się Frank. - Naprawdę kochałem waszą matkę. Kiedy umarła, czułem się, jakbym to ja stracił życie. Nie chciałem jej skrzywdzić.

- Wiem, tato. Ona też ciebie kochała. A wiesz, Stevie, co sprawiało jej największy ból? - dodała, zwracając się do brata. - Największą troską napawała ją myśl, że po jej śmierci tata zostanie sam. Wiesz, co mi powiedziała, gdy po raz ostatni szła do szpitala?

- Opowiedz - Stephen przełknął ślinę przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

- Byłyśmy same i po raz pierwszy nie udawałyśmy, że nie wiemy, co ma się stać. Mama powiedziała mi, że żałuje, iż znów pojawi się David. Żywiła cichą nadzieję, że po jej śmierci tata poślubi Mariah. Znała ją i wiedziała, że Mariah jest dobrą i uczciwą kobietą.

- Nie, nie, nie! Nie chcę tego nawet słuchać! - wrzasnął Stephen.

- Ale musisz wysłuchać. Jesteś moim bratem i kocham cię, lecz ty zawsze byłeś tak zajęty sobą, że nigdy nie umiałeś zrozumieć innych, a zwłaszcza ojca. Może nie był ideałem, ale kochał nas szczerze i ciężko pracował, abyśmy mogli godnie i dostatnio żyć. Dbał o mamę, dbał o nas, o dom, o wszystko. Dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości, że nie jest świętym Józefem? Dlaczego nie wybaczysz mu jego grzechów?



- Ponieważ zawsze pozował na idealnego tatusia! -krzyknął Stephen. I nienawidził ranie za to, że nie jestem równie silny, jak on. Równie męski...
- Nieprawda - zaprotestował Frank. - Nigdy nie chciałem, żebyś był taki jak ja.
- Nigdy nie zaakceptowałeś mnie takim, jakim jestem. Nigdy nie przytuliłeś, nie powiedziałaś, że mnie kochasz. Zawsze byłeś zimny i trzymałeś mnie na dystans. I taki pozostałeś.
- Nie chciałem. Ale wychowałem się w rodzinie, gdzie wszyscy trzymali swe uczucia na wodzy. Wiem, że to złe, lecz inaczej nie umiem. Jesteś moim synem i kocham cię, Stephen. I będę kochać, choćbym nawet nie umiał cię zrozumieć.
- Mama mnie rozumiała. Ona i David, jedyny prawdziwy przyjaciel. Brakuje mi ich. Boże, tak bardzo mi brakuje!
- Wiem - powiedział Frank i dał krok w stronę syna. - A teraz oddaj mi broń, dziecko. Wystarczy tych łez.
- Nie! - wrzasnął Stephen, odskakując od ojca z zadziwiającą jak na swoją posturę zgrabnością, - Nie daruję jej tego!
- Oddaj rewolwer! - krzyknęła Carol. - Mamie bardzo by się to nie podobało. Pomyśl choć raz o kimś innym, nie tylko o sobie. Pomyśl o Lindsay, to nasza młodsza siostra. Niedawno straciła jedyne go ojca, jakiego znała. Myśmy stracili już matkę, a teraz chcesz, by matkę straciła Lindsay. Stephen wyraźnie się wahał, ręce mu drżały. Gdy Mariah spostrzegła w oknie za jego plecami ludzi Neville'a, pomyślała ze znużeniem, że bez względu na to, czy Stephen ją zastrzeli, czy nie, i tak wszystko jest już skończone.

365

Długą chwilę wszyscy trwali w bezruchu. I nagle Stephen odwrócił się gwałtownie na pięcie, ruszył korytarzem i szarpnął za klamkę u frontowych drzwi.

- Zaczekaj, Stevie! Nie wychodź na zewnątrz! - wrzasnęła przerażona. - Frank, nie pozwól mu wybiec z domu z bronią w ręku!

Tucker rzucił okiem za okno i w ułamku sekundy pojął, co się święci. Runął w stronę korytarza, lecz zanim zdążył dopaść Stephena, trzasnęły drzwi wyjściowe. Na zewnątrz wszczęło się zamieszanie, rozległy się jakieś okrzyki, potem tupot nóg, aż wreszcie seria pojedynczych strzałów.

Potem zapadła głucha cisza, którą mącił jedynie tłumiony szloch Franka Tuckera.

## **EPILOG**

W dzień Nowego Roku, dziewiętnaście dni po tym jak Stephen Tucker zginął na progu domu swego ojca, wprowadzony został rejsowy samolot pasażerski lecący z Afryki Zachodniej do Paryża.

Wezwani eksperci od języków arabskich, którym dano do analizy nagrane taśmy z rozmowami prowadzonymi w kabinie pilotów, orzekli na podstawie akcentu, że porywacze są Libijczykami. Pilota samolotu zmuszono, by skierował się na międzynarodowe lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku, gdzie terroryści zwolnili kilku pasażerów, głównie obywateli krajów tak zwanych „przyjaznych sprawie wyzwolenia”, a jeden z nich dostarczył listę żądań - wraz z odpowiednimi groźbami.

Porywacze zażądali zwolnienia licznych więźniów, przetrzymywanych w Europie Zachodniej pod zarzutem terroryzmu, oraz wydania Libii wszystkich amerykańskich oficerów związanych z nalotem na pustynny obóz pułkownika Kaddafiego. Mieli być oni sądzeni jako zbrodniarze wojenni.

Porywacze domagali się również dwudziestu milionów dolarów w złocie, a w razie odmowy spełnienia ich żądań, zagrozili detonacją niewielkiej bomby atomowej, która miała zetrzeć z powierzchni ziemi Nowy Jork. Tego samego dnia do redakcji „New York Timesa” zadzwonił też anonimowy rozmówca, który twierdził, że porywacze stanowią

ekipę samobójców, gotowych raczej pójść na spotkanie z Allachem niż poddać się Wielkiemu Szatanowi.

Kryzys trwał trzydzieści sześć godzin. Aby zapobiec wybuchowi powszechnej paniki, władze zaprzeczyły stanowczo, że na pokładzie samolotu znajduje się broń jądrowa. Niemniej pośród przedstawicieli prasy krążyły plotki, jakoby porywacze dysponowali eksperymentalną bombą, wykradzioną z jednej z rosyjskich fabryk.

O czwartej nad ranem trzeciego dnia kryzysu do samolotu wdarła się brygada antyterrorystyczna. Wszyscy trzej porywacze zginęli. W wyniku strzelaniny poniósł również śmierć jeden z zakładników, a dziewięciu innych trafiło do szpitala. Jedna z dziennikarek, która przypadkowo znalazła się przy wracających z akcji komandosach, podsłuchiwała ich rozmowę. Podobno tuż przed atakiem terroryści zdetonowali bombę jądrową, która wszakże nie wybuchła.

Podczas konferencji prasowej, jaka miała miejsce następnego dnia, przedstawiciele rządu zaprezentowali trzy pistolety maszynowe uzi oraz kilka granatów i noży, utrzymując, że było to jedyne uzbrojenie porywaczy. Kategoriecznie zaprzeczyli, jakoby na pokładzie odrzutowca znajdował się jakikolwiek ładunek jądrowy.

W sobotnie popołudnie w połowie stycznia Paul Chaney i Mariah Bolt stali przy Constitution Avenue w Waszyngtonie i obserwowali swoje dzieci, jeżdżące na łyżwach po lodowisku. Powietrze było suche i mroźne.

- Rekonwalescencja Lindsay przebiega znakomicie -zauważył Paul. - Twoja córka wróciła już prawie do dawnej formy.

368

- Jest uparta. Nie spocznie, dopóki nie odzyska całkowitej sprawności. W New Hampshire całe dni spędzała na lodowisku. W przyszłym roku zamierza zapisać się do nowej żeńskiej drużyny hokejowej.

- Jack chce grać już w tym roku.

- To miły chłopiec. Zdaje się, że świetnie bawiliście się w ten weekend.

- O rany, to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Dotychczas spędzaliśmy ze sobą najwyżej kilka godzin. Tak było przez dziesięć lat i dopiero teraz nastąpił przełom. Jest tylko jeden mały problem - nie chcę nadebrać na odcisk jego ojczymowi. Ten facet wspaniale opiekuje się Jackiem, choć, uwierz mi, wcale nie jest to proste. Ale kiedy on sam ich poprosił, zgodził się, żeby od czasu do czasu spędzał ze mną weekendy i ferie. A Phyllis nie protestowała.

Mariah popatrzyła nań uważnie.

- Weekendy i ferie? Czy to znaczy, że zostajesz w Stanach?

- Tak, sprawa rozstrzygnęła się wczoraj. ABC startuje wiosną z nowym programem informacyjnym. Masz przed sobą redaktora naczelnego i współproducenta tej audycji. W przyszłym miesiącu zabieramy się do pracy.

- To wspaniale, Paul! Moje gratulacje!

- Dzięki. To bardzo perspektywiczny program. A co więcej, nasze główne studio będzie w Waszyngtonie.

Serce Mariah zabiło mocniej.

- W Waszyngtonie? - powtórzyła cicho. - Myślałam, że wolisz wrócić do Nowego Jorku. Tam jest ciekawiej, a poza tym byłbyś bliżej Jacka.

- Mam stąd bezpośrednie połączenie. W porównaniu

z podróżami, jakie odbywałem przez ostatnich dziesięć lat, taka wyprawa to kaszka z mlekiem. No i są jeszcze inne powody, dla których postanowiłem zakotwiczyć się właśnie tutaj.

- Rozumiem, chcesz mieć oko na wszelkie intrygi naszego rządu.

- To też - odrzekł, odwracając się w stronę lodowiska. - Ale chodzi mi raczej o sprawy osobiste.

Nie spuszczał wzroku z rozbawionych dzieci, lecz Mariah wiedziała, że czeka z zapartym tchem na jej reakcję. Zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć na jego słowa. A przecież nie powinny być dla niej . niespodzianką. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później muszą poruszyć ten temat. Sprawa była niewyjaśniona od dnia, w którym zginął Stephen Tucker, od chwili, kiedy rozstali się, rozjeżdżając w różne strony, każde do swej rodziny.

- Paul, nie jestem pewną...

- Wiem - przerwał jej. - Wiedziałem, że to powiesz. Rozumiem dobrze, że od śmierci Davida upłynęło niewiele czasu, i nie zamierzam ci się naprzykrzać. Chciałbym jednak być przy tobie w chwili, kiedy będziesz gotowa do podjęcia decyzji. Nie wiem tylko, czy nie jest to zarozumiałość z mojej strony.

Mariah westchnęła.

- Wybacz mi, Paul. To nie dlatego, że nic do ciebie nie czuję. Sam wiesz, że tak nie jest Ale to wszystko wydaje mi się takie skomplikowane. Nie mogę myśleć tylko o sobie; jest jeszcze Lindsay. Teraz, na tym lodowisku, sprawia wrażenie szczęśliwej, ale przecież wiem, że cierpi, fizycznie i psychicznie. Ma dopiero trzynaście lat i po tym, co prze-

szła, muszę bez reszty poświęcić się jej. Obie potrzebujemy czasu, by dojść do siebie.

- Rozumiem - westchnął Paul. - Czy zdecydowałaś się już...? No, wiesz...

- Czy powiedzieć jej prawdę? Tak, wyznam jej wszystko. Chyba nie umiałabym trzymać tego w tajemnicy, a gdybym była na miejscu Lindsay, z pewnością wolałabym, żeby traktowano mnie jak osobę dorosłą. Poza wszystkim to takie właśnie sekrety doprowadziły do tej naszej tragedii. Z drugiej strony, dużo rozmawiałam o tym z Frankiem i Carol. Jesteśmy zgodni co do tego, że nie należy niszczyć wspaniałych wspomnień Lindsay. David był ojcem, którego znała. To on był dla niej autorytetem. Nie wolno tego teraz podważać, za dużo ostatnio przeszła. Całe szczęście, że George Neville utajnił okoliczności śmierci Stephena, i Lindsay myśli, że to był wypadek. Kiedyś jednak trzeba będzie jej wyznać całą prawdę, jestem o tym prze' konana. Nie wiem tylko kiedy.

- A co z Frankiem? Jak to wszystko znosi?

- Jest zdruzgotany śmiercią syna. Nieustannie obwinia siebie za wszelkie nieszczęścia. Zrobiłabym wszystko, byle wymazać to, co zaszło między nim a mną przed laty.

- Z wyjątkiem Lindsay - zauważył Chaney. - A gdyby nawet jakoś ci się udało, nie poprawiłoby to stosunków Franka ze Stephenem. To historia stara jak świat, takie rzeczy dzieją się bez przerwy. Stephen cierpiał, że żyje na marginesie, w cieniu apodyktycznego ojca. Nigdy nie zamieniłabyś go w człowieka szczęśliwego.

- Zapewne masz rację. Ale trudno mi współczuć Stephenowi po tym, co nam uczynił. Natomiast bardzo mi żal

Franka. Całe szczęście, że Patty stoi za nim murem. Jest dla niego dobra i nie pozwala, by zbyt mocno pogrążył się w rozpacz. Podejrzewam, że kiedy już wreszcie Wszystko się uspokoi, pobiorą się i Frank przejdzie na wcześniejszą emeryturę. Może to dobry pomysł? Przez tyle lat harował jak wół. Tyle tylko, że nie wyobrażam sobie Langley bez niego.

- A co będzie z Mariah Bolt? Co ona teraz zrobi? Chodzi ci o moją pracę? Zaproponowano mi przejście

do grupy ekspertów, zajmujących się śledzeniem rozwoju broni jądrowej. Naszym zadaniem byłoby obserwowanie rosyjskich arsenałów oraz szaleńców, pragnących zdobyć do nich dostęp.

- Świetnie. Dowiesz się może, co się stało z tymi naukowcami, którzy zginęli w tak zwanym wypadku samochodowym.

- Już teraz to wiem. Powiem ci, ale pod warunkiem, że nie zaczniesz tego nagłaśniać.

- Daj spokój. Wiesz, że nie puszcę pary z ust Pytam, bo nie cierpię nie dokończonych wątków.

- A więc żyją, pod zmienionymi nazwiskami. W razie potrzeby będą prowadzić prace konsultacyjne... Nie, to nie tak - podniosła rękę, widząc, że Paul ściąga brwi - Neville dotrzymał słowa i operacja CHAUCER została definitywnie zamknięta. Ale w nadchodzących latach ekspertyzy tej piątki mogą okazać się najważniejsze.

- Aha, owa mityczna bomba atomowa na lotnisku w Nowym Jorku, która nie wybuchła, to ich sprawka? Czy to może jeden z tych niewypałów, o których Neville wspominał, że ma na nie kupca?



Mariah wzruszyła ramionami.

- Nie mam pewności. Działo się to wszystko podczas mego urlopu. Ale osobiście sędzę, że tak. Założyłabym się, że maczali w tym palce. A cała kampania dezinformacyjna miała na celu odwrócenie od nich uwagi. Bandyci nie mogą się dowiedzieć, że skradziona broń pozwala nam siedzieć im na piętach, ale mają się tego bać, i to bardzo.

- Marian, postawmy sprawę jasno. Wciąż zamierzam być twoim najbliższym przyjacielem. I obiecuję, że to o czym będziemy rozmawiać, nie ujrzy światła dziennego. Chyba, że sama na to pozwolisz.

Zgoda?

- Zgoda.

- A zatem zamierzasz wziąć tę pracę?

- Jeszcze nie wiem. Najchętniej porzuciłabym ten cuchnący interes. Kiedyś myślałam, że praca w CIA jest niesłychanie ważna dla dobra ludzkości i Ameryki. W miarę jednak jak poznawałam kulisy polityki - i ludzką naturę

'4, coraz bardziej przekonywałam się, że nie jest to takie proste i jednoznaczne.

- Masz na myśli na przykład to, że jeden jest terrorystą, inny bojownikiem walczącym o wolność, a granica między jednym a drugim jest cienka i niewyraźna?

- Na przykład. Bo czy tak nie jest, Paul? Rzadko kiedy coś jest albo czarne, albo białe. Każda sprawa ma swoje drugie dno.

- Twierdzisz zatem, że nie ma na świecie takich wartości, o które warto się bić?

Mariah przeniosła wzrok na ślizgające się na lodowisku dzieci.

- Powiem ci, co ma dla mnie największą wartość. Za-

pewnienie im bezpieczeństwa. Naszym dzieciom. I nie tylko naszym. Wszystkim. Tego zresztą nauczył mnie David. Mówił, że musimy teraz znów wepchnąć do butelki dzina, którego sami kiedyś wypuściliśmy. Nasze dzieci odziedziczą spadek po Los Alamos i wyścigu zbrojeń. Ponosimy konsekwencje, jakich nie przewidzieli owi marzyciele, gdy zaczęli bawić się swymi „wynalazkami”.

- Hm, mam wrażenie, że próbujesz na siłę wzbudzić w sobie motywację do tej pracy.

- Możliwe - przyznała z uśmiechem Mariah, natychmiast jednak spoważniała na widok ludzi wysiadających z limuzyny, która zatrzymała się na Constitution Avenue.

Chaney również popatrzył w tamtą stronę.

- Proszę, proszę, kogo tu mamy. George Neville i Angus Ramsay McCord. A kim jest ta kobieta?

- To Tania - wyjaśniła Mariah, ruszając w ich stronę.

- Tania?

- Tatiana Baranowa. Rosjanka, która zapoczątkowała operację CHAUCER.

Nie spuszczać wzroku z Tani, Mariah szybko zbliżyła się do limuzyny. Śliczna dawniej twarz Rosjanki była teraz zmieniona - skóra nabrała niezdrowej bladości, pod oczyma rysowały się głębokie cienie, włosy zaś były rzadkie i matowe. Choć elegancki wełniany płaszcz maskował figurę Rosjanki, Mariah natychmiast spostrzegła, że Tania przeraźliwie wychudła.

A jednak na widok dawnej znajomej na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Obie kobiety padły sobie w objęcia niczym stęsknione za sobą przyjaciółki.

- Taniu! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę.

- Ja też. Wreszcie możemy się spotkać.
- Co u ciebie? Co się z tobą działo?
- Dużo by mówić.
- Wiem, powiedz w skrócie.
- Pewnego dnia, gdy szłam na nasze spotkanie, śledził mnie któryś z pracowników rosyjskiej ambasady. W pewnym momencie zatrzymał się obok mnie samochód, wciągnięto mnie do środka i później niewiele już pamiętam... Odesłano mnie do Rosji. Tam były narkotyki, przesłuchania... Wszystko to widzę jak przez mgłę, ta luka w pamięci jest naprawdę okropna. Kiedy wróciła mi świadomość, zorientowałam się, że jestem w więzieniu. Siedziałam długo, wiele miesięcy...
- Taniu, tak mi przykro. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?
- Wybaczę? Dlaczego? Przyszłam do ciebie z własnej woli. Kiedyś powiedziałaś, że postąpiłam słusznie. To prawda. Ani przez chwilę nie żałowałam swej decyzji.
- Jesteś bardzo dzielna, Tatiano.
- Ty też. Powiedziano mi o twoim mężu. To był taki miły i dobry człowiek.
- Bardzo go nam brakuje.
- A malutka Lindsay? Co u niej?
- Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszła, ma się znakomicie. Ale nie jest to już malutka dziewczynka. Widzisz, tam, na lodowisku? To ona. Ćwiczy zagrania hokejowe. -Mariah uśmiechnęła się. - Podejdźmy bliżej.
- Tania przeciągnęła dłonią po włosach i potrząsnęła odmownie głową.
- Nie chcę, by zobaczyła mnie w takim stanie. Nie pre-

zentuję się najlepiej, a ona zapewne nie zrozumiałaby przyczyny. Innym razem. Może odwiedzić mnie w Kalifornii?

- Wybierasz się do Kahfornii?

- Tak. Pan McCord i jego żona zaprosili mnie na jakiś czas do siebie.

Mariah popatrzyła na stojącego obok Tani mężczyznę. Widziała go dziesiątki razy na zdjęciach i w telewizji, ale nie wyobrażała sobie, że w rzeczywistości może wyglądać tak zwyczajnie. Tylko w jego oczach koloru miedzi palił się jakiś niezwykły blask.

- Oczywiście, Taniu, zostaniesz u nas tak długo, jak zechcesz - odezwał się miliarder. - A później kupimy ci dom, taki jaki będziesz chciała i gdzie będziesz chciała.

George Neville dopiero teraz postanowił przedstawić sobie zebrane towarzystwo.

- To nasza pracowniczka, Mariah Bolt. I reporter Paul Chaney... A to jest pan Angus McCord. Z całą pewnością go rozpoznaliście.

- Proszę mówić do mnie Gus - powiedział McCord, ściskając ich dłonie. - Miło mi was poznać. Wiele o was słyszałem.

- My również wiele słyszeliśmy o panu - odparła sucho Mariah.

Tylko dzięki panu McCordowi udało nam się wywieźć z Rosji Tatianę Baranową - powiedział Neville tonem ojca, który strofuje niesforne dzieci. - Odnaleźliśmy ją, ale bez jego wpływów trudno by było coś zdziałać. Rosja pogrążona jest w chaosie, nie istnieje tam żadna centralna władza, do której moglibyśmy zwrócić się z apelem o uwolnienie.

376

- Ale pieniądze przetrą każdą ścieżkę - zauważyła Marian.

- Pod tym względem Pan Bóg okazał się dla mnie bardziej niż szczodry - roześmiał się McCord. - A ja nigdy nie wahałem się rozdzielać szczęścia przy pomocy pieniędzy, gdy w grę wchodziła słuszna i dobra sprawa.

Marian popatrzyła przelotnie na Tanię.

- Trudno o słusznieszą sprawę - powiedziała,

- Tak, proszę pani, w pełni podzielałam pani opinię - zgodził się McCord. - Tania to prawdziwa bohaterka. Mogę panią zapewnić, że do końca życia niczego jej nie zabraknie.

- Czy odwiedzisz mnie w Kalifornii, Mariah? - spytała Tania, - Oczywiście z Lindsay. O niczym innym nie marzę.

Mariah z uśmiechem skinęła głową,

- Minęły wieki od chwili, gdy ostatni raz byłam w Kalifornii.

^ - Panie Chaney - odezwał się McCord, zwracając się do reportera - chciałbym zamienić z panem kilka słów. Wiem, że ostatnio jest pan bez pracy...

- Myli się pan, panie McCord - wszedł mu w słowo Paul. - Byłem bez pracy, jak zresztą doskonale pan wie, ale ostatnio sytuacja się zmieniła.

- Rozumiem. Miło mi to słyszeć. Od razu wiedziałem, że człowiek o tak niespożytej energii da sobie radę. W zeszłym tygodniu oświadczyłem członkom rady nadzorczej CBN, że popełnili ogromny błąd, pozwalając panu odejść. Jesteśmy zgodni co do tego, że jest pan w stanie podjąć się każdej pracy w sieci; absolutnie każdej. Może więc jakoś dojdziemy do porozumienia?

- Nie sędzę. A tak na marginesie, odesłałem ten czek z odprawą.
  - Nie musiał pan tego robić.
  - Chciałem. Dzięki swoim pieniądząom może pan wiele, panie McCord, ale mnie nie zdoła pan kupić. A co do pańskiego nieżyjącego współpracownika, Dietera Pflanza...
  - Panie Chaney... - Neville z niesmakiem pokręcił głową. - Chyba nie wierzy pan, że Gus cokolwiek wiedział.
  - Może nie. Ale Pflanz dla niego pracował. Miałem pełne prawo napuścić na pana, panie McCord, wymiar sprawiedliwości. Zawarłem jednak układ z tym dżentelmenem - wskazał na Neville'a - i zamierzam go dotrzymać. Puszczam to panu płazem, lecz jeśli w przyszłości zamierza pan znów uczestniczyć w podobnych operacjach, musi się pan liczyć z siłą publicznych mediów. McCord otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął. Poważnie skinął głową, po czym dodał:
  - Chciałem tylko, żeby pan wiedział, że wielu otaczających nas ludzi kieruje się motywami dużo mniej patriotycznymi niż moje.
  - W to nie wątpię, ale oni nie przerażają mnie tak jak pan.
- McCord spojrział na Paula lodowatym wzrokiem, lecz ten pozostał niewzruszony.
- Panie Chaney, czy zna pan Prawo Webstera? - zapytał po chwili miliarder.
  - Webstera?
  - Tak, Daniela Webstera. Napisał: „Nic nie zagrozi państwu, jeśli jego obronę obywatele wezmą we własne ręce, i nic tego państwa nie uratuje, jeśli obronę przekażą w ręce

obce". Na tym generalnie opiera się moja filozofia. Nie mogę usunąć" się na bok i pozwolić, by nad bezpieczeństwem mej ojczyzny czuwał ktoś inny.

- Nie sędzę, by Daniel Webster konkretnie pańa miał na myśli, pisząc te słowa. Wręcz przeciwnie. Sędzę, że chodziło mu raczej o to, że wszyscy obywatele muszą robić, co w ich mocy, by zapewnić bezpieczeństwo sobie, swej ojczyźnie i całemu światu. A to znaczy, że każdy powinien działać, a nie siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż pojawi się jakaś ojcowska dłoń potężnego władcy i zrobi wszystko za nich.

McCord wzruszył ramionami i spojrział na wschód, w stronę piętrzącego się kilka przecznic dalej Kapitolu.

- Może pan spać spokojnie, panie Chaney. Nie mam zamiaru tracić czasu na błazeństwa, jakie mają tam miejsce. Polityką może zajmować się wyłącznie masochista. Ja wolę myśleć o emeryturze. Moja żona przeszła ostatnio ciężki zawada i ja nie jestem coraz młodszy. Chcę teraz więcej czasu poświęcić rodzime i zająć się losem Tani. Tak zatem daję panu wyłączność na tę informację: Gus McCord nie zamierza starać się o fotel prezydencki. Najwyższa pora przekazać pałeczkę młodemu pokoleniu.

- Kończmy, Gus, czeka już na was samolot - wtrącił się Neville i obrzucił Chaneya nieprzyjaznym spojrzeniem.

Mariah znów przytuliła do siebie Tanię.

- Och, Taniu, kiedy cię zobaczyłam, od razu poprawił mi się humor. To najszcześniejsza chwila od kilku miesięcy, naprawdę. Tak się o ciebie bałam, gdy zniknęłaś. Winiłam: się za to. Mam nadzieję, że nigdy nie spotka cię już podobna przygoda. Pamiętaj, pan Neville ma mój adres i numer te-

lefonu. Zadzwoń do mnie, jak się urządzisz, a wtedy na pewno się spotkamy.

- Zadzwonię, obiecuję. Ucałuj ode mnie Lindsay. Kiedy pojazd z Tatianą i dwójką mężczyzn zniknął za drzewami, Mariah odwróciła się do Paula, który śledził zamyślonym wzrokiem sylwetki kruków na zimowym śniegu.

- Czy sądzisz, że naprawdę przejdzie na emeryturę? -zapytała.

- Chyba tak. Zdaje się, że tym razem był szczery. Pytanie tylko czy jutro nie zmieni zdania. Dla ludzi pokroju McCorda emerytura przychodzi z chwilą śmierci. W interesach osiągnął już wszystko. Nie jestem pewien, czy nie skusi go władza.

- W Langley chodzą słuchy, że wiadomość o emeryturze Gusa McCorda zamierza ogłosić George Neville. Ciekawe, prawda?

- No proszę... Czy ktoś doszedł do tego, co naprawdę kombinowali on, McCord i Pflanz?  
Mariah wzruszyła ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nawet Franka Tuckera nie wtajemniczono w szczegóły. Opracowywał z nimi plan przejęcia broni, o której opowiedziała nam Tania, ale o nielegalnym handlu z terrorystami nie wiedział nic. Wszystkie karty trzymał w rękawie Neville. Jedynie z tobą mają problem, Paul. Moim zdaniem Neville podejrzewa, że ty o wszystkim wiesz, cokolwiek by to było. A jeśli tak, to nie może być pewien, czy w pewnym momencie nie przerwiesz milczenia. Założę się, że celem dzisiejszego spotkania było to, żebyś to przede wszystkim ty zobaczył Tanię. Chcieli w ten



sposób dać ci do zrozumienia, że ich zamiary są czyste, choć metody budzą czasami poważne wątpliwości.

- Nie zamierzam przerywać milczenia.

- Wiem. I wiem dlaczego. Chcesz chronić mnie i Lindsay. Chaney skinął głową.

- Ironia losu polega na tym, że ty w gruncie rzeczy nie miałaś z tym nic wspólnego. Spisek Neville'a nigdy zapewne by się nie wydał, gdyby Stephen Tucker, pałając żądzą osobistej zemsty, nie zaczął mącić wody. David został staranowany, najpierw ja się tym zainteresowałem, potem ty... Nic dziwnego, że Neville wpadł w taką panikę po rozmowie ze mną podczas prayjęcia u Franka. Pojął, że cała sprawa może się wydać, ale kompletnie nie rozumiał, jak to się stało.

Podeszli do lodowiska, gdzie Lindsay i Jack czekali-już na nich, zaniepokojeni chwilową nieobecnością rodziców.

- Kto to był, mamó? - spytała dziewczynka. - Dlaczego odeszliście na bok?

- Spotkałam starą znajomą, z którą długo się nie widziałam - wyjaśniła Mariah. - Porozmawialiśmy sobie. Później ci wszystko opowiem.

- A jak wam poszło na lodowisku? - zapytał Paul, -Widzę, że macie już dosyć.

- W żadnym wypadku - odparł Jack.

- Wracamy na lód! - potwierdziła Lindsay. - A ty, mamó, obiecałaś, że też spróbujesz.

- Daj spokój, córeczko. Moim żywiołem jest woda, ale nie w tej postaci,

- Ale chociaż spróbuj. To łatwe, masz moje stare łyżwy.

- Chyba się nie wykręcisz - powiedział Paul z podstępnyim uśmiechem.

### 381

- Oboje się nie wykręcicie, tato - wtrącił się do rozmowy Jack.
  - Dobrze, dobrze. Dajcie nam kilka minut, żebyśmy mogli założyć to żelastwo.
  - Najwyżej pięć - ostrzegła matkę Lindsay. - Jak nie będziesz gotowa, to wywleczymy cię na lód w skarpetkach, prawda, Jack?
  - Albo boso.
  - Oprawcy! - stęknęła Mariah za oddalającą się dwójką. Chwilę jeszcze patrzyła za Jackiem i Lindsay, a potem usiadła na ławce, ściągnęła buty i zaczęła zakładać łyżwy.
- Paul skończył właśnie sznurować pierwszy but, Medy nagle uniósł skupioną twarz i popatrzył z napięciem na Mariah.
- Coś się stało? - spytała zaniepokojona.
  - Wiem, że to nie czas ani miejsce, ale choć wcześniej powiedziałem, że nie będę ci się naprzykrzać, chciałbym zadać ci jedno pytanie. Mogę?
  - Jasne.
  - Jestem człowiekiem wyjątkowo cierpliwym, a nawet zawziętym, gdy zachodzi potrzeba. Z reguły dobrze wiem, kiedy warto czekać, a kiedy nie. Moim zdaniem w naszym przypadku warto. Łączy nas coś wyjątkowego i jestem zdecydowany wykazać ogromną cierpliwość. Mogę czekać miesiącami, latami. Ale... ale mogę się też pomylić. Powiedz chociaż, czy mam jakiegokolwiek szanse. Będzie mi łatwiej...
- Mariah przepchnęła sznurowadło przez ostatnią dziurkę, wyprostowała się i popatrzyła prosto przed siebie.
- Posłuchaj, Paul, w Wiedniu myślałam o tobie źle. Teraz tego bardzo żałuję. Ale wiesz co? Nigdy nie podejrzewałam, że jesteś romantyczny.

Chaney skinął głową i odrobinę się rozchmurzył.

- W porządku. Wiem wszystko, co chciałem wiedzieć. - Skończył sznurowanie butów, przyklęknął i zawiązał łyżwy na nogach Mariah. Potem dźwignął się z kolan i pomógł jej wstać. - Gotowa?

- Poczekaj, Paul. Rozumiesz, że muszę wszystko robić bardzo powoli?

- Czy rozmawiamy o jeżdżeniu na łyżwach?

- Również.

- Rozumiem. Nie bój się. Będę cały czas blisko. Nie pozwolę, by stała ci się krzywda.

- Czy teraz też mówimy o łyżwach?

- O nich również.

- Tego nie jesteś w stanie mi zagwarantować. Wiesz'dobrze, że wspólna jazda to wielkie ryzyko. Jest jeszcze inne rozwiązanie: nie wjeżdżać na lodowisko. Ale to znacznie mniej zabawne.

- Nudne.

- Tchórzliwe i bez fantazji.

- A zatem jesteś gotowa spróbować?

Mariah popatrzyła na swoje nogi, chwiejające się niepewnie na śliskim lodzie, i chwyciła Paula za rękę.

- A niech tam, najwyżej się przewrócę - odparła i odważnie ruszyła po lodzie.